

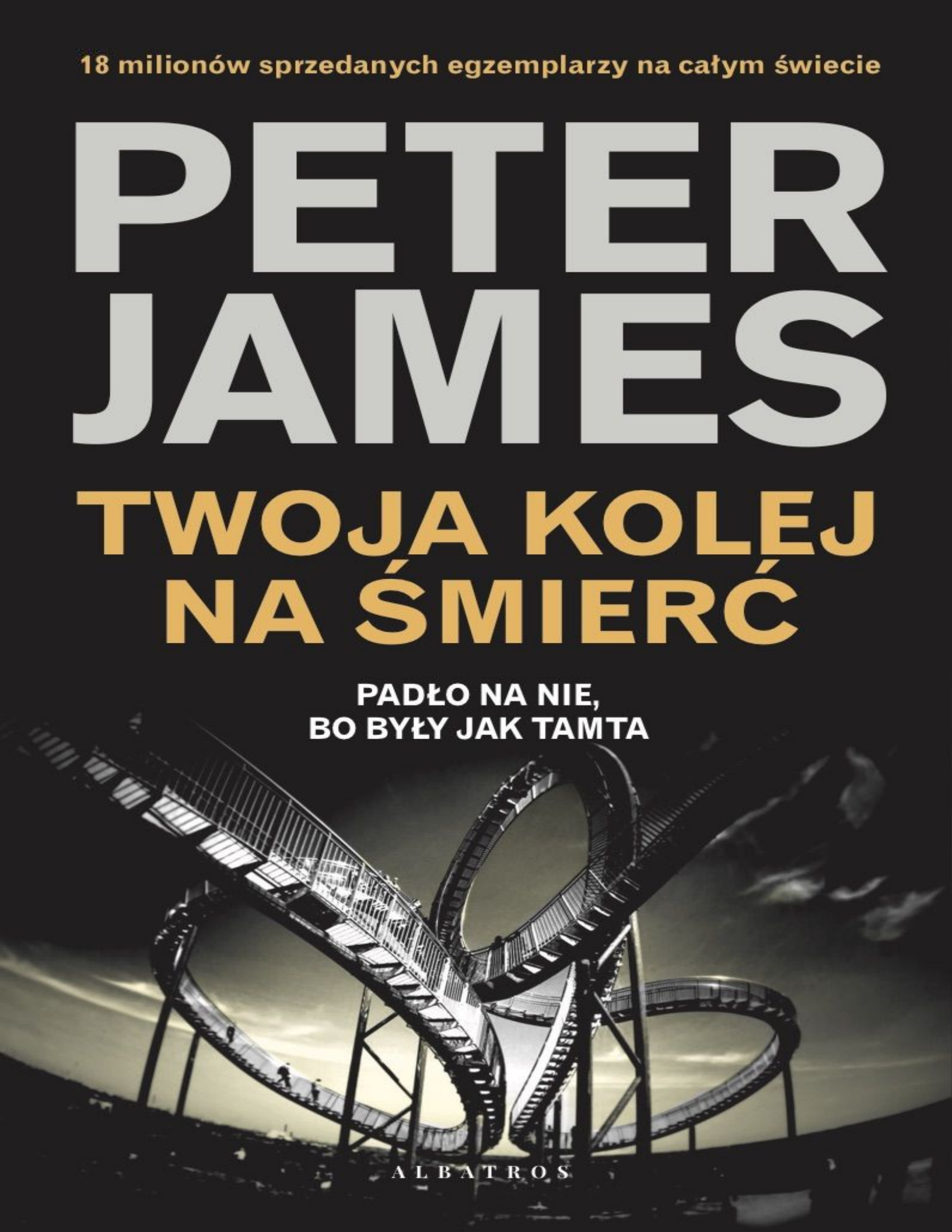
18 milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie

PETER JAMES

TWOJA KOLEJ NA ŚMIERĆ

PADŁO NA NIE,
BO BYŁY JAK TAMTA

ALBATROS



Kryminał, który łączy to, co najlepsze w klasyce gatunku, z nowoczesnością.

Nadinspektor Roy Grace powraca, by ścigać niebezpiecznego psychopatę.

Tego mordercę kręci czekanie. Miesiącami śledzi swoje „projekty”, jak je nazywa, ciemnowłose kobiety, które torturuje i w końcu zabija. Logan dopadł w miejscu, którego panicznie się bała. W ciemności podziemnego parkingu. Zdążyła jeszcze zadzwonić do byłego narzeczonego – ale jej przerażony krzyk w słuchawce to ostatni ślad, jaki przez chwilę trwał w powietrzu. I przepadł. Podobnie jak ona.

Tego samego popołudnia, w innej części miasta, robotnicy odkopują szczątki młodej kobiety, które przeleżały w ziemi trzydzieści lat.

Nie ma powodu, by wiązać te dwie sprawy. Dopiero gdy ginie kolejna kobieta, nadinspektor Roy Grace zaczyna się poważnie martwić. Czyżby w Brighton pojawił się pierwszy seryjny morderca od osiemdziesięciu lat?

PETER JAMES

TWOJA KOLEJ NA ŚMIERĆ

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ LIPSZYC

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

Peter James (ur. 1948 r.)

Angielski autor kryminałów, scenariuszy, sztuk teatralnych, odznaczony nagrodą Diamond Dagger za całokształt twórczości. Jest jedynym brytyjskim pisarzem, który regularnie towarzyszy oddziałom policji w przeprowadzanych akcjach i uczestniczy w konferencjach na temat technik śledczych. Wśród policjantów ma reputację człowieka, który doskonale wie, o czym mówi, a przez fanów został uznany za Najlepszego Autora Kryminałów Wszech Czasów.

James ma za sobą karierę producenta filmowego i scenarzysty, ale od kiedy powołał do życia postać Roya Grace'a, który stał się jednym z ulubionych bohaterów czytelników na całym świecie, zdecydował się na pełnoetatową karierę pisarską.

Peter James jest zdobywcą wielu ważnych międzynarodowych nagród, m.in. Prix Polar International, francuskiej Prix Coeur Noir, niemieckiej Krimi-Blitz i amerykańskiej nagrody Barry.

Polscy czytelnicy nagrodzili jego powieść **Dom na wzgórzu** mianem najlepszego horroru roku 2016 w plebiscycie portalu **Lubimy czytać!**

peterjames.com

Tego autora

DOM NA WZGÓRZU
LUDZIE DOSKONALI

Nadinspektor Roy Grace

W GODZINIE ŚMIERCI
POPROSISZ MNIE O ŚMIERĆ
TWOJA KOLEJ NA ŚMIERĆ

Tytuł oryginału:
YOU ARE DEAD

Copyright © Really Scary Books / Peter James 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Paweł Lipszyc 2019

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Free-Photos/Pixabay

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-697-1

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Dla mojej ukochanej Lary

1

11 grudnia, czwartek

Logan jechała szybko w ulewnym deszczu, pędziła do domu, zadowolona, że jej gówniany dzień, który od rana był zły i stawał się coraz gorszy, wreszcie miał się ku końcowi. Marzyła o dużym kieliszku schłodzonego białego wina i ukradkowym papierosie na balkonie, przed powrotem Jamiego. Z głośników dobiegł znajomy sygnał Radia Sussex, prezenterka oznajmiła, że jest siedemnasta trzydzieści i czas na wiadomości. Logan słuchała jednym uchem, szczęśliwie nieświadoma faktu, że jutro o tej porze stanie się głównym tematem wiadomości lokalnych oraz przedmiotem jednej z największych obław na człowieka przeprowadzonych przez policję hrabstwa Sussex.

Seria katastrof rozpoczęła się, gdy Logan, już spóźniona do pracy, wstała rano z potwornym bólem głowy po męczącej kolacji z Jamiem i potknęła się o but zostawiony przez niego na dywanie. Poleciała do przodu i rozwalila sobie paluch o kant drzwi do łazienki. W innej sytuacji pojechałaby do szpitala, ale nie mogła sobie pozwolić na nieuchronne czekanie w kolejce na ostrym dyżurze, więc sama założyła sobie opatrunek, w nadziei że to wystarczy.

Na domiar złego złapał ją ten sam pieprzony radar, który w każdy dzień roboczy od dobrych kilku lat mijała, jadąc z ostrożną szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dziś jednak, pędząc do pracy na pierwsze spotkanie, na śmierć zapomniała o istnieniu radaru i przemknęła obok niego, przekraczając siedemdziesiątkę.

Cios nokautujący otrzymała w gabinecie fizjoterapii, gdzie pracowała: jedna ze współpracownic Logan – kobieta wnosząca największą część przychodów – oznajmiła, że jest w ciąży z trojaczkami i jeśli wszystko dobrze pójdzie, zamierza w pełni poświęcić się macierzyństwu. Bez generowanych przez nią zysków przyszłość gabinetu stałaby pod dużym znakiem zapytania.

Na wszystkich tych sprawach dodatkowo kładły się cieniem obawy Logan dotyczące Jamiego. Uparcie zaprzeczał istnieniu jakichkolwiek problemów, tych jednak nie brakowało. Jego niechlujstwo, które początkowo ją bawiło, zaczęło ją niezmiernie drażnić, zwłaszcza gdy rzucał od niechcienia, że utrzymywanie porządku w domu należy do kobiety.

No to posprzątała. Wszystkie jego ciuchy leżące na podłodze, wszystkie puszki po piwie i brudne szklanki – pozostałości po wizycie kumpli, którzy przyszli na meczyk – zebrała i wrzuciła do zsypu na klatce schodowej.

Na to wspomnienie uśmiechnęła się z satysfakcją, włączyła prawy kierunkowskaz i zahamowała przed wjazdem na podziemny parking pod ich blokiem w Brighton Kemp Town. Otworzyła pilotem elektryczną bramę.

Gdy zjeżdżała na parking, zaskoczył ją widok czającej się w mroku postaci. Mocno nadepnęła pedał hamulca.

2

11 grudnia, czwartek

Jamie Ball zadzwonił do narzeczonej i już po chwili wiedział, że coś się stało.

Jechał swoim starym volkswagenem golfem autostradą M23 w kierunku Brighton. Na drodze panował spory ruch, typowy dla godzin szczytu, a w dodatku lało jak z cebra. Połączenie było marne i z trudem słyszał, co Logan mówi, ale trzaski w słuchawce nie mogły zagłuszyć niepokoju w jej głosie.

– Kochanie, czy wszystko w porządku?

– Nie, nie wszystko – odparła.

– Co się stało?

– Na parkingu jest jakiś człowiek. Właśnie go widziałam. Kiedy wjechałam, próbował się ukryć.

Ani Logan, ani Jamie nie przepadali za tym podziemnym parkingiem. Z ich niewielkiego mieszkania na dziewiątym piętrze, niedaleko Szpitala Królewskiego Hrabstwa Sussex w Kemp Town, roztaczał się zapierający dech widok na dachy i kanał La Manche, ale parking zawsze przyprawiał ich o ciarki.

Był słabo oświetlony, a sporo miejsc całkowicie tonęło w ciemności, przy zupełnie szczątkowej ochronie. Kilka samochodów, chyba w ogóle nieużywanych, stało w pokrowcach. Wjeżdżając tam, Jamie odnosił czasem wrażenie, że wkracza do mauzoleum. Kiedy Logan wracała sama późnym wieczorem, wolała zostawić samochód na ulicy, ryzykując mandat, niż zapuszczać się w te mroczne podziemia.

Jamie wielokrotnie przestrzegał Logan, żeby przed zjazdem głębiej na parking sprawdziła, czy brama za nią na pewno się

zamknęła. Wyglądało na to, że właśnie realizował się scenariusz, którego zawsze tak się obawiał.

– Dobrze, kochanie – powiedział. – Posłuchaj. Zablokuj drzwi auta, zawróć i natychmiast stamtąd wyjedź.

Nie odpowiedziała.

– Słyszałaś, Logan?

Jamiego dobiegł jej krzyk.

Upiorny krzyk.

A potem zapadła cisza.

3

11 grudnia, czwartek

Felix nie ma nic przeciwko temu, że zabijam ludzi. Łapie to, rozumie moje powody. Coś mi się wydaje, że sam chciałby to robić, tyle że brak mu odwagi. Harrison nie ma pewności co do moralnego wydźwięku całej sprawy. Jeśli chodzi o Marcusa, cóż, śmiertelnie serio sprzeciwia się temu, co robię – gra słów niezamierzona. Marcus uważa, że jestem złym człowiekiem. Ale chwilunia, dobrze mieć bystrych przyjaciół, którzy mają własne zdanie i nie boją się ich wyrażać. Zawsze szanowałem ludzi, którzy śmiało mówią, co myślą.

Powiada się, że prawdziwy przyjaciel to człowiek, który wie o tobie wszystko i nadal cię lubi, ale mam wątpliwości co do tego bezwarunkowego aspektu przyjaźni. Przyjaciele są nam potrzebni, by utrzymywać nas w równowadze, żebyśmy mogli zachowywać właściwą perspektywę, kompas moralny. Muszę jednak stwierdzić, że Marcus się myli. Tak naprawdę nie jestem złym człowiekiem, tylko jestem ofiarą. Wszyscy jesteśmy ofiarami. Wszyscy, w takiej czy innej postaci, jesteśmy więźniami własnej przeszłości. Przeszłość określa nas w sposób, który nie zawsze rzuca nam się w oczy. Widzisz to dopiero później, czasami, gdy przeczytasz coś, co cię poruszy, albo terapeuta zwróci ci uwagę na związek, którego dotąd nie dostrzegałeś. Wtedy zapala się lampka. Nagle wszystko nabiera sensu i wszystko możesz usprawiedliwić.

Właśnie rozpocząłem nowy projekt. To kobieta przed trzydziestką, szczupła, ładna, z długimi brązowymi włosami – tak wyglądają wszystkie moje projekty. Od trzech miesięcy śledzę ją,

głównie z oddali, a także obserwuję jej profil na Facebooku i Twitterze. Lubię dogłębnie poznawać swoje projekty, by wypracować najlepsze podejście. Potem zastanawiam się, co z nimi zrobię. Kręci mnie właśnie oczekiwanie. Jak gdybyś wchodził na stronę fantastycznej restauracji i planował, co tam zjesz. Moje piękne dossier.

Logan to nie byle jaka dziewczyna. Jest sprawna pod każdym względem. Biega w maratonach. Miała wyjść za mąż, ale teraz nic z tego nie będzie, zresztą nie ma to związku ze mną. Wszystko to jest dla mnie pomocne, pomaga mi posługiwać się kompasem moralnym. Ona nie może traktować mężczyzn w ten sposób.

Trzeba ją ukarać.

4

11 grudnia, czwartek

Latem Hove Lagoon, park i plac zabaw z dwoma jeziorkami, torem wrotkowym i stawem dla dzieci, nieco oddalony od nadmorskiej promenady z domkami plażowymi w wesołych kolorach, roiły się od ludzi. Pod czujnym okiem matek, dziadków, nianiek i opiekunek dzieci bawiłyby się na karuzelach, zjeżdżalniach i huśtawkach, pluskałyby się w małym stawie albo puszczały stateczki w jednym z dwóch prostokątnych jezior, dzieląc je z bardziej wytrawnymi żeglarzami, windsurferami i wakeboardzistami.

Ludzie zajadliby lody i słodczy kupione w Big Beach Café, której pobielone ściany, niebieskie okna i stromy dach kłóciły się z supernowoczesnym wystrojem kawiarni i baru – owocem wyobraźni najnowszego właściciela, muzyka Normana Cooka, znanego też jako Fatboy Slim.

Jednak w to posępne grudniowe czwartkowe popołudnie, z ulewą i porywistym wiatrem, park był smutny i opuszczony. Samotna starsza pani w przezroczystym płaszczu przeciwdeszczowym prowadziła na smyczy opornego psa wielkości dużego szczura.

Kilku robotników w kombinezonach odblaskowych, kaskach i ochraniaczach na uszy, pracując po godzinach, wierciło wykop w alejce przed kawiarnią. Brygadzista stał w pewnym oddaleniu od grupy i z głową pochyloną przed deszczem wstukiwał pomiary na tablecie w wodoodpornym futerale. Nieopodal parkowało kilka samochodów osobowych i furgonetek, a obok hałasował żółty przewoźny generator.

Jeden z robotników wwiercił się młotem pneumatycznym w świeżą ziemię, odrzucił ją i nagle zawołał z cudzoziemskim akcentem:

– O Boże! Patrzcie! – Niespokojnie odwrócił się do brygadzysty.
– Wesley! Zobacz!

Pozostali robotnicy, słysząc ten krzyk, który przebił się przez huk maszyn, również przestali pracować. Brygadzista podszedł, zajrzał do wykopu i zobaczył coś, co jego niewprawne oko uznało za dłoń szkieletu.

– Czy to zwierzę? – spytał robotnik.

– Nie wiem – odparł niepewnie brygadzista.

Nie potrafił też określić, jak długo dłoń leżała w ziemi. Może dziesiątki lat. Nie przychodziło mu jednak do głowy żadne zwierzę posiadające podobną łapę czy szpon. Chyba tylko małpa. Dłoń przypominała ludzką. Brygadzista polecił wszystkim trzem robotnikom obsługującym młoty pneumatyczne, by skoncentrowali się na terenie tuż obok dłoni i nie wiercili głębiej niż potrzeba.

Po oderwaniu dalszych fragmentów asfaltu ukazała się ręka szkieletu, połączona z dłonią czarnymi włóknami ścięgien. Potem kawałek klatki piersiowej oraz, bez wątpienia, ludzka czaszka.

– Dobra! – odezwał się nerwowo brygadzista. – Wszyscy przestają pracować. Idźcie do domu, zaczynamy jutro rano, jeśli nam pozwolą. Widzimy się o ósmej.

Zastanawiając się, czy nie należało powstrzymać ludzi wcześniej, brygadzista podszedł do furgonetki, otworzył tylne drzwi, wspiął się do środka i zaczął tam grzebać, aż znalazł brezent. Starannie przykrył nim odkopane fragmenty szkieletu i przycisnął brezent gruzem. Potem wyjął z pokrowca swoją komórkę i zadzwonił do szefa po instrukcje. Nie pozostawiały żadnych wątpiwości.

Rozłączył się i zgodnie z tym, co mu kazano, wybrał numer 999. Po zgłoszeniu się operatora poprosił o połączenie z policją.

5

11 grudnia, czwartek

Dygocząc ze strachu, Jamie Ball zjechał golfem na pobocze autostrady i ponownie wybrał numer Logan. Po sześciu sygnałach usłyszał komunikat poczty głosowej: „Cześć, tu Logan Somerville. W tej chwili nie mogę odebrać...”. Jamie zakończył połączenie i natychmiast zadzwonił jeszcze raz. Odbierz, kochana Logan, odbierz, proszę, odbierz! I tym razem po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa. Tuż obok przejechała z hukiem ciężarówka, zatrzęsała jego małym autem, obsypała je żwirem. Jamie zamknął oczy, próbował myśleć, bliski łez. Mógłby zadzwonić do dozorczy Marka. Albo do sąsiada, który miał klucz do ich mieszkania.

Ale przecież słyszał jej krzyk.

Coś się stało.

Golf znowu się zatrzęsł, gdy kolejny kolos przejechał z łoskotem, o wiele za blisko.

Jamie zakończył połączenie i niezwłocznie wybrał 999.

6

11 grudnia, czwartek

Okolo godziny temu jakiś idiota wymówił słowo na S. Podobnie jak w świecie teatralnym, gdzie istnieje głęboki przesąd związany z wymawianiem tytułu sztuki *Makbet* – ludzie teatru mówią o niej zawsze: „szkocka sztuka” – w świecie policyjnym panowało przekonanie, że nazwanie dnia spokojnym przyniesie pecha. I rzeczywiście, wystarczyło kilka minut od chwili, gdy pulchny posterunkowy wpadł do wydziału komunikacji głównej siedziby policji Sussex, by zamienić słówko z żoną, jedną z osób monitorujących przekazy radiowe, i zauważył, że mają spokojny dzień – i nagle całe hrabstwo oszalało. Trzy poważne karambole drogowe, napad z bronią w Brighton, człowiek grożący, że skoczy z urwiska Beachy Head, ulubionego miejsca samobójców, i wreszcie zaginiony czterolatek z Crawley.

Wydział komunikacji, mieszczący się w rozległej sali na pierwszym piętrze nowoczesnego biurowca na terenie zajmowanym przez główną siedzibę policji, obsługiwał wszystkie nagłe zgłoszenia napływające z całego hrabstwa Sussex. Tam też znajdował się system kamer przemysłowych, którym zawiadował inspektor dyżurny. Jednym z przywilejów tych inspektorów było udzielanie zgody na użycie broni palnej w nagłych wypadkach, a także prowadzenie i monitorowanie pościgów samochodowych w obrębie hrabstwa.

Tego popołudnia i wieczoru inspektorem dyżurnym był Andy Kille, wysoki, mocno zbudowany były mistrz Anglii w skokach spadochronowych, o przystojnej twarzy pobrużdżonej zmarszczkami cynizmu po blisko trzydziestu latach służby

w policji, z rzadką szczecina siwiejących włosów. Miał na sobie ciemne spodnie od munduru i czarną koszulę z białym napisem „Policja”, wyszytym na krótkich rękawach, oraz gwiazdkami inspektora na pagonach. Na szyi dyndał mu zawieszony na niebieskiej smyczy identyfikator. W ostatnim czasie wyhodował nietypowy dla siebie brzuch, ponieważ rzucił papierosy i rekompensował to sobie niepoohamowanym jedzeniem.

Kille siedział przy swoim biurku, w boksie z tyłu sali, pośród ekranów i monitorów komputerowych. Jeden z nich przedstawiał mapę hrabstwa. Inny informował go na bieżąco o aktualnych zdarzeniach. Trzeci, ekran dotykowy, pełnił funkcję jego oczu i uszu w wydziale, za który on odpowiadał.

Na przeciwległej ścianie sali znajdowały się monitory wyświetlające dane statystyczne związane z działalnością policyjną, natomiast ekran nad biurkiem Kille'a prezentował obraz z czterystu czy pięciuset kamer w całym hrabstwie; były też monitory z bieżącymi wiadomościami. Za pomocą rozmaitych klawiatur oraz przełącznika Kille mógł w ciągu kilku sekund obrócić i przybliżyć dowolny obraz. W tym dziale pracowało trzydziestu ludzi, w większości cywilów, z wyhaftowanym na rękawach białym napisem: „Wsparcie policji”. W odróżnieniu od czarnych koszul policjantów, nosili koszule niebieskie. Kilku z nich pracowało dawniej w policji. Kiedy sporo się działo, łączna liczba funkcjonariuszy i osób wpierających zbliżała się do setki.

Pod ekranami pokazującymi obraz z kamer siedzieli przy biurkach operatorzy radiowi, którzy, podobnie jak niemal wszyscy tutaj, mieli na głowach słuchawki z mikrofonem. Ich praca polegała na stałym kontakcie z policjantami w terenie, zarówno pieszymi, jak i zmotoryzowanymi. Większość operatorów obserwowała przekaz z kamer na interesującym ich obszarze. Obok operatorów siedzieli dyżurni, którzy odbierali nagłe zgłoszenia. Wypadki, czyli zgłoszenia pod numer 999, sygnalizował brzęczyk, aby w rzadkich sytuacjach, gdy wszyscy dyżurni byli zajęci, zgłoszenie mogła przyjąć dowolna osoba w sali.

Amy Wood, spokojna, macierzyńska brunetka, odbierała nagle zgłoszenia od dwudziestu lat i należała do najbardziej doświadczonych osób w tej sali. Uwielbiała tę pracę, bo nigdy się nie wiedziało, co wydarzy się w ciągu najbliższych dziesięciu sekund. Najważniejszym, czego się nauczyła, było to, że choćby człowiek sądził, że widział już wszystko, zawsze czekała go niespodzianka. Amy nie lubiła dni na S, toteż skrycie cieszyła się, gdy zaczynało się coś dziać. Ostatnia godzina była niesamowita! Amy odebrała zgłoszenia od świadków dwóch wypadków drogowych, od człowieka, którego dziewczynę pogryzł pies sąsiada, od nieszczęśnika z Bognor Regis, który właśnie został ściągnięty z roweru i patrzył, jak rabuś na nim odjeżdża, a wreszcie od gościa, najwyraźniej na totalnym odlocie narkotykowym, skarżącego się, że sąsiad z naprzeciwka stale go fotografuje.

Przekleństwem pracy Amy i jej kolegów były nieustanne telefony od dowcipnisiów oraz jeszcze liczniejsze zgłoszenia od psychicznie chorych. Pewna wiekowa dama z demencją dzwoniła piętnaście razy dziennie. Dwadzieścia procent wszystkich telefonów pod 999, z prośbą o natychmiastową interwencję policyjną, pochodziło od osób psychicznie chorych.

Właśnie z kimś takim miała teraz do czynienia. Młody mężczyzna wyszłochał:

– Ja się zabiję.

Jego histeryczny głos niemal zagłuszało wycie wiatru.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś? – zapytała.

Desperat dzwonił z komórki i na ekranie Amy pokazała się wieża nadawczo-odbiorcza telefonii komórkowej w Hastings. Młody człowiek mógł się znajdować w obrębie kilkunastu ulic.

– Raczej nie możecie mi pomóc – odparł. – Mam w głowie problemy.

– Gdzie jesteś? – powtórzyła miłym, spokojnym tonem.

– Rigger Road. – Znów zaczął pochlipywać. – Nikt mnie nie rozumie, jasne?

W trakcie rozmowy Amy zapisywała raport zgłoszenia oraz instrukcje dla dyżurnego.

– Możesz się przedstawić?

W słuchawce zapadło długie milczenie. Amy usłyszała coś jakby „Dan”.

– Masz na imię Dan?

– Nie, Ben.

Ton jego głosu mocno ją niepokoił. Swoim instrukcjom nadała status Stopnia Pierwszego, co oznaczało natychmiastową interwencję: policjanci powinni znaleźć się na miejscu w ciągu kwadransa.

– Co takiego wydarzyło się w tym tygodniu, że czujesz się w taki sposób, Ben?

– Ja po prostu nigdy nie pasowałem. Nie mogę powiedzieć mamie, co jest nie tak. Pochodzę z Senegalu. Nigdy nie pasowałem. Ludzie inaczej mnie traktują. Mam nóż. Teraz podetnę sobie gardło.

– Ben, proszę, nie rozłączaj się. Kogoś do ciebie wysłałam. Pozostanę na linii, póki do ciebie nie dotrą.

Na ekranie Amy błysnęła odpowiedź: wóz patrolowy odebrał zlecenie. Na mapie widziała różową ikonkę oznaczającą samochód policyjny – był już w odległości niespełna kilometra od Rigger Road. Raptownie przeskoczył dwie przecznice.

– Dlaczego ludzie inaczej mnie traktują? – Ben szlochał spazmatycznie. – Proszę, pomóż mi.

– Ben, policjanci są tuż-tuż. Pozostanę na linii, póki do ciebie nie dotrą. – Amy widziała, jak różowa ikonka wjeżdża na Rigger Road. – Widzisz samochód policyjny? Widzisz samochód policyjny, Ben?

– Tttak.

– Pomachasz do niego?

Amy usłyszała głosy. Wreszcie ujrzała wiadomość, na którą czekała: „Funkcjonariusze na miejscu zdarzenia”.

Zadanie zostało wykonane i Amy się rozłączyła. Zawsze trudno było stwierdzić, czy zamiary samobójcze są autentyczne,

czy może to tylko wołanie o pomoc, ale ani ona, ani nikt z obecnych tutaj nie ośmieliłby się zlekceważyć takiego zgłoszenia. Tydzień wcześniej Amy odebrała telefon od człowieka, który oświadczył, że jest na strychu swojego domu, właśnie założył sobie pętlę na szyję i zamierza otworzyć włącznik i skoczyć. W chwili gdy policjanci tam weszli, usłyszała, jak mężczyzna się dławi, a potem rozległy się mrozące krew w żyłach krzyki funkcjonariuszy, czy któryś ma nóż.

Amy spojrzała na zegarek. 17.45. Nie minęła nawet połowa jej dwunastogodzinnej zmiany. Czas wypić herbatę i popytać, ile osób na wydziale ma ochotę zamówić curry w lokalnej hinduskiej knajpie, która w szybkim tempie stawiała się ich ulubioną jadłodajnią. Zanim jednak zdążyła zdjąć słuchawki i wstać, zadzwonił telefon.

– Policja Sussex, w czym mogę pomóc? – odezwała się i natychmiast sprawdziła na ekranie przybliżoną lokalizację rozmówcy.

Rejon Crawley, niedaleko lotniska Gatwick. Odgłosy ruchu drogowego wskazywały, że ktoś dzwonił z autostrady. Spodziewała się zgłoszenia wypadku lub informacji o śmieciach leżących na jednym pasie autostrady.

Jak to często się zdarzało, początkowo młody człowiek z trudem wydobywał z siebie słowa. Ze swego długiego doświadczenia Amy wiedziała, że dla większości ludzi sam fakt, iż dzwonią pod 999, jest stresujący, a potęguje to jeszcze przyczyna, dla której dzwonią. Połowa rozmówców znajdowała się w swoistej „czerwonej mgle” zdenerwowania i dezorientacji.

Szum ruchu ulicznego niemal całkowicie zagłuszał słowa mężczyzny.

– Widzi pani, przed chwilą do niej dzwoniłem... Rzecz w tym, że poważnie niepokoję się o narzeczoną – wyjąkał w końcu.

– Czy może pan się przedstawić i podać swój numer? – spytała Amy, chociaż numer już się wyświetlił.

Mężczyzna wykrztusił nazwisko i numer telefonu.

– Moja narzeczona chyba ma kłopoty. Właśnie z nią rozmawiałem, kiedy zjeżdżała na podziemny parking pod naszym domem. Zdążyła powiedzieć, że w ciemności ktoś się czai, przestraszył ją, usłyszałem jej krzyk, a potem połączenie się zerwało.

– Czy próbował pan do niej dzwonić ponownie?

– Tak, tak, próbowałem. Proszę, pošlijcie tam kogoś. Naprawdę się niepokoję.

Instynkt i doświadczenie podpowiadały Amy, że sprawa nie jest wymyślona, a mogła być naprawdę poważna.

– Jak pan się nazywa?

– Jamie Ball.

Hałas w tle nie ustawał, ale mężczyzna mówił teraz wyraźniej. Amy znowu zaczęła stukać w klawiaturę.

– Proszę podać adres, nazwisko i krótki opis narzeczonej.

Przekazał jej dane, po czym dodał:

– Błagam, niech ktoś tam szybko pojedzie, coś jest nie tak.

Amy spojrzała na ekran, potem na mapę, szukając różowej ikonki, aż wreszcie ją dostrzegła.

– Wysyłamy samochód, proszę pana.

– Dziękuję, bardzo pani dziękuję.

Usłyszała, że głos mu się łamie.

– Proszę chwilę pozostać na linii. Panie Ball?

– Przepraszam – powiedział nieco spokojniejszym głosem.

– Czy może pan mi podać numer komórki i domowy swojej narzeczonej oraz numer rejestracyjny jej samochodu?

Ball podał te dane, ale nie mógł sobie przypomnieć numeru rejestracyjnego.

– Zaczyna się od GU dziesięć – wykrztusił. – Proszę im powiedzieć, żeby się pospieszyli.

– Czy domyśla się pan, kim mógł być ten człowiek na parkingu? Czy pan lub pańska narzeczona widywaliście tam wcześniej jakieś podejrzanе osoby?

– Nie, nie. Ale tam na dole jest ciemno, nie ma ochrony. Kilka miesięcy temu zdemolowano parę samochodów. Jadę teraz do

domu, ale zajmie mi to jeszcze dobre pół godziny.

– Funkcjonariusze dotrą tam w ciągu trzech minut.

– Proszę, dopilnujcie, żeby nic jej się nie stało. Błagam. Kocham ją. Proszę, sprawcie, żeby nic jej nie było.

– Podaję funkcjonariuszom pański numer. Skontaktują się z panem.

– Słyszałem, jak ona krzyczy. O Boże, słyszałem jej krzyk. To było straszne. Muszą jej pomóc.

Amy wystukała szczegóły zgłoszenia i przesłała do Andy’ego Kille’a.

Kille niezwłocznie powiadomił złotego szefa, komendanta policji, Neva Kempa, oraz nadinspektora Jasona Tingleya, człowieka do spraw kryzysowych, zwanego dawniej srebrnym szefem, że być może doszło do uprowadzenia.

7

11 grudnia, czwartek

Funkcjonariusze nazywali to „policyjną pogodą”, zresztą tylko częściowo żartem. Bandyci nie lubili moknąć, dlatego też niemal zawsze, kiedy lało, poziom przestępczości w Brighton and Hove znacząco spadał.

O osiemnastej, w mroczny, zimny grudniowy czwartek, funkcjonariuszka Susi Holliday wraz z partnerem, starszym i bardziej doświadczonym Richardem Kyrkiem, zwanym RVK, słynącym z pamięci fotograficznej, jechali patrolowym fordem mondeo na zachód, wzdłuż wybrzeża Hove. Po prawej stronie były eleganckie apartamentowce w stylu regencji, po lewej opustoszałe trawniki z rzędami domków plażowych. Dalej, poza zasięgiem latarni ulicznych, przewalały się i pieniały wzburzone wody kanału La Manche.

Zmiana dobiegała końca, do dziewiętnastej została tylko godzina, mieli za sobą spokojny dzień. Drobnym wypadkiem drogowym – furgonetka zrzuciła człowieka ze skutera, ale obyło się bez obrażeń; wezwanie do apteki przy rondzie Seven Dials, gdzie ktoś zasłabł na progu, najpewniej z powodu przedawkowania narkotyków; wreszcie, co zdarzało się niemal na każdej zmianie, przemoc domowa. Susi i Richard aresztowali mężczyznę mieszkającego u kobiety, która ich wezwała – już po raz czwarty w ciągu minionych osiemnastu miesięcy. Może teraz wreszcie zdecyduje się wyrzucić go na dobre, choć Susi Holliday miała wątpliwości. Prawdziwa tragedia ofiar przemocy domowej polegała na tym, że traciły one wszelką pewność siebie i rzadko

zdobywały się na odwagę, by wyrzucić partnera lub odejść, a także przestawały wierzyć, że cokolwiek mogą zmienić.

Za kilka godzin okolice West Street, z barami i klubami nocnymi, przeobrażą się w strefę działań wojennych, jak zwykle w czwartkowe, piątkowe i sobotnie noce, gdy spokój miała zapewnić surowa, choć przyjazna obecność policji w ramach operacji Marmur. Przy obecnym grafiku dyżurów Susi i Richard mogli na szczęście uniknąć całonocnych bójek i szamotania się z agresywnymi pijakami. Niektórzy policjanci lubili porządną zadymę, będącą dla nich źródłem adrenaliny.

Susi Holliday prowadziła, sznur pojazdów nieustannie ruszał i stawał, wycieraczki mozolnie usuwały krople deszczu, światła stopu wlokącego się przed nimi samochodu oświetlały ich mokrą przednią szybę. RVK był pochłonięty wysyłaniem SMS-a. Oboje mieli przed sobą dwa dni wolnego, a Susi cieszyła się na spokojne chwile z mężem, Jamesem. Zamierzali kupić trochę rzeczy do ich nowego mieszkania w pobliżu Eastbourne, gdzie się przenieśli, bo ceny nieruchomości były tam znacznie niższe niż w Brighton.

– Jakie masz plany na wolne dni, RVK? – spytała.

– Ha! – Uniósł palec na znak, że musi skończyć pisanie wiadomości. Po chwili odparł: – Zabiorę Joeya na mecz. – Joey był jego dwunastoletnim synem, którego RVK rozpieszczał. – A ty?

Radio zatrzeszczało, po czym usłyszeli głos dyspozytorki.

– Charlie Romeo Cztery?

– Tu Charlie Romeo Cztery – odezwał się RVK.

– Charlie Romeo Cztery, mamy zgłoszenie zajścia na parkingu podziemnym w Chesham Gate, na rogu Stanley Rise i Briars Avenue. Napastnik mógł zaatakować kobietę. Możecie to sprawdzić? Stopień Pierwszy.

– Chesham Gate? – powtórzył Kyrke. – Tak, tak, już jedziemy. – I szybko rzucił do Susi: – Zawracaj.

Włączyła niebieskie światła i syrenę, po czym, czując przypływ adrenaliny, zawróciła, wjechała na przeciwległy pas i przyspieszyła. Wezwanie Stopnia Pierwszego mocno ją nakręcało, podobnie jak jej kolegów. Oprócz „zadymy”,

możliwość jazdy z włączonym kogutem należała do sporych atrakcji tej pracy. Wiązało się to również z dużą odpowiedzialnością. Sygnał świetlny i syrena były prośbą o przepuszczenie, a nie automatycznym prawem. Połowa kierowców była albo głucha i ślepa, albo zwyczajnie głupia, przez co nagłym zgłoszeniom nieodmiennie towarzyszyły ryzyko i momenty mrozące krew w żyłach.

Nie inaczej działało się teraz. Miała przed sobą nissana micrę, najwyraźniej pozbawionego lusterek wstecznych i kierunkowskazów. Samochód nieoczekiwanie znalazł się na tym samym pasie, tuż przed nimi, gdy szybkościomierz Susi pokazywał sto kilometrów na godzinę.

– Dupek! – syknęła i wyprzedziła nissana, niemal ocierając się o jego zderzak.

Tymczasem Kyrke notował dane zgłoszenia, dyktowane przez dyspozytorkę, która podała markę i częściowy numer rejestracyjny samochodu kobiety oraz jej rysopis.

Dziewięćdziesiąt sekund później, dzięki bystremu kierowcy autobusu, który ich przepuścił, przemknęli przez rondo przy Brighton Pier i wjechali na Marine Parade. Tam skręcili w lewo, zostawiając za sobą hotele przy Lower Rock Gardens. Po niespełna dwóch minutach, wjeżdżając na strome wzniesienie przed szpitalem, ujrzeli z przodu po lewej stronie blok Chesham Gate.

Przed zamkniętym wjazdem na podziemny parking zatrzymali się, wysiedli i podeszli do wysokiej bramy. Przez pręty zajrzeli w mrok. Susi Holliday wyjęła latarkę i poświeciła na parking, ale widzieli tylko szereg samochodów, niektóre w pokrowcach.

– Masz pomysł, jak tam wejść? – zwróciła się do Kyrke’a.

– Rozejrzę się za dozorcą – odparł i pobiegł w kierunku głównego wejścia do bloku.

Nagle usłyszała szcęknięcie i brama zaczęła się otwierać. Po chwili omiół ją blask przednich świateł, usłyszała za sobą ryk silnika. Odwróciwszy się, zobaczyła małe bmw z opuszczanym

dachem i młodą kobietę za kierownicą. Susi uniosła rękę, podeszła do auta i oznajmiła, że w tej chwili nie można tu wjechać z powodu policyjnej interwencji.

Zbiegła po rampie, uruchamiając automatyczne oświetlenie, które rozjaśniło parking. Zgasiła latarkę, by oszczędzać baterie, i zaczęła rozglądać się za białym fiatem 500, z rejestracją zaczynającą się od GU10, oraz szczupłą dwudziestokilkuletnią kobietą o długich brązowych włosach. W sumie parking miał około sześćdziesięciu miejsc, w większości zajętych; było też kilka motorów i stojak na rowery.

Ani śladu życia. Wokół unosił się zapach kurzu i benzyny. Susi ruszyła wzdłuż szeregu pojazdów, szukając wzrokiem kogoś, kto mógł się tam kryć.

Gdy dotarła do końca szeregu samochodów, skręciła w lewo, ku ciemniejszej części parkingu. Jarzeniówka pod sufitem migotała, wydając ciche brzęczenie, więc Susi znów zapaliła latarkę. Minęła stojak, gdzie było kilka rowerów zabezpieczonych dużymi kłódkami, a także piękny stary kabriolet mercedes na sflaczałych oponach. W końcu dostrzegła białego fiata 500 z rejestracją zaczynającą się od GU10. Samochód był mokry, jak gdyby dopiero co tutaj wjechał.

Zatrzymała się i powiedziała przez radio do Kyrke'a:

- Chyba mam samochód.
- Schodzę tam z dozorcą – odparł.

Ostrożnie podeszła do fiata i poświeciła latarką przez boczną szybę. W środku nie było nikogo. Na miejscu pasażera leżało opakowanie po gumie do żucia, a nad tablicą rozdzielczą kwit z parkometru. Kiedy przyjrzała się uważniej, dostrzegła, że pochodzi z parkingu w pobliskim mieście Lewes. Sprawdziła drzwi kierowcy i pasażera, ale okazały się zamknięte. Z maski samochodu biło ciepło.

W tej właśnie chwili pojawił się Kyrke, któremu towarzyszył niski pięćdziesięciolatek w bawełnianych spodniach i wiatrówce, z komórką w dłoni.

- To jest Mark Schulz, dozorca tego bloku.

– Więc o co konkretnie chodzi? – spytał dozorca.

– Musimy się upewnić, że właścicielka tego samochodu, Logan Somerville, jest bezpieczna. Widział ją pan po tym, jak tu wróciła?

– Nie, kończę pracę o siedemnastej trzydzieści.

– Macie tutaj kamerę przemysłową?

Dozorca uniósł ręce w geście desperacji.

– Od sześciu tygodni nie działa. Zgłaszałem to administratorowi, ale nic się nie dzieje. – Wzruszył ramionami. – I co na to poradzę? – Kiedy policjanci ruszyli w stronę schodów, spytał z wahaniem: – Mam do niej zadzwonić?

– Tak, proszę.

– To bardzo miła pani – rzucił dozorca. – Miły chłopak. Mili ludzie. – Znalazł w telefonie numer i zadzwonił. Po chwili spojrzął na policjantów i pokręcił głową. – Nie odpowiada.

– Ma pan klucz do jej mieszkania?

– Tak. Dajcie mi chwilę, to go znajdę.

– Zostanę tu, rozejrzę się i zatrzymam każdego, kto będzie chciał wjechać lub wyjechać – powiedział Kyrke. – Ty sprawdź mieszkanie.

Susi Holliday weszła po schodach na parter i tam poczekała, aż Schulz przyniesie ze swojego mieszkania klucz. W końcu pojawił się z całym pękiem kluczy niczym strażnik więzienny, i poprowadził ją do windy.

Na dziewiątym piętrze wysiedli. W mrocznym korytarzu, ze sfatygowaną wykładziną na podłodze, unosił się zapach stęchlizny. Gdzieś dudniła muzyka i Susi rozpoznała utwór *Patient Love* zespołu Passenger. Ruszyła korytarzem w ślad za dozorcą, aż zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i zadzwonił.

Po chwili zadzwonił ponownie i mocno zapukał. Odczekał kilka sekund i spojrzął pytająco na policjantkę.

– Nie odpowiada.

– Może pan otworzyć, żebym sprawdziła, czy ona tam jest?

– Naprawdę wolałbym nie wchodzić.

– Niepokoiśmy się o bezpieczeństwo tej kobiety. Musimy sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

– No dobra. – Dozorca wzruszył ramionami. – Nie ma sprawy.
– Otworzył drzwi i zawołał: – Halo! Panno Somerville! Halo, tu dozorca! Jest ze mną policja.

Odpowiedziała im cisza. W mieszkaniu czuło się pustkę i martwość.

– Czy możemy wejść? – spytała Holliday.

Dozorca w zamyśleniu zacisnął usta, po czym wyciągnął rękę.

– Niech pani wchodzi.

Weszli do niewielkiego holu, gdzie nad dwoma rowerami górskimi, opartymi o ścianę, wisały płaszcze i kurtki. Minęli je i znaleźli się w widnym i przestronnym, choć niezbyt schludnym salonie. Był nowocześnie urządzone, z kremowym dywanem, beżowymi sofami oraz oddzielającym go od małej kuchni barkiem, na którym leżała gazeta „Independent” i pismo „The Week”. Na końcu barku stało nieskazitelnie czyste, jasno oświetlone akwarium, w którym pływało parę rybek tropikalnych.

Susi Holliday z zaciekawieniem przyjrzała się kilku oprawionym fotografiom. Jedna przedstawiała dwoje przystojnych młodych ludzi w strojach rowerowych, stojących z zabłoconymi rowerami na tle dzikich gór. Na innym zdjęciu ta sama para leżała na plaży i z uśmiechem patrzyła w górę na fotografa. Jeszcze inne ukazywało ich w strojach narciarskich. Na ścianach wisały spore barwne obrazy abstrakcyjne, na których dało się dostrzec plażę i leżaki, resztki starego molo West Pier z szeregiem kabin plażowych oraz spaniela – najwyraźniej były dziełem lubianego przez panią domu artysty, malarza z Lewes, Toma Homewooda.

Sprawdzili sypialnię, gdzie stało podwójne łóżko ze starannie złożoną kołdrą i stertą puchatych poduszek. Był też telewizor, a po każdej stronie łóżka stolik nocny z lampką. Na jednym leżało kilka książek, na drugim było pismo kobiece oraz częściowo opróżniona szklanka wody. Susi Holliday zauważyła

leżący na ziemi but, a potem, u dołu drzwi do łazienki, niewielką plamę krwi i kilka kropli na podłodze.

Łazienka była czysta i sucha, na wiklinowym koszu leżały spodenki rowerowe z lycry i kamizelka. Na półkach stały żel pod prysznic, szampon, balsam do ciała i różne kremy, męskie i damskie maszynki do golenia, perfumy, woda kolońska i płyn po goleniu. Najwyraźniej nikogo nie było w tej łazience co najmniej od kilku godzin.

Susi Holliday przekazała raport przez radio, dodając, że chociaż nie znalazła śladów walki, dostrzegła niewielką ilość krwi.

Dyspozytorka powiadomiła ich, że narzeczony zaginionej kobiety za kilka minut tam dotrze, i kazała im zaczekać.

8

11 grudnia, czwartek

Choć zazwyczaj Jamie Ball prowadził ostrożnie, teraz, mimo godziny szczytu, pędził jak opętany po Edward Street, wpatrując się w zalaną deszczem przednią szybę, lawirował wśród samochodów, błyskał światłami, trąbił, obojętny na gniewne klaksony i grożące mu pięści. Całe jego ciało pulsowało ze strachu.

Złapał go radar, ale było mu wszystko jedno. Myślał tylko o tym, by dotrzeć do domu i upewnić się, że Logan nic się nie stało. Gwałtownie skręcił w lewo, samochodem rzuciło na mokrej nawierzchni, opony niemal straciły przyczepność, gdy przyspieszył na wzniesieniu i skręcił w prawo, w swoją ulicę. Przed wejściem do bloku ujrzał wóz policyjny.

Kliknął pilotem, niecierpliwie czekając, aż brama się otworzy, i zjechał na parking. Niemal natychmiast podbiegł do niego umundurowany policjant, a kiedy Jamie się przedstawił, kazał mu wjechać na wolne miejsce.

Jamie wyskoczył z auta, nawet nie zamykając za sobą drzwi, i z ulgą zobaczył jej małego białego fiata na zwykłym miejscu. Nic jej nie jest! Dzięki Bogu, dzięki Bogu! Odwrócił się do policjanta i zapytał:

– Gdzie jest Logan, moja narzeczona, co się stało? Wszystko z nią w porządku?

– Chyba najlepiej, jak pójdzie pan porozmawiać z moją koleżanką, która jest na górze, razem z dozorcą.

– Dlaczego? – Zdjął go nagły lęk. – Co się stało?

– Na górze wszystko panu powiedzą.

Jamie pognał do windy i wjechał na dziewiąte piętro. Kiedy drzwi się rozsunęły, wypadł na korytarz i zobaczył, że z ich mieszkania wychodzi policjantka w towarzystwie dozorca Marka.

– Cześć! – zawołał. – Wszystko w porządku?

– Cześć, Jamie – powiedział dozorca.

– Mark, czy z Logan wszystko w porządku? Dzwoniła do mnie, mówiła, że ktoś czai się na parkingu.

– Nie widziałem jej – odparł Mark. – Jeszcze nie wróciła do domu.

– Ależ wróciła, na dole stoi jej samochód!

Jamie popatrzył na policjantkę, zignorował jej pytające spojrzenie, wyminął ją i wpadł do mieszkania. Przemknął obok rowerów w holu, skręcił w lewo, do małego przedpokoiku z sięgającymi sufitu regałami, gdzie trzymali swoje ulubione kryminały, horrory i powieści science fiction oraz dzieła wszystkie Lee Childa, i wszedł do przestronnego, niezbyt schludnego salonu. Ani śladu Logan.

– Logan! – zawołał i pobiegł z powrotem do holu.

Sprawdził sypialnię – but, o który rano potknęła się Logan, wciąż leżał przy łóżku – zajrzał do łazienki, małej sypialni gościnniej, kuchni, łazienki dla gości, kabiny prysznicowej. W końcu wrócił do salonu i otworzył drzwi na balkon. Chociaż próbował odzwyczaić ją od palenia, czasem wychodziła tam na papierosa. Na balkonie były tylko mokre od deszczu dwa plastikowe krzesła i biały stolik, a w zalanej wodą popielniczce pływał niedopałek.

Jamie wrócił do środka i zamknął drzwi balkonowe. Do mieszkania weszła policjantka z dozorcą.

– Jestem posterunkowa Holliday – przedstawiła się. – Po pańskim telefonie sprawdziliśmy razem z kolegą parking na dole. Dotychczas nie znaleźliśmy nic podejrzanego. Fiat Logan stoi zamknięty, na właściwym miejscu, a tutaj nie widzę nic, co mogłoby budzić niepokój.

– Zadzwoiła do mnie, kiedy zjeżdżała na parking. Potem krzyknęła i połączenie się zerwało.

– Próbował pan do niej dzwonić?

– Tak, robiłem to bez przerwy, jadąc tutaj. – Jamie wyciągnął z kieszeni spodni komórkę i znów wybrał numer Logan. Po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa. – Kochanie, zadzwoń, proszę, jak tylko to odsłuchasz, bardzo się o ciebie martwię. – Rozłączył się i spojrzał na Susi. – Zawsze oddzwania natychmiast. Bez względu na to, co robi, zawsze oddzwania, ja też.

– Czy na pewno sama pojechała do pracy, czy może ktoś ją podwiózł? To wyjaśniałoby obecność samochodu na parkingu.

– Nie, na miłość boską! Dzwoniła do mnie z samochodu, była na parkingu. Powiedziała, że kogoś widzi, i krzyknęła. To był straszny krzyk. Zupełnie jak nie ona. Możemy wrócić na parking i się rozejrzeć? – spytał błagalnym tonem.

Radio zatrzeszczało i Jamie usłyszał niewyraźny kobiecy głos.

– Charlie Romeo Cztery – zgłosiła się Susi. – Nadal jesteśmy w Chesham Gate.

– Dziękuję, Charlie Romeo Cztery. Dajcie znać, kiedy zjedziecie.

– Tak, tak – powiedziała, po czym zwróciła się do Jamiego: – Czy miał pan dzisiaj jakąś sprzeczkę z narzeczoną?

– Sprzeczkę? Nie, dlaczego?

– Na drzwiach łazienki zauważyłam ślady krwi.

– A, o to chodzi. Jak rano wstała z łóżka, potknęła się, uderzyła w drzwi łazienki i rozcięła sobie duży palec u nogi. Miała pojechać do szpitala, żeby to obejrzeli.

– W szpitalu to potwierdzą?

– Tak, oczywiście. – Jamie Ball zawahał się i spojrzał na policjantkę. – Boże, myśli pani, że coś jej zrobiłem? Jezu!

– Niestety, musimy zadawać takie pytania.

Jamie wziął zapasowe kluczyki do samochodu Logan, po czym we trójkę zjechali na parking, do Kyrke'a, i podeszli do fiata.

– Powiniennem coś dodać – powiedział Jamie. – Logan choruje na cukrzycę typu drugiego. Musi utrzymywać odpowiedni poziom cukru, bo inaczej grozi jej niedocukrzenie.

Policjantka skinęła głową.

– Gdzie pan pracuje, panie Ball? – zapytała.

– W Croydon. Firma Condor, dział karmy dla zwierząt domowych.

– Mamy dwa rhodesian ridgebacki – powiedział Kyrke, podchodząc do nich. – Żona kupuje karmę Condor Vitalife.

– Miło słyszeć – rzucił Jamie bez entuzjazmu. – Wyśmienity produkt.

– Lepszy niż surowe mięso?

Jamie wzruszył ramionami.

– To lepiej zbilansowana dieta niż surowe mięso.

Podeszli do fiata.

– Narzeczona dzwoniła do pana stąd? – spytała Holliday, przytykając do ucha iPhone'a. – Sygnał jest bardzo słaby.

Jamie pokiwał głową i znów wyjął komórkę. Sygnał wahał się między jedną kreską, zerem a dwiema kreskami. Raz jeszcze wybrał numer Logan i po chwili usłyszał jej komórkę. Cichutko.

Wszyscy ją usłyszeli.

Dozorca i dwoje policjantów popatrzyło na Jamiego, który zmarszczył brwi i otworzył drzwi fiata. Dzwonek telefonu się nasilił.

Komórka Logan leżała pod siedzeniem pasażera.

Jamie pochylił się, by ją podnieść, ale Holliday go odsunęła i sama chwyciła komórkę dłonią w rękawiczce. Dzwonienie ustało. Holliday wiedziała, że zabezpieczone telefony są sprawdzane pod kątem odcisków palców, jednak tu w grę wchodziło potencjalne zagrożenie życia, postanowiła więc natychmiast sprawdzić komórkę. Zobaczyła na ekranie dziewięć nieodebranych połączeń od kogoś, kto figurował jako „Jamie Mafia”. Spytała go, czy to on. Potwierdził.

– Ona nigdy, przenigdy nie zostawiłaby telefonu – oznajmił, patrząc na policjantów. – Nie ruszyłaby się bez niego.

W wyrazie twarzy policjantów dostrzegł współczucie, ale także odrobinę sceptycyzmu.

– Myślę, że wszystkim nam zdarza się zostawić telefon – powiedziała Holliday. – Sama to robię.

– Ja też – wtrącił dozorca. – Kiedyś dwa dni szukałem tego cholerstwa.

– Coś jej się stało. Uwierzcie mi, proszę. Coś się wydarzyło. Na miłość boską, słyszałem, jak krzyczy!

Radio znów zatrzeszczało i odezwała się dyspozytorka.

– Charlie Romeo Cztery – zgłosił się Kyrke, nachylając głowę do radia, które miał przyczepione z lewej strony piersi.

– Poważny wypadek drogowy na skrzyżowaniu A-dwadzieścia trzy i A-dwadzieścia siedem. Drogówka potrzebuje wsparcia. Charlie Romeo Cztery, czy możecie określić, kiedy będziecie wolni?

– Tak, tak, ale chyba trochę nam tu zejdzie – odparł Kyrke, po czym zwrócił się do Jamiego: – Przepraszam za osobiste pytanie, ale czy między panem i narzeczoną dobrze się układało? Żadnych kłótni ani nic takiego?

– Nie. Oczywiście zdarzały się scysje, jak u wszystkich par, ale nigdy tak naprawdę się nie kłóciliśmy. Bardzo się kochamy.

Susi Holliday, coraz mocniej zaniepokojona tą sytuacją, odeszła na bok i połączyła się z dyspozytorką. Poprosiła, by niezwłocznie przybył tu oficer dyżurny.

9

11 grudnia, czwartek

Nadinspektor Roy Grace dotarł do domu za kwadrans siódma w czwartkowy wieczór. Zostało mu jeszcze trzy i pół dnia dyżuru starszego oficera śledczego w wydziale kryminalnym policji hrabstw Surrey i Sussex. O siódmej rano w poniedziałek funkcję tę obejmie na następne siedem dni inny wysoki rangą inspektor.

W hrabstwie Sussex dokonywano średnio dwunastu zabójstw rocznie, w Surrey dziesięciu. Na terenie całej Wielkiej Brytanii dochodziło rocznie do około sześciuset pięćdziesięciu zabójstw. Każdy detektyw z wydziału miał nadzieję dostać jakąś trudną sprawę. Nie świadczyło to bynajmniej o ich krwiożerczości, ale przecież do takich właśnie wyzwań ich szkolono. A ponadto tego rodzaju duża sprawa podnosiła pozycję i dawała szansę na awans.

Roy Grace nikomu nie życzył śmierci.

Od kilku lat w weekendy prześladował go pech. Ilekroć miał nadzieję na te dwa spokojne dni, by móc nadrobić zaległości towarzyskie, a także – od niedawna – spędzić więcej czasu z żoną, Cleo, i pięciomiesięcznym synkiem, w ostatniej chwili wzywano go w sprawie zabójstwa. Naprawdę liczył na cichy weekend, żeby pomóc Cleo w sortowaniu rzeczy przed przeprowadzką z jej domu, gdzie mieszkali, do ich wspólnego domu, który właśnie kupili, nieopodal wioski Henfield, dwanaście kilometrów na północ od Brighton.

Cleo wstała, ostrożnie zdejmując z kolan próbki tkanin i odkładając je na stolik, gdzie leżała cała sterta innych próbek materiałów i tapet.

– W przyszłym tygodniu przeprowadzasz się na wieś – zwrócił się Grace do jedenastoletniej złotej rybki imieniem Marlon. – I jak się z tym czujesz? Będziemy hodować kury. Jeszcze nigdy nie widziałeś kury, co? Tylko w telewizji. Ale ty nie przepadasz za telewizją, prawda?

Cleo objęła męża w pasie i pocałowała go w policzek.

– Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że będę zazdrosna o złotą rybkę, tobym nie uwierzyła. Ale jestem. Czasem myślę, że na Marlonie bardziej ci zależy niż na mnie!

Marlon otworzył i zamknął pyszczek. Jak zwykle przypominał naburmuszonego bezzębnego staruszka, gdy tak bez końca krążył po kulistym akwarium, mijając pasma wodorostów oraz podwodną miniaturę greckiej świątyni, nabytą przez Roya po tym, jak przeczytał w jakimś czasopiśmie, że złotym rybkom należy zapewnić rozrywkę. Ale nic, co Roy kupował, najwyraźniej nie interesowało tego samotnego stworzenia. W ciągu minionych lat kilkakrotnie próbował wzbogacić życie Marlona o partnerkę. Jednak każda zostawała połknięta przez małego potworka albo kończyła brzuchem do góry, a Marlon dalej, dzień w dzień, krążył sobie w kółko po akwarium.

Dawno temu Roy wygrał rybkę na jarmarku, na który wybrał się ze swoją pierwszą żoną, Sandy. Po dziesięciu latach od chwili jej zniknięcia uznano ją za zmarłą, co pozwoliło Royowi i Cleo wziąć ślub. Przed laty Grace przyniósł rybkę do domu w plastikowej torebce z wodą, a Sandy wyczytała, że złote rybki żyją niespełna rok.

Teraz, jedenaście lat później, Marlon wciąż miał się dobrze. Według *Księgi rekordów Guinnessa*, do której Roy niedawno zaglądał, najstarsza złota rybka na świecie dożyła czterdziestu trzech lat. Jeszcze kawałek do przepłynięcia, ale nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie Marlon zamierzał się wypisać. A Roy skrycie się z tego cieszył. W osobliwy sposób – czego nigdy nie wyznałby Cleo – Marlon łączył go z Sandy. Roy wiedział, że śmierć rybki go zasmuci. Każdego ranka, kiedy tylko

schodził do salonu, od razu zerkał na akwarium z nadzieją, że nie ujrzy Marlona bez życia unoszącego się na wodzie.

– Kochanie, skoro się przeprowadzamy, uważam, że Marlon powinien zrobić to samo. Właśnie przeczytałem w internecie, że złote rybki potrzebują znacznie więcej przestrzeni, niż się ludziom wydaje.

– Serio? Jak dużej? Takiej jak basen olimpijski?

– Nie – odparł z szerokim uśmiechem. – Ale potrzebują tak dużego akwarium, by mogły rozprostować nogi... to znaczy płetwy.

– Pod warunkiem że akwarium nie będzie większe niż nasz nowy dom, bo inaczej stanę się potwornie zazdrosna. A wtedy czas na sushi, kochanie?

– Nawet tak nie żartuj! – Roy ze zdziwieniem popatrzył na żonę.

– Pokochaj mnie razem z moją rybką, tak?

– Boże, uwielbiam cię. – Objął Cleo.

Żona spojrzała mu w oczy.

– I ja cię uwielbiam, nadinspektorze Grace, i nigdy nie sądziłam, że mogę kogoś tak bardzo pokochać.

W tym momencie zadzwonił telefon.

To był Andy Anakin, Golf 99, jak nazywano dyżurnego z komisariatu policji przy John Street w Brighton, cieszącego się wątpliwą sławą drugiego z kolei komisariatu w Anglii pod względem liczby spraw. W przeciwieństwie do większości kolegów, którzy potrafili zachować zimną krew w każdej sytuacji, ten konkretny policjant zaskarbił sobie miano „Anakina Panikarza”. Teraz również w jego głosie brzmiała panika.

– Panie nadinspektorze – wydyszał. – Komisarz prowadzi inną pilną sprawę, no i kazał mi powiadomić pana, że możemy mieć do czynienia z uprowadzeniem lub porwaniem. Młoda kobieta zaginęła po tym, jak przez telefon krzyczała do narzeczonego, że ktoś czai się na podziemnym parkingu w Kemp Town.

– Są jakieś bliższe informacje? – spytał z niepokojem Roy.

– Bardzo niewiele, właśnie w tym sęk. Kazałem patrolom przeszukać teren. Mocno zdenerwowany chłopak zaginionej uważa, że została uprowadzona. Robimy co w naszej mocy, ale naprawdę nie wygląda to dobrze. Operacyjny powiadomił dyżurnego oraz szefa od sytuacji kryzysowych.

Grace poczuł, jak uchodzi z niego powietrze. Faktycznie nie wyglądało i nie brzmiało to dobrze.

– Co wiesz o tej parze?

– Kobieta nazywa się Logan Somerville. Lat dwadzieścia cztery, niedawno zdobyła uprawnienia fizjoterapeutki, pracuje przy Portland Road w Hove. Mężczyzna to Jamie Ball. Pracuje jako menedżer marketingu w dziale karmy dla zwierząt domowych w Condor Food Group niedaleko Croydon. Sprawdzamy go.

Ponieważ w osiemdziesięciu procentach przypadków ofiary zostawały zranione lub zamordowane przez członka najbliższej rodziny lub osobę znajomą, Grace zdawał sobie sprawę, że partnerów zawsze warto dokładnie sprawdzić. Ponadto wiedział, że zwrócono się do niego dlatego, że był nie tylko pełniącym dyżur starszym oficerem, ale także wyszkolonym negocjatorem w sprawach porwań. Jeśli jednak zostanie wszczęte śledztwo, nie będzie mógł łączyć obu tych funkcji.

– Myślę, że musimy zamknąć hrabstwo, nadinspektorze – powiedział Anakin. – Blokady na głównych drogach. Alarm dla wszystkich portów. Poprosiłem, żeby NPAS piętnaście czekał w pogotowiu.

NPAS 15 był to helikopter, którym dysponowała policja Sussex i Surrey, aktualnie stacjonujący w Redhill.

– Nie spiesz się – rzucił Grace.

– To kiepska sprawa, Roy. Mówię ci, jest słabo!

– Uspokój się, Andy. Weź głęboki wdech! – powiedział Grace. –

W jaki sposób sprawdziłeś, że ta kobieta zaginęła?

– W sensie: tam na miejscu?

– Na parkingu chyba mają kamery przemysłowe?

– Tak, ale nie działają.

– Super. – Grace się skrzywił. – Czy miejscowi funkcjonariusze przeszukują najbliższy teren? Pytają, czy ktoś coś widział lub słyszał?

– Mam dwie osoby.

– Za mało. Natychmiast ściągnij wsparcie. Rozmawiałeś z jej chłopakiem?

– Funkcjonariusze właśnie to robią. Sam jestem tu na miejscu. Poprosiłem inspektora z kryminalnego, żeby przyjechał, i pomyślałem, że powinieneś o wszystkim wiedzieć, Roy. Ta kobieta krzyczała i mówiła, że jakiś człowiek czai się w pobliżu, ale nikogo nie namierzono.

Grace zmarszczył czoło. Sprawa nie wyglądała dobrze, ale z drugiej strony Anakin mógł wyciągać pochopne wnioski.

– Co wiemy o zaginionej, Andy? Czy posiada coś, co mogłoby ją uczynić potencjalnym celem uprowadzenia? Dziedziczy fortunę, ma bogatych rodziców?

– Dowiem się tego wszystkiego.

– Dobrze. Poinformuj mnie, proszę, najdalej za pół godziny.

– Tak jest, nadinspektorze.

Roy Grace patrzył na akwarium Marlona, intensywnie myśląc. Telefony komórkowe stale zrywały połączenie, czasem też wydawały odgłosy. Pisk opon samochodowych, zgrzyt metalowej bramy lub jakiegokolwiek inne zakłócenie na linii mogło zostać wzięte za krzyk. Jednak dwadzieścia lat pracy w policji dało mu instynkt, popularnie zwany „nosem gliniarza”. Ta sprawa nie pachniała ładnie. Ponura prawda dotycząca uprowadzeń była taka, że ofiara często ginęła bardzo szybko. Z każdą mijającą godziną szanse na znalezienie żywej osoby malały.

Podsumował w myślach to, co dotychczas usłyszał. Mężczyzna, który zgłosił zaginięcie, Jamie Ball, pracował w Croydon i właśnie wracał do domu. To będzie łatwo sprawdzić. Za pomocą ANPR – kamer monitorujących numery rejestracyjne, umieszczonych wzdłuż autostrady M23 – oraz triangulacji jego telefonu komórkowego da się określić przybliżone położenie Balla w chwili, gdy, jak twierdził, rozmawiał z narzeczoną.

Podobnie łatwo można ustalić, czy faktycznie do niego dzwoniła i gdzie się wtedy znajdowała. Przy odrobinie szczęścia wszystko to może okazać się zbędne. Zaginiona wróci z pobliskiego supermarketu Sainsbury's Local z torbami pełnymi zakupów. Taką miał nadzieję.

Noah się rozpłakał. Roy zobaczył, że Cleo już pędzi na górę. Życie było skomplikowane. Cholernie skomplikowane. Nagle pozazdrościł Marlonowi prostoty jego egzystencji. Czy rybka musiała się o cokolwiek martwić? Czy Marlon niepokoił się o to, czy co dzień nasypią mu pokarmu, czy też zakładał, że tak po prostu się stanie?

Marlona nikt nigdy nie okradnie, nie wyłudzi od niego oszczędności życia, nie wykorzysta. Raczej nie zostanie zamordowany, nie padnie ofiarą ataku terrorystycznego.

Wrócił myślami do poprzedniego wieczoru, kiedy razem z Normanem Pottingiem pojechał do Worthing, żeby pomówić z matką Belli Moy. Chciał się spotkać z tą kobietą jeszcze przed pogrzebem jej córki, omówić szczegóły uroczystości, spytać, czy życzy sobie, by on powiedział coś konkretnego. Bella, zaręczona z Normanem, należąca do ścisłej ekipy Roya, zginęła tragicznie w pożarze.

W tym momencie telefon zadzwonił znowu.

10

11 grudnia, czwartek

Niedługo po dziewiętnastej piętnaście Roy Grace oraz inspektor Glenn Branson, z głowami pochylonymi, w ulewnym deszczu, spieszyli w stronę jasnych świateł niedużego namiotu, postawionego na miejscu przestępstwa przed kawiarnią Big Beach w Hove Lagoon. Namiot otaczały dwa kordony białoniebieskiej taśmy, furkoczącej na wietrze. Po prawej stronie, za kolejną taśmą, stał drugi namiot, podobnej wielkości.

To tyle, jeśli chodzi o spokojny weekend, pomyślał Grace. Najpierw potencjalne uprowadzenie, teraz to. Jeśli uprowadzenie się potwierdzi, a nabierał pewności, że tak się stanie, będzie musiał przekazać komuś jedną ze spraw, bo obu nie mógł prowadzić.

Od telefonu Anakina Panikarza przed trzydziestoma minutami jedna rzecz szczególnie go trapiła. Przypomniał sobie, że jakieś dwa tygodnie wcześniej, podczas dyżuru innego oficera, w pobliskiej nadmorskiej miejscowości Worthing uprowadzono młodą kobietę. Nazywała się Emma Johnson i miała dwadzieścia jeden lat. Trudna młodość, matka alkoholiczka, wcześniej już wielokrotnie zniknęła. Raz odnalazła się dopiero po kilku miesiącach, żyjąc z drobnym handlarzem narkotyków w innym nadmorskim mieście, Hastings.

Matka Emmy zgłosiła ostatnie zniknięcie córki, a policja dokonała starannej oceny sytuacji. Młodą kobietę formalnie uznano za zaginioną, wszczęto dochodzenie. Zakładano, że w końcu wróci, toteż sprawa się nie rozrosła. Mimo to wyznaczono oficera prowadzącego.

Tuż przed powrotem do domu Grace sprawdził, czy w sprawie Emmy Johnson poczyniono jakiegokolwiek postępy. Wiedział, że większość zaginionych odnajduje się w ciągu kilku dni. Jeżeli nie pojawią się przed upływem miesiąca, najpewniej zniknęli na dobre.

Od zaginięcia Emmy Johnson minęło piętnaście dni. W tym czasie nie telefonowano z jej komórki, nie korzystano z jej karty kredytowej, a oficer prowadzący coraz bardziej niepokoił się o los młodej kobiety.

Okoliczności zniknięcia Logan Somerville były zupełnie inne.

Grace i Branson zobaczyli stojącą nieopodal białą furgonetkę grupy od poważnych wypadków, a przy niej markotnego strażnika ze wsparcia policyjnego, i usłyszeli warkot generatora. Obok furgonetki stały dwa oznakowane wozy oraz srebrny ford kombi.

Powitał ich wysoki, przyjazny inspektor Charlie Hepburn, w niebieskim fartuchu z kapturem i obuwiu ochronnym, oraz umundurowany inspektor dyżurny, Roy Apps, któremu z daszka czapki kapłała woda.

– Dobra pogoda na kaczki – stwierdził Apps.

– Ty akurat powinienes to wiedzieć – zażartował Branson.

W swoim poprzednim życiu, przed wstąpieniem do policji Sussex, Apps pracował jako leśniczy.

– Cha, cha!

– Miło cię widzieć, Charlie – powiedział Roy Grace. – Jak się mają Rachel, Archie i moja imienniczka, Grace?

– Wszyscy zdrowi, dzięki. Archie i Grace są podnieceni zbliżającą się Gwiazdką.

– Sam byłbym podniecony, gdybym zrobił te cholerne zakupy! No, nieważne. Co my tu mamy?

– Niezły bajzel – odparł Hepburn. – Dlaczego, do diabła, nie przestali kopać natychmiast, jak odkryli kości?

– Chcesz, żebyśmy włożyli stroje ochronne? – spytał Grace.

– Lepiej tak, bo inaczej Dave jeszcze bardziej się wkurzy. – Hepburn wskazał palcem namiot za ich plecami.

Grace i Branson schronili się przed deszczem w drugim namiocie. Chris Gee, badający miejsce przestępstwa, wręczył im kombinezony i buty, po czym zaproponował kawę lub herbatę, ale odmówili.

Obaj wcisnęli się w kombinezony, wciągnęli buty, wyszli i wpisali się do raportu. Potem ruszyli za Hepburnem do jasno oświetlonego namiotu, gdzie znajdował się częściowo odkopany szkielet. Unosiły się tam zapach wilgotnej ziemi oraz mniej przyjemna woń rozkładu. Dave Green, odpowiedzialny za miejsce przestępstwa, na czworakach badał odkopane szczątki. Teraz wstał i ich przywitał.

– Przed przyjazdem tutaj trochę poszperałem. Tę drogę położono dwadzieścia lat temu, podczas prac renowacyjnych w kawiarni, na długo przed tym, jak kupił ją Fatboy Slim.

Grace popatrzył na rękę szkieletu, częściowo odsłoniętą klatkę piersiową i czaszkę, z walającymi się tuż obok fragmentami gruzu. Uklęknął, wyjął latarkę i uważnie przyjrzał się kościom. Na czaszce zobaczył niewielki płat wyschniętej skóry oraz rozrzucone tu i tam kawałki materiału. Z tego, co widział, ciało zakopano w całości.

– Chyba każdy, kto kładł tę drogę, musiał zobaczyć ciało? – odezwał się Glenn Branson.

– Niekoniecznie – odparł Green. – To jest poziom poniżej wód gruntowych. Ciało mogło być pogrzebane głębiej i zasypane ziemią, potem stopniowo było wypychane na powierzchnię i zostało zatrzymane przez tę drogę.

Grace przyglądał się szczątkom, usiłując sobie przypomnieć, czego dowiedział się przed rokiem od miejscowej archeolożki sądowej, Lucy Sibun, na temat określania wieku i płci szkieletów.

– Kobieta? – zaryzykował.

– Tak myślę, sądząc po kształcie czaszki, ale nie mogę być pewien.

– Może uda się pobrać materiał genetyczny. Zęby są nietknięte, wyglądają na dość młode. Może dane dentystyczne?

– Pod warunkiem że kobieta pochodziła z tych stron – zauważył Green.

Grace uważnie przyjrzał się kości u podstawy szczęki, w kształcie litery U.

– Kość gnykowa, o ile dobrze pamiętam. – Wskazał palcem. – Jest nietknięta. Złamanie sugerowałoby uduszenie.

– Myślicie, że trzeba wezwać specja od medycyny sądowej, żeby potwierdził zgon? – spytał z uśmiechem Glenn Branson.

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego i też się uśmiechnęli. A jednak pytanie Bransona miało sens. Koronerem w Brighton and Hove była bojowo nastawiona służbistka. W przeszłości zdarzało się, że rugała policjantów za to, że nie uzyskali formalnego aktu zgonu, bez względu na stopień rozkładu zwłok.

– Zadzwoń do biura koronera – polecił Bransonowi Grace. – Wyjaśnij, co tu mamy. Na pewno nie możemy niczego przynieść bez ich zgody. Powiadom ich, że zamierzam się zwrócić do archeologa sądowego oraz patologa z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Zerknął na zegarek. – Ale chyba nie musimy się martwić o złotą porę.

„Złota pora” oznaczała okres bezpośrednio po odkryciu domniemanej ofiary zabójstwa. Ale w tym przypadku, skoro miejsce zbrodni liczyło ponad dwadzieścia lat i zostało już częściowo naruszone przez robotników, czas nie odgrywał większej roli.

Grace spojrzął na Dave’a Greena i Glenna Bransona, którzy pokiwali głowami.

Znowu popatrzył na kości. Kim byłaś? Co ci się przydarzyło? Kto cię kochał? Kto zabił? Dlaczego? Czy sądził, że ujdzie mu to na sucho? Czy ten ktoś nadal żyje?

Obiecuję ci, że wszystkiego się dowiemy.

Branson wyjął komórkę i wyszedł z namiotu. Grace poczuł słodkawą woń dymu papierosowego. Ktoś na dworze mocno się zaciągał i on sam też chętnie by zapalił. Cokolwiek, byle tylko zabić mdlący smród w tym plastikowym, furkoczącym na

wietrze kokonie. Jedną z wielu rzeczy, jakie uwielbiał w Cleo, był fakt, że choć sama nie paliła, nigdy nie protestowała, jeśli on czasem sięgał po papierosa lub cygaro.

– Zęby są mało starte – stwierdził Dave Green. – To wskazuje, że ta osoba zmarła młodo. Mogła być nastolatką, ewentualnie tuż po dwudziestce.

– Na ile jesteś pewien? – spytał Grace.

– Co do tego jestem raczej przekonany, ale nic poza tym. Musimy odkopać resztę ciała i przekazać pracę archeologowi sądowemu. Najlepsza byłaby Lucy Sibun.

– Proponuję zabezpieczyć miejsce na noc i poprosić Lucy, by przyjechała tu jutro z samego rana. – Grace wskazał głową na szkielet. – Ona, o ile to jest ona, raczej nigdzie się nie wybiera.

– Dziś mam rocznicę ślubu – oświadczył Dave Green. – Zapunktuję u Janis, jeśli zdążę do domu na uroczystość.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział Grace.

Glenn Branson wrócił do namiotu.

– No tak – zaczął. – Właśnie rozmawiałem z Philipem Keayem, oficerem dyżurnym z biura koronera. Jego zdaniem powinniśmy na wszelki wypadek uzyskać akt zgonu.

– Do kurwy nędzy, co za pieprzona biurokracja! – nie wytrzymał Green i dziabnął palcem w kierunku czaszki. – Jak jeszcze bardziej martwa powinna być?

Z zewnątrz dobiegło ujadanie psa. Po chwili poła namiotu się odchyliła i do środka zajrzał Chris Gee.

– Panie nadinspektorze, jakiś mężczyzna spacerujący z psem zauważył wozy policyjne i pyta, czy może w czymś pomóc. Mówi, że jest lekarzem.

Grace i Branson spojrzeli po sobie.

– Lekarzem? – powtórzył Roy Grace. – Świetnie się składa. Spytaj go, czy mógłby potwierdzić zgon.

Kilka minut później do namiotu wszedł niski mężczyzna po pięćdziesiątce, w fartuchu, masce i obuwiu ochronnym.

– Dzień dobry – odezwał się wesoło. – Jestem Edward Crisp, miejscowy internista. Właśnie wyprowadzałem psa, wasz kolega

przy barierce uprzejmie się nim zajął, i zobaczyłem, że coś się dzieje. Mogę w czymś pomóc? Jeszcze piętnaście lat temu pomagałem policji z Brighton and Hove jako konsultant medyczny.

– Tak, pamiętam pana nazwisko. – Grace skinął głową. – Cóż, zjawiał się pan w samą porę. – Wskazał odsłonięte szczątki. – Robotnicy odkopali to dziś rano. Wiem, że to brzmi nieco dziwnie, ale lekarz musi potwierdzić zgon. Zgodziłby się pan to zrobić?

Doktor Crisp spojrział w dół, potem uklęknął i przez chwilę oglądał czaszkę i resztę kości.

– Cóż, fakt ustania funkcji życiowych raczej nie ulega wątpliwości – stwierdził. – Biedna kobieta.

– Kobieta? – spytał Grace. – Na pewno?

Lekarz się zawahał.

– Cóż, studiowałem dawno temu, ale z tego, co pamiętam, na podstawie kształtu czaszki można stwierdzić, że to kobieta. Stan uzębienia wskazuje, że była nastolatką lub dziewczyną tuż po dwudziestce.

– A jak długo może tu leżeć? – spytał Glenn Branson.

Lekarz pokręcił głową.

– Nie chciałbym strzelać. Takich informacji udzieli wam archeolog sądowy. Ale oczywiście nie ma tu mowy o życiu. Z chęcią potwierdzę, że to szkielet bez życia. Czy to wam pomoże?

– Bardzo – powiedział Roy Grace.

– To wszystko?

– Proszę zostawić swoje dane. Jutro przyślę kogoś, kto odbierze od pana oficjalne orzeczenie.

– Oczywiście! To żaden problem – zapewnił z uśmiechem lekarz. – No to na razie.

11

11 grudnia, czwartek

Jamie Ball siedział na stołku przy swoim barku kuchennym, wychylał piwo za piwem i obdzwaniał kolejno wszystkich znajomych. Za plecami miał okno, za nim deszczową noc. Najpierw skoncentrował się na koleżankach Logan, potem zadzwonił do jej siostry, brata, rodziców; wszystkich pytał, czy może Logan u nich była. W trakcie rozmów zerkał na rybki tropikalne w akwarium lub na stojące na barku zdjęcie ich obojga w strojach narciarskich, zrobione w marcu tego roku na szczycie Kleine Matterhorn w Zermatt. Na horyzoncie widniały ośnieżone szczyty. Jamie i Logan zaśmiewali się z jakiegoś dowcipu, rzuconego przez ich kumpla Johna, który zrobił to zdjęcie.

To właśnie John przedstawił ich sobie rok wcześniej. Wyznawał prostą filozofię życiową, z której często oboje żartowali: „Wstań, pośmiej się i idź do łóżka!”.

Teraz jednak Jamiemu nie było do śmiechu. Łzy płynęły mu po twarzy, gdy patrzył na zdjęcie kobiety, którą kochał bardziej, niż wydawało mu się to możliwe, i którą nadal miał nadzieję poślubić.

Dwudziestoczteroletnia Logan miała długie brązowe włosy i zaraźliwy uśmiech, odsłaniający idealne białe zęby. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, przywiodła mu na myśl młodą Demi Moore w jednym z jego ulubionych filmów, *Uwierz w ducha*. A ona powiedziała mu, że przypominał jej młodego Matta Damona, choć nie w taki Damonowski sposób. Cokolwiek to znaczyło. Taka już była, czasami dziwna i zagadkowa.

Boże, jak on ją kochał.

Proszę, ukochana, niech nic ci się nie stanie. Proszę, wróć do domu.

Ilekcroć słyszał jakiś dźwięk na korytarzu, spoglądał na drzwi z nadzieją, że ujrzy Logan przekraczającą próg.

Odwrócił się do siedzącej na sofie i robiącej notatki posterunkowej Holliday i zapytał, czy jest coś nowego.

12

11 grudnia, czwartek

Ból rozsadzał Logan głowę. Całkowicie zdezorientowana, nie mając pojęcia, gdzie jest, leżała na plecach, drżąc z zimna. Czuła zawroty głowy i lekkie kołysanie, jak na statku. Chciało jej się siku. Rozpaczliwie. Walczyła z tym. W nos szczypał ją wstrętny smród pleśni oraz czegoś znacznie gorszego, smród przypominający tamten dzień zeszłego lata, kiedy wrócili z Jamiem z dwutygodniowych wakacji na greckiej wyspie Spetses i stwierdzili, że w ich mieszkaniu wysiadły bezpieczniki i lodówka oraz zamrażarka nie działały podczas sierpniowej fali upałów.

Po otwarciu zamrażarki znaleźli dwa steki, po których łąziły larwy, oraz jasnozielonego, niemal świeżącego kurczaka. Smród przyprawiał ich o mdłości, a pozbycie się go zajęło wiele dni wietrzenia, palenia świec zapachowych i nieustannego spryskiwania wszystkich pomieszczeń odświeżaczem powietrza.

Czyżby męczył ją senny koszmar?

Ale przecież miała otwarte oczy. Dostrzegła słabe zielone światło. Leżała w jakimś pojemniku, tak ciasnym, że nie mogła poruszyć łokciami. Oczy jej łzawiły jak po wpuszczeniu kropli, miała watę w głowie. Gdy spróbowała usiąść, coś boleśnie wpilo jej się w szyję, niemal ją dusząc.

Krzyknęła.

Co, do diabła?

Gdzie ona jest?

Pamięć powracała. A wraz z nią groza. Poczwała, jak wzbiera w niej paraliżujące przerażenie.

Zjechała na parking podziemny. Ktoś czaił się w mroku. Nagle nad oknem pojawiła się zakapturzona postać. Szarpnęła drzwi jej auta.

Syk gazu.

Potworne pieczenie w oczach.

I nic więcej.

13

11 grudnia, czwartek

– Naprawdę podoba mi się ta tapeta od Farrowa i Balla do salonu – powiedziała Cleo. – Jak uważasz?

To pytanie przeniosło Roya Grace’a niemal dwadzieścia lat wstecz, do czasu, kiedy razem z Sandy kupili dom. Jak sobie uświadomił, różnica polegała na tym, że Sandy samodzielnie zajmowała się urządzeniem wnętrza, nie pytając go o zdanie – tak jak robiła Cleo.

Roy właśnie wpadł do domu, w drodze do Chesham Gate, by powiadomić Cleo o rozwoju wydarzeń i utrzymać dobrą atmosferę małżeńską. Stojąc przy sofie, spojrzał na szare i białe zygzaki. Krzykliwy wzór był całkowitym przeciwieństwem tego, co wybrałaby Sandy. Pierwsza żona wolała proste, minimalistyczne rozwiązania.

– Tak – powiedział z lekkim roztargnieniem.

Próbki tkanin i katalogi pokrywały niski stolik i lwią część podłogi. Ku ich irytacji Humphrey krążył niespokojnie dokoła i siadał na katalogach. Zupełnie jakby pies wyczuwał zmianę i denerwował się.

Grace z przyjemnością wypiłby drinka. Mocne martini z wódką albo duży kieliszek zimnego białego wina. Ponieważ jednak był na służbie i miał tyle na głowie, nie śmiał tego zrobić. Dwudziesta dwadzieścia. Wcześniej Anakin Panikarz zadzwonił, by oznajmić, że Logan nie odziedziczyła żadnej fortuny i nie pochodzi z zamożnej rodziny, a on właśnie kończy dyżur. Przekazał bieżące informacje zmiennikowi, Golfowi 99, który przez następne dwanaście godzin będzie pełnił funkcję oficera

dyżurnego policji Brighton and Hove. Roy miał się z nim wkrótce spotkać na parkingu w Chesham Gate.

Nadal wpatrywał się w próbkę tapety, uznając, że jest nawet dość elegancka.

– Całkiem zabawna – stwierdził. – Nie uważasz, że jest odrobinę zbyt krzykliwa?

– Chciałabym zrobić z niej lamperię, a nad nią zwyczajną biel. Myślę, że możemy dodać sporo koloru dzięki zasłonom i... – Urwała, bo zadzwonił jego służbowy telefon.

Z przepaszającym gestem Roy wyjął komórkę i przyłożył ją do ucha.

– Roy Grace – powiedział oficjalnym tonem.

Dzwonił Golf 99, inspektor Joseph Webbon.

– Wiem, panie nadinspektorze, że wkrótce mamy się spotkać, ale sprawa zaginionej Logan Somerville nie wygląda dobrze. Od ostatniej aktualizacji nie kontaktowała się z nikim. Sprawdziliśmy w systemie ANPR. Kamery namierzyły samochód Balla w kilku miejscach i zgadza się to z tym, co mówił: że jechał z pracy w Croydon na południe, do Brighton.

Grace zastanawiał się przez chwilę, rozważając ewentualne opcje. Kiedy ludzie znikali, często uprowadzał ich lub krzywdził ktoś znajomy, nierzadko partner. Czasem uciekali od związku pełnego przemocy, czmychali z kochankiem lub kochanką, mieli wypadek, zdarzały się też samobójstwa. Policja marnowała mnóstwo czasu na szukanie zaginionych osób, zwłaszcza młodych, które odnajdywały się u przyjaciół z sąsiedztwa, gdzie wpadły na telewizję. Wydawało się jednak, że to nie taki przypadek.

Anakin Panikarz natychmiast przyjął wersję uprowadzenia. Niewykluczone, że słusznie, chociaż Grace miał jeszcze nadzieję, że stało się inaczej. Czy cokolwiek uprawniało ich, by podejrzewać narzeczonego? Chyba nie.

– Czyli możemy wykluczyć Balla jako podejrzanego, tak?

– Funkcjonariusze donieśli o krwi w mieszkaniu, niewielkiej ilości, ale świeżej – powiedział z wahaniem Webbon. – Ball,

zapytany o to, wyjaśnił, że narzeczona, wstając z łóżka, potknęła się i skaleczyła stopę o drzwi od łazienki. Miała się zgłosić do szpitala. Sprawdziliśmy na ostrym dyżurze w Szpitalu Królewskim Hrabstwa Sussex, ale nie mają śladów jej obecności dziś rano.

– Przemoc domowa?

– Tak, tutejszy oficer prowadzący dopuszcza podobną możliwość. Mamy jednak coś nowego. Sprawdziliśmy, czy ktokolwiek z mieszkańców bloku przebywał na parkingu w czasie, gdy Logan Somerville telefonowała. Pewna kobieta właśnie wjeżdżała na parking i musiała mocno zahamować przed samochodem kombi z przyciemnionymi szybami, który wypadł stamtąd z dużą szybkością i odjechał.

– Zapamiętała numery? Widziała twarz kierowcy?

– Niestety, niedokładnie. Mówi, że była zbyt zaskoczona, ale wydaje jej się, że kierowca miał na głowie kapelusz zasłaniający mu twarz. Potrafi powiedzieć tylko, że był biały, w średnim wieku, gładko ogolony, o okrągłej twarzy, w okularach. Ta kobieta nie zna się na markach samochodów, ale twierdzi, że ten był średniej wielkości, w ciemnym kolorze. Może stare volvo, granatowe albo ciemnoszare.

– Przekazałeś to ludziom z monitoringu?

– Tak, panie nadinspektorze, sprawdzają.

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Sharon Pavoni.

– Może nic w tym nie ma, ale jak najszybciej powinniśmy zorganizować przesłuchanie poznawcze i sprawdzić, co jeszcze może sobie przypomnieć.

Przesłuchanie poznawcze polegało na tym, że wyszkoleni śledczy uzyskiwali informacje od świadków, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że coś widzieli lub słyszeli. Grace spojrzął na zegarek. Mało realne, by dało się to zorganizować jeszcze tego wieczoru.

– Zrobimy to jutro z samego rana, jeśli Logan Somerville do tego czasu się nie znajdzie. Podaj mi namiary na tę kobietę

z parkingu i na chłopaka zaginionej, to znaczy narzeczonego. Chcę, żeby oboje zostali przesłuchani.

Webbon podał dane, a Grace je zapisał.

– Każ zamknąć cały parking – polecił. – Nikt nie wjeżdża i nie wyjeżdża... zakładam zresztą, że już o to zadbano. Fiat Somerville ma zostać przebadany przez kryminalistyków, ale wcześniej niech tam zejdzie grupa od daktyloskopii. Traktuję to jako sprawę kryminalną.

Wyszkoleni ludzie z zespołu poszukiwawczego będą pracować na czworakach. Jeśli na parkingu zachowały się jakiegokolwiek ślady, choćby niedopałek czy drobina krwi, ci ludzie to znajdą.

Natychmiast po tej rozmowie Roy Grace zadzwonił do Złotego oraz do szefa sytuacji kryzysowych, a potem do swego nowego przełożonego i dawnego przeciwnika, zastępcy naczelnika policji, Cassiana Pewe'a. Protokół nakazywał, by informować przełożonych o każdym rozpoczynającym się większym śledztwie, aby nie dowiadywali się o nim od dziennikarzy, co stawiało ich w kłopotliwej sytuacji.

Pewe odebrał niemal natychmiast i odezwał się słodkim głosem:

– Świetnie cię słyszeć, Roy. Jak sprawy?

W tle Grace słyszał głośną muzykę operową, podniosłą i żalobną.

Półtora roku wcześniej, kiedy Pewe został tymczasowo oddelegowany z Policji Metropolitalnej, na kilka tygodni zamienił życie Grace'a w piekło. Najpierw nakazał przeszukać ogród obok domu, gdzie Roy mieszkał dawniej z Sandy. Pewe uważał, że znajdą tam jej szczątki. Tak zaczął się zaciekle konflikt między dwoma starszymi stopniem inspektorami. Po pościgu samochodowym Grace – choć niechętnie – uratował tamtemu życie, a potem oskarżył go o manipulowanie dowodami. Pewe podwinął ogon i poprosił, by przeniesiono go z powrotem do Policji Metropolitalnej.

Ani wtedy, ani obecnie Roy Grace nie wiedział, że przed laty Cassian Pewe miał przelotny romans z Sandy.

Ostatnio Grace z przerażeniem i niesmakiem dowiedział się, że Pewe wraca do policji Sussex jako zastępca naczelnika, a on będzie mu składał raporty. Odchodzący wkrótce na emeryturę naczelnik, Tom Martinson, zapewniał go, że Pewe nie chowa do niego urazy. I rzeczywiście, jak dotąd było nieźle. Mimo to Grace czuł, że pod płaszczykiem życzliwości Pewe szykuje zemstę; czekał tylko na odpowiedni moment. Grace musiał się pilnować, żeby nic nie spieprzyć.

Teraz poinformował Pewe'a o zaginionej kobiecie, przekazał wszystko, co wiedzieli, powiadomił go o podjętych krokach. Wspomnił także o szkielecie odkopanym w Hove Lagoon.

Kiedy się rozłączył, usłyszał, że na górze płacze Noah. Cleo dała mężowi znak, żeby sobie nie przeszkadzał, i pośpiesznie wyszła.

Stał bez ruchu, zastanawiając się przez chwilę. W ciągu zaledwie kilku godzin zwały się na niego dwie zupełnie odmienne sprawy. Szkielet w Hove Lagoon oraz potencjalne uprowadzenie. Nie mógł zajmować się jednym i drugim. Coś musiał przekazać innemu detektywowi. Szczątki znalazły się w ziemi, zanim położono drogę, około dwudziestu lat temu, więc sprawa wydawała się mniej paląca. Teraz absolutnym priorytetem było znalezienie Logan Somerville.

Zadzwoił do inspektora Glenna Bransona, przekazał mu najświeższe informacje i mianował go oficerem prowadzącym sprawę szczątków na lagunie. Komputerowy system nomenklatury policyjnej nadał tej operacji, po przejrzeniu listy sławnych obrazów, kryptonim Mona Lisa. Branson miał dopilnować, by nazajutrz archeolog sądowy wykopał szczątki i przewiózł je do kostnicy. Następnie Grace zadzwonił do detektywa sierżanta Guya Batchelora i poprosił go o zebranie zespołu dochodzeniowego dla operacji Haywain, mającej wyjaśnić zaginięcie Logan Somerville.

Nazwa nie była pozbawiona sensu¹. Poszukiwanie zaginionej osoby przypominało szukanie igły w stogu siana... z jednym zastrzeżeniem: najpierw należało znaleźć stóg.

14

11 grudnia, czwartek

Kap... kap... kap... Miarowe kapanie wody w pobliżu. Gdzie ona jest? Czy padał deszcz i woda wciekała do środka?

Kap... kap... kap... Każda kropla wydawała tak donośny odgłos, jak gdyby ziemia była skórą bębna. Aby się na czymś skupić, Logan, nie przestając dygotać z zimna i przerażenia, obliczała w myślach czas między kapnięciami. Jeden... dwa... trzy...

Kap.

Piętnaście sekund.

Potwornie chciało się jej pić, marzyła o wodzie; w dodatku była spocona i brudna. Ogarniało ją znajome poczucie rozchwiania, które zawsze obejmowało najpierw brzuch, po czym rozlewało się po całym ciele, kiedy spadał jej poziom cukru. Teraz spadł drastycznie. I nadal strasznie chciało jej się siku.

Oczy miała opuchnięte, wszystko widziała przez zielonkawą mgiełkę. Zupełnie jakby nosiła okulary osoby o bardzo słabym wzroku, ale przecież nie miała na nosie żadnych okularów. Nos upiornie ją swędział, chciała się podrapać, lecz nie mogła poruszyć rękami, przygwożdżonymi do boków. Bliska utraty przytomności, wiedziała, że jedynie gniew pozwala jej się jakoś trzymać.

Gniew i paralizujący strach.

– Halo! – zawołała.

Jej głos zabrzmiał głucho, jakby natychmiast grzązł w wacie.

– Halo! – powtórzyła głośniejsze.

Ona na pewno teraz śpi. Czyżby nękał ją koszmar, wyrazisty sen? Tak, to musiało być to. Czytała o wyrazistych snach. Wtedy człowiek staje się świadomy tego, że śni.

Zmusiła się do tego, by się obudzić.

Nic się nie zmieniło.

Nagle światło rozbłysło mocniej. Zielona poświata przeszła w biały blask, płonący, oślepiający jak silna latarka.

– Halo?! – zawołała. – Czy to ty, Jamie? Porozmawiajmy, proszę. Błagam. Wiem, że jesteś na mnie zły za to, że zerwałam, ale proszę, już dość. Proszę, proszę.

Długie milczenie. Logan usłyszała odgłos odsuwanej klapy. Twarz owiało jej zimne powietrze.

Ktoś nad nią stał. Dostała gęsiej skórki.

– Jamie?! – wołała. – Czego chcesz? Co ty, do diabła, wyrabiasz? Wypuść mnie! Na miłość boską, daj mi coś słodkiego, czekoladę, dostanę szoku. Jamie. Jamie. Jamie. To ty, Jamie? Wiesz, co się dzieje, kiedy za bardzo spada mi poziom cukru. Natychmiast daj mi coś słodkiego. Proszę! Jamieeeeeee!

Kłapa się zasunęła. Zimny podmuch ustał.

Czy to mógł być Jamie? Rozgniewany za to, że odwołała ślub? Czyżby umknął jej pewien rys jego charakteru? On to zorganizował?

Jasne światło się oddaliło, a wraz z nim słaby odgłos kroków. Logan usłyszała, jak drzwi się zamykają. Nieopodal rozległo się kliknięcie. Po chwili dobiegł do niej udręczony kobiecy głos:

– Na pomoc!

Przerażenie przeniknęło do wszystkich komórek ciała Logan.

– Nie! Nie, proszę, nieeee! Nieeeeeee!

Potem rozległ się żałosny krzyk.

Logan nie mogła dłużej powstrzymać chęci, żeby się wysikać. Zawstydzona, popuściła, spodziewając się ciepłego strumienia między nogami. Jednak podczas gdy opróżniała pęcherz, coś najwyraźniej wchłaniało mocz.

Wtedy zrozumiała, że to nie sen.

15

11 grudnia, czwartek

O dwudziestej drugiej dwadzieścia w mieszkaniu Jamiego Balla zabrzączał domofon. Zdając sobie sprawę, że jest nieco pijany, pobiegł do drzwi i na niewyraźnym czarno-białym ekranie ujrzał twarz mężczyzny z podniesionym kołnierzem.

– Tak? – zapytał.

– Pan Ball?

– Owszem – mruknął niespokojnie.

– Nadinspektor Grace. Mogę zamienić z panem słowo?

– Proszę wejść. Dziewiąte piętro.

Dwie minuty później Jamie otworzył drzwi i zobaczył sympatycznego mężczyznę około czterdziestki, o surowej twarzy, krótkich, jasnych wyżełowanych włosach, nosie, który był łamany chyba więcej niż jeden raz, oraz bystrych, czujnych niebieskich oczach. Pokazał nakaz policyjny.

– Nadinspektor Roy Grace, wydział kryminalny policji Surrey i Sussex. Czy pańska narzeczona się odzywała?

– Nie, nie, nie miałem od niej ani słowa. Proszę wejść. Dziękuję, że pan przyszedł. Kieliszek wina?

– Nie, dziękuję.

Grace poczuł od niego alkohol i zauważył, że mężczyzna lekko się chwieje. Był to masywnie zbudowany brodac z sylwetką gracza w rugby, z włosami modnie zaczesanymi do tyłu, w dżinsach i zapinanym swetrze w serek na białej koszuli; na nogach miał czerwone skarpetki, bez butów.

Zaprowadził Grace'a do salonu, z częścią kuchenną oddzieloną barkiem, na którym stały szklanka do piwa i kilka

opróżnionych już puszek. Wskazał jedną z dwóch małych sof po obu stronach przeszklonego stolika, na którym leżały czasopisma „Sussex Life” i „Latest”.

Susi Holliday wstała z drugiej sof i przywitała Grace’a tonem pełnym szacunku:

– Dobry wieczór, panie nadinspektorze.

Roy Grace zdjął płaszcz, położył go obok siebie, po czym uważnie spojrzął na gospodarza.

– Czy może pan mi podać swoje pełne imię i nazwisko, panie Ball?

– Tak. Jamie Gordon Ball.

Nie spuszczać z niego oczu, nadinspektor spytał:

– Kiedy ostatnio widział pan Logan?

– Dziś rano, około siódmej. Kiedy wstawała z łóżka, potknęła się i rozbiła sobie paluch o drzwi do łazienki. Normalnie zawiózłbym ją do szpitala, ale miałem w pracy pilne spotkanie.

Grace nie skomentował tej uwagi.

– Nie wspominała, że dziś wieczorem gdzieś się wybiera?

– Nie. Mieliśmy dzisiaj zamówić chińskie jedzenie z pobliskiej knajpy... robimy to regularnie... i obejrzeć parę odcinków *Breaking Bad*.

– Świetny serial – stwierdził Grace.

– Tak, całkowicie się wkręciliśmy.

– Gdzie pracuje Logan?

– W Hove, jako fizjoterapeutka. W gabinecie przy Portland Road.

Dotychczas mowa ciała Balla sugerowała, że mówi prawdę.

– Jak by pan opisał wasz związek?

Po chwili milczenia Jamie odparł:

– Kochamy się.

Po raz pierwszy jego zachowanie wskazywało, że mógł kłamać.

– Wyznaczyliście datę ślubu? – drążył Grace.

Ball, wyraźnie skrepowany, odpowiedział:

– Tak... cóż, niezupełnie.

– Niezupełnie?

– Tak jakby... rozmawiamy o tym.

– Tak jakby?

– Tak. – Jamie z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

Grace spojrział na niego jeszcze baczniej.

– Czy Logan kiedykolwiek to już robiła? Nie wracała do domu?

– Nigdy. Proszę posłuchać. Słyszałem, jak krzyczała. Nie wiem, czy pan był na dole, ale ten parking przyprawia człowieka o gęsią skórę. Administrator ma to gdzieś. Logan zadzwoniła do mnie i powiedziała, że ktoś się tam czai. Potem krzyknęła. Potem ja...

Jamie ukrył twarz w dłoniach.

Grace przyglądał się mężczyźnie. Jego udręka sprawiała wrażenie autentycznej, ale mimo to nie podobało mu się, w jaki sposób Ball opisywał swój związek z narzeczoną. Pobrzmiewała w tym nuta fałszu.

– Coś jej się stało. Panie inspektorze... nadinspektorze... coś jej się przydarzyło. To do niej niepodobne. Coś się zdarzyło. Logan jest silna. Nigdy wcześniej nie słyszałem u niej takiego strachu. Ten lęk... lęk w jej głosie.

– Jak pan sądzi, co jej się stało?

Jamie Ball gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Myślę, że ktoś ją porwał. Uprowadził. Zabrał.

– Ogląda pan *Breaking Bad*?

– No tak.

– Ogląda pan dużo filmów i seriali kryminalnych?

– Całkiem sporo, owszem.

– Jest pan pewien, że nie ulega pan ich wpływom? Ma pan stuprocentową pewność, że Logan została uprowadzona, a nie udała się gdzieś dobrowolnie?

– Tak – oświadczył Jamie i spojrział Grace'owi w oczy.

Dziesięć minut później Roy Grace wyszedł. Niczego nie był pewien, poza jednym: Logan Somerville zaginęła.

Monitoring drogowy zdawał się wykluczać Jamiego Balla, ale jego mowa ciała sugerowała poczucie winy.

W jakiej sprawie kłamał?

Odjeżdżając, Grace postanowił, że wyznaczy konsultanta rodzinnego, który może rzuci więcej światła na związek tych dwojga.

16

11 grudnia, czwartek

Moje projekty trzymam w osobnych boksach, w miejscu, które lubię nazywać „komorą korekcyjną”. Zbiorniki mają podłączoną wodę, a moje projekty noszą pieluchy dla dorosłych. Czystość ma ogromne znaczenie dla morale. Utrzymuję projekty w dobrym zdrowiu, podaję im witaminy, odżywki, elektrolity. Chcę jak najdłużej zachować je przy życiu. Dzięki temu mogę decydować, kiedy się pożegnać. Wszystko polega na władzy. Władza jest ogromnie podniecająca.

Nie lubię nazywać ich ofiarami. Wolę określenie „projekty”.

Naprawdę nie jestem osobą gwałtowną. Raz, w dzieciństwie, trafiłem wróbla kamieniem z procy. Do dziś pamiętam, jak spadał na ziemię, wirując niby helikopter. Właściwie nie spodziewałem się, że go trafię, strzeliłem tylko dla zabawy. Podniosłem wróbla z ziemi; miał miękkie piórka, był ciepły, a ja płakałem i próbowałem go ożywić, chuchając mu w dzióbek.

Potem wykopałem mu grób, złożyłem go tam, przeprosiłem, przysypałem ziemią i zmówiłem modlitwę.

Przez wiele dni czułem się jak śmieć. Jednocześnie to zdarzenie coś we mnie obudziło. Potem, przez resztę dzieciństwa, ilekroć zobaczyłem ptaka, wracałem myślami do tamtego poczucia władzy.

Władzy nad śmiercią.

Zabijanie sprawia, że czuję się silny. Niektórzy uznaliby to za zło.

Ale czy zło w ogóle istnieje? Chyba tylko jeśli wierzy się w Boga. W przeciwnym razie wierzy się w przetrwanie najlepiej

przystosowanych. Co znaczy, że ja przetrwam, a inni, których postanowię zabić, nie przetrwają.

Dziś postanowiłem zabić. Od wielu dni, a nawet tygodni czekałem na tę chwilę!

Ale wy oczywiście nigdy nie zaznacie przyjemności, jaką ja będę z tego miał.

17

11 grudnia, czwartek

Od godziny woda lała się do zbiornika. Więzy na szyi, przegubach, brzuchu, udach i kostkach przytrzymały ją na dnie, nie mogła się poruszyć. Woda sięgała już do podbródka. Za kilka minut zakryje jej usta. Potem nos.

Przez gogle noktowizyjne patrzył w dół na swój projekt, na przerażoną twarz w zielonym świetle. Komorę korekcyjną lubił utrzymywać w ciemności, żeby projekty nie widziały się nawzajem. Utrzymywał je w mroku, by tak rzec. Taki drobny prywatny żarcik.

Brązowe włosy unosiły się na wodzie wokół jej twarzy. To był bardzo piękny widok, więc zrobił zdjęcie w podczerwieni. Patrzyła na niego tak, jakby w każdej chwili znów miała zacząć krzyczeć. Niektóre jego projekty krzyczały tak pięknie, że budziła się w nim głęboka tęsknota. Ale nie ona. Ona krzyczała naprawdę szkaradnie. Dziwne, że taka piękna kobieta, o tych cudownych ustach, potrafiła wydawać tak odrażający dźwięk.

Przytknął palec do warg, pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem. Jednocześnie mocno zacisnął jej nos dłonią w rękawiczce chirurgicznej. Nie odrywał ust od jej warg; szamotała się, a on wysysał z niej ostatni dech, czuł, jak woda wciąż się podnosi, i nie przestawał wysysać. W końcu puścił jej nos, uwolnił usta i wstał. Patrzył na pęcherzyki na wodzie. Wcale nie było ich wiele.

Odebrał jej ostatnie tchnienie.

Teraz miał ją na własność. Na zawsze.

Niedługo, kiedy będzie jeszcze ciepła, zacznie się z nią kochać.

I nigdy nie będzie mogła go odepchnąć!

18

12 grudnia, piątek

Do rana Logan Somerville się nie odnalazła, co mocno trapiło Roya Grace'a. Właśnie miał za sobą odprawę swego zespołu w sali nagłych wypadków w Sussex House.

W ciągu nocy deszcz ustał, a pośród chmur mknących nad Hove Lagoon prześwitywały skrawki czystego nieba. Dwaj policjanci strzegli kordonów z biało-niebieskiej taśmy, wewnętrznego i zewnętrznego. Tuż za tym drugim zebrała się grupa gapiów, kilka osób robiło zdjęcia telefonami. W obrębie wewnętrznego kordonu stały cztery niebieskie namioty dochodzeniówki, furkoczące na silnym słonym wietrze wiejącym od kanału. Linki mocno szarpały wbitymi w ziemię kołkami.

Wygląda, jakby od wczoraj, kiedy byłem tu z Bransonem, zwała się tutaj cała armia, pomyślał Grace. W górze kołował NPAS 15, helikopter policji Surrey i Sussex, z którego robiono zdjęcia okolicy, a warkot maszyny potęgował wrażenie, że prowadzona jest operacja wojskowa. Nieopodal stały samochody i furgonetki oraz mała koparka. Oznakowany wóz policyjny, furgonetka do poważnych wypadków, inna, należąca do firmy budowlanej, i kilka prywatnych aut. Roy Grace z ulgą dostrzegł żółty kabriolet saab patolożki z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Nadiuski De Sanchy.

Spośród dwojga patologów, do których można się było zwracać w przypadku podejrzenia o zabójstwo, wszyscy śledczy z policji Surrey i Sussex woleli miłą, swobodną Nadiuskę niż pedantycznego i aroganckiego doktora Frazera Theobalda. De Sancha cieszyła się popularnością, była bowiem świetną

specjalistką, a przy tym pracowała szybko i nie tracąc pogody ducha.

Rysownik z wydziału dochodzeniowego sporządził szczegółowy plan całego miejsca, a technik z wydziału, tak jak pozostali, w jednorazowym kombinezonie, rękawiczkach, masce, siatce na włosach i ochraniaczach na butach, skanował pobliski teren radarem, badając, czy nie ma tu innych zakopanych ciał.

Koło furgonetki firmy budowlanej kręciło się kilku pracowników w kurtkach odblaskowych; jedni pili kawę lub herbatę, inni zmagali się z powiewającymi na wietrze stronicami gazety „Sun”. Fotograf z dochodzeniówki, James Gartrell, z którym Grace pracował już wielokrotnie, robił zdjęcia całej okolicy i sporządzał cyfrowy zapis wydarzeń.

Spoglądając na zegarek, Grace przeszedł z Glennem Bransonem przez tłumek gapiów za zewnętrznym kordonem i zbliżył się do umundurowanej policjantki, która zacierała skostniałe dłonie. Na pobliskiej lagunie kołysały się mewy podobne do boi, a w oddali początkujący windsurfer usiłował, pod kierunkiem instruktora, podnieść z wody żagiel. Kiedy podeszli do policjantki i wpisali się na listę, Grace usłyszał za plecami kobiecy głos:

– Panie nadinspektorze!

Obaj odwrócili się i ujrzeli spieszącą w ich stronę młodą atrakcyjną blondynkę w jasnoczerwonej pelerynie. Siobhan Sheldrake, świeży nabytek redakcji gazety „Argus”, zastąpiła reportera kryminalnego Kevina Spinellę, który był zmorą Grace’a.

Stosunki z prasą miały kluczowe znaczenie dla dobrej pracy policji. Prasa karmiła się sensacyjnymi historiami, co często wiązało się z koniecznością podchodzenia do policji z wielu stron. Jednocześnie, przy dużych śledztwach, prasa mogła wpłynąć na świadków, by się zgłaszali. Grace miał nadzieję, że relacje z tą młodą reporterką ułożą się lepiej.

– Dzień dobry! – powiedział serdecznie, przekrzykując łoskot helikoptera. – Poznała pani mojego kolegę, inspektora Bransona?

– Tak! – odkrzyknęła i posłała Glennowi niemal szelmowski uśmiech. – Miło znów pana widzieć, inspektorze.

– I wzajemnie, Siobhan, jak się masz? – odrzekł Glenn.

– Mały ptaszek szepnął mi, że nie przyszlście tu na plac zabaw, żeby się pohuścić, pojeźdzać na zjeżdżalni czy pokręcić się na karuzeli. Nie jesteście też ubrani jak na lekcję windsurfingu!

Glenn przekrzywił głowę, a Grace wyczuł iskierki przeskakujące między tą dwójką.

– Bystra uwaga – rzucił Branson. – Dobry byłby z ciebie detektyw.

– Czy muszę czekać na konferencję prasową, żeby usłyszeć, co się dzieje, czy też dostanę gorący temat o zwłokach odkopanych tu zeszłej nocy? – spytała ze śmiechem.

– Cóż, na tym etapie wydaje się, że wiesz tyle samo co my – odparł Roy Grace.

– To zwłoki mężczyzny czy kobiety? Znacie wiek? Od jak dawna on czy ona tu leży? – Zatoczyła ręką łuk. – Macie tu sporo ludzi z dochodzeniówki, jest patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a także archeolog sądowy. Widzę więc, że wydajecie sporo pieniędzy w okresie znacznych cięć budżetowych w policji, czyli uważacie, że miejsce zbrodni wymaga poważnego dochodzenia. Chyba nie mówimy o szczątkach historycznych, prawda?

Grace musiał przyznać, że dziewczyna jest bystra. Z trudem zachowywał powagę. Oprócz urody Siobhan miała zaraźliwy uśmiech.

Glenn Branson wskazał kciukiem na swojego partnera, a zarazem najlepszego przyjaciela.

– Mam nadzieję, że uwaga o szczątkach historycznych nie odnosi się do tego zabytku, co? – Szeroko uśmiechnął się do Grace'a. – Przepraszam, stary.

– Boki zrywać – skwitował Grace.

– Nie wydrukuję tego – obiecała z uśmiechem Siobhan.

Miała w sobie coś ujmującego. Roy Grace czuł, że jest o wiele bardziej szczerą niż większość dziennikarzy, z jakimi się stykał. Poza tym, do licha, zadała sobie trud, żeby przyjść tak wcześnie, i była nieźle poinformowana. Zasługiwała przynajmniej na kąsek.

– Jak tylko zbierzemy dość informacji, inspektor Branson zwoła konferencję prasową. Na tym etapie mogę ci powiedzieć, że robotnicy rozkopujący wczoraj tę drogę natrafili na ludzkie szczątki, które ostrożnie można uznać za kobiece. Nie znamy wieku tej osoby, nie wiemy, od jak dawna leżą w ziemi. Na pewno znalazły się tutaj, zanim powstała ta droga, a położono ją około dwudziestu lat temu. Jeszcze dziś mam nadzieję dowiedzieć się więcej.

– Mogłabym szybko zajrzeć do namiotu?

Glenn Branson zerknął pytająco na Roya.

– Raczej nie na tym etapie – powiedział Grace.

– Czy na miejscu jest ktoś z biura koronera?

– Chcesz powiedzieć, że jest coś, czego nie wiesz? – zażartował Glenn.

– Tak. Jestem zwykłym żółtodziobem. – Siobhan błysnęła zębami w uśmiechu.

– Niedługo przyjedzie tu Philip Keay, ale nie sądzę, żeby miał coś dla ciebie. Musisz chyba poczekać na konferencję prasową.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. – Pokręcę się tu trochę, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– To park publiczny – powiedział Glenn. – Czuj się swobodnie. Ale coś ci powiem: jeśli polujesz na dobry temat, spróbuj dopaść Normana Cooka. Zapytaj Fatboya Slima, jakie to uczucie mieć miejsce zbrodni tuż przed swoją kawiarnią.

– Racja! – Twarz jej się rozpromieniła. – Tak właśnie zrobię. Dzięki!

– Skontaktuj się ze mną, jak będziesz potrzebowała agenta – odparł Glenn. – Oferuję atrakcyjne warunki.

– Tak na marginesie – zwróciła się znowu do Roya Grace’a – czy wiadomo coś nowego w sprawie kobiety, która zaginęła

wczoraj wieczorem, Logan Somerville? Operacja Haywain?

Grace utkwiał w niej wzrok, zaskoczony, że ona o tym wie. Poprzednik Siobhan wyleciał z „Argusa” za korzystanie z nielegalnych podsłuchów telefonicznych; regularnie zdobywał informacje, których policja nie zdążyła jeszcze upublicznić. Czyżby Siobhan robiła to samo? A może miała swoje źródło w policji? Roy dopiero co zakończył pierwszą odprawę, a jak tylko załatwi wszystko tutaj, zamierzał pojechać na parking, z którego wczoraj zniknęła Logan Somerville.

– Jakie masz informacje? – zapytał z rezerwą.

– Słyszałam, że Logan Somerville niedawno zerwała zaręczyny z chłopakiem. Czy to sprawia, że jej zaginięcie może być podejrzane? Rozumiem, że zaczęły się poszukiwania.

Grace zakarbował sobie w pamięci wiadomość o zerwanych zaręczynach.

– Jesteśmy na etapie zbierania informacji – powiedział. – Jeszcze dziś biuro prasowe przekaze ci najświeższe wieści. Teraz mogę tylko oświadczyć, że wszyscy dostępni funkcjonariusze i osoby ze wsparcia policyjnego szukają pani Somerville. Robili to już przez całą noc.

– Dziękuję, nadinspektorze.

– Mam twój numer komórki – powiedział Glenn Branson. – Zadzwoń, jeśli cokolwiek się wydarzy.

Siobhan podziękowała mu i ruszyła przez lagunę.

Kiedy Branson i Grace przekroczyli kordon, przywitał ich Dave Green, również w stroju ochronnym.

– Co nowego? – spytał Grace.

– Obok szczątków znaleźliśmy niedopałek – odparł Green. – Przesyłam go do analizy, ale na razie tylko to.

Kiedy usiedli w namiocie przebieralni, żeby włożyć odzież ochronną, Grace zwrócił się do Bransona:

– Czyżby wpadła ci w oko ta reporterka z „Argusa”?

– Po prostu pielęgnuję dobre stosunki z prasą, jak zawsze mnie uczyłeś. – Branson uśmiechnął się szelmowsko.

– Istnieje spora różnica między „pielęgowaniem” a „zaliczaniem”, stary.

– Owszem, to pierwsze słowo ma o jedną sylabę więcej.

– Po prostu nie idź w tę stronę – ostrzegł go Grace. – Mówię poważnie. Jeśli jesteś ambitny, trzymaj prasę na odległość ręki, a nie fiuta. I pomyśl o swoich dzieciach. Ich matka zmarła nie tak dawno temu.

– Tak, ale już dość dawno temu wykopała mnie i zainstalowała w domu nowego faceta jako ich zastępczego tatę – zauważył ponuro Branson. Naciągając strój ochronny, zerknął z ukosa na Grace’a. – Niedawno poślubiłeś jedną z najpiękniejszych kobiet na tej planecie. Nie przypuszczałem, że jesteś zazdrosny o penisa.

– Wal się!

– Musisz przyznać, że Siobhan to smaczny kąsek.

– Podobnie jak jabłko w rajskim ogrodzie.

19

12 grudnia, piątek

Doktor Edward Crisp był niskim muskularnym mężczyzną z łysiną pośrodku głowy i schludnymi siwymi włosami na skroniach. Nosił modne, choć za duże okulary, nadające mu zdziwiony wyraz twarzy, jakby oglądał świat przez gogle.

Pedantyczny w kwestii ubioru, miał dziś na sobie grafitowy garnitur od Greshama Blake'a, krawca szyjącego dla elit towarzyskich Brighton, do tego błyszczące czarne sztyblety od Crocketta i Jonesa z londyńskiego pasażu handlowego Burlington Arcade. Smut, brzydka czarno-biała suczka Crispa, ulubienica większości jego pacjentów, drzemała na poduszce w drucianym koszyku, stojącym obok biurka.

Chociaż zgodnie ze współczesną tendencją lekarze rodzinni pracowali w zespołach centrów medycznych, Crisp wolał pracować sam, w tym samym gabinecie, który zajmował od ponad ćwierćwiecza. Przestronny, okazały gabinet mieścił się na parterze dość szkaradnego wiktoriańskiego szeregowca, niedaleko Church Road w Hove. Do gabinetu przylegała kłitka sekretarki doktora, Jenni Acton. Ta pięćdziesięciosiedmioletnia niezamężna kobieta pracowała dla Crispa z niewolniczym oddaniem od dwudziestu lat.

Gabinet Crispa, podobnie jak nieskazitelny strój, odzwierciedlał jego szczególne zamiłowanie do czystości i porządku. Na ścianach wisiały dyplomy, wszystkie w jednakowych ramkach, jednakowo imponujące. Poza tym, że był lekarzem internistą, miał dyplom z immunologii, który uzyskał w Instytucie Pasteura w Paryżu, dyplom z homeopatii,

medycyny chińskiej i akupunktury; należał też do Królewskiego Towarzystwa Chirurgicznego. Tak naprawdę specjalizował się w chirurgii, ale potem doszedł do wniosku, że bardziej odpowiada mu prywatna praktyka lekarza rodzinnego. Zastępy pacjentów Crispa nie kryły zadowolenia z tej decyzji – cieszył się tak wielką sympatią i popularnością, że lista pacjentów była od lat zamknięta i tylko szczególne względy mogły go skłonić do przyjęcia kogoś nowego.

Właśnie taka nowa pacjentka, Freya Northrop, przycupnęła nerwowo na jednym z dwóch dębowych, obitych skórą krzeseł, stojących przed schludnym biurkiem ze skórzanym blatem, podczas gdy doktor, czarująco i spokojnie, rozmawiał przez telefon z kobietą o imieniu Maxine. Najwyraźniej martwiła się o matkę, która, o ile Freya mogła się zorientować, chorowała i zostało jej najwyżej kilka tygodni życia.

Jedynym śladem osobistego życia doktora Crispa było stojące na biurku zdjęcie w srebrnej ramce. Zrobione w studiu fotograficznym, przedstawiało, na niebieskim tle, atrakcyjną brunetkę po czterdziestce oraz dwie śliczne nastoletnie bliźniaczki, siedzące po obu stronach matki. Cała trójka śmiała się, przypuszczalnie z dowcipu rzuconego przez fotografa.

Crisp nadal rozmawiał, obiecywał, że umieści matkę kobiety w hospicjum Martlets, a Freya Northrop rozglądała się po pokoju. Dotychczas bywała zwykle w dość nijakich gabinetach lekarskich. Ten jednak był naprawdę okazały i właściwie bardziej przypominał muzeum niż miejsce pracy. Ścianę po lewej stronie zdobiły zdjęcia i portrety wielkich pionierów medycyny. Rozpoznała Alexandra Fleminga, odkrywcę penicyliny, oraz Marię Curie. Pod portretami widniały nazwiska i krótkie biografie. Dalej wisiały rysunki anatomiczne Leonarda da Vinci.

Była tu również gablota z ludzkimi czaszkami. Tuż obok niej, wysoki i dumny, jak gdyby przewodniczył posiedzeniu, stał na cokole ludzki szkielet. Częściowo zasłaniał widok z jedyne okna z podniesionymi żaluzjami, wychodzącego na parking na tyłach budynku.

Lekarz zanotował coś czarnym długopisem Montegrappa, po czym wpisał parę słów w komputer, nie przestając pocieszać tej kobiety o imieniu Maxine.

Zdobiące gabinet popiersia na cokółach potęgowały muzealną atmosferę. Freya utkwiała wzrok w mężczyźnie o dziwnie jajowatej łysej głowie i brodzie przypominającej kształtem płomień.

– Po pierwsze, nie szkodzić! – Ton głosu lekarza uległ zmianie.

Freya odwróciła się, zaskoczona, i zobaczyła, że Crisp, zasłaniając dłonią telefon, mówi to do niej, z niemal dziecięcą wesołością.

– Nie szkodzić? – powtórzyła.

– Hipokrates. Ten, na którego pani patrzy. Stara mądra sowa. Wszyscy lekarze na świecie składają przysięgę Hipokratesa, ślubując, że będą uczciwie praktykować medycynę i tak dalej. W rzeczywistości słowa: „Po pierwsze, nie szkodzić” wypowiedział nie Hipokrates, ale dziewiętnastowieczny chirurg, Thomas Inman.

– Aha!

– Zaraz kończę. – Wskazał telefon. – Mam tu bardzo zdenerwowaną panią i muszę poczekać, aż porozmawia ze swoją matką. Tak, Hipokrates!

Kontynuując rozmowę przez telefon, lekarz przyglądał się tej siedzącej przed nim nowej pacjentce. Tradycyjnie ubrana, po dwudziestce, miała klasycznie piękną twarz o głębokich piwnych oczach i długie włosy z przedziałkiem pośrodku głowy. Przypominała mu aktorkę Julie Christie, w której podkochiwał się jako nastolatek. Przypominała mu kogoś jeszcze, ale było to zbyt bolesne, więc odepchnął wspomnienie.

Wreszcie zakończył rozmowę i obdarzył pacjentkę szerokim uśmiechem.

– A więc spotykamy się po raz pierwszy, tak? – Z trudem skupił uwagę na ekranie komputera, by odczytać jej imię. – Freya?

– Tak, wcześniej u pana nie byłam – potwierdziła Freya Northrop.

– Northrop, interesujące nazwisko. Hm. Northrop Frye. Słyszała pani o nim?

Pokręciła głową.

– Wspaniały krytyk literacki. Napisał błyskotliwe eseje o T.S. Eliocie, który sporo mu zawdzięcza. Dzięki niemu twórczość Eliota zyskała uznanie. Podobnie z Miltonem, zwłaszcza *Raj utracony*.

– Aha – powiedziała głucho.

– Na pierwsze imię miał Herman.

– Aha – powtórzyła, nieco zbita z tropu tą osobliwą rozmową.

Jej najbliższa przyjaciółka, Olivia Harper, powiedziała, że Crisp jest wspaniałym lekarzem, a w dodatku bardzo wesołym. Zdaniem Freyi był raczej dziwny niż wesoły. Czuła, że jej ignorancja go drażni.

– T.S. Eliot. Słyszałam o nim.

– *Ziemia jałowa*?

– A, tak.

– Zna pani ten poemat?

– Nie, niestety.

Edward Crisp wrócił myślami do minionego wieczoru, gdy spacerował ze Smut po Hove Lagoon. Zimą na nabrzeżu w Brighton and Hove można było wyprowadzać psy bez smyczy. Wieczorem, gdy wystarczająco się ściemniło, pozwalał Smut, białej suczce z czarnymi plamkami po obu stronach brzuszka, którą dziesięć lat temu nabył jako psa ratownika, robić kupę gdzie popadnie i nie musiał się schylać, żeby zapakować to świństwo do torebki albo, jak niektórzy kretyni, uprzętać je specjalną łopatką.

Myślał teraz o tym okropnym szkielecie leżącym w wykopie na ścieżce. Nie mógł odpędzić tego obrazu.

– *Ziemia jałowa*?

Słowa młodej pacjentki przywołały go do rzeczywistości.

– *Starzeję się... starzeję się... niestety* – powiedział. – *Trzeba będzie do spodni dorobić mankiety*².

Freya Northrop zmarszczyła brwi.

– *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka* – wyjaśnił z uśmiechem. – Ale dość o tym. Przepraszam, jeśli jestem trochę nie w sosie. Wczoraj wieczorem widziałem coś okropnego i nieco wytrąciło mnie to z równowagi. Jestem lekarzem, próbuję ulżyć ludziom, ale tej biedaczce w żaden sposób nie mogłem pomóc. Ale dosyć o mnie, pomówmy o pani. Proszę powiedzieć, czemu zawdzięczam pani wizytę.

– Poleciała mi pana Olivia Harper. Właśnie przeprowadziłam się z Londynu do Brighton.

– Ach, tak, Olivia to urocza dama. Po prostu cudowna. Naturalnie. Proszę wybaczyć, jeśli jestem lekko rozkojarzony. Ale przecież pani nie chce o tym słuchać. Co panią do mnie sprowadza?

Uśmiechnął się, w jego oczach błysnęły nagle wesołe ogniki. Uniósł elegancki czarny długopis i popatrzył na pacjentkę jak gdyby przez niego.

– Cóż, nie czuję się chora ani nic takiego.

– Oczywiście. Po co miałyby pani chodzić do lekarza, gdyby czuła się pani chora, prawda?

Uśmiech Crispa się udzielał. Freya odwzajemniła go i trochę się rozluźniła.

– No właśnie – odrzekła. – Faktycznie, po co?

– Otóż to! Lubię przyjmować tylko takich pacjentów, którzy dobrze się czują! Kto potrzebuje chorych? Zabierają za dużo czasu, a w dodatku źle mi robią. – Poklepał się w pierś. – Proszę do mnie przychodzić zawsze, kiedy będzie się pani dobrze czuła, tak?

– Umowa stoi! – Zaśmiała się.

– No tak, miło mi było cię poznać, Freyo! – Crisp udał, że wstaje i się żegna, po czym znów usiadł, chichocząc. – A więc powiesz mi?

W końcu przyciągnęła jego uwagę.

– Cóż, poznałam pewnego faceta, dlatego się tu przeprowadziłam. Od jakiegoś czasu nie brałam pigułek, ale teraz chciałabym do nich wrócić.

W gabinecie zapadło długie milczenie. Doktor Crisp przyglądał się jej i jakby zeszywniał, a Freyi zrobiło się nieswojo. Czyżby uderzyła w jakieś czułe miejsce?

Po chwili szeroki serdeczny uśmiech rozjaśnił twarz lekarza.

– Pigułka? To wszystko?

– Tak.

– Zamierzasz uprawiać seks z tym... facetem?

– No, właściwie już ze sobą sypiamy, ale...

Crisp wyrzucił dłonie w górę.

– Uwaga! Za dużo informacji! Chcesz pigułki, a ja jestem twoim dilerem. Zero problemu. Jesteś uroczą młodą damą. Jeśli tylko czegoś ci trzeba, wal do mnie jak w dym. Opowiedz mi trochę o sobie, potem cię zbadam. Na początek trochę historii medycznej.

Powiedziała mu o tym, co potrafiła sobie przypomnieć: o wycięciu wyrostka robaczkowego w wieku trzynastu lat, o złamaniu kości ramienia na snowboardzie, gdy miała lat szesnaście, o chlamydii w osiemnastym roku życia, wreszcie, nieco się rumieniąc, o niedawnym przypadku drożdżycy.

Wstukał wszystko do komputera, czerpiąc szczególną przyjemność, jak odniosła wrażenie, z historii jej chorób wenerycznych. Następnie wskazał jej parawan, za którym miała się rozebrać.

Podczas gdy Freya Northrop zdejmowała ubranie, on uzupełnił notatki w komputerze. Potem popatrzył na zielony parawan. Przekręcił trzonek długopisu, końcówka wysunęła się i zaraz wsunęła ponownie.

Tamto ciało w Hove Lagoon na dobre zagościło w jego umyśle.

– Jestem gotowa – oznajmiła Freya.

Nadal wpatrywał się w końcówkę długopisu.

– Freya Northrop – szepnął niemal bezgłośnie, do siebie.

Podobało mu się jej nazwisko. Miła kobieta! Naprawdę ją polubił.

– Do zobaczenia! – powiedział nieco później, gdy opuszczała gabinet.

Doktor Crisp pragnął, aby wszyscy pacjenci wychodzili od niego z uśmiechem.

20

12 grudnia, piątek

Archeolog sądowa Lucy Sibun była profesjonalnie wyglądającą kobietą tuż po czterdziestce, o zadbanych brązowych włosach, w kwadratowych nowoczesnych okularach. Towarzyszyło jej dwóch młodych pomocników, którzy mieli okazję czerpać naukę z tego rzadkiego przypadku. Teraz Lucy, na czworakach, uważnie badała szczątki. Znaczną część jej twarzy zasłaniała przymocowana taśmą maska z gazy; resztę ciała okrywał, raczej nie podkreślając jej zgrabnej szczupłej sylwetki, obszerny biały kombinezon i nieforemne ochraniacze na obuwiu. Było tuż po dziesiątej. Pod czujnym okiem podobnie ubranej patolog sądowej Nadiuski De Sanchy, Philipa Keaya z biura koronera oraz fotografa sądowego Jamesa Gartrella odsłonięto cały szkielet.

Leżał w płytkim grobie, pod jasnym światłem zainstalowanych prowizorycznie reflektorów. Przy kościach stóp dało się zauważyć fragmenty materiału i zapleśniałe ciemne szpilki, co zdawało się potwierdzać opinię lekarza spacerującego tu z psem w miniony wieczór, że kości należą do kobiety.

Najpilniejsze pytanie, jakie Roy Grace pragnął zadać Lucy Sibun, dotyczyło wieku szczątków. W tego rodzaju odkryciu kluczowe było ustalenie, od ilu lat kości leżą w ziemi. Czy zakopano je na tyle niedawno, że sprawca lub najbliżsi krewni mogą jeszcze żyć, czy też są to kości osoby zmarłej tak dawno temu, że wszyscy związani z nią ludzie zdążyli podzielić jej los? W drugim przypadku dochodzenie w sprawie zabójstwa stanowiłoby o wiele większe wyzwanie.

Spojrzał na archeolożkę, która gniewnie potrząsała głową.

– Roy, dlaczego robotnicy nie przestali wczoraj kopać natychmiast po odkryciu kości? Pracując dalej, mogli zniszczyć istotne dowody.

– Czyli sądzisz, że to może być świeża sprawa?

– Nie. Tę drogę położono około dwudziestu lat temu. Przypuszczam, że ktokolwiek zabił tę kobietę, wiedział o budowie drogi i zakopał ciało na krótko wcześniej. W ten sposób zostało ukryte. Szczątki muszą być starsze niż ta droga. Przypomina to mafijny zwyczaj grzebania ciał pod autostradami w budowie. Może sprawcą był nawet jeden z robotników kładących drogę. Jedno nie budzi moich wątpliwości: tutaj złożono zwłoki, ale to nie jest miejsce zbrodni. Ciało wykopano i pogrzebano ponownie.

– Dlaczego tak uważasz?

Archeolożka wskazała kilka ledwo widocznych śladów na kościach.

– Według mnie to są ślady po łopacie. Kobietę pogrzebano gdzieś indziej, w tymczasowym grobie. Potem ktoś, może w zdenerwowaniu i pośpiechu, odkopał ją, uszkodzając przy tym kilka kości.

Grace darzył ogromnym szacunkiem jej wiedzę, którą miał okazję docenić już kilkakrotnie.

– Czy coś jeszcze za tym przemawia, Lucy?

– Owszem. Chociaż drogę położono dwadzieścia lat temu, oceniam, że ta kobieta nie żyje od około trzydziestu lat. Po pierwsze, niezłą wskazówką są buty. Miałam takie szpilki, jak byłam nastolatką. Ale zostawmy je na razie i skoncentrujmy się na ludzkich szczątkach. – Wskazała niewielki fragment kości, zwisający ze skrawka wyschniętej skóry. – Spójrz na tę kość w kształcie litery U. To kość gnykowa, która utrzymuje na miejscu język. Nieraz pozwala nam określić przyczynę śmierci, bo podczas duszenia często zostaje złamana. Ale ta jest nietknięta. Znajdujemy tu kilka wskazówek, że kobieta miała około dwudziestu lat. Zęby są mało wytarte, ale zęby mądrości

już wyrosły. W pachwinie widzimy powierzchnię uchowaną w fazie pierwszej oraz spojenie łonowe również w pierwszej fazie.

Grace starał się śledzić wzrokiem to, co mu pokazywała.

– Widzisz wcięcie kulszowe? Trójkątny otwór zasłoniony? Widzisz długą kość łonową i szeroki kąt podłonowy? Wklęsłość w spojeniu łonowym?

Pokiwał głową, choć nie w pełni rozumiał.

Następnie Lucy wskazała leżącą na boku czaszkę.

– Mniej wydatne łuki brwiowe. Ostra szczelina oczodołowa. Bardziej podniesiona kość czołowa. Mały wyrostek sutkowaty. Nieduża, zaokrąglona kość karku. To niewątpliwie kobieta. Tu pod ziemią jest sporo wody. Gdyby zakopano ją dziesięć lat przed położeniem drogi, prawdopodobnie wypłynęłaby na powierzchnię i zauważyliby ją robotnicy.

– Już kazałem mojemu człowiekowi dowiedzieć się, kto budował tę drogę, i sprawdzić, czy ktoś z tamtej ekipy jeszcze żyje. Istnieje spora szansa, że tak. Czy jest coś, co mogłoby nam powiedzieć, kim ona jest... była? – spytał Glenn Branson.

Lucy Sibun pokazała szczękę szkieletu.

– Mamy tu ząb z kilkoma wypełnieniami, co może pozwoli na identyfikację dentystyczną. O ile pochodziła z tych stron. Pewne szanse daje też badanie DNA. – Spojrzała na Nadiuskę De Sanchez. – Może więcej dowiedzie się po pełnej sekcji.

Porywisty wiatr szarpnął czaszą namiotu; Nadiuska skinęła głową, po czym zwróciła się do Roya Grace'a i Philipa Keaya:

– Tak, uważam, że tak będzie najlepiej. Proszę o przewiezienie szczątków do kostnicy.

– Muszę już iść – powiedział Grace. – Zostawię tu inspektora Bransona.

Wrócił do namiotu dochodzeniówki, gdzie ściągnął strój ochronny, i pospieszył do samochodu. Przed odjazdem uzupełnił notatki. Dane dentystyczne stanowiły jedną z metod identyfikacji, przy jednym dużym „ale”. W Wielkiej Brytanii działało tysiące dentystów, ale w odróżnieniu od odcisków

palców czy DNA, nie istniała jeszcze centralna baza danych. Należało mieć jakieś pojęcie, kim była zmarła osoba i kto był jej dentystą. Jeśli w grę wchodziła zagranica, sprawa wyglądała beznadziejnie.

Badanie DNA również nie obiecywało wiele. Jeśli musieli się cofnąć o prawie dwadzieścia lat, to nawet jeśli kobieta została kiedyś aresztowana, było mało prawdopodobne, że pobrano jej DNA i wyniki odnotowano w aktach. Grace uznał, że największy szans powodzenia może mieć staranne zbadanie przypadków zaginięć kobiet w czasie, jaki w przybliżeniu podała Lucy Sibun. Dla pewności należało sprawdzić wszystkie kobiety w wieku od piętnastu do trzydziestu lat, które zginęły od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat temu.

Aktualny rejestr osób, które nie dawały znaku życia dłużej niż trzydzieści dni, zawierał wiele tysięcy przypadków. Zadanie było ogromne, a jedyny sposób polegał na rozpoczęciu sprawdzania od najbliższej okolicy.

Zakładając, że szczątki należały do kogoś stąd.

Roy Grace uruchomił silnik i ruszył w stronę Kemp Town, na podziemny parking, z którego zniknęła Logan Somerville.

21

12 grudnia, piątek

– Jak długo? Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać? Jak długo, kimkolwiek, do diabła, jesteś? Wypuść mnie! – krzyczała Logan w zielonkawy mrok. – Potrzebuję cukru, potrzebuję wody! Proszę.

Śmiertelne przerażenie sprawiło, że całkiem zapomniała o stłuczonym palcu u nogi, ale teraz zaczął boleśnie pulsować. Więzy na brzuchu, przegubach, udach i łydkach wrzynały jej się w ciało. Prawa noga zdrętwiała i Logan straszliwie pragnęła ją rozprostować, ale nie mogła nawet drgnąć. Znowu spróbowała unieść głowę, lecz natychmiast coś wpiło jej się w szyję, niemal ją dusząc.

W ustach jej zaschło, wargi miała sklejone, a jej ciało pokrywała warstewka wilgotnego potu. Wiedziała, co to znaczy: rozpaczliwie potrzebowała cukru. Wkrótce dostanie ataku hipoglikemii i straci przytomność.

Kto wcześniej krzyczał? Czy był tu ktoś oprócz niej?

Głęboki mdlący lęk na chwilę ustąpił miejsca złości. Od jak dawna tu tkwiła? Gdzie się znajdowała? Czy to robota Jamiego? Co właściwie zamierzał? Trzymać ją tutaj, dopóki w końcu nie zgodzi się za niego wyjść? Kapitalny początek wspólnego życia, nie ma co.

„Tak, zerwała zaręczyny, więc nafaszerowałem ją prochami, zamknąłem w piwnicy, głodziłem, odmawiałem podawania jej cukru, nie pozwalałem jej sikać, aż zgodziła się za mnie wyjść”.

Dwa tygodnie do Bożego Narodzenia. Dwa najważniejsze tygodnie, na miłość boską. Logan właśnie zaczęła wnosić

przychody w gabinecie fizjoterapii, mogła więc trochę odłożyć, uzupełnić oszczędności, co pozwoli jej kupić nieduże mieszkanie po rozstaniu z Jamiem.

Każdy dzień się liczył. Straciła poczucie czasu i nie miała pojęcia, jak długo tu tkwi. Jeśli dziś był piątek, to jej matka ma urodziny. Logan zamierzała do niej zadzwonić, a w weekend pojechać do rodziców.

W porównaniu z poprzednimi, chronicznie niewiernymi chłopakami, Jamie wydał jej się na początku haustem ożywczego powietrza. Czuły, delikatny, dobrze gotował, lubiła jego poczucie humoru.

Dopiero kiedy bliżej go poznała, zaczęło do niej docierać jego ograniczenie. W pierwszych miesiącach wszystko robili razem. Drinki, posiłki, spacer, kino, telewizja. Stopniowo, bardzo powoli, zaczęła pojmować, że tak naprawdę nie miał własnych zainteresowań poza tym, że oglądał sport w telewizji i czasami chodził na stadion AmEx, żeby obejrzeć mecz drużyny Brighton and Hove Albion. Przypominał kameleona: dopasował się do życia Logan, przejmując jej upodobania.

W zeszłym roku, kiedy zaczęła trenować przed maratonem w Brighton, Jamie przez krótki czas biegał razem z nią. Ponieważ uwielbiała jazdę na rowerze, kupił sobie drogi rower szosowy, by jej towarzyszyć. Na początku bardzo to Logan odpowiadało; miło było mieć towarzystwo, a większość przyjaciółek wcale nie paliła się do sportu. Z czasem jednak zaczęło jej brakować samotności. Spora przykrość spotkała ją przed trzema miesiącami, kiedy zapisała się do klubu książki, a Jamie, chociaż czytał prawie wyłącznie powieści sensacyjne, natychmiast również się zapisał. Po pierwszym spotkaniu, na którym obraził wszystkich, nazywając ich pretensjonalnymi snobami, dał sobie spokój.

Kiedy oznajmiła mu, że nie chce za niego wychodzić i powinni się rozejść, Jamie mocno to przeżył, nawet płakał. Ale w najgorszych snach nie przypuszczała, że mógłby zrobić coś takiego: porwać ją i uwięzić.

O ile to był on.

Ale przecież to musiał być on, prawda?

Jamie nie był człowiekiem okrutnym ani gwałtownym. To nie miało sensu. Czyżby przeoczyła coś, co tkwiło głęboko w jego charakterze? Czy zamierzał ją tu trzymać tak długo, aż ona zgodzi się go poślubić?

Ujrzała przesuwające się światło. Słaby zielonkawy poblask. Zbliżał się.

– Jamie? – odezwała się. – Jamie, proszę, porozmawiajmy.

Usłyszała, jak w górze coś się przesuwa.

Promień zaświecił jej prosto w oczy, na chwilę ją oślepiając. Potem się przesunął.

Ktoś nad nią stał. Twarz zasłaniała mu czarna maska.

Logan poczuła, jak coś przyciska się do jej ust. Coś słodkiego. Czując smak miodu, przełknęła. Do ust wsunięto jej dwie kapsułki, podano wodę w plastikowym kubku.

Ponownie coś przesunęło się w górze. Kroki się oddaliły.

Kiedy wszystko ucichło, w głowie Logan zrodziła się potworna myśl i ogarnął ją paralizujący lęk.

Czyżby nie rozumowała logicznie? A jeśli to nie Jamie? Jak do tego wszystkiego pasował tamten człowiek z parkingu? Czy pracowali razem?

A jeśli to był ktoś zupełnie obcy?

22

12 grudnia, piątek

Jacob Van Dam siedział za biurkiem w swoim gabinecie na Harley Street i niczym mądra sowa łypał zza małych okrągłych okularów w szylkretowych oprawkach. Był drobnej postury, duże plamy wątrobowe znaczyły mu głowę i kościste dłonie. Szary prążkowany garnitur wydawał się o rozmiar za duży, jak gdyby Van Dam skurczył się od czasu, gdy go zamówił, a kołnierz, z klubowym krawatem, zwisał wokół luźnych fałd indyjskiej szyi.

W trakcie swojej wieloletniej praktyki psychiatry sądowego miał do czynienia z całą gamą gwałtownych przestępców i ponieważ już niejedną raz ktoś się na niego rzucał, obecnie wolał odgradzać się bezpieczną barierą biurka.

W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat mógł już spokojnie przejść na emeryturę, ale za bardzo kochał pracę, by choćby rozważać taką ewentualność. Zresztą co, do diabła, robiłby na emeryturze? Nie miał żadnego hobby, praca zawsze była całym jego życiem. Nieskończenie fascynowała go natura ludzka, którą mógł codziennie obserwować u swoich pacjentów.

Ściany gabinetu były wypełnione książkami z dziedziny medycyny oraz pracami na temat ludzkiego zachowania; wiele z nich nosiło na grzbiecie jego nazwisko. Wśród książek Van Dama, ustawionych na jednej z półek, znajdowała się praca wyjaśniająca przyczyny, dla których ludzie uwielbiali księżną Dianę; inna uchodziła za wyczerpującą analizę Rozpruwacza z Yorkshire, Petera Sutcliffe'a, skazanego za zamordowanie trzynastu kobiet. Dalej stały trzy tomy, którymi szczególnie się

szczył: owoc jego praktyki psychiatrycznej w pilnie strzeżonym szpitalu Broadmoor dla psychicznie chorych przestępców.

Od czasów studenckich Van Dama fascynowało pojęcie zła. Czy ludzie rodzili się źli, czy też wydarzało się coś, co takimi ich czyniło? Oczywiście przede wszystkim należało zdefiniować „zło”. Właśnie ten problem zgłębiał w trzech tomach, nie dochodząc jednak do ostatecznej konkluzji.

W ciągu czterdziestu siedmiu lat praktyki psychiatrycznej nie znalazł zadowalających odpowiedzi. Nadal ich poszukiwał. Dlatego też przychodził tutaj co dzień rano i przyjmował pacjentów do wieczora, co było możliwe częściowo dzięki wyrozumiałości jego ukochanej żony Rachel.

Van Dam właśnie sporządzał notatki na temat pacjenta, który przed chwilą opuścił gabinet, aktora niemal w jego wieku, nieradzącego sobie z faktem, że kobiety nie padały już przed nim tak jak dawniej, gdy zadzwoniła sekretarka i oznajmiła przybycie kolejnego pacjenta. Doktora Harrisona Huntera.

Jacob Van Dam pospiesznie zajrzał do listu od lekarza rodzinnego, niejakiego doktora Edwarda Crispa z Brighton, z prośbą o konsultację. List, krótki i lakoniczny, był pierwszym, jaki Van Dam kiedykolwiek otrzymał od tego lekarza. Doktor Crisp pisał, że Harrison Hunter cierpi na nerwicę lękową, z częstymi atakami paniki, a on podejrzewa też omamy. Van Dam wcisnął guzik interkomu i poprosił sekretarkę o wprowadzenie pacjenta.

Z powodów, jakich psychiatra nie potrafił tak od razu określić, ten nowy pacjent zarówno go zaintrygował i zaciekał, jak i sprawił, że przeszył go zimny dreszcz.

Van Dam wstał i podał mu rękę, po czym wskazał jedno z dwóch antycznych krzeseł obitych skórą, stojących przed biurkiem. Przez chwilę obaj z konieczności milczeli, bo na zewnątrz zawyła syrena karetki pogotowia. Kiedy ucichła, przez pewien czas w gabinecie słychać było jedynie syk gazowego ognia w kominku.

Mowa ciała Harrisona Huntera zdradzała silne skrepowanie. Miał pięćdziesiąt pięć lat, jak napisał doktor Crisp. Ujmujący z wyglądu, w klasycznym, gotowym garniturze biznesmena, w nijakiej koszuli i niezdarnie zawiązanym krawacie. Do tego przyciemnione okulary lotnicze. Jasna czupryna w stylu polityka Borisa Johnsona. Kolor włosów nie pasował do brwi, dlatego Van Dam zastanawiał się, czy Hunter nie nosi peruki.

Nowy pacjent przeniósł dłonie z ud na kolana, podrapał się w oba policzki, potem w płatki uszu, na koniec poklepał się po udach i wzruszył ramionami.

– A zatem, doktorze Hunter, jak mógłbym panu pomóc? Czy mogę zwracać się do pana Harrison? – zapytał psychiatra.

W ten sposób zaczynał rozmowę z każdym nowym pacjentem. Przelotnie zerknął do notatek, oparł łokcie na biurku, złożył ręce w mostek, podparł nimi brodę i pochylił się do przodu.

– Może być Harrison.

– Dobrze. Jesteś lekarzem?

– Anestezjologiem, ale dosyć szczególnym. – Hunter się uśmiechnął.

Jego suchy, dość wysoki głos brzmiał zdecydowanie neurotycznie.

Kolejna syrena zmusiła ich do milczenia, potem trzecia. Gdy ucichła, psychiatra powiedział:

– Zechciałbyś wyjaśnić, dlaczego uważasz się za osobę szczególną?

– Lubię zabijać ludzi.

Van Dam patrzył na niego z pokerowym wyrazem twarzy. Anestezjolodzy czasami potrafili się nastroszyć, bo uważali, że ich rola jest równie ważna jak chirurga, ale są gorzej opłacani. Któryś z nich powiedział kiedyś Van Damowi, że na sali operacyjnej to od anestezjologa zależy zwycięstwo życia nad śmiercią; o chirurgach wyrażał się pogardliwie, jako o rzeźnikach, hydraulikach i szwaczkach. W trakcie swej praktyki Van Dam nasłuchiwał się sporo takich rzeczy, obliczonych na to, by go zaszokować. Teraz zachował milczenie, bacznie

obserwując twarz pacjenta i jego mowę ciała, aż w końcu spojrzał mu prosto w oczy. Martwe oczy, z których nic nie można było wyczytać. Psychiatra nadal milczał. Milczenie zawsze należało do jego najskuteczniejszych metod, by zachęcić ludzi do mówienia.

– Sytuacja wygląda następująco – zaczął Harrison. – Pracuję w dużej klinice, gdzie szacuje się, że co roku ośmiu, dziewięciu pacjentów umrze w wyniku niepożądanego reakcji na anestezję lub zabieg chirurgiczny, na przykład z powodu hipertermii złośliwej. Zapewne zdaje pan sobie sprawę z zagrożeń związanych ze znieczuleniem.

– Owszem, jak najbardziej – potwierdził Van Dam, nie spuszczać oczu z pacjenta.

W końcu anestezjolog na chwilę opuścił wzrok.

– Co pewien czas dla zabawy zabijam jednego czy dwóch, każdego roku.

– Dla zabawy?

– Tak.

– I co wtedy czujesz?

– Czuję szczęście. Zadowolenie. Spełnienie. To jest zabawne.

– Zechciałbyś opisać, w jakim sensie zabijanie kogoś cię bawi? Harrison Hunter zacisnął pięści i wyrzucił je w górę.

– Władza, doktorze Van Dam! Mam nad nimi władzę. To niewiarygodne uczucie. Nie ma większej władzy niż ta, która pozwala człowiekowi odebrać komuś życie, prawda?

– Jednak dla twoich pacjentów to nie jest takie zabawne.

– Ludzie dostają to, na co zasługują, czyż nie? Może to karma?

– Niektórzy z twoich pacjentów zasługują na śmierć?

– Właśnie o tym muszę z panem pomówić, dlatego tu jestem. Czy jest pan człowiekiem religijnym, doktorze Van Dam, czy też darwinistą?

Psychiatra przyglądał mu się, mrugając oczami. Za oknem znów zawyła syrena karetki, po czym ucichła, zgodnie z efektem Dopplera. Czyżby spieszyła na miejsce zbrodni? Do kolejnej ofiary tego człowieka? Van Dam uniósł długopis palcem

wskazującym i kciukiem, przez chwilę wpatrując się w czarną obudowę i srebrną skuwkę.

– Ta wizyta dotyczy ciebie, Harrison, a nie mnie i moich poglądów. Mam ci pomóc. Zanim jednak pójdziemy dalej, chcę ci przypomnieć, że muszę przestrzegać ogólnego kodeksu lekarskiego. W dzisiejszych czasach nie wiąże mnie jednak zasada poufności, jeśli stwierdzę, że pacjent lub pacjentka stanowi zagrożenie dla społeczeństwa. Co więcej, jestem wręcz zobowiązany poinformować o takiej osobie. To co tu mówisz, nakazuje mi powiadomić policję.

– Ale najpierw, doktorze Van Dam, musiałby pan wyjść żywy z tego gabinetu, prawda?

Van Dam odwzajemnił uśmiech. Starał się nie okazywać swego zakłopotania, ale w tym człowieku było coś zdecydowanie odrażającego, choć jednocześnie fascynującego. Harrison Hunter roztaczał mroczną aurę. Podczas pracy w szpitalu Broadmoor psychiatra stykał się z takimi niepokojącymi osobami, ale nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał do czynienia z tak czystym złem. Doktor Crisp napisał, że jego pacjent cierpi na omamy. Czy to był jeden z nich?

– To prawda, Harrison. – Van Dam zaśmiał się z przymusem. – Naturalnie, tak, tak.

– Nie pójdzie pan na policję, doktorze Van Dam. Po pierwsze, sędzę, że nie chciałby pan mnie stracić jako pacjenta. Po drugie, czuję, że chociaż prawo uległo zmianie, pan nie zgadza się z tą zmianą. Jest pan dość staroświecki i wyznaje pan staroświeckie poglądy, jeśli chodzi o świętą zasadę poufności między lekarzem a pacjentem. Czytałem artykuł, który ponad dziesięć lat temu opublikował pan w piśmie „Lancet”. Przedstawia pan tam bardzo spójną argumentację za zachowaniem prawa do poufności.

– Pisałem, że lekarza nie powinno obowiązywać prawo, lecz powinien kierować się moralnością. Ale wróćmy do ciebie. Czemu tu przyszedłeś, czego ode mnie oczekujesz? Jak, twoim zdaniem, mogę ci pomóc?

Hunter spojrział na Van Dama z osobliwym wyrazem twarzy. Psychiatra odniósł wrażenie, że tamten zagląda mu w głąb duszy.

– Muszę się uporać z poczuciem winy.

Najróżniejsze myśli wirowały w umyśle psychiatry. Każdego roku ludzie istotnie umierali w wyniku alergicznych reakcji na znieczulenia; stanowili znikomy odsetek wszystkich, którzy przechodzili operacje. Tragicznym faktem było to, że każdy anestezjolog podczas swojej praktyki tracił kilku pacjentów. Czy mówiąc, że zabijał ich rozmyślnie, Harrison Hunter po prostu usiłował sobie radzić w ten sposób z poczuciem winy? Fantazjował?

Czy też, jak twierdził, naprawdę był zabójcą?

Van Dam postanowił go obłąskawić.

– Raczej nie wierzę, że celowo zabijasz ludzi – powiedział. – Kiedy zdobyłeś dyplom lekarza, z pewnością ślubowałeś przestrzegać podstawowej zasady etycznej: po pierwsze, nie szkodzić. Powiedz, dlaczego tak naprawdę tu jesteś?

– Już mówiłem – odparł Harrison Hunter, a po chwili milczenia ciągnął: – W regionie Brighton ukazuje się lokalna gazeta „Argus”. Proszę zajrzeć potem do wydania internetowego. Znajdzie pan artykuł o szczątkach kobiety znalezionych wczoraj w nadmorskim parku Hove Lagoon.

– Dlaczego chcesz, żebym przeczytał ten artykuł?

– Ponieważ wiem, kto zabił tę kobietę i dlaczego.

Psychiatra przyglądał się pacjentowi, obserwując jego chaotyczną mowę ciała.

– Czy powiadomiłeś policję?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ, doktorze Van Dam, jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

– Czyżby? Mógłbyś to wyjaśnić?

– W dzisiejszym wydaniu „Argusa” jest jeszcze inny artykuł. Nie zdążył trafić do wydania papierowego, ale znajdzie go pan w sieci. Ma pan siostrzenicę, Logan Somerville?

Van Dam wyraźnie zeszywniał.

– Co w związku z nią?

– Bardzo pan ją lubi?

– Nie rozmawiam z pacjentami o moim życiu prywatnym. Co ma do tego moja siostrzenica?

– Nie słyszał pan, prawda?

– O czym?

– O Logan. Wczorajszej nocy zaginęła.

– Zaginęła? – Van Dam pobladł.

– W Brighton trwają poszukiwania pańskiej siostrzenicy, Logan Somerville. Bardzo mnie pan potrzebuje.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ jestem jedynym człowiekiem, który może uratować jej życie.

23

12 grudnia, piątek

Roy Grace zaparkował przed blokiem Chesham Gate, za białą furgonetką dochodzeniówki oraz jednym oznakowanym i dwoma nieoznakowanymi samochodami policyjnymi. Nieopodal, aby nie blokować wąskiej ulicy, stała na krawężniku furgonetka ekipy poszukiwań specjalnych. Dokoła kręcili się gapie, jakiś młody człowiek robił zdjęcia telefonem.

Jadąc tutaj z laguny, Grace obmyślił krótką, lecz emocjonalną przemowę, jaką wygłosi na pogrzebie Belli w poniedziałek. Zanotował ją, po czym wysiadł na zimny, porywisty wiatr.

Odgradzająca wjazd na parking taśma policyjna furkotała na wietrze. Przed otwartą bramą stała policjantka z notatnikiem, która skierowała Roya Grace'a do furgonetki, żeby się przebrał. Wsiadł tam i wymienił kilka przyjaznych docinków z dwojgiem funkcjonariuszy z ekipy poszukiwawczej: doświadczoną sierżant Lorną Dennison-Wilkins oraz nowym nabytkiem jej zespołu, Scottem, którego jeszcze nie znał. Oboje właśnie zrobili sobie przerwę na kawę.

Wciskając się w kombinezon ochronny, już po raz drugi tego ranka, zapytał Lornę, jak wygląda sytuacja i gdzie się podziewa szef dochodzeniówki, John Morgan.

– Mamy mnóstwo wkurzonych mieszkańców, którzy nie mogą wyjechać z parkingu, panie nadinspektorze. Druga grupa nie może wjechać. Może zamieniłby pan z nimi parę słów. John Morgan wstał dziś lewą nogą i nie zachowuje się szczególnie dyplomatycznie.

Morgan był świetnym fachowcem, lecz nie grzeszył taktem. Ochrona miejsca zbrodni miała zasadnicze znaczenie, jednak kiedy utrudniała życie mieszkańcom, jak zdarzało się to często, należało delikatnie wyjaśnić przyczyny. Ludzie zwykle okazywali zrozumienie i pomagali, ale niektórzy postępowali wprost przeciwnie: ci, co nienawidzili policji, oraz zwyczajni cholerni egoiści.

Nadinspektor wpisał się na listę, a potem, w niewygodnym niebieskim kombinezonie i obuwiu ochronnym, zszedł na podziemny parking. W zatoczkach stały samochody najróżniejszych marek, niektóre okryte pokrowcami. Wokół unosił się ostry zapach benzyny, farby i kurzu. Kilku policjantów z grupy poszukiwawczej, ubranych podobnie jak Grace, sprawdzało na czworakach teren ogrodzony taśmą. Dalej Grace spostrzegł jeszcze jednego funkcjonariusza z tej grupy, który stojąc na teleskopowej drabinie, zaglądał do instalacji oświetleniowej pod sufitem.

Zza rogu wyszedł krępy John Morgan i kwaśno, acz uprzejmie powitał Grace'a:

- Dzieńdoberek, szefie!
- Co tu masz, John?
- Coś, co może być interesujące: ślad stopy w plamie benzyny.
- Szef dochodzeniówki pokręcił głową i zaprowadził nadinspektora do pustej zatoczki obok miejsca, gdzie wcześniej stał fiat. Na ziemi widniała tam mała kałuża czarnej mazi. – Ślad wygląda na męski, sądząc po rozmiarze buta. Kilka innych, mniej widocznych, prowadzi w głąb parkingu, ale to wszystko. – Morgan wskazał kamerę przemysłową. – Gdyby to działało, mielibyśmy znacznie więcej użytecznego materiału.

W towarzystwie Morgana Grace obszedł cały parking, obejrzał drogi przeciwpożarowe, windę oraz znajdujące się za nią główne schody. Mnóstwo sposobów, by niepostrzeżenie dostać się na parking; tylko kamery mogły to wychwycić. Następnie dozorca zaprowadził ich do mieszkania, gdzie zeszłego wieczoru Grace poznał chłopaka zaginionej. Morgan oznajmił

Grace'owi, że laptopa i komórkę Logan Somerville zabrano do szczegółowej analizy. Technicy mieli zwracać uwagę zwłaszcza na ostatnie rozmowy telefoniczne, maile i portale społecznościowe, szukając czegoś, co mogłoby się wiązać z jej zniknięciem.

O trzynastej chłopak Logan miał wraz z Grace'em wystąpić z apelem w lokalnych wiadomościach. Jednocześnie sprawdzano obrazy z kamer policyjnych w całym mieście pod kątem Logan Somerville lub samochodu kombi.

Pewne nadzieje dawało to, że większość osób, które każdego roku ginęły w Wielkiej Brytanii, pojawiała się po kilku dniach, w najróżniejszy sposób tłumacząc swoją nieobecność.

Czy Logan Somerville odnajdzie się po kilku dniach i przekonująco wyjaśni swoje zniknięcie? Grace miał niedobre przeczucia w sprawie tej młodej kobiety. Słowa jej chłopaka o tym, że krzyczała. Samochód kombi wypadający z parkingu mniej więcej w tym samym czasie. Pomimo alibi Jamiego Balla, które powinno usuwać go z kręgu podejrzanych, Roya Grace'a nie opuszczały wątpliwości. Na tym etapie nikogo nie należało wykluczać. Rozsądniejszą decyzję co do tego młodego człowieka będzie mógł podjąć po jego przesłuchaniu, a zwłaszcza po występie Balla w telewizji. Czy będzie ronił prawdziwe, czy krokodyle łzy?

Grace spojrzał na zdjęcie pary w strojach rowerowych, potem na tych samych ludzi leżących na plaży. Młodzi, atrakcyjni, szczęśliwi, jak tysiące kochanków, bez cienia trosk. Cynizm podpowiadał mu jednak, że niewielu ludzi na świecie mogłoby z ręką na sercu powiedzieć, że nie ma żadnych trosk. Każdy borykał się z jakimiś problemami.

Zadzwoiła jego komórka. Odebrał, zerkając na zasięg: tylko jedna kreska.

– Roy Grace.

W głosie Glenna Bransona dało się słyszeć podniecenie.

– Czołem, szefie, czy przez najbliższe pół godziny będziesz bardzo zajęty? Jesteśmy w kostnicy. Myślę, że coś powinienes

zobaczyć.

Grace sprawdził godzinę w telefonie. 10.55. W południe był umówiony z zastępcą naczelnika Cassianem Pewe'em, którego miał poinformować o postępie śledztwa w sprawie Logan Somerville. Musiał starannie przygotować się do tej rozmowy, upewnić się, że nie pominął żadnych – stosowanych w przypadkach zaginięć – procedur, o które Pewe mógłby go zahaczyć. Poza tym chciał zdążyć na trzynastą na apel w telewizji, a także zobaczyć późniejsze przesłuchanie narzeczonego Logan – choć mógł je potem obejrzeć na nagraniu.

– Przyjadę, jak tylko tutaj skończę.

24

12 grudnia, piątek

Jacob Van Dam i jego pacjent mierzyli się wzrokiem, a psychiatra miał wrażenie, że rozpościera się między nimi mroczna pustka. Kim, do diabła, był ten przykry typ i co się działo w jego głowie?

– Czy mogę zweryfikować tę historię o mojej siostrzenicy, doktorze Hunter?

– Proszę bardzo. Pod warunkiem że będę widział, co pan robi.

Psychiatra odwrócił komputer tak, by Harrison Hunter widział ekran.

– Internetowe wydanie „Argusa”, tak?

Hunter skinął głową.

Van Dam otworzył Google i wpisał: „Brighton Argus online”.

Po chwili ukazała się strona główna „Argusa” i psychiatra ujrzał nagłówek.

OBAWY, ŻE ZAGINIONA KOBIETA ZOSTAŁA UPROWADZONA

Obaj przeczytali artykuł.

Logan Somerville, lat 24, zamieszkała w Chesham Gate w Kemp Town, nie była widziana od wczoraj, gdy o 17.15 opuściła swoje miejsce pracy, Chiropractic Life Clinic przy Portland Road. Jej narzeczony, Jamie Ball, lat 28, menedżer marketingu, zgłosił wczoraj policji, że Logan dzwoniła do niego około 17.30, zaniepokojona obecnością kogoś obcego

na parkingu podziemnym budynku, w którym oboje mieszkają. Od tamtej pory nie dała znaku życia. Jej samochód znaleziono na parkingu.

Rzecznik policji oświadczył, że zaginięcie kobiety jest traktowane jako możliwe uprowadzenie. Sprawę, nazwaną operacją Haywain, prowadzi nadinspektor Roy Grace z wydziału kryminalnego policji Surrey i Sussex. Dziś o 13.00 narzeczony zaginionej wystąpi w telewizji z apelem. Potem odbędzie się konferencja prasowa, na której zostaną podane dalsze szczegóły.

Policja prosi, by zgłosił się każdy, kto wczoraj, mniej więcej w tym czasie, zauważył w okolicy coś podejrzanego albo widział ciemny samochód kombi, niewykluczone, że starszy model Volvo, prowadzony chaotycznie lub szybko. Kierowcę opisuje się jako mężczyznę w średnim wieku, gładko ogolonego, w okularach.

Psychiatra, wyraźnie wstrząśnięty, spojrział na swojego pacjenta.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Tego nie powiedziałem. Mówiłem, że jestem jedynym człowiekiem, który może uratować jej życie.

– Czego chcesz? – spytał ostro psychiatra. – Pieniądzy? Ile?

– Tu nie chodzi o pieniądze.

– Więc o co?

– Muszę już iść – oświadczył Harrison Hunter, wstając raptownie.

– Poczekaj! – zawołał Van Dam. – Nie możesz teraz odejść. Na miłość boską, powiedz, gdzie ona jest, co się z nią stało. Z kim ona jest? Czy ktoś ją skrzywdził?

Ale pacjent zdążył już dojść do drzwi. Otworzywszy je, odwrócił się i rzucił ostrzegawczo:

– Niech pan nie idzie na policję, doktorze Van Dam. Jeśli pan to zrobi, już nigdy nie zobaczy pan siostrzenicy. Mogę panu pomóc, ale musi mi pan zaufać.

– Błagam, doktorze Hunter! W jaki sposób zamierzasz mi pomóc?

– Pomogę tobie, jeśli ty pomożesz mnie.

Drzwi gabinetu zamknęły się za Hunterem.

– Poczekaj! – zawołał Van Dam i otworzył drzwi.

Jednak mężczyzna już minął sekretarkę i wyszedł na klatkę schodową. Kiedy Van Dam dotarł do drzwi gabinetu, usłyszał kroki tamtego, cichnące na schodach. Popędził w dół, wołając: „Czekaj!”, ale nim zdążył go dogonić, rozległo się trzaśnięcie drzwi frontowych.

Zdyszany wrócił do gabinetu, zajrzał do listu Crispa, by sprawdzić jego numer, i zadzwonił. Po kilku sygnałach odezwał się radosny nagrany głos: „Dzień dobry, tu gabinet doktora Crispa. Proszę zostawić wiadomość, a oddzwonię najszybciej, jak będę mógł. Do widzenia!”.

25

12 grudnia, piątek

Roy Grace w zamyśleniu krążył po rondzie Lewes Road. Dochodziła 11.15, od zaginięcia Logan Somerville upłynęło około osiemnastu godzin. Jeżeli, jak się obawiał, nie wybrała się gdzieś z własnej woli, ale została uprowadzona, szanse na znalezienie jej żywej malały z każdą godziną. Tak mu podpowiadało jego ponure doświadczenie. Jednocześnie był ciekaw, co Glenn Branson chciał mu tak pilnie pokazać.

Skreślił w lewo i przeszedł przez żelazną bramę osadzoną w ceglanych kolumnach oraz napis złotymi literami na czarnym tle: KOSTNICA MIEJSKA BRIGHTON AND HOVE. W trakcie pracy nieustannie stykał się ze śmiercią i podczas gdy miejsca zbrodni oraz miejsca, gdzie porzucano zwłoki, często dostarczały istotnych wskazówek, to kostnica – wraz z laboratoriami patologów i genetyków – pod wieloma względami była tygłem śledztw w sprawie zabójstw.

Chociaż Grace nie chciał zanadto rozważać własnej śmiertelności, to miejsce kazało mu o niej myśleć. Niewielu ludzi, może z wyjątkiem tragicznych ofiar samobójstw, spodziewało się tu na koniec wylądować. Zastanawiał się, ilu z tutejszych rezydentów naprawdę wolało spędzić noc w lodówce niż we własnym łóżku. Rozmawiał z wieloma niedoszłymi samobójcami i znaczna ich część zapewniała nadinspektora i jego kolegów, że cieszą się z tego, że im się nie udało i że nadal żyją.

Potwierdziła to rozmowa, jaką Grace niedawno odbył z policjantką w stopniu sierżanta, należącą do stałej obsady helikoptera. Do jej obowiązków należało cotygodniowe

patrowanie podnóza kredowego urwiska Beachy Head. Ten słynny punkt widokowy, położony kilka kilometrów na wschód od Brighton, posiadał mroczną stronę. U podnóza wysokiego na sto sześćdziesiąt metrów klifu leżało skaliste wybrzeże kanału La Manche. Niemal co tydzień ktoś odbierał tu sobie życie, a Beachy Head rywalizowało z kalifornijskim mostem Golden Gate i japońskim lasem Aokigahara o wątpliwą palmę pierwszeństwa jako najpopularniejsze na świecie miejsce samobójców.

Pani sierżant powiedziała mu, że wiele ofiar znajdowanych u podnóza klifu miało kredę pod paznokciami, upiorny dowód na to, że spadając, zmienili zdanie.

Poruszała go każda nagła śmierć, z jaką się spotykał, czy to wypadek, samobójstwo czy morderstwo. Każdy lubił myśleć, że śmierć przydarza się innym, bardziej pechowym ludziom. Niewielu chciało zostać ofiarą, a smutek kostnicy nawiedzał Grace'a jak senny koszmar.

On i Sandy nie mieli dzieci. Gdyby w czasie trwania ich małżeństwa Grace umarł, Sandy dałaby sobie radę. Była silna. Cleo również by sobie poradziła, gdyby coś mu się stało. Jej rodzina była wystarczająco zamożna, a poza tym zadbał o ubezpieczenie dla żony i Noaha. Jednak niedawne przyście na świat syna sprawiło, że inaczej zaczął myśleć o własnej śmierci. Cleo zawsze byłaby cudowną matką dla Noaha, ale jako młoda, bardzo piękna kobieta pewnego dnia niemal na pewno wyszłaby ponownie za mąż, a ten człowiek zostałby ojcem Noaha.

Całkowicie obcy mężczyzna.

Grace wiedział, że to dziwna myśl, ale odkąd był ojcem, cenił życie bardziej niż kiedykolwiek. Chciał stanowić oparcie dla syna. Pragnął być dla niego dobrym ojcem, tak jak jego ojciec, Jack Grace, na którego zawsze mógł liczyć; chciał przygotować syna na wejście w życie. Życie w świecie pięknym i bogatym, ale stale okrytym cieniem zła.

Chociaż kostnica budziła w nadinspektorze pewne pozytywne skojarzenia – ostatecznie właśnie tu poznał Cleo – to miejsce wciąż wywoływało w nim spory niepokój, podobnie jak

w większości przychodzących tu osób, także policjantów. Brama była otwarta całą dobę przez siedem dni w tygodniu. Zawsze gotowa przyjąć nowych zmarłych albo, jak w przypadku szkieletu dotąd niezidentyfikowanej kobiety z Hove Lagoon, szczątki osób zmarłych dawno temu.

Roy Grace zawsze miał wrażenie, że mdły wygląd kostnicy, przypominającej podmiejski domek, osobliwie kontrastuje z ponurymi praktykami, jakie odbywały się w środku. Długi parterowy, grubo otynkowany budynek stał naprzeciwko szeregu domów, a zadaszony podjazd był dość głęboki, by pomieścić karetkę lub dużą furgonetkę. Naprzeciwko podjazdu znajdowały się wielkie okno z matowego szkła oraz małe, swojsko wyglądające drzwi.

Grace minął rząd samochodów zaparkowanych wzdłuż krzemienego muru na tyłach i zatrzymał się na miejscu dla gości. Podszedł do drzwi wejściowych i zadzwonił. Otworzył mu Darren Wallace, pod nieobecność Cleo pełniący obowiązki szefa prosektorium. Dwudziestokilkulatek, z modnie nastroszonymi ciemnymi włosami, miał na sobie niebieski strój chirurga, zielony plastikowy fartuch i białe buty. Przywitał nadinspektora i zaprowadził go do przebieralni.

Wkładając fartuch ochronny, Roy marszczył nos, żeby nie wdychać znajomego zapachu kostnicy, połączenia środków dezynfekcyjnych i woni rozkładających się ciał. Te zapachy zostawały z człowiekiem jeszcze długo po tym, jak wyszedł z kostnicy, podobnie jak uczucie chłodu. Nadinspektor wszedł do prosektorium, gdzie zapachy się nasiliły, a powietrze stało się zimniejsze.

Sala składała się z dwóch części, połączonych otwartym przejściem; na ścianach były szare kafelki, oświetlenia nie dało się nazwać przytulnym. Szeroka, wysoka lodówka miała szereg ponumerowanych drzwiczek. Za każdymi mogły się zmieścić cztery ciała, jedno nad drugim. Zajęte szuflady oznaczano ręcznie wypisaną wywieszką, wsuwaną w metalową kieszeń na drzwiczkach. Grace pomyślał, że wszystko tu jest surowe

i funkcjonalne. Nieważne, czy jesteś miliarderem, czy bezdomnym: dopóki koroner nie postanowił cię zwolnić, leżałeś tam ramię w ramię – a przynajmniej worek w worek – z sąsiadem. Nadinspektor wzdrygnął się, próbując odpędzić od siebie te myśli. Przecież kiedy człowiek umiera, przestaje to mieć dla niego znaczenie, prawda? Po prostu opuszcza ciało, odrzuca je jak pustą skorupę.

Prawda?

Właśnie tak myślał, widząc przed laty ciało swego ojca leżące w zakładzie pogrzebowym.

W obu częściach prosektorium znajdowało się po sześć stołów ze stali nierdzewnej, a na ścianach nad nimi wagi oraz tabliczki z napisami: NAZWISKO, MÓZG, PŁUCA, SERCE, WĄTROBA, NERKI, ŚLEDZIONA. Podczas sekcji wpisywano wagę każdego z narządów, oprócz rzadkich przypadków, jak ten obecny, kiedy nie było czego ważyć.

Trzy stalowe stoły były puste i lśniące. Na dwóch kolejnych leżały ciała przykryte białą plastikową płachtą. Spod jednej wystawała stopa z tabliczką. Grace z czystej ciekawości podszedł i przeczytał: „Bob Tanner”. Jaka była jego historia? – pomyślał.

Skinął głową ludziom w prosektorium, tak jak on ubranym w fartuchy, którzy zebrali się wokół stołu, gdzie leżał rozczłonkowany szkielet. Fragmenty kości trzymały się na wyschniętej tkance, inne leżały obok, jak kawałki mozolnie układanych, lecz niekompletnych puzzli.

Uwagę nadinspektora przykuła czaszka. Drobna, z pełnym i równym uzębieniem, choć może potrzebującym wybielenia. Stojący obok czaszki i robiący zdjęcia James Gartrell przykładał białą linijkę do lewej kości policzkowej. Tuż obok niego stał wysoki Philip Keay, który mówił do trzymanego w dłoni dyktafonu; dalej Glenn Branson, który rozmawiał z asystentką Deborah Morrison. Lucy Sibun analizowała jedną z kości nogi i sporządzała notatki.

Nadiuska De Sancha pochylała się nad szkieletem i ostrożnie dźgała go cienkim stalowym narzędziem. Pani patolog, tuż po

pięćdziesiątce, elektryzowała urodą: wysokie kości policzkowe i zielone oczy, które potrafiły błyskawicznie przejść od śmiertelnej powagi do rozbawienia. Całość wieńczyły ogniście rude włosy, teraz schludnie upięte w górze. Nadiuska nosiła się jak arystokratka, jak przystało na kogoś, kto był ponoć córką rosyjskiego księcia. Nieodłączne małe okulary w ciężkich oprawkach nadawały jej poważny wygląd. Z przyjaznym uśmiechem odwróciła się do Roya Grace'a.

– Dzięki, że przyszedłeś, Roy. Glenn uznał, że powinieneś rzucić okiem na kilka rzeczy.

Odłożywszy cienkie narzędzie, wzięła z tacy szczypce, podeszła do czaszki i przyglądała się jej przez chwilę. Szczypcami ujęła coś prawie niewidocznego i uniosła to nad czaszką.

Grace podszedł i zobaczył brązowy włos, długi na czterdzieści pięć centymetrów.

– To może okazać się pomocne w ustaleniu jej tożsamości – powiedziała. – Jeden z nielicznych włosów, jakie pozostały na czaszce, ale wystarczy, by wnioskować, że w chwili śmierci kobieta miała brązowe włosy tej długości.

Grace wpatrywał się we włos. Myślami wrócił do zdjęć Logan Somerville, która miała podobne, długie i brązowe włosy. A także Emma Johnson, przypomniał sobie, która zniknęła ze swego domu w Worthing i po pewnym czasie odnalazła się w Hastings, ale niedawno znowu zaginęła. Czy te sprawy mogły się wiązać? Mało prawdopodobne. Ale niewykluczone, nawet biorąc pod uwagę odstęp kilkudziesięciu lat. Podczas śledztwa zawsze starał się mieć otwarty umysł. Łatwo było odrzucić coś jako zbieg okoliczności – i w ten sposób przeoczyć istotną wskazówkę, co pewnego dnia mogło się na tobie zemścić.

– Mówiłaś, Lucy – zwrócił się do archeolożki sądowej – że w chwili śmierci ta kobieta miała około dwudziestu lat?

– Tak, wszystko na to wskazuje. Oceniam, że zmarła mniej więcej trzydzieści lat temu. Chciałabym zrobić analizę drobin, jakie dotychczas udało mi się znaleźć na szczątkach, bo chyba nie pochodzą z piaszczystej gleby w pobliżu laguny. Wyglądają mi na

ślady gliny, która występuje raczej w głębi łądu. Spora część pól uprawnych i lasów środkowego Sussex leży na glinie. To jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że Hove Lagoon nie było pierwotnym miejscem zbrodni, ale tylko porzucono tam zwłoki. Potwierdzenie tego zajmie mi tydzień, może dwa.

– Po co ktoś miałby ją przenosić z głębi łądu na wybrzeże, w tak uczęszczane miejsce? – Grace zmarszczył brwi.

– Może wiedzieli o budowie drogi, szefie – podsunął Glenn Branson. – Liczyli na to, że zwłoki nigdy nie zostaną odnalezione.

Grace w zamyśleniu wpatrywał się w szkielet.

– A co z hipotezą, że sprawcą był któryś z robotników kładących drogę? – spytał Branson.

– Owszem, to możliwe – przyznał Grace. – Pracujesz nad tym?

– Tak.

Nadinspektor spojrział na zegarek, bo nie chciał się spóźnić na spotkanie z Pewe'em.

– Macie dla mnie coś jeszcze?

– Owszem. – Branson z chytrym uśmiechem skinął głową i wymienił niemal konspiracyjne spojrzenia z Nadiuską De Sanchą, po czym wskazał palcem na przednią część czaszki.

Nadiuska podeszła do blatu pod dużym oknem z matowego szkła, wzięła szkło powiększające i podała Grace'owi.

– Przyjrzyj się uważnie, Roy.

Grace utkwiał wzrok w przednim fragmencie czaszki, gdzie, jak oceniał, znajdowała się górna część czoła. Gołym okiem dostrzegł znamię, szerokie na pięć centymetrów i wysokie na jakiś centymetr. Przez szkło powiększające zobaczył niewyraźne litery:

I NIE ŻYJESZ.

– Dziwny tatuaż – zwrócił się do Nadiuski De Sanchy. – Kobieta mogła należeć do subkultury gotyckiej czy co tam wtedy mieli?

– To nie jest tatuaż, Roy. – Pokręciła głową.

– Nie? A co w takim razie?

– Uważam, że napis wypalono jej na skórze żelazem do piętnowania.

26

12 grudnia, piątek

Logan wychowała się na małej farmie koło Ripe we wschodnim Sussex. Jej rodzice dzierżawili i uprawiali ziemię od trzech pokoleń, ale ich dochody zaczęły maleć, w miarę jak obostrzenia EWG stawały się coraz surowsze. Musieli oszczędzać, a mogli to zrobić jedynie, zwalniając ludzi. Najpierw odprawili dwóch pomocników, kilka miesięcy później głównego pasterza, który pracował dla ich rodziny od trzydziestu lat. Od jedenastego roku życia Logan, na zmianę z innymi członkami rodziny, musiała dzień w dzień wstawać o piątej i doić krowy. Krowy nie rozumiały takich spraw jak Boże Narodzenie. Po prostu chciały, żeby ktoś je wydoił.

Ojciec Logan, zagorzały ekolog, nie wierzył w nowoczesne udogodnienia. Dom ogrzewano wyłącznie piecem koksowym Esse, stojącym w kuchni, który pracował przez okrągły rok, oraz stojącym w korytarzu piecem na drewno, który odpoczywał w lecie. Wiele lat później, choć w swym mieszkaniu w Brighton miała centralne ogrzewanie, Logan budziła się w nocy, czując zapach palącego się koksu.

Tak jak teraz. Ostra, gryząca woń. Czyżby miała halucynacje?

Otworzywszy oczy, przekonała się, że to nie omamy. Zapach palącego się koksu szczypał ją w nos. Nad sobą ujrzała czerwoną poświatę, a za nią punkciki zielonego światła.

Potem znajomy odgłos przesuwania czegoś i stęchłe powietrze na twarzy. Czerwona poświata, tuż ponad Logan, stała się wyraźniejsza.

Ktoś nad nią stał. Ten ktoś trzymał coś rozjarzonego do czerwoności.

– Kim jesteś? – zapytała drżącym ze strachu głosem.

Nagle poczuła, jak dłoń w rękawiczce chwyciła ją za gardło i przyciska do twardego podłoża. Czerwona poświata zbliżyła się do brzucha Logan. Po chwili poczuła na prawym udzie potworny ból oparzenia. Zawyla, z bólu zaciskając oczy, i próbowała się wyrwać, ale nie mogła drgnąć. Krzyknęła. Usłyszała syk palącego się ciała.

Jej ciała.

– Neeeeeeeeee!

Jak gdyby opadł ją rój szerszeni. Krzyknęła znowu.

– Ciiiicho! – rozległ się przytłumiony głos. – Ciiiicho! Wszystko w porządku, mała!

Na tyle, na ile mogła się ruszać, szarpała się, czując przeszywający ból. Piekl, szczypał, nie dawał się znieść. Próbowwała ugryźć przytrzymującą ją rękawiczkę. Ból się nasilał.

Coraz bardziej.

– Aaaaauu. Aaaaauu.

Ból przeszywał ją na wskroś, jakby cała noga płonęła.

– Aaaaauu.

Poczuła na udzie coś chłodnego, kojącego, ale ból zaraz powrócił.

Czerwona poświata uniosła się nad nią. Dłoń puściła. Logan brakowało tchu. Ból był nie do zniesienia.

Zwymiotowała.

Po chwili otarto jej usta wilgotną szmatką, cuchnącą środkiem dezynfekującym. Ból przepalał udo do kości niczym żrący kwas.

– Wszystko będzie dobrze – znów odezwał się stłumiony głos.

– Ból ustąpi. Nic się nie stało. Wydobrzejesz.

– Coś ty mi zrobił, gnoju? To właśnie cię kręci?

Odgłos przesuwania w górze. Potem cisza. Po jej twarzy płynęły łzy bólu i cała trzęsła się z przerażenia.

27

12 grudnia, piątek

O szesnastej Roy Grace zasiadł w głównej siedzibie wydziału kryminalnego, w swoim gabinecie na pierwszym piętrze, z widokiem na drugą stronę ulicy. W zapadającym zmierzchu połyskiwała wilgotna szara bryła pobliskiego supermarketu Hollingbury Asda, a w tle rozpościerało się zalane deszczem miasto. Nadinspektor wsunął do komputera płytę DVD z nagraniem przesłuchaniem Jamiego Balla, którą właśnie otrzymał.

Na jednym z trzech czerwonych krzeseł w pokoju przesłuchań siedział niedźwiedziowaty młody człowiek w szarym garniturze, krawacie i czarnych butach, wyraźnie skrepowany. Obok siedziało dwoje detektywów, Guy Batchelor w sportowej marynarce i czarnych spodniach oraz Liz Seward, drobna kobieta o krótkich nastroszonych blond włosach, w białej bluzce i ciemnych spodniach. Całą trójkę śledziła z góry zamontowana na ścianie kamera.

Grace patrzył, jak dopełniane są formalności, podaje się datę i godzinę przesłuchania, Ball potwierdza, że wie o nagrywaniu rozmowy. Batchelor poprosił Balla, by przedstawił okoliczności zaginięcia jego narzeczonej, Logan Somerville.

Ball opowiedział o zdarzeniach dokładnie w taki sam sposób, jak zrobił to minionego wieczoru w rozmowie z nadinspektorem, co wydało się Royowi nieco dziwne. Czyżby przygotował sobie tę wersję wcześniej?

– Jak by pan opisał swój związek z panią Somerville? – zapytała Seward.

Grace nie spuszczał wzroku z młodego człowieka. Ball odpowiadał spokojnym głosem, jednak wcale nie wyglądał na spokojnego.

– Bardzo się kochaliśmy, planowaliśmy ślub. Wydawało mi się, że jest wspaniale.

– Jest pan pewien? – naciskał Guy Batchelor. – Czy narzeczona czuła to samo?

– Tak myślę.

Skrepowanie Balla wyraźnie się nasiliło. Dłuższą chwilę patrzył w kamerę, potem podrapał się w prawe ucho, poprawił krawat.

– Czy zna pan Louise Brice? – zapytała Seward.

– Tak, bardzo dobrze.

– Jak opisałby pan jej relację z Logan? – spytała.

– Louise jest najlepszą przyjaciółką Logan, jeszcze z podstawówki. Są bardzo blisko.

– Jak blisko?

– Bez przerwy ze sobą rozmawiały albo pisały esemesy. Zazwyczaj kilka razy dziennie.

– Czyli Louise Brice mogła sporo wiedzieć o Logan?

Ball zawahał się. Grace zauważył zmianę w jego wyrazie twarzy.

– Tak.

– Widzisz, Jamie, rzecz w tym, że jedna z moich koleżanek rozmawiała dzisiaj z Louise Brice. Mam tu zapis tej rozmowy. – Seward zagłębiła się w wydruk. – Louise Brice powiedziała mojej koleżance to samo co reporterce z „Argusa”. A mianowicie, że Logan zerwała wasze zaręczyny. Mógłbyś to skomentować?

Ball znowu wyraźnie się stropił.

– Bardzo się kochaliśmy – powtórzył, nieco wyzywająco. – Ostatnio dochodziło do pewnych tarć, bo Logan zaczynała się wahać.

– Jak myślisz, czemu jej najlepsza przyjaciółka miałaby mówić coś takiego reporterce? – spytała Liz Seward.

– Nie mam pojęcia. – Ball wzruszył ramionami. – Jeśli chce pani znać prawdę, Louise Brice i ja nigdy za sobą nie przepadaliśmy. Ona prowadzi agencję nieruchomości Brice. Powiedziała Logan, że jestem frajerem i że mogłaby znaleźć sobie coś lepszego.

– Lepszego niż co? – wtrącił Guy Batchelor.

– Niż ja.

– Jak Logan zareagowała na opinię przyjaciółki? – spytał detektyw.

Ball milczał przez parę chwil, aż wreszcie odparł:

– Powtórzyła mi to, co powiedziała Louise.

– I co wtedy poczułeś? – Batchelor wpatrywał się w niego intensywnie.

Ball dotknął brody, poprawił włosy.

– Powiedziałem Logan, że to bardzo krzywdzące.

– Rozmawiałam dzisiaj z Louise Brice – włączyła się Seward. – Według niej, Logan niepokoiła się pewnymi sprawami w waszym związku. Zechciałbyś to skomentować?

– Kompletna bzdura! – wybuchnął Ball. – Louise to zadufana w sobie suka, nigdy mnie nie lubiła, zawsze robiła mi koło pióra. Logan i ja sprzeczaaliśmy się, jak wszystkie pary.

– O co?

– Logan czasami bywa samotniczką. Czułem, że powinienem poszukać dla nas wspólnych zainteresowań.

– Czy Louise Brice w jakikolwiek sposób dopięła swego? – spytała Seward.

– Logan mówiła, że mnie kocha.

– Czy zatem prawdą jest, że zerwała zaręczyny?

Jamie Ball znów milczał przez kilka chwil.

– Tak – wyznał w końcu. – Chodzi o to, że przeżywaliśmy dość trudny okres. Ale wszystko miało się ku lepszemu. To znaczy... no wiecie... przegadaliśmy to. Wszystkie pary miewają takie gorsze okresy, prawda?

– Dzisiaj rozmawiałam też z panią Tiną Somerville – oznajmiła Liz Seward. – To matka Logan, zgadza się?

– Tak.

– Powiedziała mi, że ostatni weekend Logan spędziła z nią i jej mężem. Bez ciebie. Pani Somerville twierdzi, że jej córka martwiła się tym, że nie przyjmujesz do wiadomości, iż wasz związek się skończył. Możesz to skomentować?

– Jestem zdziwiony. – Znowu wzruszenie ramionami. – Chociaż właściwie nie jestem. Logan zawsze mówiła o tarciach między nią a rodzicami. Oni są farmerami, dzierżawią ziemię. Nie wiem, czy rozumiecie, jak działa ten system.

– Zechciałbyś nam wyjaśnić? – poprosiła Liz Seward.

– Znaczna część rolnictwa w Anglii opiera się na dziwnym, niemal feudalnym systemie. W tym kraju większość ziemi, wraz z rozległymi posiadłościami, należy do wywodzących się z arystokracji obszarników. Tradycyjnie dzierżawili oni ziemię rolnikom za stosunkowo niski czynsz. Transakcja polega na tym, że rolnicy dbają o ziemię i wyciągają z niej dla siebie, ile się da. Odnoszą więc korzyść, bo otrzymują sporo gruntów uprawnych, ferm drobiowych lub pastwisk dla owiec. Minus jest taki, że ani gospodarstwa, ani ziemia nie są ich własnością. Pod koniec trzeciego pokolenia muszą przedłużyć kontrakt. Jak rozumiem, działa to tylko wtedy, gdy dane pokolenie zgadza się na istniejące warunki. Rodzice Logan nie byli zadowoleni z tego, że uprawa ziemi w ogóle mnie nie interesuje. Mieli nadzieję, że Logan wyjdzie za kogoś, kto się tym zajmie.

– Czyli ich umowa dzierżawy była zagrożona?

– Tak. Jej rodzice są po sześćdziesiątce, nigdy nie kupili nic na własność. Grozi im utrata domu. Są źli na Logan, że nie znalazła potencjalnego męża, który byłby gotów zająć się ziemią. Prawda jest jednak taka, że Logan ma gdzieś uprawianie ziemi. To ciężki kawałek chleba.

Grace obejrzał resztę nagrania, ale dalej nie było już nic ważnego. Jamie Ball i tak powiedział wystarczająco dużo.

Logan Somerville zerwała zaręczyny, czego on nie przyjął do wiadomości. Twierdził, że znowu mieli się zejść. Jednak i najlepsza przyjaciółka Logan, i jej rodzice mówili coś innego.

Czy Jamie stał za zniknięciem Logan?

Informacje, jakimi dysponował Grace, nie pozwalały mu odpowiedzieć ani twierdząco, ani przecząco na to pytanie. Na razie.

28

12 grudnia, piątek

Edward Crisp pożegnał się z ostatnim pacjentem w tym tygodniu. Rob Lowe, deweloper w podeszłym wieku, był przekonany, podobnie jak przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, że jest śmiertelnie chory.

Lowe należał do pacjentów, których Crisp przyjął na samym początku praktyki. Ówczesny internista Lowe'a skierował go do Crispa; pacjent skarżył się na powracający ból szyi, przekonany, że to rak gardła. Crisp zdołał go uspokoić wyjaśnieniem, że ból jest wynikiem nadwerężenia szyi od gry w tenisa. Od tamtej pory, mniej więcej co dwa miesiące, Lowe pojawiał się, niekiedy w towarzystwie swojej żony Julie, z nowinami o kolejnej urojonej śmiertelnej chorobie, objawiającej się w innej części ciała. Bóle w klatce piersiowej. Bóle lędźwiowe. Bóle w pachwinie. Zanik apetytu. Utrata wagi.

O ile zawał, wylew, wypadek czy zapalenie płuc nie zabierze go wcześniej z tego świata, pewnego dnia Rob Lowe oczywiście będzie miał rację. Niemal u każdego, kto żyje wystarczająco długo, diagnozuje się takiego czy innego raka. Teraz jednak, w wieku osiemdziesięciu trzech lat, Lowe miał się dobrze, a jego najnowsze urojenie, guz mózgu, jako przyczyna nieostrego widzenia, wskazywało tylko, że potrzebny jest zabieg usunięcia zaćmy.

Sekretarka Crispa, Jenni, zajrzała przez drzwi, by życzyć mu dobrej nocy, po czym stanęła w progu, patrząc na lekarza tym samym co zwykle, zaciekawionym, niemal wyczekującym wzrokiem.

– Jakie masz plany na ten weekend? – zapytał, bardziej z uprzejmości niż z prawdziwego zainteresowania.

– Jutro zabieram siostrzeńca i siostrzenicę, Stara i Ashton, do Thorpe Park – odparła. – Poza tym nie mam żadnych planów.

Tego wieczoru spojrzenie Jenni szczególnie go drażniło. Choć właściwie teraz irytowało go wszystko. Dlaczego ta cholerna baba tak się na niego gapi? Czyżby oczekiwała, że Crisp nagle zerwie się z fotela i wyzna jej miłość?

Atrakcyjna kobieta, o klasycznej angielskiej rumianej twarzy, z krótkimi, elegancko przyciętymi brązowymi włosami, była osobą smutną i nieco tragiczną. Crisp wiedział wszystko o jej życiu osobistym, ponieważ wyznała mu to kilka lat temu, gdy zabrał ją na tradycyjny lunch przed Bożym Narodzeniem. Jenni zwierzyła się, że ma romans z żonatym mężczyzną, ojcem trójki dzieci, wziętym radcą prawnym z Brighton. Sprawa ciągnęła się od lat. On obiecywał, że kiedy dzieci podrosną na tyle, żeby to zrozumieć, rozstanie się z żoną. Crisp czuł jednak, że nigdy do tego nie dojdzie.

Kilkakrotnie próbował przekonać Jenni, żeby rzuciła prawnika i weszła na portal randkowy, póki jeszcze jest młoda. Ona ignorowała jego rady, ale okazało się, że Crisp miał rację. Dzieci prawnika już dawno wyfrunęły z domu, a płomień namiętności przygasł. Teraz pozostali jej tylko siostrzeniec i siostrzenica, choć pewnie nimi też długo się nie nacieszy, bo wkrótce zaczną chodzić na randki.

– A jakie ty masz plany? – zapytała Jenni.

– Jutro zabieram Smut na długi spacer. Potem jestem zaproszony na kolację z grupą lekarzy. Proktolog, onkolog, dermatolog oraz anestezjolog z partnerkami. Próbują mi znaleźć jakąś kobietę.

– Brzmi fajnie! – zaszczebotała Jenni, choć w jej oczach błysnęło rozczarowanie.

– Hm – mruknął Crisp.

– Cóż, zadzwoń, jakbyś mnie potrzebował.

Crisp uśmiechnął się blado. Sekretarka mówiła to samo w każdy piątkowy wieczór.

– Dzięki, tak zrobię.

W ciągu dwudziestu lat nigdy nie zadzwonił. Jenni zamknęła za sobą drzwi i Crisp został sam na sam z przykrymi myślami.

U góry listy figurowała ta suka, jego żona Sandra. Pieprzyła się z zadowolonym z siebie chirurgiem plastycznym, Rickiem Maranellem. Kilka miesięcy temu znajomy lekarz zdradził to Crispowi, jak gdyby wyświadczał mu przysługę. Dla Crispa nie było to wielkim zaskoczeniem. Sandra mniej więcej w tym czasie zaczęła unikać seksu, a właściwie, jak się nad tym zastanowił, stało się to już dawniej. Na dobrą sprawę przestała uprawiać seks po urodzeniu drugiego, ostatniego ich dziecka. Jednak Crisp miał na głowie poważniejsze problemy niż rozmyślanie o żonie baraszkującej w łóżku z obleśnym, narcystycznym chirurgiem plastycznym.

Z powodu nowych rozporządzeń państwowych zagrożona była cała jego egzystencja.

Jeszcze do niedawna wszyscy lekarze rodzinni w Wielkiej Brytanii mogli prowadzić samodzielną praktykę. Odkąd jednak taki prywatny lekarz, Harold Shipman, został skazany na dożywocie za zabicie piętnastu swoich pacjentów – przy czym faktyczna liczba ofiar, choć nigdy jej nie ustalono, sięgała ponoć kilkuset – przepisy dotyczące internistów uległy zmianie. Praktyka lekarzy rodzinnych miała podlegać weryfikacji, inaczej mówiąc, miała być wzięta pod lupę. Lekarze będą corocznie oceniani, zarówno przez kolegów i współpracowników, jak i pacjentów. Połowę oceniających mieli stanowić lekarze, połowę osoby niezwiązane z medycyną. W efekcie niemal wszyscy lekarze publicznego systemu opieki zdrowotnej oraz część lekarzy innych systemów pracowali obecnie w centrach medycznych.

Prywatni interniści, tacy jak Crisp, byli dotychczas zwolnieni z weryfikacji i mogli swobodnie praktykować. Ostatnio jednak czytał, że to się zmieni.

Dlaczego?

Kim byli debilni pracownicy służby państwowej i wybrane dupki, które postanowiły – z powodu jednego zgniłego jaja sprzed lat – że lekarzom rodzinnym nie można już ufać? Krótko mówiąc, Crisp będzie musiał prosić pacjentów i lekarzy o sążniste poświadczenia jego umiejętności. Jakież to poniżające!

Co za pieprzona biurokracja!

Jedyne wyjście to dołączyć do jednego z cholernych centrów medycznych. Jego pacjenci, których dobro tak bardzo leżało Crispowi na sercu, trafią w łapy jakiegoś nieudacznika, kiedy on sam nie będzie mógł ich przyjąć. Co za groteska! Wszyscy jego pacjenci go kochali i on kochał ich. Ludzie u progu życia, ciężarne kobiety, pełne nadziei i radości, a także śmiertelnie chorzy, których wspierał od chwili tragicznej diagnozy, towarzyszył im w ostatnich dniach, a wreszcie przychodził na pogrzeby.

Medycyna nie jest nauką ścisłą. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż Edward Crisp. Dowiedziono, że jednym z najskuteczniejszych leków jest placebo. Wielokrotnie leczył pacjentów z najróżniejszych dolegliwości, od depresji do poważniejszych schorzeń fizycznych, doradzając im długie spacerunki na wsi lub nad morzem.

Teraz ci tak zwani eksperci medyczni wysuwali komiczne żądania. Kwestionowali etykę Crispa i jemu podobnych.

Cóż, pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich. Pieprzyć jego żonę, którą zresztą już pieprzył Rick Maranello. Pieprzyć dzieci, tę dwójkę aroganckich, niewdzięcznych bękartów.

Pieprzyć cały świat.

Bo świat z całą pewnością pieprzył jego.

29

12 grudnia, piątek

Przed Jacobem Van Damem siedział ostatni pacjent w tym tygodniu. Kapitan Neil Fisher został z honorami zwolniony z wojska na skutek załamania nerwowego, jakiego doznał podczas swojego trzeciego pobytu w Afganistanie w zeszłym roku.

W trakcie ataku na pozycje nieprzyjaciela biegnący obok kapitana jego najlepszy przyjaciel, który niedawno się ożenił, został trafiony w brzuch odłamkiem. Fisher, z wewnątrznościami ранego na twarzy, zaniósł go do leja po pocisku, gdzie tamten zmarł, łkając i wzywając żonę. Obecnie kapitan Fisher cierpiął z powodu szoku pourazowego.

Psychiatra nie mógł się skupić na słowach byłego żołnierza, podobnie jak nie potrafił się skoncentrować na żadnym pacjencie od czasu wizyty dziwnego anestezjologa, doktora Harrisona Huntera. W głowie Van Dama kłębiły się sprzeczne myśli.

Po telefonie do zrozpaczonej siostry Tiny, która potwierdziła zaginięcie Logan, spędził godzinną przerwę na lunch, gorączkowo szukając w internecie tajemniczego anestezjologa. Jedyne Harrison Hunter, jakiego znalazł, był dyrektorem kanadyjskich linii kolejowych Pacific Railway. Jego zdjęcie w żadnej mierze nie przypominało tego nowego pacjenta.

Doktor Crisp oddzwonił, ale nie rzucił nowego światła na osobę Harrisona Huntera. Przekonany, że anestezjolog cierpi na omamy i potrzebuje pomocy psychiatrycznej, poradził Van Damowi, by powiadomił policję.

Po wyjściu Fishera, któremu wypisał receptę na leki antydepresyjne, Van Dam głęboko się zamyślił. Czy powinien zadzwonić na policję? Jednak aby to zrobić, musiał nabrać pewności, że wierzy Hunterowi, kimkolwiek on był. Van Dam miał silne przeczucie, że tamten cierpi na omamy. W przeszłości zdarzało się, że pacjenci wyznawali psychiatrze zbrodnie, których w istocie nie popełnili. Raz, po takim wyznaniu, zawiadomił policję, ale usłyszał, że podobnego morderstwa w ogóle nie popełniono. Podczas kolejnej wizyty pacjent przyznał, że wszystko zmyślił.

Czy Hunter, jak uważał doktor Crisp, faktycznie miał urojenia? Jeśli teraz zadzwoni na policję i poda im nieprawdziwe informacje, jakich dostarczył mu Hunter, czy zakłóci to lub spowolni śledztwo?

Logan była uroczą dziewczyną, ciepłą i naturalną. Zrozpaczona siostra Van Dama powiedziała mu to, o czym już przeczytał. Policja wszczęła poszukiwania. Van Dam spostrzegł migające światelko telefonu. Ktoś dzwonił z zewnątrz. Sekretarka wyszła już przed paroma godzinami. Podniósł słuchawkę i wcisnął guzik.

– Doktor Van Dam?

– Tak? – Rozpoznał głos. – Doktor Hunter?

– Sprawa Logan Somerville nie wygląda dobrze, prawda?

Wcześniej psychiatra przygotował się na kolejną rozmowę z tym człowiekiem. Miał całą listę pytań sprawdzających.

– Jak dobrze znasz moją siostrzenicę?

– Wcale jej nie znam, doktorze Van Dam. Znam jedynie człowieka, który ją wprowadził.

– Doprawdy?

– To ktoś mocno zaburzony. Jeśli chcemy, żeby nic jej się nie stało, musimy postępować bardzo ostrożnie.

– Powiedz, czemu miałbym ci wierzyć?

– Cóż, mogę ci powiedzieć o Logan coś, czego nie wie policja.

– Jak ona ma na drugie imię, doktorze Hunter?

– Nie wiem.

– Znasz jej datę urodzenia?
– Co to ma być? Jakaś gra, doktorze Van Dam?
– W domniemanym uprowadzeniu kobiety nie ma chyba nic z żadnej gry.

– Widzisz? – Wyglądało na to, że Hunter nieźle się bawi. – Nawet nie masz pewności, czy ją uprowadzono. Może Logan po prostu uciekła od swojego chłopaka. Przepraszam, od narzeczonego.

Słowa Huntera wstrząsnęły psychiatrą. Właśnie to powiedziała mu siostra, gdy wcześniej zadzwonił do niej, żeby sprawdzić, czy Logan faktycznie zaginęła. Jaki związek miał z tym Hunter?

– Czy zechciałbyś zdradzić, skąd o tym wiesz?
– Można to przeczytać na jej stronie na Facebooku!
– Niestety, raczej nie jestem na bieżąco z mediami społecznościowymi.

– Cóż, ostatnio Logan zamieściła na Facebooku kilka wpisów. Pierwszy mówi o zerwaniu zaręczyn z Jamiem Ballem. Drugi, sprzed paru dni, brzmi: „Cytując Henryka Drugiego. Czyż nikt mnie nie uwolni?”.

– Czyż nikt mnie nie uwolni od tego uprzykrzonego klechy? – powiedział Van Dam.

– Wygrałeś!
– Twierdzisz, że Logan zniknęła, by uwolnić się od narzeczonego? – Van Dam się zasepił.

– To ty masz być ekspertem w sprawach ludzkiej psychiki. Dama zmienia zdanie, ale gość nie przyjmuje tego do wiadomości. Może rozsądnie jest zniknąć. Przyczać się. Niech facet ochłonie.

W myślach Jacoba Van Dama zapanował całkowity mętlik. Czy Logan faktycznie wyreżyserowała swoje zniknięcie, żeby uwolnić się od narzeczonego? Nim zacznie to rozważać, musi sprawdzić, czy Hunter mówi prawdę, a nie fantazjuje, jak początkowo się obawiał.

– Jak dobrze znasz człowieka, który według ciebie uprowadził moją siostrzenicę, Hunter?

– Trudne pytanie. Jak dobrze znasz swoich pacjentów? Przecież wiesz jedynie to, co ci mówią. Jak dobrze znamy samych siebie? Czy ty sam znasz siebie? Ja wątpię, czy siebie znam. Zabierz mi twarz i nazwisko, a raczej nie rozpoznałbym siebie, gdyby ludzie o mnie rozmawiali. A jak jest z tobą?

– To chyba nie najlepszy czas na dysputy filozoficzne, doktorze Hunter. Moja siostrzenica zaginęła i są osoby, które uważają, że jej życie może być zagrożone. Jeśli posiadasz inne informacje, byłbym wdzięczny, gdybyś mi je przekazał.

– W twoim głosie słyszę sceptycyzm, doktorze.

– Nie lubię ludzi, którzy bawią się ze mną w kotka i myszkę. Jest godzina osiemnasta, piątek. Jestem zmęczony i chcę wrócić do domu.

– Przypuszczam, że Logan też chciałaby wrócić do domu.

– Dopiero co mówiłeś, że mogła uciec od narzeczonego.

– A wcześniej powiedziałem, że jestem jedynym człowiekiem, który może ocalić jej życie.

Psychiatra milczał przez chwilę. Wieloletnia praktyka nie przygotowała go na konfrontację z tak pokręconym typem. Czy Hunter uprowadził Logan? Był znajomym lub współnikiem porywacza? Czy też, jak sugerował, powód zniknięcia Logan wcale nie był tak złowrogi, jak wszyscy sądzili?

– Dobrze – rzekł w końcu. – Jeżeli Logan uciekła od narzeczonego, jaki będzie jej następny krok?

– Nie chciałbym snuć domysłów. To właśnie próbuję ci wyjaśnić.

Coś w głosie tamtego mocno niepokoiło Van Dama. Zupełnie jakby się przechwalał. Jak gdyby miał jakąś szczególną wiedzę. Psychiatra postanowił go nacisnąć.

– Dobrze znasz moją siostrzenicę, doktorze Hunter?

– Tego bym nie powiedział.

– Ale ją znasz?

W słuchawce zapadło długie milczenie. Van Dam wyczuwał, że dynamika uległa zmianie. Musiał uzyskać pewność, a wciąż był od tego daleki. Postanowił mocniej naciskać.

– W tym, co mi powiedziałaś, doktorze Hunter, jest niewiele przesłanek, bym mógł wierzyć, że znasz Logan albo kogokolwiek z nią związanego. Uważam, że jesteś mocno zaburzonym człowiekiem, który próbuje rekompensować sobie pewien głęboki deficyt. Więc albo powiedz mi coś istotnego o Logan Somerville, albo wróć do swojej nory i poszukaj innego frajera.

– Naprawdę chcesz zaprzepaścić okazję do uratowania życia swojej siostrzenicy?

– Wcale nie. Ale nie wierzę, że możesz ją ocalić. Przekonaj mnie. Powiedz mi na temat Logan coś istotnego, co sprawi, że ci uwierzę.

– Dobra, doktorze Van Dam. Słuchaj uważnie. Jeżeli powiesz o mnie policji, nigdy więcej się nie odezwę i już nigdy nikt nie zobaczy jej żywej. Dlatego gęba na kłódkę. Twoja siostrzenica ma znak na prawym udzie.

– Doprawdy? Jaki znak?

– Trzy słowa.

– Co to za słowa?

– I NIE ŻYJESZ.

30

12 grudnia, piątek

O osiemnastej piętnaście Roy Grace, z kubkiem kawy w dłoni, opuścił gabinet, przeszedł przez drzwi bezpieczeństwa i zagłębił się w labirynt korytarzy, przechodząc po drodze obok sali MIR-1, gdzie znajdowało się centrum jego operacji Haywain oraz kierowanej przez Glenna Bransona operacji Mona Lisa, dotyczącej ciała z Hove Lagoon. Zgodnie z tradycją wydziału kryminalnego policji Sussex, nadal podtrzymywanej, nawet po połączeniu z Surrey, dowcipnisie z obu zespołów przylepili w środku na drzwiach obrazki. Operację nadinspektora ilustrowała wydarta z czasopisma reprodukcja obrazu Constable'a *Wóz na siano*, w interpretacji Banksy'ego: wózek z supermarketu wystający ze strumienia. Operację Glenna Bransona anonsował rysunek Mony Lisy trzymającej iPada.

Nagle Roy Grace usłyszał za sobą znajomy, zakłopotany głos:

– Czy mogę na słówko, szefie?

Odwrócił się i ujrzał posepnego Normana Pottinga, pięćdziesięcioletniego detektywa w stopniu sierżanta, z zaczeską jeszcze bardziej niechlujną niż zwykle, ubranego w złachaną tweedową marynarkę, wymiętą koszulę, przekrzywiony krawat i szare spodnie jak psu z gardła.

– Jasne, Norman – powiedział serdecznie Roy. – Jak się trzymasz?

– Jest ciężko, zwłaszcza kiedy jestem w Sussex House.

– Na pewno masz siłę pracować?

– Muszę się czymś zająć, szefie. Nie mogę siedzieć w domu z założonymi rękami.

W poniedziałek miał się odbyć pogrzeb narzeczonej Pottinga, Belli Moy, która parę tygodni wcześniej zginęła, ratując z płonącego domu w Brighton najpierw dziecko, a potem psa.

– Rozumiem, Norman.

– Jest coś jeszcze... chciałbym poznać twoje zdanie.

– Tak?

Trzej członkowie zespołu przeszli obok nich – z szacunkiem skinęli głową Grace’owi, jeden poklepał Normana po ramieniu. Kiedy się oddalili, Potting powiedział:

– Chodzi o mojego raka prostaty. Muszę podjąć pewne decyzje... no wiesz... teraz utrzymywanie małego w akcji nie ma już znaczenia. Lekarze przedstawili mi wszystkie opcje. Byłbym wdzięczny, gdybyśmy usiedli i je omówili. Jesteś jedyną osobą, z której zdaniem się liczę.

– Może być w przyszłym tygodniu po pogrzebie, Norman? Czy sprawa jest pilniejsza?

– Przyszły tydzień pasuje, Roy, dzięki.

Potting oddalił się pośpiesznie, ze łzami w oczach.

Grace patrzył za nim, głęboko zasmucony. Boże, ludzie czasami dostają od losu naprawdę gówniane karty. Życie osobiste Normana stanowiło niekończące się pasmo klęsk. Po trzech czy czterech nieudanych małżeństwach wydawało się, że w końcu znalazł prawdziwą miłość. Po czym została mu odebrana. Na domiar złego u biedaka stwierdzono niedawno nowotwór.

Właśnie ten rak trapił teraz Grace’a. Czytał, że szok może poważnie osłabić układ odpornościowy człowieka. Nadinspektor słyszał o ludziach, którzy po ciężkiej traumie zapadali na agresywną formę raka. Miał nadzieję, że śmierć Belli nie wpłynie w ten sposób na Normana. Pomijając fakt, że był świetnym detektywem, po latach wspólnej pracy Grace miał do niego słabość.

Wrócił myślami do bardziej palącej kwestii odnalezienia Logan Somerville. Idąc za Pottingiem do centrum operacyjnego, zerknął na przypięte do czerwonych tablic ściennych diagramy,

które miały przypominać starszym oficerom i ich podwładnym o procedurach i protokołach obowiązujących w trakcie dużych śledztw.

Policjanci zazwyczaj mijali tablice, nie poświęcając im uwagi, ale Grace od czasu do czasu lubił ponownie to przeczytać. Łatwo było popaść w samozadowolenie, a właśnie wtedy człowiek popełniał błędy. Spojrzał na „Model dochodzenia w sprawie morderstwa”, złożony z licznych diagramów, potem na „Szybką ścieżkę”. Szukał diagramu odnoszącego się do osób zaginionych. Nie znajdując go, dokładniej przyjrzał się „Analizie standardowej”:

1. *Związki ofiary*
2. *Sekwencja zdarzeń*
3. *Odtworzenie ruchów podejrzanego*
4. *Porównanie z podobnymi sprawami*

Przy ostatnim punkcie Grace głęboko się zastanowił. *Porównanie z podobnymi sprawami*. Czytał dalej.

5. *Mapa*
6. *Analiza miejsca*
7. *Wywiad środowiskowy*

Po przeczytaniu całej listy ruszył do sali konferencyjnej. Postanowił właśnie tam zrobić odprawę, częściowo po to, by pomieścić liczny zespół, a częściowo po to, żeby nie przeszkadzać Glennowi Bransonowi i jego ludziom. Czuł jednak – choć w chwili obecnej w żaden sposób nie potrafił tego wytłumaczyć racjonalnie – że obie te sprawy, mimo że dzieliło je trzydzieści lat, wiążą się ze sobą.

Kiedy Grace wszedł do sali, większość członków dwudziestopięciosobowego zespołu siedziała już przy dużym prostokątnym stole. Na stojakach umieszczono kilka tablic

ściągniętych z dochodzeniówki. Na jednej z nich widniały dwa zdjęcia Logan Somerville: samej oraz z narzeczonym, na plaży.

Druga tablica przedstawiała diagram związków, złożony z symboli mężczyzny i kobiety, oznaczonych *Logan Somerville* i *Jamie Ball*. Trzecia ukazywała sekwencję zdarzeń.

Grace zajął miejsce w końcu stołu, tyłem do szeregu niebieskich ekranów z godłem policji Sussex, skinieniem głowy powitał stałych współpracowników, a także nowego członka zespołu, krępego czterdziestopięcioletniego detektywa, z którym już kiedyś pracował. W ramach szkolenia Kevin Taylor dołączył do nich na dwa lata.

Nadinspektor spojrział na notatki sporządzone przez asystentkę Tish Hannington. Odczekał do wpół do siódmej, aż wszyscy już przyszli i usiedli, po czym zaczął:

– To jest druga odprawa operacji Haywain, dotyczącej zaginięcia Logan Somerville. Jak twierdzi jej narzeczony, a raczej, jak ustaliliśmy, były narzeczony, Jamie Ball, Logan zaginęła wczoraj około siedemnastej trzydzieści. Zbyt wcześnie jest wnioskować, że została uprowadzona, chociaż pewne przesłanki na to wskazują. Ball może być niewiarygodnym świadkiem. Zarówno najlepsza przyjaciółka zaginionej, jak i jej matka powiadomiły nas, że choć Logan zerwała zaręczyny, co potwierdza wpis na Facebooku, Ball nie chciał się z tym pogodzić. Niezależnie od tego, jak wygląda prawda, bardzo niepokoimy się o bezpieczeństwo Logan. Z przykrością stwierdzam, że po upływie ponad doby zaginiona nie nawiązała z nikim żadnego kontaktu. Porwanie dla okupu jest mało prawdopodobne; rodzina Logan nie jest zamożna, a do tego czasu oczekiwałbym już wiadomości lub żądań od porywaczy. Dlatego najbardziej prawdopodobne jest uprowadzenie, niewykluczone, że na tle seksualnym.

Grace przerwał, by wypić łyk kawy.

– W tym miejscu pragnę zrobić jedno spostrzeżenie, które może być istotne lub nie. Logan Somerville ma dwadzieścia cztery lata. Jak widzicie na zdjęciach, ma długie brązowe włosy.

Dwa tygodnie temu w zachodnim Sussex zaginęła inna młoda kobieta, Emma Johnson, która w przeszłości notorycznie ginęła. Ma dwadzieścia jeden lat, a wspominam o niej, ponieważ jest w podobnym wieku co Logan, wygląda podobnie, niemal identycznie się czesze. Możliwe, że nic nam to nie da, ale zdarzało się już, że uprowadzano kobiety, które podobnie wyglądały. Ofiary amerykańskiego seryjnego gwałciciela i zabójcy Teda Bundy'ego, straconego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, wyglądały podobnie i miały identyczne fryzury. Uczestniczyłem w sekcji ofiary znalezionej wczoraj w Hove Lagoon i wszystko wskazuje na to, że również miała długie brązowe włosy. Nie wyciągam pochopnych wniosków, ale chcę rozpocząć poszukiwania. Zaczniście od Sussex i posuwajcie się na południowy wschód, szukając zaginionych kobiet podobnych do Logan Somerville. Na początek skupcie się na ostatnich dwunastu miesiącach, potem cofnijcie się o pięć lat.

Grace zwrócił się do analityczki Annalise Vineer:

– Odpowiadasz za to, Annalise.

Było to ważne i trudne zadanie.

– Tak jest, panie nadinspektorze.

– Guy – Grace spojrzął na Batchelora – Glenn Branson kieruje sprawą szczątków młodej kobiety znalezionych wczoraj w Hove Lagoon. Chcę, żebyś z nim współpracował i sprawdził, czy możemy wykluczyć związek tamtej kobiety z naszym dochodzeniem.

– Na jakiej podstawie sądzisz, szefie, że może istnieć związek?

– Na tym etapie to niewiele więcej niż przecucie, Guy. Gdybyś przekazał nam tożsamość tej kobiety, kiedy tylko zdołają ją ustalić, mogłoby to nam bardzo pomóc. – Teraz z kolei Grace zwrócił się do Pottinga, mając świadomość, jak on się czuje, ale chciał mu zlecić zadanie, które pozwoli mu oderwać się od bieżących trosk. – Normanie, chcę, żebyś zgromadził wszystkie dane zaginionych kobiet z listy, którą przekaże ci Annalise.

Zacznij od przedziału wiekowego szesnastu do czterdziestu pięciu lat.

Nagle w sali rozległa się ścieżka dźwiękowa z *Jamesa Bonda*. Norman Potting wyjął z kieszeni komórkę. Przepraszająco skinął głową do Grace'a i oddalił się od stołu. Po chwili wrócił.

– Przepraszam, szefie. Dzwonili z zakładu pogrzebowego w sprawie muzyki w poniedziałek.

Przy stole zaległa pełna szacunku cisza. Potting usiadł, zatopiony w myślach.

Grace odczekał, aż Potting się usadowi, po czym wziął na warsztat detektyw Jane Wellings, odpowiedzialną za nagrania z kamer.

– Jane, czy masz coś nowego na temat tego volvo? Co z zapisem numerów rejestracyjnych?

– Nadal analizujemy nagranie i sprawdzamy, co pasuje do danego czasu i okolicy.

John Morgan, odpowiedzialny za miejsce zbrodni, wskazał zebrany umieszczony na tablicy dwa zdjęcia śladów buta.

– To są ślady tego samego buta, jeden przedstawia cały ślad, drugi daje powiększenie wzoru podeszwy. Przesłałem je do bazy danych obuwia, gdzie powinni ustalić producenta.

– A rozmiar? – spytał detektyw Exton.

– Producent powinien go ustalić – wtrącił Roy Grace. – Ten zygzak... Przypuszczalnie na butach jest różna liczba zygzaków, w zależności od rozmiaru.

– Chcesz znowu zaangażować analityka kroków, Haydna Kelly'ego? – zapytał Batchelor.

– Przesłałem mu te zdjęcia mailem, pytając, czy może coś wywnioskować z tego śladu – odparł Grace.

– Szefie, czy mamy dosyć, żeby ponownie przesłuchać tego typu, Jamiego Balla? – odezwał się Jon Exton.

– Owszem. Facet nadal mi się nie podoba, chociaż nie mam pewności, że to on jest sprawcą. Pierwsze przeszukanie serwisów społecznościowych, z których korzystała Logan, nic nam nie dało. Alibi Balla opiera się na tym, że w czasie, gdy Logan do

niego zadzwoniła, jechał autostradą M-dwadzieścia trzy w pobliżu lotniska Gatwick. Od operatora komórkowego wiemy, że z telefonu Logan dzwoniło do jej narzeczonego gdzieś w pobliżu ich domu. Wiemy też, że telefon Balla odebrano w okolicy, gdzie, jak twierdzi, przebywał. Na tym etapie nie możemy jednak być pewni, że telefonowała Logan Somerville, mamy na to tylko słowo Balla. Podobnie możemy mu jedynie wierzyć, że to on odebrał telefon i z nią rozmawiał.

Grace powiódł wzrokiem wokół stołu i ogarnął go nagły smutek z powodu braku detektyw Belli Moy. Brakowało mu znajomego grzechotania cukierków Maltesers, które zawsze miała przed sobą i nieustannie jadła.

– Sugerujesz, że Ball mógł wyreżyserować całą tę historię? – spytał Guy Batchelor. – Że dzwonił człowiek, który uprowadził Logan Somerville, przyjmijmy na moment, że był to Jamie Ball, a odebrał wspólnik Balla, jadący jego samochodem, trasą, którą ten wracałby z pracy do domu?

– To jedna z hipotez – przyznał Grace. – Bardzo mało prawdopodobna, ale należy ją sprawdzić. Zamierzam porozmawiać z jednym z naszych informatorów i dowiedzieć się, czy na ulicy mówi się coś o Ballu. Ludzie, którzy zostają odrzuceni, potrafią wpaść w silny gniew. Zobaczmy, czy rozglądał się za płatnym zabójcą. Najlepiej byłoby wykluczyć Balla ze sprawy, jeśli rzeczywiście nie miał z nią nic wspólnego.

Najmłodszy członek zespołu, posterunkowy Jack Alexander, podniósł rękę.

– A może uzyskać nakaz i ponownie przeszukać mieszkanie tej pary, panie nadinspektorze? Gdybyśmy znaleźli but z podobnym wzorem na podeszwie, moglibyśmy włączyć Jamiego Balla w krąg podejrzanych, prawda?

Grace uśmiechnął się do młodziaka. Na początku kariery sam snuł podobnie naiwne domysły.

– Nie bardzo wiem, co by nam to powiedziało, Jack, skoro facet tam mieszka.

W sali rozległy się chichoty, a posterunkowy spiekł raka. Mimo to brnął dalej:

– Owszem, ale byłoby interesujące, gdyby jeden z butów Balla miał na podeszwie świeżą benzynę.

– Słusznie, Jack – przyznał Grace. – Należy też sprawdzić, czy śladu nie zostawił ktoś z naszych ludzi.

Rękę podniosła detektyw Tanja Cale, olśniewający nowy nabytek w zespole, zatrudniona na miejsce Belli Moy. Cale odpowiadała za wywiad środowiskowy.

– Możliwe, że mamy coś interesującego, panie nadinspektorze – powiedziała. – Ktoś ze wsparcia policji powiadomił nas, że pewna starsza pani z Chesham Avenue, pięć domów od wjazdu na podziemny parking w Chesham Gate, kazała zainstalować kamerę skierowaną na ulicę. Kobieta miała problemy z miejscowymi dzieciakami, podobno kilka miesięcy temu nakrzyczała na nie, że śmiecą na ulicy. Od tamtej pory dzieciaki uprzykrzają jej życie, mażą graffiti na jej samochodzie, a nawet zostawiły w jej ogródku zdechłego kota z przyczepioną kartką z pogrózkami.

– Czy wczoraj wieczorem kamera była włączona?

– Tak – potwierdziła Tanja. – Jest skierowana w dół, przede wszystkim na ogródek przed domem i chodnik. Wczoraj, tuż po siedemnastej trzydzieści, kamera uchwyciła dolną część samochodu jadącego z dużą prędkością. Przekaz jest czarno-biały, więc nie można ustalić koloru pojazdu, ale jest ciemny, a dwaj funkcjonariusze z drogówki rozpoznali stary model volvo kombi, mniej więcej dziesięcioletni.

– Co z numerami rejestracyjnymi?

– Niestety, ich nie mamy.

Potwierdzenie informacji o szybko jadącym samochodzie zelektryzowało Grace'a.

– Dobra robota. Masz teraz zadanie: zdobyć listę wszystkich liczących sobie od pięciu do piętnastu lat volvo kombi, których właścicielami są mieszkańcy Brighton. Sprawdź też, czy takie

auta zostały wychwycone przez kamery w rejonie Brighton godzinę wcześniej i godzinę później.

– Tak jest, panie nadinspektorze.

Kolejne dwadzieścia minut Grace poświęcił na omówienie kierunków śledztwa. Skończył o dziewiętnastej piętnaście, nieco ponad dwadzieścia pięć godzin od chwili zaginięcia Logan.

Według statystyk, kobieta już nie żyła, ale Grace nie brał pod uwagę takiej możliwości. Musiał wierzyć, że wciąż żyje, i musiał ją znaleźć żywą. Pomijając jego własną determinację, naciskała na niego zarówno Rada Miejska, jak i komisarz policji hrabstwa Sussex Nicola Roigard. Wkrótce, kiedy Tom Martinson przejdzie na emeryturę, co było tajemnicą poliszynele, Grace będzie też musiał znosić naciski nowego szefa.

Nie wspominając o ludziach, którym losy miasta leżały na sercu z czysto praktycznych powodów, takich jak agencja turystyczna Visit Brighton. Z pewnością życzyli sobie szybkiego rozwiązania sprawy, aby ten malowniczy kurort nadmorski nie trafił znów na łamy gazet i na ekrany telewizorów z powodu kolejnej ponurej zbrodni. Ci ludzie za wszelką cenę pragnęli odnalezienia Logan Somerville.

Żywej.

Tego samego pragnął nadinspektor Roy Grace. Nigdy nie był defetystą, wiedział jednak, że szanse na odnalezienie jej żywej są nikłe.

31

12 grudnia, piątek

Jamie Ball siedział na sofie z otwartym laptopem i z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, oglądając to swoją stronę na Facebooku, to nieustannie zmieniające się zdjęcia. Trochę krajobrazów, zdjęcie psa rodziców Logan, szczęśliwego czarnego labradoodle'a, zdjęcie z ich zaręczyn z udziałem rodziców i rodzeństwa ich obojga, ale większość zdjęć przedstawiała jego i Logan.

Drżącą dłonią dolał sobie wina. Zmęczenie zaczęło dawać mu się we znaki, ale alkohol, zamiast go uspokajać, tylko go pobudzał niczym mocna kawa; skóra na głowie napinała się mocno, wręcz boleśnie. Jamie czuł piasek pod powiekami, z trudem skupiał uwagę. Bezwiednie bębnił po stoliku palcami lewej dłoni.

Rodzice Jamiego zaprosili go do siebie, ale nie chciał siedzieć w ich ponurym domu. Rodzice Logan oraz jej siostra i brat odnosili się wobec niego chłodno, z dystansem – może nie na tyle chłodno, by uznać to za otwartą wrogość, ale wystarczająco, by dać mu do zrozumienia, że go podejrzewają. Kilku kumpli, martwiąc się o niego, zaprosiło go, by przyszedł wieczorem do Coach House na Middle Street. W szczęśliwszych czasach często bywał w tym pubie razem z Logan. Teraz jednak wolał być sam. Nie miał ochoty na towarzystwo.

Zaktualizował stronę na Facebooku, gdzie zeszłej nocy zamieścił post: „Proszę, pomóżcie mi odnaleźć moją piękną narzeczoną Logan”. Pod spodem wstawił szereg jej zdjęć. Teraz zobaczył, że w ciągu ostatnich trzydziestu minut na stronie

przybyło piętnaście „polubień”, a sześć osób chciało się zaprzyjaźnić.

– Dobrze – powiedział nagle, do nikogo.

Zadzwoił telefon. Jamie zerwał się z sofy i chwycił słuchawkę, ale ręce tak mu się trzęsły, że upadła na drewnianą podłogę i kawałek obudowy się odłupał. Uklęknął i podniósł słuchawkę.

– Czy mogę rozmawiać z panem Jamesem Ballem? – Głos starszego mężczyzny brzmiał uprzejmie, lecz stanowczo.

– Przy telefonie. Kto mówi?

Wcześniej odebrał już kilka głupawych telefonów. Od kobiety medium, która oznajmiła mu, że widziała Logan w luku statku z drewnem. Dzwonił też ktoś podający się za prywatnego detektywa, żądając tysiąca funtów zaliczki. Gwarantował, że znajdzie Logan. Jasne.

– Jestem wujem Logan, nazywam się Jacob Van Dam. Może wspominała panu o mnie.

– A tak, owszem – potwierdził Jamie.

Logan kilkakrotnie mówiła mu o wuju psychiatrze, z którym nie widziała się od paru lat. Van Dam był sławą ich rodziny.

– Jamie, zadam ci dość osobiste pytanie dotyczące Logan, ale mam po temu powody, więc się nie dziw.

Ball zmarszczył brwi. Czyżby ten konował zamierzał bawić się jego umysłem?

– Dobrze – powiedział z rezerwą.

– Czy Logan ma na ciele jakieś znamię lub tatuaż?

Jamie milczał przez chwilę, zastanawiając się, do czego tamten zmierza.

– Tatuaż?

– Tak. Znamię lub tatuaż.

– Nie ma nic takiego.

– Jesteś pewien? Może na prawym udzie?

– Na pewno nic tam nie ma.

– Jakies słowa, napis?

– Nie, nie ma. Dlaczego pan pyta, panie Van Dam?

– Mam swoje powody.

– Logan nie ma żadnego tatuażu, w porządku? – Natarczywy głos psychiatry irytował Jamiego, potęgując jego zdenerwowanie.

– Bardzo mi pomogłeś. Przepraszam, że cię niepokoiłem. Dziękuję.

Psychiatra się rozłączył, a Ball stał wpatrzony w słuchawkę. O co tu chodziło?

Jacob Van Dam długo siedział przy biurku, pogrążony w myślach. Jego zdaniem Ball zareagował jak człowiek wytracony z równowagi, ponieważ jego ukochana zaginęła.

Mimo to odniósł wrażenie, że Jamie coś ukrywa. Ale co?

32

12 grudnia, piątek

Po odprawie Roy Grace, zatopiony w myślach, udał się do swego gabinetu, by posiedzieć trochę w ciszy. W poniedziałek miał wygłosić mowę na pogrzebie Belli i wiedział, że będzie to poruszająca chwila. Jedną z najtrudniejszych w jego życiu. We wtorek firma przeprowadzkowa miała dostarczyć skrzynie do domu Cleo i do jego domu, przed piątkową przeprowadzką. Musiał znaleźć czas i pomóc żonie w pakowaniu. Poza tym musiał nadzorować pakowanie u siebie, w domu nad morzem – bardzo blisko laguny – gdzie mieszkał z Sandy aż do jej zniknięcia.

Teraz jednak Grace nie potrafił myśleć o niczym innym niż o Logan Somerville. O jej długich brązowych włosach. I o zaginionej Emmie Johnson z podobną fryzurą. Czy istniało powiązanie z kobietą, której szczątki znaleziono w Hove Lagoon, z kilkoma kosmykami długich brązowych włosów?

Starał się odpędzić te myśli. Nie życzył sobie żadnych powiązań. Pojedyncze zabójstwo było tragedią, ale jednorazową. Ofiara napaści na tle seksualnym, ofiara zemsty, napadu rabunkowego, ofiara zazdrosnego kochanka. Między innymi z tych powodów ludzie zabijali – i byli zabijani. Pojedyncze, brutalne akty.

Powiązane zabójstwa potrafiły zmienić obraz gry. Wystarczyły trzy lub więcej, w różnych miejscach, w różnym czasie, i z definicji miało się do czynienia z seryjnym zabójcą. Od lat, w całej karierze Grace'a, nie zetknięto się w tym mieście

z czymś takim, a przynajmniej policja niczego podobnego nie wykryła.

Upowiedział Cleo, że na pewno nie da rady dziś wcześniej wrócić, chociaż próbowała go skusić ulubionym koktajlem z krewetek i awokado, po którym na stół miała wjechać grillowana sola. Był głodny i z radością pojechałby prosto do domu, żeby zobaczyć Noaha, wypić kilka kieliszków wina przy kolacji i przez cały wieczór robić to, co najbardziej uwielbiał: spędzać czas z Cleo.

Zadzwoił telefon.

Grace odebrał natychmiast.

– Wszystko w porządku? – zapytał Glenn Branson.

– Mogło być lepiej. A u ciebie?

– Jest coś nowego. Może to nic takiego, ale chcę poznać twoje zdanie.

– Mianowicie?

– Masz ochotę na drinka? Chyba jest mi potrzebny. Kończę służbę.

– W piątkowy wieczór? – zdziwił się Grace. – Czyli nie masz randki z tą reporterką z „Argusa”, Siobhan Sheldrake?

– Cha, cha, bardzo śmieszne.

– Ja też bym się napił, ale spotkamy się na krótko. I wezmę coś bez alkoholu. Black Lion?

– Za kwadrans?

– Daj mi trzy kwadransy. Muszę wstąpić do domu po rzeczy, które oddaję na cele dobroczynne.

– Musi być ci ciężko – stwierdził Branson.

– Owszem, i smutno – przyznał Grace.

– Ale ruszyłeś dalej. Jesteś szczęśliwy. Masz nowe życie i naprawdę się z tego cieszysz.

– Dzięki, stary. Ja też.

Mimo to Roy Grace zakończył rozmowę z ciężkim sercem. Zszedł na parking i ruszył do Hove samochodem Cleo, która jeździła teraz jego alfą romeo z zainstalowanym fotelikiem dziecięcym. Wiedział, że ma przed sobą niemało radosnych

momentów, ale uprzątnięcie starego domu nie należało do przyjemności.

Dziesięć minut później skręcił z New Church Road i ruszył w kierunku Kingsway i nabrzeża, gdzie on i Sandy byli kiedyś tacy szczęśliwi. Po obu stronach w oknach domów paliły się bożonarodzeniowe lampki. Wreszcie, przy końcu ulicy, dotarł do stojącego po prawej stronie własnego domu, niby to w stylu Tudorów, z lat trzydziestych, pogrążonego w ciemności.

Zaparkował na podjeździe przed drzwiami garażu. W środku stał zakurzony samochód Sandy, od dziesięciu lat czekający na jej powrót. Grace otworzył drzwi i wszedł do domu. Ostatnio był tu ponad tydzień temu, więc wchodząc, musiał odepchnąć drzwiami stertę ulotek, rachunków, menu z knajp oferujących jedzenie z dostawą. Pod jego nieobecność cały ten szajs wsypał się przez otwór na listy.

Zapaliwszy światło, wszedł do kuchni, wyjął spod zlewu rolkę worków na śmieci i zabrał je na górę do sypialni, wciąż prawie niezmienionej. Z szafy Sandy zaczął wyciągać ubrania i inne jej rzeczy; wypełnił nimi cały worek. Mimo woni stęchlizny, czuł ledwo uchwytny zapach Sandy, a może tylko mu się wydawało. Zalała go fala wspomnień.

Napełnił jeden worek, potem drugi, a przeszłość wciąż wkradała się w jego myśli. W szafie grzechotały puste wieszaki. Uklęknął, wypełnił trzeci worek butami Sandy, przypominając sobie, żeby zejść do garderoby na dole i pozdejmować z wieszaków jej płaszcze. W końcu wstał i powiódł wzrokiem po sypialni. Obok łóżka stał szezlong, który przed laty kupili, w opłakanym stanie, na aukcji w Lewes, i dali nowoczesne czarno-białe obicie wybrane przez Sandy. Na szezlongu siedział sfatygowany pluszowy gronostaj, z którym nie rozstawała się od dzieciństwa. Grace zapakował zwierzątko do worka, potem go wyjął i znów posadził na szezlongu. Nie miał serca go oddawać.

Jednocześnie wzdragał się przed zabranieniem gronostaja do nowego domu.

Cholera, to było trudne.

A gdyby?

A gdyby wróciła? I chciała odzyskać pluszaka?

Nagle uzmysłowił sobie, podobnie jak już wiele razy w minionych latach, że nie potrafi przypomnieć sobie twarzy Sandy. Podszedł do jej toaletki z orzecha włoskiego i spojrzał na oprawione zdjęcie pierwszej żony, stojące pośród perfum.

Zdjęcie zrobiono w restauracji wytwornego hotelu Bear w Woodstock koło Oksfordu, gdzie świętowali rocznicę ślubu, po tym, jak Roy uczestniczył w konferencji poświęconej wykorzystywaniu DNA w daktyloskopii. Niedługo przed zniknięciem Sandy. Roy nadal miał na sobie garnitur i krawat; Sandy, w sukni wieczorowej, jak zwykle uśmiechała się promiennie do kelnera, którego poprosili o zrobienie zdjęcia.

Grace patrzył na oczy Sandy w kolorze błękitnego nieba. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo odeszła już w przeszłość. Wiedział, że nie może oddać tego zdjęcia ani też go wyrzucić. Musiał spakować je do walizki i schować gdzieś na strychu nowego domu.

Potem spojrzał na książki, część na stoliku nocnym, inne schludnie ułożone na kominku. Poprzedni właściciele zabili kominek deskami, ale Sandy na nowo go otworzyła i czasem rozpalala ogień, bo uważała, że to romantyczne.

Grace sięgnął po książkę Anity Brookner *Hotel Du Lac*, którą Sandy zażyczyła sobie na Gwiazdkę. Otworzył i przeczytał dedykację.

Dla mojej ukochanej Sandy. Na nasze czwarte Boże Narodzenie.

Dla miłości mojego życia. XXXXX

Co się z tobą stało? Gdzie się teraz podziewasz? Mam nadzieję, że spoczywasz w spokoju.

Roy Grace ucałował książkę, po czym, razem z innymi, wrzucił ją do worka na śmieci.

33

12 grudnia, piątek

Siostra oddziałowa Anette Lippert od siedemdziesięciu minut pełniła nocny dyżur na oddziale intensywnej opieki w szpitalu, gdzie odbyła szkolenie i gdzie pracowała do chwili obecnej. Ten szpital, Klinikum München Schwabing, szczycił się tym, według niej zasłużenie, że miał jeden z najlepszych oddziałów neurologicznych w Niemczech, a na każdego pacjenta na OIOM-ie przypadała jedna pielęgniarka.

Jako starsza pielęgniarka zazwyczaj wybierała poranny dyżur, wtedy bowiem przyjmowano najwięcej nowych pacjentów i przeprowadzano najwięcej operacji, ale z powodu epidemii grypy w Monachium teraz brakowało im kilku sióstr, więc musiała pracować na okrągło.

Na nocnym dyżurze, długim i monotonnym, niewiele się działo. Na oddziale intensywnej opieki starannie utrzymywano temperaturę dwudziestu czterech stopni Celsjusza, co czasem odczuwało się jako upał, ale pacjenci zajmujący piętnaście łóżek nigdy się nie skarżyli. Wielu w ogóle nic nie mówiło. Wyjątek stanowiła niezidentyfikowana kobieta w śpiączce, leżąca na łóżku numer 12, z której ust sporadycznie wydobywały się bezładne słowa.

Anette Lippert, wraz z dwoma lekarzami, robiła obchód, słuchając bieżących informacji od siostry oddziałowej, aż w końcu dotarła do łóżka numer 12. Leżąca na nim kobieta, przed czterdziestką, o krótkich brązowych włosach, miała obandażowaną twarz. Stan częściowej śpiączki utrzymywał się od miesiąca, kiedy wpadła pod taksówkę, przechodząc przez

Widenmayerstrasse, ruchliwą ulicę, która przecinała elegancką dzielnicę Monachium i oddzielała ją od Izary.

Kobietę przyjęto do szpitala jako *Unbekannte Frau*.

Naoczny świadek wypadku z oburzeniem oświadczył policji, że kiedy kobieta leżała na jezdni, podjechał na motocyklu jakiś drań w kasku, porwał z ziemi torebkę i pognął przed siebie.

Przez czterdzieści osiem godzin nikt nie miał pojęcia, kim jest ta kobieta. Potem policja przyprowadziła do szpitala małego chłopca, który po powrocie z obozu piłkarskiego rozplakał się, bo mama go nie odebrała. Uspioną kobietę rozpoznał jako swoją matkę, Frau Lohmann. Mimo to w pewnym stopniu pozostawała postacią zagadkową.

Policja poinformowała władze szpitala, że Frau Lohmann najwyraźniej podjęła spory wysiłek, aby wymazać swoją przeszłość. Przeszukanie jej mieszkania, komputera i komórki nie pomogło wyjaśnić, kim naprawdę była. Kobieta posługiwała się co najmniej dwiema fałszywymi tożsamościami, używając podrobionych paszportów i numerów ubezpieczenia. Karty kredytowe były wystawione na jej fałszywe nazwiska. Posiadała ponad trzy miliony euro w monachijskim banku, gdzie dziewięć lat wcześniej założyła konto, posługując się fałszywymi dokumentami i omijając procedury zabezpieczające przed praniem pieniędzy.

Na wyniki przeprowadzonych przez Interpol badań odcisków palców oraz DNA należało czekać kilka tygodni, o ile w ogóle miały coś dać. Z uwagi na zainteresowanie policji kobietę zamierzano przenieść do separatki, kiedy tylko któraś z nich się zwolni.

Lippert przyglądała się kobiecie. Oczy miała zamknięte – pod tym względem nic się nie zmieniło, odkąd ją przywieziono. W górnej części klatki piersiowej tkwił podwójny cewnik, przez który podawano kroplówki odżywcze.

Kim naprawdę jesteś? – zastanawiała się Anette Lippert. Dokąd szłaś, kiedy potrąciła cię taksówka? Skąd pochodzisz? Przed czym uciekałaś?

Policjanci robili, co w ich mocy. Powiedzieli władzom szpitala, że kobieta posługiwała się różnymi nazwiskami. Przed urodzeniem syna co najmniej dwukrotnie zmieniała tożsamość, ale nie znali przyczyny. Może uciekała od koszmarnego związku? Kryminalnej przeszłości? Terrorystów? Policja kontynuowała dochodzenie.

Tymczasem Frau Lohmann spała, utrzymywana przy życiu za pomocą kroplówek.

Anette Lippert ze smutkiem wpatrywała się w kobietę. Kiedyś ktoś cię kochał. Masz syna. Wróć do nas. Zbudź się! Syn cię potrzebuje.

Od czasu do czasu Frau Lohmann raptownie brała wdech, ale nie otwierała oczu.

Pozostawały zamknięte.

Nie miała żadnych krewnych – a w każdym razie jej syn, Bruno, nic o nich nie wiedział. Chłopiec zamieszkał u jednego ze swoich przyjaciół, którego rodzice często przyprowadzali Brunona do szpitala.

Co, do licha, tkwi w twoim umyśle? Jak możemy to odblokować?

Podczas czwartego obchodu na dyżurze, niedługo po północy, kiedy Anette Lippert znów na nią patrzyła, kobieta nagle, na moment, otworzyła oczy.

– Przekaż mu, że mu wybaczam – wyszeptała i znowu zamknęła powieki.

– Komu mam przekazać?

Jedyną odpowiedzią było miarowe *puff-sss-puff-sss* respiratora oraz *pip-pip-pip* monitorów.

Zamknięta we własnej czaszce, Sandy słyszała ich głosy. Rozumiała, co mówią. Czowała się jednak, jakby pływała pod wodą w głębokiej części basenu. Nie mogła im odpowiedzieć.

– Komu mam przekazać? – powtórzyła Lippert.

Ale kobieta znowu pogrzeżyła się w niedostępnej głębi swojego mózgu.

Pielęgniarka stała jeszcze przez pewien czas, po czym przeszła do kolejnych łóżek.

34

12 grudnia, piątek

Przeszłość pubu Black Lion w Patcham Roy Grace lubił bardziej nawet niż sam pub. W 1976 roku Barbara Gaul, żona podejrzanego dewelopera nieruchomości, z którym właśnie się rozwiodła, została postrzelona na parkingu Black Lion i zmarła od ran. Sprawa stała się jedną z najgłośniejszych w mrocznej historii Brighton. Zabójstwo Barbary Gaul wiązano z rodziną osławionych londyńskich gangsterów, Krayów, oraz dwoma największymi skandalami seksualnymi w powojennej Wielkiej Brytanii, aferami Profumo i Lambtona.

Jaka szkoda, myślał Grace, że taka barwna, choć tragiczna przeszłość nie znalazła odzwierciedlenia w wystroju jaskrawo oświetlonego i dość bezdusznego pubu, od dawna należącego do sieci Harvester. Mimo to pracownikom pobliskiego Sussex House odpowiadał on ze względu na lokalizację.

Nadinspektor siedział w cichym kącie pubu, podczas gdy Glenn Branson stał przy zatłoczonym barze, o głowę wyższy od większości ludzi dookoła. Grace rozmawiał przez telefon z Cleo, próbując zaplanować parapetówkę połączoną z przyjęciem noworocznym w ich nowym domu. Jednocześnie zerkał na pękatą kopertę, którą Branson zostawił na stole.

– Myślę, że należy podać to doskonałe wino musujące Ridgeview, które mieliśmy na weselu, a poza tym miło jest wspierać lokalnego producenta.

– Świetny pomysł! Powinniśmy szybko zamówić. O ilu osobach myślałaś?

– O mój Boże! – Cleo nagle się roześmiała.

– Co takiego?

– Noah właśnie wsunął rączkę do miski Humphreya i wziął z niej trochę jedzenia! A Humphrey po prostu stoi i się przygląda. Zdumiewające! Poczekaj, lepiej wyratuję twojego syna!

– Kapitalnie! – stwierdził Grace. – Jeśli będziemy go karmić psim żarciem, oszczędzimy majątek.

– Tak, to dobry pomysł – przyznała Cleo z roztargnieniem. – Napisz esemesa, jak będziesz wracał, to przyszykuję kolację.

– Pod warunkiem że nie będzie z psiej miski!

– To zależy od tego, jak późno wrócisz, nadinspektorze Grace.

– Kocham cię. – Grace uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ja ciebie też – odrzekła, choć nieco chłodniej niż zwykle, tak że znów wyczuł w jej głosie dystans.

– Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że obecnie niezbyt ci pomagam. Przepraszam.

– Rozumiem, Roy. Wiem, że to nie jest łatwe ani dla mnie, ani dla ciebie.

Grace podniósł wzrok i ujrzał Glenna stojącego z drinkami. Zarumienił się i rzucił do Cleo:

– Muszę kończyć! – Cmoknął w słuchawkę, ale żona nie odwzajemniła pocałunku.

Branson usiadł, kręcąc głową.

– Pewnego dnia ci przejdzie, stary. – Podał Grace'owi dietetyczną colę, po czym upił białej puszystej piany swojego guinnessa.

– Wątpię – powiedział Grace.

– Wierz mi, że ci przejdzie.

– Ale z ciebie cynik.

– Zgadza się. – Branson wzruszył ramionami.

– No więc jak to jest z tobą i tą reporterką z „Argusa”? Siobhan Sheldrake?

– O co pytasz? – Branson wyraźnie się stropił.

– Podoba ci się, prawda?

– Brednie!

– Zbyt długo cię znam. – Grace napił się coli. – Zdarza ci się igrzać z ogniem. Podczas naszej ostatniej sprawy kręciła cię ta Red Westwood. Po prostu uważaj, stary. Życzę ci szczęścia u boku miłej pani, ale...

– Ale?

– Policja i prasa to niebezpieczne połączenie.

– Jutro wieczorem idę z nią na drinka. – Branson znów wzruszył ramionami. – Siobhan jest w porządku. Tak się składa, że znamy się dość długo. Poznałem ją, zanim jeszcze przyszła do „Argusa”. Po prostu byliśmy przyjaciółmi, a po śmierci Ari zbliżyliśmy się bardziej, ale zachowujemy dyskrecję.

Grace zerknął pytająco na przyjaciela.

– Pamiętaj tylko stare żeglarskie określenie: cisza przed burzą...

– Widziałeś kiedyś ten fantastyczny film o łodzi podwodnej, *Okręt*?

– Owszem – przytaknął Grace. – Zdaje się, że on poszedł na dno.

– Serio? – Branson wyszczerzył się w uśmiechu. – Tak zapamiętałeś? Myślę, że ostatnio trochę mąci ci się w głowie.

– Po prostu pilnuj, żebyś sam nie myślał fiutem. – Ostrzegawczo spojrział na przyjaciela. – Uważaj z tą Siobhan Sheldrake.

– Założę prezerwatywę.

Grace z uśmiechem pokręcił głową.

– Ale do rzeczy. Odciągnąłeś mnie od mojej sprawy, bo u ciebie wydarzyło się coś nowego. Powiesz, o co chodzi?

– Dzisiaj byłeś w kostnicy. Pamiętasz to, czy może upłynęło zbyt wiele czasu jak na twoją zmęczoną starą mózgownicę?

– Boki zrywać!

– Pamiętasz słowa na czaszce tamtej kobiety?

– I NIE ŻYJESZ?

– Właśnie. – Detektyw poklepał grubą kopertę na stoliku. – Zerknij tutaj.

– Od kogo to?

– Lucy Sibun określiła wiek kobiety na mniej więcej dwadzieścia lat i szacuje, że zmarła około trzydziestu lat temu. Tak?

– Tak zrozumiałem.

– Kazałem moim ludziom sprawdzić akta wszystkich zaginięć i nierozwiązanych spraw w przedziale czasowym od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat temu. Koncentrowaliśmy się na kobietach około dwudziestki. Wyręczyłem cię.

– Imponujące. Szybko działasz.

– W tej sprawie błyskawicznie, stary.

– Serio?

Grace zerknął pytająco na przyjaciela, po czym otworzył zalatującą stęchlizną kopertę i wyjął jej zawartość. Plik dokumentów oraz dołączone zdjęcia, wszystko opasane dwiema gumkami. Na wierzchu napis czerwonym flamastrem: *Operacja Yorker*.

Pierwszy dokument był raportem patologa z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, opatrzonym nagłówkiem CATHERINE (KATY) JANE MARIE WESTERHAM. Ta dziewiętnastoletnia studentka anglistyki na Uniwersytecie Sussex mieszkała w Elm Grove w Brighton. W grudniu 1984 roku zaginęła, a w kwietniu następnego roku na jej szczątki natrafił w lesie Ashdown pewien mężczyzna spacerujący z psem.

Roy Grace pomyślał z ironią, jak wiele policjanci z wydziałów zabójstw na całym świecie zawdzięczali ludziom wyprowadzającym psy. Nieraz myślał, że gdyby czas mu pozwolił, przeprowadziłby badania nad tym, jaki procent ciał znajdowano w ten właśnie sposób.

Pospiesznie przeczytał raport. Kiedy znaleziono ciało, zdążyło ono już ulec rozkładowi; pewnych kości brakowało, co przypuszczalnie było dziełem zwierząt. Na podstawie próbek tkanki płucnej i innych śladów patolog orzekł, że prawdopodobna przyczyna śmierci to uduszenie, ale materiał był niewystarczający, by stwierdzić to z absolutną pewnością.

Grace zdjął spinacz przytrzymujący zdjęcia. Pierwsze przedstawiało atrakcyjną dziewczynę o długich brązowych włosach, której w żadnej mierze nie dało się skojarzyć ze szczątkami. Wpatrywał się w nią intensywnie. Nie tylko włosy, ale i sama twarz przypominała Emmę Johnson. Nie sposób też było nie dostrzec podobieństwa z zaginioną wczoraj Logan Somerville.

Wyjął kilka innych zdjęć przedstawiających rozłożone ciało na miejscu, gdzie je znaleziono. Na brzegu każdego zdjęcia widniała podziałka. Zbliżenia czaszki, klatki piersiowej i innych zachowanych kości.

Grace sięgnął po ostatnie zdjęcie i zamarł.

Kolejne zbliżenie, oznaczone „czoło”. Dołączona przez patologa podziałka pozwalała stwierdzić, że litery wytatuowane na fragmencie ciała miały nieco ponad pięć centymetrów wysokości.

Rysowały się znacznie wyraźniej niż napis na czaszce wykopanej w Hove Lagoon. Ale treść była identyczna:

I NIE ŻYJESZ.

35

12 grudnia, piątek

– Jesteś dziś bardzo milczący, kochanie – stwierdziła Rachel, szykownie ubrana żona Jacoba Van Dama.

Nawet gdy jedli w domu, zawsze siadali do stołu w eleganckich strojach. Postępowali tak przez całe swoje małżeństwo, by podnieść rangę wspólnego posiłku, podczas którego nadrabiali zaległości we wzajemnych kontaktach.

Psychiatra siedział przy owalnym mahoniowym stole w wykwintnej jadalni ich posiadłości w Regent's Park i w zamyśleniu patrzył, jak światło żyrandola załamuje się w fasetach kryształowego kieliszka z czerwonym winem, który obejmował dłoń. Grillowane kotlety jagnięce stygły nietknięte na porcelanowym talerzu, wraz z groszkiem i zapiekanką kartoflaną – wszystko pieczołowicie przygotowane przez Rachel.

– No tak – rzekł w zamyśleniu. – To był interesujący dzień.

– Opowiesz mi? – Po chwili dodała: – Straszna historia z tą Logan, wprost nie mogę uwierzyć. Nikt nie ma pojęcia, co się z nią stało. Policja robi, co może. Rozmawiałam z Tiną, jest w okropnym stanie. Mówiła, że według policji nie chodzi o porwanie, bo nie było żądania okupu. Uważają, że Logan ktoś uprowadził. Ich zdaniem, kiedy uprowadza się osobę w tym wieku, to najpewniej robota zboczeńca, a im dłużej to trwa, tym bardziej szanse na odnalezienie jej żywej maleją. Czuję się zupełnie bezradna.

Słowa żony ledwie docierały do psychiatry, pochłoniętego myślami o doktorze Harrisonie Hunterze.

Kimkolwiek był.

I NIE ŻYJESZ.

Ten człowiek go okłamał. Siostrzenica Van Dama nie miała takiego tatuażu – ani żadnego innego. Wczoraj wieczorem zaginęła, może została uprowadzona. Co łączyło Huntera z Logan?

Oczywiście należało zawiadomić policję, ale groźba Huntera brzmiała bardzo realnie. Najważniejsze było teraz odnalezienie Logan i upewnienie się, że jest bezpieczna. Van Dam musiał sprawić, by Hunter wrócił, wtedy zdoła go złapać. Wyciągnie z niego prawdę. Ale ile miał czasu? Dzisiejszy wieczór? Ten weekend?

A jeśli Harrison Hunter cierpiał na urojenia? Po przeczytaniu artykułu w „Argusie” ubrdał sobie, że ma związek z tą sprawą?

Na pierwszej przeszkodzie się wyłożył. I NIE ŻYJESZ. Logan nie miała tatuaży.

Psychiatra napił się wina, po czym odkroił kawałek kotleta. Różowy w środku, tak jak lubił.

– Wspaniale wysmażone, kochanie – pochwalił.

Rachel uważnie przyglądała się mężowi.

– Czy jest coś, co mógłbyś mi powiedzieć? – zapytała.

– Nie, właściwie nie.

– To takie okropne. Co też mogło jej się przytrafić? Logan zerwała zaręczyny. Sądzisz, że za jej zniknięciem może stać jej chłopak? Albo że ma z tym związek?

Van Dam nadal wpatrywał się w refleksy światła na kieliszku. W końcu nadział kawałek kotleta na widelec, zanurzył w galaretkę miętowej i włożył do ust. Przełknąwszy kęs, powiedział:

– Rachel, czy kiedykolwiek musiałaś podejmować decyzję, która cię przerastała?

– Znowu mówisz zagadkami, kochanie. Często to robisz.

– Wybacz. Tak przy okazji, to jest pyszne.

– Cieszę się.

Otarł usta serwetką.

– Tajemnica lekarska. – Sięgnął po kieliszek i zatopił w nim posępny wzrok. – Na tym polega ta decyzja.

– To znaczy?

– Wyobraź sobie przez chwilę, że jesteś mną, siedzisz w moim gabinecie. Przychodzi nowy pacjent i wyznaje, że zabija ludzi. Oceniam, że cierpi na urojenia. Ale jeśli się mylę i on faktycznie zabił? Muszę to zgłosić na policję. Jeśli jednak to tylko jego halucynacje, złamię tajemnicę lekarską. Ten człowiek już nigdy nikomu nie zaufa, z nikim nie zechce otwarcie rozmawiać.

– Czy to właśnie przydarzyło ci się dzisiaj?

– Tak.

– Czy to ma związek z Logan? Czy mówił, że to on ją uprowadził?

Van Dam odkroił kolejny kawałek jagnięciny.

– Nie, ale mówił, że wie, kto to zrobił.

– I co jeszcze?

Van Dam przeżuł powoli, wypił łyk wina.

– Nie mogę zdradzić zbyt wiele, ale ten człowiek powiedział mi coś, co, jak zapewniał, będzie dowodzić, że mówi prawdę. Po jego wyjściu sprawdziłem to... między innymi dlatego wróciłem tak późno... ale sprawa się nie potwierdziła. Z czego wnioskuję, że mam do czynienia... sam nie wiem...

– Z fantastą? – podsunęła żona.

– To byłby zbyt prosty wniosek – odparł Van Dam. – Jestem w kropce.

– Wobec tego powinieneś zadzwonić na policję i przekazać im swoje wątpliwości.

Psychiatra milczał przez chwilę, po czym znowu wypił łyk wina.

– I narazić życie Logan?

– Dlaczego?

– Ponieważ ten człowiek kategorycznie zabronił mi kontaktów z policją.

– Czyli traktujesz go poważnie?

– Owszem.

– Wobec tego gdzieś w głębi swojego dziwnego umysłu, którego nigdy nie udało mi się w pełni zrozumieć, musisz wierzyć, że on mówi prawdę.

Van Dam uśmiechnął się do swojej ukochanej żony.

– Tak, wierzę.

36

12 grudnia, piątek

Po wyjściu z pubu Roy Grace wrócił do Sussex House, usiadł w swoim gabinecie i ponownie przejrzał akta, które przyniósł mu Glenn Branson. Wyjął z koperty pożółkłą zadrukowaną kartkę formatu A4, z nagłówkiem: DO WIADOMOŚCI WYDZIAŁU ZABÓJSTW.

O 8.35 w sobotę, 3/4/85 w lesie Ashdown w Sussex znaleziono ciało opisanej poniżej kobiety. Przyczyna śmierci nieznana, ale podejrzewa się uduszenie.

Znów spojrział na zdjęcie ładnej młodej kobiety w okularach, piegowatej, o prostych długich brązowych włosach; zastanawiał się, gdzie je zrobiono, ponieważ patrzyła na fotografa ciepło i pogodnie, z pełnym zaufaniem.

Przeczytał dalej.

Przy ciele brakowało następujących rzeczy osobistych:

1. Czarnych butów, rozmiar 6, napis na podeszwie: „Made in UK. Prawdziwa skóra. Skórzany wierzch, syntetyczna podeszwa”.
2. Pęku kluczy ze skórzanym breloczkiem z napisem: „Chandlers of Brighton BMW”. W pęku był klucz do bmw, klucz typu *yale* oraz, być może, jeszcze jeden.
3. Torebki z nieznaną zawartością.

Następna kartka przypominała powiększenie mapy. W prawym górnym rogu zakreślono czerwonym kolorem miejsce znalezienia ciała.

Kolejnym przedmiotem w kopercie była wyblakła pomarańczowa książka: REJESTR RZECZY OSOBISTYCH W POWAŻNYCH WYPADKACH.

Dalej było kolorowe zdjęcie, na którym kilku mężczyzn w kaloszach, swetrach i dżinsach, każdy z długą tyczką, stało na leśnej polanie dokoła ciemnego cienia. Grace potrząsnął głową.

Boże, jakaż różnica! Obecnie ci sami ludzie nosiliby kombinezony, aby nie zatrzeć śladów na miejscu zbrodni.

Kolejne zdjęcie przedstawiało ciemny cień w kształcie człowieka, zatopiony w głębokim poszyciu leśnym.

Na następnym Grace dostrzegł niebieskie dżinsy. Kiedy spojrzął na kolejne, raptownie wciągnął powietrze, jak zawsze na widok martwego ciała.

Ofiary morderstw miały w sobie coś potwornie smutnego. Mimo woli czuł się przez chwilę jak podglądacz. Jak gdyby podstępnie wkradł się na przyjęcie, na które nikt nigdy by go nie zaprosił.

I tak jak zwykle zastanawiał się, czy pewnego dnia przyjdzie mu odkopywać kości jego zaginionej żony, Sandy.

Zmarli nie mogli decydować o tym, kto zjawi się na miejscu, gdzie ich porzucono. To obecni tam ludzie mieli obowiązek okazać szacunek. Nawet teraz, siedząc przy biurku, gdy mrok napierał na pokryte deszczem szyby, Grace to właśnie czuł. Oto miał przed sobą zrobione z profilu zdjęcie poplamionej twarzy, jakby nałożono na nią róż; ptaki wydziobały oczy, długie brązowe włosy były skołtunione. Zmarła miała na sobie szary bezrękawnik, chyba domowej roboty.

Kto go uszył? – pomyślał. Kochająca matka? Babcia?

Bezrękawnik, w którym została zamordowana.

Kolejne zdjęcie, *en face*, przedstawiało ciemną pożyłkowaną skórę i puste oczodoły, jakby nosiła kominiarkę.

Boże – myślał. Studiowałaś na Uniwersytecie Sussex. Tata pożyczył ci tej nocy swój samochód, bo wiedział, że dobrze prowadzisz, i nie chciał, by jakiś pijany student odwoził cię do domu. Ale ty nigdy do domu nie wróciłaś.

Wybrał numer komórkowy, sądząc, że pewnie o tej godzinie, w piątkowy wieczór, już nie zastanie w pracy Tony'ego Case'a, starszego oficera wsparcia, ale złapał go w chwili, gdy tamten wychodził. Case wyjaśnił, że pracował do późna, bo pomagał przemeblować pomieszczenia operacyjne.

Pięć minut później nadinspektor schodził za krępy Case'em do piwnic Sussex House. Po trzydziestu latach służby w drogówce Tony przeszedł na emeryturę, ale potem, jak robiło wielu byłych funkcjonariuszy, ponownie zasilił szeregi policji, tym razem jako cywil. W dłoni trzymał okazały pęk kluczy.

Przeszli cały korytarz i stanęli przed drzwiami zaryglowanymi stalową sztabą. Case poszperał w pęku kluczy, wybrał jeden, otworzył drzwi i zapalił światło. Kilka zakurzonych nagich żarówek, w tym dwie zasnuwane pajęczyną, słabo oświetlało duży magazyn, zastawiony po obu stronach i w głębi metalowymi półkami, od podłogi po sufit. Stały na nich, ciasno upakowane, zielone plastikowe skrzynki pełne torebek z dowodami, kopert i papierów.

Wchodząc do tego magazynu, Roy Grace zawsze czuł się dziwnie, jakby wkraczał do królestwa duchów. Pomieszczenie znał dobrze z czasów, gdy odpowiadał za sprawy otwarte i niewyjaśnione. Wtedy regularnie dokonywał przeglądu wszystkich nierozwikłanych zabójstw w hrabstwie Sussex i sprawdzał, czy postępy technologiczne w dziedzinie daktyloskopii i analizy DNA mogą pomóc w rozwiązaniu któregoś z nich. W zielonych skrzynkach leżały materiały z czasów drugiej wojny światowej, a nawet starsze. Każda ze spraw zajmowała dwadzieścia lub więcej skrzynek, a Grace czuł wielką odpowiedzialność za każdą badaną ponownie sprawę, bo wiedział, że od niego może zależeć ostatnia nadzieja ofiar na sprawiedliwość.

Minął odręcznie wypisane tabliczki. OPERACJA GALBY. OPERACJA DULWICH. OPERACJA CORMORANT. Część tych spraw znał doskonale. Pamiętał nawet zawartość żołądka niektórych ofiar, wiedział, z jakich pokarmów i napojów składał się ich ostatni posiłek.

Duchy.

Grace i Case zatrzymali się przed czterdziestoma trzema skrzynkami oznaczonymi jako OPERACJA YORKER. Nierozwiązana sprawa zabójstwa Katy Westerham.

– Które skrzynki chcesz zabrać do siebie? – spytał Tony Case.

Grace powiódł wzrokiem po skrzynkach. W każdej znajdowały się zakurzone teczki z biało-niebieską naklejką i numerem, wypisanym czarnym tuszem, zalakowane.

– Wszystkie, poproszę.

W końcu Roy Grace, tuż przed wpół do dwunastej, zrobiwszy tego wieczoru wszystko, co mógł, w sprawie zaginięcia Logan Somerville, pojechał do domu. Cleo zostawiła dla niego na stole zimną kolację, ale gdy usłyszała, jak wchodzi, zeszła do kuchni.

– Wygląda na to, że niezły miałeś dzień – stwierdziła.

Roy Grace uśmiechnął się słabo do żony, siedzącej po drugiej stronie stołu.

– To prawda. Piekielny dzionek. Przepraszam, że marny ze mnie kompan. Cały dzień tkwisz w domu z dzieckiem, wracam, ty masz ochotę na rozmowę, a ja tylko milczę i rozmyślam.

– No to mi opowiedz.

– Mam bardzo niedobre przeczucia co do sprawy, którą aktualnie prowadzę. – Wzruszył ramionami, sięgnął po gazowaną wodę mineralną, którą Cleo postawiła w lodzie na środku stołu, i nalał jej sobie do szklanki.

– Operacja Haywain? – spytała.

Grace skinął głową.

– Niepokoi cię Cassian Pewe?

– Teraz to mój najmniejszy problem. – Grace chętnie wypiłby kilka mocniejszych drinków, ale w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebował jasnego umysłu, poza tym był na służbie. – W tym mieście mieliśmy niemal wszystkie wyobrażalne zbrodnie, ale dotychczas niewiele było zbrodniarzy, o ile w ogóle byli, których można by zdefiniować jako seryjnych zabójców.

– Jak definiuje się takiego przestępcę? – spytała Cleo.

– To ktoś, kto popełnia trzy lub więcej morderstw przy różnych okazjach. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku pewien młody człowiek zatłukł kijem baseballowym ojca, macochę i przyrodniego brata w klubie Lighthouse w Shoreham. Ale wszystko to wydarzyło się jednej nocy. To było wielokrotne, ale nie seryjne zabójstwo.

– Sądzisz, że teraz masz do czynienia z seryjnym zabójcą?

Milczał przez chwilę, sięgnął po szklankę, odstawił.

– Jeszcze nie wiem. Ale wygląda jednak, że mogliśmy odkryć zabójstwo sprzed trzydziestu lat. Za wcześniej, by wyrokować.

– Czy ten zabójca wciąż może działać?

Grace, zatopiony w myślach, nie odpowiedział.

– Kochanie, daj spokój, przecież musisz coś zjeść.

Spojrzał na koktajl z krewetek i awokado, podniósł widelec.

– Tak, umieram z głodu, dzięki. – Ale już po pierwszym kęsie znowu się zamyślił.

I NIE ŻYJESZ.

Trzydzieści lat temu. Dwa zabójstwa? Więcej? Czy gdzieś tam leżała trzecia napiętnowana ofiara? Czwarta? Piąta? W innej części Wielkiej Brytanii? Z jego badań nad seryjnymi zabójcami wynikało, że najczęściej działali na terenie wielkich krajów, jak Stany Zjednoczone, Australia czy Rosja, gdzie mogli przemierzać duże odległości, nie wzbudzając podejrzeń. Niekiedy jednak wyłamywali się z tego schematu.

Czas też mógł być odległością.

Catherine Westerham, którą znaleziono martwą w 1985 roku, miała dziewiętnaście lat i długie brązowe włosy z przedziałkiem

pośrodku. Zaginiona dwa tygodnie temu Emma Johnson miała dwadzieścia jeden lat, podobne rysy twarzy i długie brązowe włosy. Dopiero co zaginiona Logan Somerville miała długie brązowe włosy. A może on tylko daje się ponieść wyobraźni?

Niezidentyfikowana kobieta, której szczątki odkopano w Hove Lagoon, najwyraźniej również miała długie brązowe włosy.

Grace uzmysłowił sobie, że jak najszybciej musi ustalić tożsamość kobiety z laguny.

Trzydzieści lat to dużo czasu. Niemal co roku uczestniczył w szumnie nazywanym Dorocznym Sympozjum Międzynarodowego Towarzystwa Śledczych w sprawie Zabójstw, które odbywało się w Stanach Zjednoczonych. Z prezentowanych tam historii seryjnych zabójców wiedział, że zdarzają się długie przerwy między zbrodniami. Dwadzieścia lat nie było rzadkością. Dennis Rader z Wichity w stanie Kansas, samozwańczy BTK – *bind, torture, kill*, czyli: zwiąż, torturuj, zabij – działał z piętnastoletnimi przerwami i właśnie miał uderzyć ponownie, kiedy go schwytano. Pierwsza seria zabójstw Radera skończyła się, gdy na świat przyszło jego pierwsze dziecko. Jakiś czas temu Grace pracował w Brighton nad sprawą seryjnego gwałciciela, który zabierał ofiarom buty. Przestępca ten na wiele lat porzucił swoją przestępczą działalność, po czym ją wznowił. Powodem przerwy było to, że się ożenił.

Trzydzieści lat. Czy to za długo?

37

13 grudnia, sobota

Nazywał to polowaniem.

To słowo miało miłe brzmienie.

Całe miasto było jego terenem łowieckim. W lecie, w marynarce i zawadiacko przekrzywionym kapeluszu słomkowym, mijał arkady i spacerował po nabrzeżu. Potem jechał kolejką wąskotorową Volka, gdzie zagadywał nieznajomych, stłoczonych na twardych siedzeniach, mówił im, że to najstarszy wciąż czynny pociąg elektryczny na świecie, zanudzał ich faktami dotyczącymi kolejki.

W trakcie polowania, spacerując lub siedząc wśród turystów, ukradkiem fotografował tych, którzy potencjalnie nadawali się do projektu.

Dzięki aparatowi w iPhone robienie zdjęć stało się znacznie łatwiejsze. Potencjalne projekty widziały jedynie człowieka rozmawiającego przez telefon. Nigdy nie miały się dowiedzieć, że właśnie wkraczają do jego Galerii Sław. Lubił niespiesznie przeglądać zrobione zdjęcia. Planował. Niezliczone kartki z notatkami wypełniały szafki w jego BSM, Bardzo Sekretnym Miejscu, gdzie czasem lubił się zaszywać i snuć plany. Tam, z dala od absorbujących aktualnych projektów, mógł jasno myśleć; w dodatku podobało mu się, że miejsce znajdowało się na widoku.

BSM! Lubił mieć BSM!

Najuważniej studiował tych, od których biła bezbronność. Każdy bywa bezbronny w pewnym momencie swojego życia, ale niektórzy są bezbronni stale. Właśnie ci ludzie okazywali

najsilniejszy strach. A on chciał, żeby się go bali. Bardzo bali. Nic nie podniecało go mocniej niż widok strachu. Odgłos strachu. Dotyk strachu. Zapach strachu. Smak strachu.

Lubił długo obserwować swoje potencjalne projekty. Często całymi miesiącami. Lubił je śledzić. Oczywiście wiele z nich szło na stację i jechało pociągiem do domu. Niektóre wsiadały do swoich samochodów, a wtedy je gubił. Ale inne wracały do domu piechotą lub autobusem. Te ułatwiały mu życie.

Jego ulubioną porą były czwartkowe, piątkowe i sobotnie wieczory. Zwłaszcza na West Street w Brighton, gdzie człowiek bez trudu stawał się niewidzialny. Ten wielobarwny odcinek ulicy ciągnął się od wieży zegarowej do nabrzeża. Pełno tam było salonów gier i klubów, tłoczyli się pijani, skąpo odziani młodzi ludzie, urządzano hałaśliwe wieczory kawalerskie i panieńskie, często w komicznych strojach, a wszystko pod czujnym okiem policji. Jego zdaniem był to rynsztok ludzkości. Ściek.

Zawsze był gotów uwolnić ulicę od jednej z tych osób.

Na przykład tej, która właśnie toczyła się na rowerze, bez świateł, po niezbyt ruchliwej King's Road.

Było za dziesięć pierwsza w nocy.

Nazywała się Ashleigh Stanford. Miała dwadzieścia jeden lat. Obserwował ją już od sześciu miesięcy. W piątkowe i sobotnie wieczory Ashleigh pracowała za barem w pubie w Lanes. Po pracy, zawsze nieco podpiita, wracała rowerem do Hove, gdzie w budynku przy cichej ulicy mieszkała ze swoim chłopakiem.

Na Uniwersytecie Brighton studiowała projektowanie mody.

Jego badania wykazały, że Ashleigh Stanford pochodziła, odległe, ale w prostej linii, z dynastycznej rodziny posiadaczy ziemskich, sięgającej korzeniami siedemnastego wieku, kiedy to mieli znaczne włości wokół Brighthelmstone, jak wówczas nazywało się miasto. Podobał mu się jej historyczny związek z tym miastem.

Ale było coś, co podobało mu się jeszcze bardziej. O tak.

Ashleigh Stanford była idealna!

Uruchomił silnik, zerknął w lusterka i bardzo powoli, na krótkich światłach, odjechał od parkometru taksówką kombi marki Škoda, którą wybrał na tę noc. Chytrze uśmiechnął się pod nosem. Zmienianie pojazdów miało wielkie znaczenie. Taksówki nigdy nie rzucały się w oczy, a ten model należał do najpopularniejszych w Brighton. Używaną brykę kupił od dilera z Yorkshire i w miejscowym warsztacie kazał pomalować maskę na wyróżniający się turkusowy kolor. Oznakowania taksówki zamówił przez internet i bez trudu znalazł koguta na dach.

Ashleigh, z plecaczkiem na ramionach, pedałowiała ostro w kierunku zachodnim, zataczając się na boki. Jechała do domu? Wkrótce się tego dowie!

Liczba trzy miała w sobie coś bardzo symetrycznego. Dwie osoby to towarzystwo, trzy to tłum!

Felix nie będzie miał nic przeciwko temu. Harrison, jak zwykle, będzie się wahał. A cholerny pedant Marcus stanowczo sprzeciwi się temu, co on zamierza zrobić. Co tylko dowiedzie, że miał rację. QED.

Quod erat demonstrandum!

Jechał w tak dużej odległości za Ashleigh, że krótkie światła skody nie odbijały się nawet w tylnym światełku roweru. Dziewczyna minęła Pomnik Pokoju, po czym skręciła na ścieżkę rowerową wzdłuż Hove Lawns. Sprawdził w lusterku: nikt za nim nie jechał. Tylko on i jego śliczny młody projekt. Jechała do domu, do chłopaka.

Idealnie!

Ashleigh zjechała ze ścieżki rowerowej na szosę, żeby ominąć rondo, potem, pod surowym spojrzeniem królowej Wiktorii, przejechała na czerwonym świetle skrzyżowanie z Grand Avenue. Kilka minut później nie zatrzymała się na światłach przy skrzyżowaniu z Hove Street.

Do diaska, aleś ty w gorącej wodzie kąpana! Przydałaby ci się lekcja z bezpieczeństwa drogowego. Nawet nie nosisz kasku!

Zaczynał się niecierpliwić, drżał z podniecenia. Chętnie zgarnąłby ją już teraz, ale wiedział, że przy szosie są kamery.

Nagle, bez uprzedzenia, dziewczyna wyjechała na środek jezdni i skręciła w prawo, w Carlisle Road, zostawiając za sobą blok mieszkalny.

O tak, maleńka, doskonale, dziękuję!

Zgasił światła, skręcił w prawo i przyspieszył. Potem, gdy się do niej zbliżył, zredukował biegi i delikatnie naciskając pedał gazu, przez kilka sekund sunął bezgłośnie, spocony z podniecenia. Podjechał tak blisko, że widział jej długie brązowe włosy powiewające za nią w świetle latarni ulicznych.

Byli w połowie długości ulicy, zmierzali w stronę jej domu, nieopodal skrzyżowania z New Church Road. Wrzucił bieg, wcisnął gaz, podjechał i przez boczną szybę zobaczył jej twarz, napiętą z wysiłku.

Gwałtownie obrócił kierownicę w lewo. W tej samej chwili, gdy usłyszał metaliczny brzęk, poczuł uderzenie. Zahamował ostro, ale bez pisku opon, by nie budzić uspionej ulicy. Wyjął z kieszeni strzykawkę, wyskoczył z samochodu i podbiegł do dziewczyny.

– Boże – powiedział. – Przepraszam, tak bardzo...

Ale żadne przeprosiny nie były potrzebne. Ashleigh, zszokowana, leżała na chodniku, jęcząc z bólu. Obejrzał się przez ramię, popatrzył dokoła, na okna po obu stronach ulicy, skąd ktoś mógł go zauważyć. Ani śladu ruchu.

Uklęknął przy dziewczynie, jakby zamierzał zbadać jej puls, otworzył jej usta, jakby sprawdzał drogi oddechowe, po czym wbił igłę w jej język i wstrzyknął fiolkę ketaminy. Schował strzykawkę i raz jeszcze bacznie się rozejrzał.

Potem na wpół zaniósł, na wpół zawlókł Ashleigh w stronę tyłu swojego samochodu, otworzył bagażnik i wpakował ją do środka. Wcześniej rozłożył tylny fotel. Dłońmi w rękawiczkach otworzył plecak dziewczyny i znalazł iPhone'a. Nie przestając się rozglądać, odbiegł nieco, cisnął telefon w gęsty laurowy żywopłot przy alejce ogrodowej, a następnie podniósł z jezdni rower. Wrzucił go na tył, wprost na dziewczynę, zamknął bagażnik, wsiadł i odjechał.

Cały drżał z niecierpliwości.

Czuł się fantastycznie. Naprawdę!

Jego nowy projekt!

Wezbrało w nim tak silne uczucie szczęścia, że miał ochotę śpiewać, dzielić się swoją radością z całym światem.

– Mam cię, mała! O tak!

Spokojnie powiedział przez ramię:

– Będziesz kolejnym wielkim projektem! Naprawdę! Uwierz mi! Idę po swoje!

38

13 grudnia, sobota

Logan zalewała się zimnym potem, wpadała w wir strachu, wciąż próbując skoncentrować umysł, ale szaleńczo przeskakiwał od grozy do gniewu i znów do grozy.

Miała nadzieję, że zaraz obudzi się z tego upiornego koszmaru, modliła się o to.

W tym momencie groza wirowała w niej jak zimny, ciężki mrok. Wypełniała jej umysł, serce, płuca, brzuch. Zaschło jej w ustach, drżała, kwiliła, piekące łzy oślepiały ją, ale rozpaczliwie starała się jasno myśleć. Znaleźć jakieś wyjście.

Odkąd uświadomiła sobie, że przytłumiony głos nie należy do Jamiego, miała w głowie watę. Kim, do diabła, jest człowiek, który ją uwięził? Co tu się dzieje? Gdzie ona jest? Od jak dawna?

Ból na udzie, gdzie została oparzona, wżerał się w jej ciało niczym kwas. Ból palca u nogi też dawał o sobie znać, pulsował. Próbowwała to jednak ignorować, wypierać. Chciała myśleć. Myśleć.

Musiała jasno myśleć.

Swędzenie nosa doprowadzało ją do szału. Trwało to już chyba całą wieczność.

Przecież Jamie musiał zgłosić jej zaginięcie. Czy ludzie jej nie szukali? Czy policja nie przeczesywała ulic, pól, lasów, nie drenowała jezior, jak to było w filmach?

Od jak dawna tu tkwiła? Jak długo? Choćby nie wiadomo jak przekręcała i przekrzywiała głowę, nie mogła dostrzec zegarka.

Wróciła myślami do chwili, kiedy zadzwoniła do Jamiego. Kilka godzin temu? Kilka dni? Tygodni? W jego głosie

natychmiast zabrzmiała troska. Zdał sobie sprawę, że Logan się boi. Zanim ktoś szarpnął drzwi jej samochodu i ujrzała nad sobą zamaskowaną twarz.

To wspomnienie wywołało w niej tsunami lęku.

Jamie na pewno do niej oddzwonił. Co się stało, kiedy nie odebrała? Musiał powiadomić policję, prawda? Na pewno zrozumiał, że Logan nie żartuje. Co więc zrobił, kogo zawiadomił? Co się działo tam, za ścianami jej więzienia?

Więzienie.

Prześladowca.

Znowu wezbrał w niej gniew. Kim, do diabła, jesteś, co dajesz mi prawo, żeby mnie więzić? Jak śmiesz mi to robić? Zaczęła się szarpać i ciągnąć więzy, sprawiające jej coraz silniejszy ból. Kurwa, to było komiczne. Tyle miała do zrobienia. Pacjentów, którzy jej potrzebowali. W sobotę wybierała się na dużą imprezę i bardzo się na to cieszyła. Wszystkie dziewczyny z jej rocznika w szkole, razem z partnerami, miały się zebrać w sali kościelnej przy Exeter, którą pomogły ocalić z łap deweloperów. Miało przyjść mnóstwo ludzi, których nie widziała od ponad pięciu lat.

W przypiływie paniki pojęła, że nie wie, ile czasu zostało do sobotniego wieczoru. A może już minął?

Raz po raz wracała myślami do horrorów, które oglądała. Filmów o świrach, którzy porywali ludzi, więzili ich i zabijali. *Hostel. Kolekcjoner kości. Milczenie owiec*. Czy coś takiego właśnie jej się przytrafiło? To niemożliwe, nie w Brighton, nie w tym mieście, które kochała i w którym zawsze czuła się tak bezpiecznie, wykluczone, prawda?

Przypomniała sobie krzyki kobiety. Potem rozległo się upiorne rżenie, chrypienie, jakby śmiertelny charkot, aż wreszcie nastąpiła cisza. Jak dawno temu to się działo? Kto jeszcze tam był? Czy ona będzie następną w kolejce?

Za cholerę do tego nie dopuści. Musi zachować jasny umysł. W jaki sposób ludzie wyrwali się z takiej opresji?

Ponownie spróbowała poruszyć rękami, ale zbyt mocno je spętano. Coś przytrzymało jej tułów, szyję, uda i kostki. Z całej

siły spróbowała unieść głowę, ale pas boleśnie wpił się w szyję.

Gdzie ona, do cholery, jest?

Oparzenie po wewnętrznej stronie uda nagle zaczęło ją mocniej boleć, jakby się zapaliło. A ona nie mogła nawet ruszyć rękami, by dotknąć piekącego miejsca.

Wyciągnęła się na wznak, w całkowitej ciemności, i znów zaschło jej w ustach. Wiedziała, że znowu spada poziom cukru, wracał znajomy niepokój. Nagle zmroził ją hałas. Odgłosy były przytłumione, ale słowa brzmiały wyraźnie.

– Puszczaj, draniu! – wrzeszczała kobieta.

Potem Logan usłyszała głos mężczyzny, krzyk gniewu i bólu:

– Aua! – I znowu: – Aua!

Poczuła przypływ nadziei.

– Aua, ty suko.

Coś trzasnęło. Kobieta krzyczała:

– Łapy przy sobie, pieprzony zboczeńcu!

Dalej! – ponagliła ją Logan. – Dalej!

Potem rozległ się głuchy łoskot, kobieta krzyknęła z bólu. Kolejne łupnięcie, jakby ktoś walił młotkiem w worek. Jeszcze raz. I głos mężczyzny, pełny zimnej wściekłości:

– Patrz, suko, do czego mnie zmusiłaś! Zepsułaś mi zabawę. Rozumiesz? Zepsułaś mi zabawę.

Logan ponownie usłyszała krzyk. Okropny, głęboki, potężny, przesycony bezbrzeżną grozą.

– Pomocy, o Boże, pomóżcie mi!

Kolejne uderzenie.

I cisza.

Leżała, cała dygocząc. Czekwała. Mężczyzna znów się odezwał.

Kolejne uderzenie. Jeszcze jedno. Następne.

Cisza.

Logan zdała sobie sprawę, że zbliża się wstrząs hipoglikemiczny.

Nad jej głową coś się przesunęło, po chwili rozbłysło światło. Ktoś wepchnął jej do ust kawałek czekolady. I znów ten stłumiony głos:

- Zjedz to. Nie chcę cię stracić. Jeszcze nie jesteśmy gotowi.
 - Proszę, proszę, powiedz, kim jesteś? – wybełkotała, z ustami pełnymi czekolady. – Powiedz, czego chcesz. Błagam, powiedz.
 - Mam to, czego chcę – odparł.
- Pokrywa nad nią z powrotem się zasunęła.

39

13 grudnia, sobota

Roy Grace obudził się o piątej, dwadzieścia minut przed budzikiem oraz drugim, rezerwowym, nastawionym w iPhone. Cleo spała głęboko, oddychając ciężko, wtulona w niego plecami, a on trzymał prawą rękę pod jej poduszką. Grace słyszał ulewny deszcz. Jak zwykle gdy budził się w nocy, nasłuchiwał oddechu Noaha w elektronicznej niani. Synek oddychał spokojnie.

Grace był śmiertelnie zmęczony i bez trudu z powrotem by zasnął, ale musiał zebrać energię na długi i trudny dzień. Starając się nie budzić Cleo – Noah zrobił to w nocy dwukrotnie – delikatnie i powoli wysunął rękę. Żona się poruszyła.

- Wychodzisz? – zamruczała sennie.
- Zabiorę Humphreya na szybką przebieżkę.
- Kocham cię.
- I ja bardzo cię kocham. – Pocałował ją w ramię.

Nagi, wyslizgnął się z łóżka i stanął w ciemności, dygocząc z zimna.

- Mogę na chwilę zapalić światło?
- Ja nie śpię – odpowiedziała Cleo.

Zapalił nocną lampkę, powłókł się do łazienki, zamknął drzwi i pstryknął światło, po czym, ziewając, włączył elektryczną szczoteczkę do zębów.

Pięć minut później, w dresie i czapce baseballowej, próbując uciszyć Humphreya, który obskakiwał go i szczekał radośnie, Grace wyprowadził psa z domu. W jednej ręce trzymał smycz, a w drugiej plastikową torebkę, na wypadek gdyby Humphrey po drodze zrobił kupę.

Grace przebiegł przez brukowane podwórze do bramy, wziął Humphreya na smycz, wyszedł na ulicę i ruszył w kierunku nabrzeża. Mijał pogrążone w ciszy domy, zamknięte sklepy i kawiarnie. Uwielbiał miasto o tej porze, gdy było jeszcze uśpione. Ogromnie lubił to poczucie, że wstał wcześniej niż reszta świata. Zawsze potrzebował niewiele snu, co bardzo przydawało się w pracy, gdzie zaledwie parę godzin drzemki na dobę stanowiło normę. Teraz, gdy został ojcem niespokojnego dziecka, sypiał jeszcze mniej.

Lubił dotyk i zapach deszczu padającego mu na twarz, lubił słony smak morskiego powietrza. W zamglonym świetle latarni ulicznych przeciął King's Road, puścił wolno Humphreya, który pomknął przed siebie, a on zbiegł przy arkadach, zostawiając po lewej stronie molo – Brighton Pier lub Palace Pier, jak nadal wolał je nazywać – i ruszył na zachód, w kierunku smutnych zardzewiałych szczątków West Pier, zachodniej części molo, która spłonęła ponad dziesięć lat temu i z każdym dniem coraz bardziej zapadała się w morze.

Biegł, całkiem już rozbudzony i z coraz jaśniejszym umysłem, a w głowie krystalizowały się myśli dotyczące dnia, który właśnie się zaczynał. Kładąc się spać o północy, sprawdził maile i przeczytał, że rozchorował się zawodnik drużyny rugby policji Sussex i nie mają kompletu na ważny popołudniowy mecz. Czy Roy, jako kapitan drużyny, mógłby sam zagrać albo znaleźć zamiennika? Przyziemne zadanie w samym środku poważnego śledztwa, ale musiał się z tym uporać. Napisał do dwóch zawodników, jednak dotychczas nie odpowiedzieli – trudno się dziwić, zważywszy na tak wczesną porę.

Jego myśli powędrowały ku Logan Somerville, która zaginęła w czwartek około siedemnastej trzydzieści. Trzydzieści sześć godzin. Zeszłego wieczoru zadzwonili do niego zastępca naczelnika oraz komisarz policji hrabstwa Sussex – oboje pytali, co nowego w śledztwie, i podkreślali, jak ważne jest odnalezienie tej kobiety. Nie musieli tego robić. Grace czuł się wystarczająco zmotywowany. Odkąd zaginęła Sandy, ponad dziesięć lat temu,

znał udrękę z powodu zniknięcia ukochanej osoby. Odczuwał ją każdego dnia i mimo że tak bardzo kochał Cleo, ból po utracie Sandy nadal tkwił w jego sercu i duszy.

Swoim większym zmartwieniem nie podzielił się jeszcze ani z Cassianem Pewe'em, ani z Nicolą Roigard.

Kiedy zatrzymał się przy ruinach zachodniego moła i zawrócił, Humphrey nie krył niezadowolenia. Zaszczekał, jakby chciał powiedzieć, że zazwyczaj biegali znacznie dalej, przynajmniej do Hove Lagoon.

– Przepraszam, stary. Muszę iść do pracy. Muszę kogoś pilnie znaleźć, rozumiesz?

Nagle Humphrey popędził na plażę, po chrzęszczących kamieniach, jakby wypełniał jakąś misję.

– O co chodzi, stary?! – zawołał Grace.

W słabym świetle latarni na promenadzie ujrzał, jak Humphrey zatrzymuje się, kładzie na grzbiecie i zaczyna się energicznie tarzać.

Grace ze zgrozą zrozumiał, co się dzieje.

– Humphrey! Nie! Nie, stary! Nie!

Rozpiął suwak kieszeni, wyjął komórkę, zapalił latarkę i niepewnie pobiegł po kamieniach, wołając do psa, żeby przestał.

– HUMPHREYYYY!

Stał nad tarzającym się psem i ryknął ponownie.

Humphrey ze skruchą podniósł się i spojrzał na niego. Grace poczuł ohydny, mdlący smród. W jasnym świetle latarki zobaczył wykrzywione kończyny, szczypce i białe podbrzusze dawno zdechłego kraba.

Grace przez chwilę rozważał zaciągnięcie psa do morza, żeby go umyć, jednak fale były zbyt wysokie i uznał, że to za duże ryzyko. Tak więc, w oparach smrodu, ruszyli w drogę powrotną – Humphrey bardzo zadowolony z siebie i dumny z nowej wody kolońskiej.

– Tylko tego potrzebowałem! – szepnął Grace do psa, trzymając go mocno za obroźę i wciągając do domu.

Pies opierał się, drapał pazurami o podłogę, gdy Grace ciągnął go po schodach do łazienki, gdzie zamknął drzwi, wsadził Humphreya do wanny i najlepiej jak mógł, zmył to ohydztwo z psiego karku.

Pół godziny później, po prysznicu, ogolony, kiedy już zjadł podgrzaną w mikrofalówce owsiankę i wypił kilka łyków herbaty, pocałował śpiącą Cleo, po czym wymknął się z domu. Humphrey, który leżał w swoim koszu, w salonie, nawet nie podniósł łba. Tylko lekceważąco otworzył jedno oko, jak gdyby jego dom opuszczał właśnie jakiś psi dupek rodem z kosmosu.

40

13 grudnia, sobota

Jacob Van Dam spędził bezsenną noc w sypialni po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko pokoju żony, gdzie sypiał od dziesięciu lat, z maską na twarzy doprowadzającą sprężone powietrze. Psychiatra od lat cierpiał na bezdech, donośnie chrapał, wiercił się, nieustannie budził żonę, aż przestała to znosić.

Sam uważał, że ostatnio sypia całkiem nieźle. Teraz jednak nie mógł zasnąć z powodu wzburzenia wizytą doktora Harrisona Huntera – o ile faktycznie był on lekarzem – który wkroczył nie tylko w jego życie, ale także w jego myśli.

Ten człowiek straszliwie go niepokoił.

Kim jesteś, doktorze Hunter?

W jaką chorą grę próbujesz ze mną grać?

Mimo zmęczenia Van Dam starał się myśleć klarownie.

I NIE ŻYJESZ.

O co w tym chodziło? W trakcie swojej praktyki psychiatrycznej Van Dam wielokrotnie stykał się z ludźmi snującymi chore fantazje. Z mediów dowiadywali się o przestępstwie i natychmiast dzwonili na policję, by się do niego przyznać. Na szczęście większość bystrych śledczych zatajała pewne informacje, które mógł znać jedynie sprawca, co pomagało wyeliminować osoby marnujące czas policji.

Mimo to doktor Hunter miał w sobie coś, co nie pozwalało go zlekceważyć. Jego pewność siebie, mowa ciała, całe jego, na pozór niezborne, zachowanie – wszystko to wzbudzało silny niepokój psychiatry.

Czy przysłuży się siostrzenicy, jeśli zadzwoni na policję i powie, co wie? Czy też wyda na Logan wyrok śmierci? Po głębokich przemyśleniach, trwających cały dzień i całą noc, Van Dam nabrał przekonania, że Hunter musi wiedzieć coś cennego. Przed wizytą zapłacił jego sekretarce pięćset funtów gotówką. Czy fantasta tak by postąpił?

Spojrzał na cyfrowy zegar radia. 6.05. Logan była piękna, inteligentna i dobra. Zawsze miała w sobie dziecięcą niewinność. Nie była typem osoby, która nagle mogła zniknąć.

Co takiego wiedział Harrison Hunter?

Skąd wziął ten pomysł z tatuażem?

Jacob Van Dam zapadł w niespokojny sen. Kiedy, niedługo potem, Rachel stanęła nad nim z filiżanką gorącej herbaty i powitała go, przypominając, że wybierają się do Chichester na chrzciny wnuczki, Hanny, nadal nie miał pewności, jak ma postąpić.

41

13 grudnia, sobota

Logan stała na białej piaszczystej plaży, a za jej plecami rozpościerał się płaski błękitny ocean. Miała na sobie jedwabną, przylegającą do ciała białą suknię, obok niej stał Jamie w białym garniturze, a przed nimi pastor. Wszyscy ludzie, których Logan kochała i na których jej zależało, zebrali się wokół niej w przepysznym ciepłym słońcu na plaży Phuket.

Jamie pocałował Logan w policzek.

– Bywały między nami różnice, ale je przewyciężyliśmy, prawda, mój aniele?

Odwzajemniła pocałunek i szepnęła:

– Tak, kochany. Tylko ciebie pragnę, nikogo innego nigdy nie chciałam. Tak bardzo cię kocham. Dzięki tobie zawsze czuję się szczęśliwa.

Niebo się zachmurzyło. Ojciec Logan podniósł wzrok i stwierdził:

– Będzie padać.

Światło gasło.

– Nie! – zawołała. – Proszę, nie pozwólcie. Powstrzymajcie to!

Spowił ją mrok. Obudziła się. W całkowitej ciemności. Zlana potem, przypomniała sobie wszystko. Zadrżała.

Te odgłosy, które słyszała jakiś czas temu. Krzyki. Potworne krzyki. Na to wspomnienie aż wzdrygnęła się ze zgrozy.

– Pomóżcie mi! – zawołała. – Niech ktoś mi pomoże!

Ponownie dotarł do niej ból w prawym udzie. Raz jeszcze spróbowała poruszyć rękami. Potem boleśnie skurczonymi nogami, pulsującym palcem stopy.

Ostatnim razem modliła się jako nastolatka, może jeszcze dawniej. Ale teraz zaczęła się modlić, zamykając oczy pomimo ciemności.

– Proszę, Boże, pomóż mi, proszę, proszę, dopomóż.

Znowu zaczęła myśleć. Co się, do diabła, działo? Tamten człowiek na parkingu. Kim był i dlaczego to robił? Przypomniała sobie, co czytała o syndromie sztokholmskim. O ludziach nawiązujących więzi ze swymi dręczycielami. Musiała stłumić w sobie wściekłość i nawiązać więź z tym człowiekiem.

– Halo! – zawołała. – Halo! – Zaczerpnęła powietrza i co sił w płucach zawołała jeszcze raz: – HALO!

Parę metrów dalej, w ciemności, stojąc poza jej polem widzenia, chociaż i tak nic by nie zobaczyła, z uśmiechem popatrzył w dół na swój projekt. O tak, właśnie taką cię lubię. Krzyknij znowu. Krzycz, ile ci się podoba.

Jakby chcąc mu sprawić przyjemność, Logan krzyknęła.

Znowu się uśmiechnął. Nikt cię nie usłyszy. Nie ma takiej możliwości. Nikt nawet nie wie o istnieniu tego miejsca!

42

13 grudnia, sobota

Roy Grace zwołał sobotnią odprawę w sali konferencyjnej Sussex House na siódmą trzydzieści, o godzinę wcześniej niż zwykle. Po pierwsze, miał sporo do omówienia, po drugie, chciał wykroić czas na dokończenie mowy pogrzebowej.

Powiadomił swoich ludzi, że chociaż na tym etapie nie można jeszcze mieć pewności, między operacjami Haywain i Mona Lisa zachodzą niepokojące zbieżności. Jasno też zaznaczył, że ta informacja nie może trafić do nikogo, kto nie uczestniczy w jednej bądź drugiej operacji.

Norman Potting podniósł rękę. Był blady i miał przekrwione oczy – choć Grace nie umiał stwierdzić, czy to ze zmęczenia, czy z powodu oplakiwania Belli. Wiedział jedno: detektyw niewiele ostatnio sypiał.

– Szefie, niewykluczone, że mam istotną nowinę. Kontaktowałem się z bardzo pomocnymi ludźmi z agencji numerów rejestracyjnych. Wczoraj wieczorem jeden z nich rozmawiał ze mną kilka godzin przez telefon, sprawdzając wszystkie volvo kombi zarejestrowane na mieszkańców Brighton and Hove. I znalazł pojazd zarejestrowany na niejakiego Martina Hornera, zamieszkałego w Portslade, w zachodniej części miasta. To willa przy Blenheim Street sześćdziesiąt dwa.

Wyglądając, jakby lada chwila miał zemdleć z wyczerpania, Potting zasłonił dłonią ziewnięcie i kontynuował:

– Udałem się do centrali monitoringu na John Street, gdzie najpierw sprawdziłem zapisy z kamer, które wychwyciły ten sam podejrzany pojazd, jadący po Dyke Road z Chesham Gate, gdzie

po raz ostatni odnotowano obecność zaginionej. Godzina się zgadza. – Ponownie ziewnął. – Następnie sprawdziliśmy kamery na stosownych obszarach, znaleźliśmy volvo i udało nam się odczytać numery. To ten sam wóz.

– Świetna robota, Norman – pochwalił go Grace. – Powinieneś pójść do domu i się przespać.

– Chcę to doprowadzić do końca, szefie. – Potting potrząsnął głową.

– Niewiele ostatnio spałeś...

– Wyśpię się w przyszłym tygodniu, po... – Detektyw pochylił się w przód i ukrył twarz w dłoniach.

Grace wiedział, że Norman ma na myśli pogrzeb Belli. Nie skomentował tego. Mimo iż wiedział, która godzina, zerknął na zegarek. 7.35. Poranek był najlepszą porą na zgarnięcie przestępcy w pieleszach domowych. Ponieważ jednak mieli weekend, mogli liczyć na to, że ten zechce dłużej pospać. Nadinspektor przez chwilę to rozważał. Przede wszystkim musiał zadbać o bezpieczeństwo Logan Somerville. Sknocona akcja ujęcia podejrzanego mogła narazić życie ofiary. Zresztą statystyki już i tak przemawiały przeciwko nim. Od zgłoszenia zaginięcia Logan upłynęło ponad trzydzieści sześć godzin. Grace zwrócił się do detektywa Aleca Daviesa:

– Alec, potrzebna nam zgoda na przeszukanie domu, natychmiast. Załatw podpisany dokument z prokuratury. Powiadomię ludzi z lokalnego wsparcia, żeby byli gotowi. Doskonale, Norman.

Teraz w górę powędrowała ręka detektyw Cale.

– Panie nadinspektorze – zwróciła się do Roya Grace’a. – Jak panu wiadomo, a także do wiadomości wszystkich obecnych, tuż przed tym spotkaniem odebrałam telefon od dyżurnego z John Street. Możliwe, że uprowadzono kolejną młodą kobietę.

Niedobre przeczucia Grace’a nasilały się z każdą minutą. Czyżby właśnie sprawdzał się jego najgorszy koszmar?

– Tanju, powiedz wszystkim, co wiemy – polecił.

Tanja Cale zajrzała do notatek.

– Nazywa się Ashleigh Stanford, ma dwadzieścia jeden lat i studiuje projektowanie mody na Uniwersytecie Brighton. Mieszka z chłopakiem przy Carlisle Road. Jej chłopak zadzwonił o trzeciej nad ranem, zaniepokojony, że nie wróciła do domu. W piątkowe i sobotnie wieczory Ashleigh pracuje w pubie Druids Head w Lanes. Podobno zawsze wracała do domu o pierwszej w nocy. Nie zadzwoniła do chłopaka, a kiedy on zadzwonił do niej, włączyła się poczta głosowa.

– Może gdzieś się wybrała z jakimś klientem pubu – podsunął Guy Batchelor.

– Możliwe – przyznała Cale. – Chłopak się niepokoił, bo Ashleigh zawsze wracała do domu na rowerze. Zadzwonił do szpitala hrabstwa Sussex, żeby sprawdzić, czy może przyjęto ją po wypadku. Kiedy okazało się, że nie, zadzwonił do nas.

Grace zastanawiał się. Kolejna kobieta wracająca do domu, do swojego chłopaka? Czy coś w tym było?

– Mamy jej zdjęcie? – zapytał.

– Nie, panie nadinspektorze.

– Chcę jak najszybciej dostać jej aktualne zdjęcie.

43

13 grudnia, sobota

Godzinę później Roy Grace, z Tanją Cale siedzącą na miejscu pasażera, skręcił nieoznakowanym szarym fordem mondeo z Old Shoreham Road w Blenheim Street, wąską ulicę z małymi domami z lat pięćdziesiątych, biegnącą na południe, w kierunku Shoreham Port.

Po obu stronach stały samochody, parę taksówek oraz stara karetka pogotowia. Nie zatrzymując się, namierzyli numer sześćdziesiąt dwa, zaniedbany dom z obłazącą farbą i zarośniętym ogródkiem od frontu. Na całej ulicy dostrzegli jednak tylko jedno volvo: mały nowoczesny model, z zupełnie inną rejestracją. Jak zwykle przed akcją, Grace czuł radosny niepokój. Jakie niebezpieczeństwa czyhają na jego zespół za tymi drzwiami? Co oni tam znajdują?

– Samochód stoi pewnie gdzieś niedaleko stąd w garażu – stwierdziła Tanja Cale. – Facet raczej nie jest na tyle głupi, żeby zostawiać go przed domem.

Grace pokiwał głową, zaabsorbowany myślami o Ashleigh Stanford wprowadzonej tej nocy. Sprawdził w iPhone, czy przyszło już jej zdjęcie, gdy telefon zadzwonił. Nadinspektor Steve Curry, odpowiedzialny za sytuacje kryzysowe, zameldował:

– Wszyscy na stanowiskach, Charlie One. Jesteście gotowi?

Grace spojrzął na Cale, która skinęła głową.

– Tak, tak – potwierdził. – Zaczynamy.

Z adrenaliną pulsującą w żyłach, najszybciej jak potrafił, zawrócił fordą. U wylotu ulicy pojawiły się dwie białe furgonetki, ruszyły ku niemu i zatrzymały się przed domem numer

sześćdziesiąt dwa. Grace podjechał i zaparkował, maska w maskę, przed pierwszą, niewielką furgonetką, z której wysiedli dwaj funkcjonariusze w czarnych kurtkach i spodniach, w czarnych baseballówkach z napisem POLICJA. Otworzywszy tylne drzwi, wyprowadzili dwa owczarki niemieckie i poszli z nimi na ścieżkę obok domu, aby obstawić bok i tył posiadłości.

Z drugiej, znacznie większej, furgonetki Transit wyskoczyło ośmiu funkcjonariuszy z grupy wsparcia, w niebieskich bojówkach, kamizelkach kuloodpornych i hełmach z osłonami. Dwaj biegnący z przodu nieśli młoty hydrauliczne, a dalej pędziła reszta zespołu.

Grace i Cale wysiedli z samochodu, ale zgodnie z regulaminem czekali, aż szef grupy wsparcia, inspektor Anthony Martin, uzna, że teren jest bezpieczny.

Sześciu z ośmiu uzbrojonych funkcjonariuszy stanęło przy frontowych drzwiach, czekając na rozkaz, pozostali dwaj ruszyli na tył domu, gdzie byli już policjanci z psami.

Inspektor dał znak. Sześciu funkcjonariuszy wsparcia, według najlepszych reguł obliczonych na zaskoczenie i zastraszenie, wrzasnęło chórem:

– POLICJA! POLICJA! POLICJA!

Pierwszy policjant uniósł młot i rozepchnął framugę drzwi. Drugi naparł na nie łomem i drzwi niemal natychmiast ustąpiły. Wszyscy runęli do środka, wydzierając się co sił w płucach:

– POLICJA! NIE RUSZAĆ SIĘ! POLICJA! POLICJA!

Dwoje detektywów czekało na chodniku. Po niespełna dwóch minutach w drzwiach stanął wysoki chudy inspektor Anthony Martin, z podniesioną osłoną hełmu i z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Skinieniem ręki dał im znak, żeby weszli.

– Nie bardzo rozumiem, co tu mamy, Roy. Twoje informacje są pewne?

– A co macie?

– Wejdz i sam zobacz.

W domu unosiła się woń stęchłych mebli i kotów. Grace wszedł do salonu i jadalni z wiekową sofą i dwoma fotelami oraz

małym stołem, na którym obok resztek posiłku leżał dzisiejszy „Daily Express”; staroświecka kuchnia w głębi przypominała Grace’owi dzieciństwo. Dwaj funkcjonariusze otwierali szafki i zdejmowali poduszki z sofy i foteli. Grace, razem z Tanją Cale, ruszył za Martinem po wąskich schodach na górę. Gdy dotarli do półpiętra, śmignęły obok nich dwa tłuste kocury.

– Czy przyjechała karetka? Myślałam, że to karetka – odezwał się zawodzący głos starej kobiety. – Dzwoniłam, muszę się dostać do szpitala Worthing, bo mam tam wizytę. Myślałam, że to karetka.

Grace popatrzył na odbarwiony dywan, na którym leżało coś, co wyglądało na kocie odchody, i zmarszczył nos. Wszędzie cuchnęło moczem i niemytym ciałem. Na początku kariery, gdy jako młody gliniarz patrolował ulice, koledzy żartowali z takich miejsc, że wychodząc, trzeba wytrzeć nogi. Nad głową ujrzał otwartą klapę na strych, do której prowadziła drabinka.

Idąc za inspektorem i starając się omijać kocie odchody na dywanie, wszedł do sypialni. Na łóżku leżała kobieta dobiegająca osiemdziesiątki lub nawet starsza; spomiędzy rzadkich siwych włosów prześwitywała różowa skóra głowy, a kobieta była tak gruba, że granica między twarzą a licznymi podbródkami się zatarła. Jej twarz przywiodła mu na myśl trójwymiarowe mapy ze szkolnych lekcji geografii, z wytłoczonymi wzniesieniami.

– Powiedzieli, że karetka przyjedzie o dziewiątej. Widzicie, nie mogę wstać. Jestem chora.

Grace z trudem powstrzymał się przed wyjaśnieniem kobiecie, co jego zdaniem naprawdę jej dolega. Patrzył na pudełko z pączkami i drugie, niemal już puste, ogromne pudło czekoladek Cadbury’s Dairy Milk na stoliku nocnym. W nogach łóżka stał staroświecki telewizor z nieostrym obrazem: James Martin właśnie pichcił coś w swojej kuchni.

Zamiast powiedzieć szczerze, co myśli, Grace machnął nakazem, wstrzymując oddech, by nie wdychać smrodu bardziej, niż to było konieczne.

– Nadinspektor Grace, wydział kryminalny policji Surrey i Sussex. Niestety, nie jesteśmy karetką, na którą pani czeka. Szukam Martina Hornera.

– Kogo? – Twarz staruchy utonęła w zmarszczkach.

– Martina Hornera. Jego volvo jest zarejestrowane na ten adres.

– Nigdy o nim nie słyszałam i nigdy ktoś taki nie miał tu samochodu. Czy karetka już jedzie? Spóźnię się na wizytę w szpitalu. Widzicie, nie mogę sama wstać z łóżka. Jestem ciężko chora.

– Jak się pani nazywa? – spytała Tanja Cale.

– Anne Hill.

– Czy ktoś przychodzi się panią opiekować, pani Hill? – zapytał Grace.

– Nie, jestem sama jak palec. Przez krótki czas był opiekun, ale przestał przychodzić.

Może dlatego, że ją przejrzał, pomyślał Grace i popatrzył jej w oczy.

– Jak brzmi pani pełne nazwisko, pani Hill?

– Hill. Anne. Po prostu Anne Hill.

Nie przerywając kontaktu wzrokowego, dodał:

– Na dole ktoś jadł śniadanie, pani Hill. Ktoś kupił „Daily Express”. Może pani to wyjaśnić?

– Nie, nic o tym nie wiem. Widzicie, nie mogę wstać.

– Jeśli nie może pani wstawać z łóżka, kto jeszcze tu jest lub był? – naciskał Grace.

Stara kobieta milczała, strzelając oczami po pokoju, jakby w poszukiwaniu przekonującej odpowiedzi.

– Jestem tu sama, kochaniutki.

Grace usłyszał, jak ktoś mówi za jego plecami:

– Strych jest pusty.

Odwrócił się i zobaczył człowieka z grupy wsparcia, z latarką w dłoni schodzącego po drabinie.

– Więc kto tu jadł dziś rano śniadanie, pani Hill? – spytała Tanja Cale. – Martin Horner?

Starucha skrzywiła się, najwyraźniej zdumiona.

– Martin Horner? A kto to taki?

– Skoro jest pani przykuta do łóżka, zakładam, że to Martin Horner przyniósł dzisiejszy „Daily Express” i jadł na dole śniadanie. Chyba że ma pani lepsze wyjaśnienie.

Kobieta poczerwieniała na twarzy. Wyglądała na przestraszoną. Oczy, niby szklane kulki, obracały się, jakby odłączone od nerwów i ścięgien.

– Nie, nie... Ja... Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Anne Hill, aresztuję panią pod zarzutem utrudniania pracy policji. Nie musi pani nic mówić, ale może zaszkodzić pani swojej obronie, jeśli na nasze pytania nie udzieli pani odpowiedzi teraz, ale wyjaśni to dopiero później, w sądzie. Wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane jako dowód. Czy to jasne?

Jeszcze sprawniej niż jej dwa otyłe kocury stara kobieta raptownie zerwała się z łóżka, aż zwały tłuszczu zakołysały się pod przezroczystą koszulą nocną; przez chwilę stała niepewnie, w końcu zdjęła z drzwi brudny szlafrok i otuliła nim cielsko.

– W porządku – powiedziała. – To ja poszłam po gazetę i zjadłam śniadanie.

– Czemu nas pani okłamała? – spytała surowo Tanja Cale.

Grace, pełen niesmaku, zrozumiał, że kobieta mówi prawdę. Pracownicy pogotowia nieustannie skarżyli się na takich ludzi, wykorzystujących ich usługi. Udawali niesprawność, aby wyłudzić darmowy kurs do szpitala, bo skąpili na taksówkę. Sanitariusze żartowali gorzko, że przez znaczną część dnia ich karetki były tylko taksówkami.

– Mam odwołać karetkę, pani Hill? – zapytał Grace. – A może mam panią aresztować nie za utrudnianie pracy policji, ale za wyłudzenie pieniędzy z Narodowej Służby Zdrowia?

– Tak. – Starucha energicznie pokiwała głową. – Tak, kochaniutki, odwołaj. Zamówię taksówkę.

Z zadziwiającą szybkością zbiegła po schodach. Grace i Cale wymienili spojrzenia i pokręcili głowami.

– No to gdzie jest Martin Horner? – zapytała detektyw.

– Nie tutaj – odparł ponuro Grace. – Nigdy go tu nie było.
Wpuszczono nas w cholerne maliny.

Gdy wyszedł z domu i ruszył do samochodu, zabrzączał jego iPhone. Nadeszła wiadomość ze zdjęciem. Nadawcą był inspektor dyżurny z John Street.

Roy, mówili, że jest ci to pilnie potrzebne. Zdjęcie zaginionej Ashleigh Stanford.

Grace stuknął w zdjęcie wielkości znaczka pocztowego, aby je powiększyć.

I stanął jak wryty.

44

13 grudnia, sobota

Logan płakała z przerażenia i gniewu. Słone łzy piekły ją w oczy i tak bardzo pragnęła je otrzeć. Szarpała więzy, ale ręce ani drgnęły. Leżała w całkowitej ciemności, na przemian to przerażona, to wściekła, z mętlikiem w głowie.

Czy ktokolwiek jej szukał?

Czy znalazła się w piekle?

Babcia Logan ze strony matki była bardzo bogobojna, należała do surowej kongregacji. Ilekroć się spotykały, straszyla Logan piekłem i potępieniem. Ostrzegała wnuczkę przed grzechem i przed jego konsekwencjami.

Czyżby miała rację?

Co się, do diabła, działo? Kim był świr, który ją tu trzymał? Co się działo na zewnątrz tej piekielnej nory?

Piekło.

Logan zaczynała pojmować, czym naprawdę jest piekło. To nie był biblijny loch, pełen ognia i siarki. Piekło było ciemnością. Piekło było słuchaniem obcych ludzi, których nie mogła zobaczyć, krzyczących z przerażenia i bólu. Słuchaniem, jak ludzie są krzywdzeni i umierają.

Piekło było wiecznym mrokiem i wiecznym lękiem.

Modlitwa nie przyniosła rezultatu. Niczego nie zmieniła.

Logan zaschło w ustach. Musiała znaleźć sposób i nawiązać porozumienie z prześladowcą. Musiała stworzyć między nimi więź, kimkolwiek on był.

I gdziekolwiek ona była.

Jakiś czas temu – nie wiedziała, czy minęły minuty, czy godziny – dobiegł ją śpiew ptaków. Bardzo słaby. Poranne trele? Wróble, drozdy, szpaki, kosy?

Znajdowała się w mieście czy na wsi?

W oddali zawyła syrena. W sercu Logan wezbrała nadzieja. Policja? Jadą po nią? Syrena wyła coraz głośniej. Proszę, Boże! Proszę! Proszę!

Potem cisza.

Proszę, wróćcie. Proszę. Proszę. Wróćcie.

Udo nadal potwornie ją bolało. Skurcz znowu objął prawą nogę i nie mogła jej rozprostować. Chciała głośno wołać o pomoc, ale bała się tego człowieka. Tak bardzo się bała.

Musiała postępować inteligentnie. Być silna. Ale jak?

Przypomniała sobie przerażony głos, słyszany jakiś czas temu.

Proszę, Boże, pomóż mi, proszę, proszę, dopomóż.

Łomoty. Krzyki. Kolejne łomoty.

Potem cisza.

Ktokolwiek ją tu przywiózł – mężczyzna z podziemnego parkingu – musiał czegoś chcieć.

Czego?

Co mogła mu zaoferować? Ciało? Pieniądze? Jamie zawsze z wypiekami na twarzy oglądał w telewizji filmy dokumentalne o seryjnych zabójcach.

Aż skręciło ją z przerażenia na tę myśl.

Psychopaci czerpiący przyjemność z torturowania i zabijania kobiet.

Błagam, niech nie spotka mnie coś podobnego.

Nad jej głową rozległo się szuranie. Ktoś odsunął pokrywę. Ujrzała zieloną poświatę, oślepił ją blask.

Po chwili poczuła w ustach słodczy miodu. Ssała z wdzięcznością. Jeszcze więcej. Przełknęła. Potem łyk cudownej zimnej wody. Przełknęła.

– Możemy porozmawiać? – zapytała. – Proszę? Proszę, czy możemy porozmawiać?

Znowu szuranie zasuwanej pokrywy.

A potem cisza.

45

13 grudnia, sobota

Dziś wcześnie rano mamy cholernie pilne spotkanie. Ta durna suka Ashleigh Stanford nie powinna była mnie bić, nie powinna była stawiać oporu. Moje projekty mają być bierne. To ja decyduję o ich losie. To mój plan, nie ich. Wszystko idzie na opak. Otaczają mnie słabe dupki. Ashleigh Stanford umarła, zanim zdążyłem się z nią zabawić, suka jedna.

Felix mnie uspokaja, mówi, że wszystko jest dobrze, że czasem coś idzie nie tak. Jemu jednemu naprawdę mogę ufać. Harrison raczej nam nie pomógł swoim pomysłem z tą wizytą u pieprzonego londyńskiego psychiatry. Co on sobie myślał? Harrison ma coś z niebezpiecznego sadysty. To postrzeleniec. Proponuje, że znów tam pójdzie, ale według mnie to marny pomysł. Mówi, że lubi zadawać ludziom zagadki. Chociaż muszę przyznać, że uśmiechnąłem się na to, co powiedział ten psychiatra. To jedyna rzecz, jaka od dawna wywołała mój uśmiech.

Teraz mam na głowie dwa martwe projekty. Aż dwa, których muszę się pozbyć. Marcus jest na mnie zły, uważa, że wczorajszej nocy powinienem bardziej nad sobą panować; należało dać Ashleigh Stanford nauczkę, ale jej nie zabijać. Teraz porządek uległ zakłóceniu. Logan Somerville miała być następna. W tym tygodniu muszę znaleźć nową, dzięki czemu będę mógł przenieść Logan wyżej.

Dobra wiadomość jest taka, że potencjalnych nowych projektów nie brakuje. W tej chwili nasza czwórka ogląda ich zdjęcia. Zajmują poczesne miejsce w mojej Galerii Sław!

Na dużym ściennym ekranie pojawiało się kolejno trzydzieści pięć zdjęć młodych kobiet mogących nadawać się na projekty. W ostatnich miesiącach namierzył je i śledził. Pod każdym zdjęciem widniało nazwisko i adres. Dwie zobaczył w kolejce elektrycznej; inna, roześmiana, wybrała się z chłopakiem na przejażdżkę pociągiem widmo na molo; jeszcze inną sfotografował przed kawiarnią Lovefit na Queen's Road; kolejną zauważył leżącą z dwiema koleżankami na trawniku przed Royal Pavilion; następną na Hove Lawns, jeszcze inną przed Big Beach Café. Inna, podniecająca go z powodów, których nie potrafił wyjaśnić, poza tym, że wyglądała jak młodsza wersja jego żony suki, jadła krewetki przed Shellfish and Oyster Bar w Brighton, kremowym straganem pod arkadami, słynącym z owoców morza.

Jadła na stojąco.

Według jego norm był to grzech. Gardził ludźmi, którzy jedli na stojąco. Jedzenie było nie tylko paliwem, należało je smakować, cieszyć się nim, dzielić się nim z przyjaciółmi. Powinno się jeść na siedząco. To tak jak te obmierzłe kobiety, które chodziły z papierosem. Palenie na siedząco było w porządku, czasem eleganckie. Ale kobiety przechadzające się z petem w ustach były mętami.

Śmieciami.

Należało je wyeliminować.

Trudno jednak oczekiwać, że własnoręcznie oczyści całe miasto. W tej kwestii Felix, Marcus i Harrison byli zgodni. Zgoda buduje.

Teraz, gdy zatrzymał na ekranie jedno ze zdjęć, znowu okazali się zgodni.

– Ta! – oświadczył Felix.

Harrison przyglądał się chwilę, po czym rzekł:

– Zgadza się, ta.

– Popieram. Ta!

– Wszyscy zadowoleni?

Pełna zgoda i jednomyślność. Powszechne zadowolenie. Prawdziwa rzadkość! Chociaż kobieta była dość świeżym nabytkiem, nadawała się wprost idealnie, dlatego to musiała być ona.

Nazywała się Freya Northrop. Wiedział o niej niemało. Z radością ją zgarnie.

Stanie się wielkim projektem.

Jego nastrój uległ zmianie. Znowu ogarnęło go uczucie bezbrzeżnego szczęścia. Jesteśmy silni – pomyślał. My czterej jesteśmy jak czterej jeźdźcy Apokalipsy. Podbój. Wojna. Głód. Śmierć. Uśmiechnął się do tej myśli. Czterej jeźdźcy!

46

13 grudnia, sobota

Roy Grace odwiózł Tanję Cale do Sussex House, po czym, tak szybko, jak tylko ważył się jechać przez miasto, pomknął do centrum, w stronę komisariatu na John Street.

Jechał niemal na autopilocie. Stresowała go zbliżająca się przeprowadzka i najchętniej by ją odłożył, ale nie było to możliwe: nowi właściciele już w przyszły weekend wprowadzali się do domu Cleo. Chociaż wcześniej zamierzał pomóc żonie w pakowaniu, śledztwo rozwijało się w takim kierunku, że o żadnej pomocy nie mogło być mowy.

Oczywiście podniecała go myśl o nowym domu i perspektywa życia na wsi, ale chwilowo nie potrafił o tym myśleć. Bez względu na to, ile miało trwać dochodzenie, na pierwszym planie była teraz Logan Somerville oraz być może nowa ofiara, Ashleigh Stanford. Myśli o niej stawały się coraz bardziej ponure.

Martin Horner.

HOLMES – Home Office Large Major Enquiry System, czyli System Dochodzeniowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – zespół analityków pracujących przy operacji Haywain, do tej pory znalazł w całej Wielkiej Brytanii setki Martinów Hornerów i sukcesywnie sprawdzał wszystkich. Jeden miał pięćdziesiąt trzy lata, chorował na alzheimera i przebywał w domu opieki w Bradford. Inny, siedemnastolatek, chodził do szkoły w Newark w hrabstwie Lincolnshire, trzeci zaś, sześćdziesięcioletni pastor z Oldham w Lancashire, miał solidne alibi.

Grace utwierdzał się w przekonaniu, że „Martin Horner” był zmyślnie sfabrykowaną fałszywką. Na tyle zmyślnie, by

zarejestrować samochód na to nazwisko. Nie rozumiał tylko, dlaczego domniemany Martin Horner wybrał właśnie adres Anne Hill.

Czy znał ją? Albo kogoś, kto ją znał? Czy też wybrał adres losowo? Starucha kategorycznie zaprzeczała, jakoby znała Martina Hornera, a on czuł, że mówiła prawdę. Lecz musieli się upewnić.

Wjechał po stromym zboczu w rejon Whitehawk, we wschodnim Brighton, skręcił w prawo, na odkryty policyjny parking, znalazł wolne miejsce między oznakowanymi pojazdami, wysiadł i ciepło spojrzał na pięciopiętrową bryłę budynku, gdzie ponad dwadzieścia lat wcześniej rozpoczął karierę.

Szybkim krokiem minął paru młodych mundurowych palących papierosy i wszedł od tyłu, otwierając drzwi kartą magnetyczną. Tu, na John Street, zawsze ogarniało go podniecenie. Swoją siedzibę miały tu jednostki zajmujące się przestępczością uliczną, patrolowaniem ulic, ochroną dzieci, utrzymaniem porządku publicznego i wieloma innymi sprawami, a cały budynek czekała wkrótce poważna renowacja.

Niedawno Roy Grace rozmawiał o możliwości awansu na stanowisko szefa wydziału kryminalnego. Taki krok wiązałby się jednak z pracą za biurkiem i niekończącymi się naradami. Tymczasem w jego pracy fascynowało go właśnie to, co robił teraz: prowadzenie dużego śledztwa w sprawie kryminalnej. Brał pod uwagę tylko jeden awans: na sam szczyt hierarchii tu, przy John Street, na stanowisko głównego nadinspektora i komendanta policji Brighton and Hove. Obecny komendant, Nev Kemp, a także jego poprzednik, Graham Barrington, również mieli za sobą pracę w wydziale kryminalnym. Sporo wody musiało jeszcze upłynąć, nim Nev Kemp powędruje wyżej po szczeblach kariery, ale kiedy to nastąpi, Grace może się skusi, by wysunąć swoją kandydaturę.

Teraz jednak, gdy machnął ręką na windę i przebiegł dwa piętra po betonowych schodach, zupełnie o tym nie myślał.

W znajomym korytarzu skręcił w prawo, niemal zaraz potem znowu w prawo i ujrzał przed sobą drzwi z dwiema tabliczkami: NADINSPEKTOR i GŁÓWNY NADINSPEKTOR. Zanim jednak tam doszedł, zatrzymał się w otwartych drzwiach po lewej stronie. W ciasnej klitce siedział oficer dyżurny wydziału kryminalnego, nieco afektowany Wayne Brookes. Pochylony nad biurkiem, z telefonem przy uchu, zapisywał coś na tablecie.

Grace czekał niecierpliwie, aż skończy, po czym wszedł do środka.

Brookes, żylasty, gładko ogolony chudzielec w szarym garniturze, podniósł wzrok.

– Roy, kochany! Dzień dobry! Jak się masz?

– Bywało lepiej. Gratulacje z powodu awansu.

– To już cztery miesiące temu, ale dzięki, jest wspaniale, kocham tę robotę. Miło cię tu widzieć. Mogę w czymś pomóc?

– Taką mam nadzieję. Zgłaszałeś zaginięcie kobiety, do którego doszło ostatniej nocy. Ashleigh Stanford?

– Tak. Właśnie rozmawiałem przez telefon z jej chłopakiem.

– Jakie są najnowsze wieści?

– Nie wygląda to dobrze. Nie odezwała się. Ani do rodziców, ani do żadnej ze swoich dwóch najbliższych przyjaciółek. A to do niej raczej niepodobne. Jest stabilną osobą, szybkie numerki nie są w jej stylu, chociaż studiuje modę... To mi się trochę kojarzy z podfruwajkami, no wiesz, swobodne podejście do obyczajów.

– Co o niej wiesz?

– Mam tylko parę zdjęć od jej matki i od chłopaka, to, które ci przesłałem. Przekazałem je do centrum monitoringu. O pierwszej w nocy nie mogło być wielu kobiet jadących na rowerze.

– Mógłbym zobaczyć pozostałe zdjęcia?

– Jasne.

Brookes postukał w klawiaturę. Po chwili na ekranie pojawiło się zdjęcie atrakcyjnej młodej kobiety. Beztrosko uśmiechnięta, stała na tle wspaniałego, zalanego słońcem molo w Brighton i zatłoczonej plaży.

Grace ponownie spojrział na tę ładną twarz, którą już wcześniej oglądał w komórce.

Wysokie kości policzkowe, pełne usta, długie brązowe włosy.

Ashleigh Stanford, Logan Somerville i Emma Johnson mogłyby być siostrami. Podobnie jak Katy Westerham, jeśli pominąć różnicę trzydziestu lat.

– Zakładam, że ktoś próbował dzwonić na jej komórkę?

– Tak, jej chłopak wydzwaniał na okrągło. Komórka wciąż jest włączona. Poprosiliśmy operatora o triangulację, ale przypuszczam, że na wyniki trzeba będzie poczekać.

– Czy przesłuchano już jej chłopaka?

– Nie, jeszcze nie.

Grace zerknął na zegarek. Dochodziło południe.

– Kurwa! Dlaczego nie? – zapytał gniewniej, niż zamierzał.

– Ponieważ, jeśli chcesz znać prawdę, kochany, dzięki pieprzonym cięciom mam za mało rąk do pracy.

– No tak. – Grace skinął głową. – Daj mi jego adres. Poślę tam jednego z moich ludzi, żeby go przesłuchał.

– Roy, czy jest w tym coś więcej, o czym nie wiem?

– Mam cholerną nadzieję, że nie. Ale, jeśli chcesz znać prawdę, obawiam się, że jest, i to nic dobrego. Od przyszłego tygodnia postaraj się o więcej ludzi. Już teraz mogę cię uprzedzić, że pewnie pożegnamy się z dniami wolnymi, a wnioski urlopowe nie będą rozpatrywane.

Brookes zmarszczył brwi.

– Czy dzieje się coś poważnego? – spytał.

Grace ponownie spojrział na zdjęcie Ashleigh Stanford.

– Coraz bardziej na to wygląda.

47

14 grudnia, niedziela

– Są na stole i stygną! – zawołał Zak. – Musimy się zbierać.

Freya Northrop leżała w łóżku i z przyjemnością czytała *Pieśń miłosną J. Alfreda Prufrocka*, o której jej nowy ekscentryczny, lecz dość wesoły lekarz, Edward Crisp, wspomniał, gdy była u niego w piątek.

Po wyjściu z jego gabinetu Freya skierowała się prosto na Church Road, skręciła w lewo i tam, gdzie ulica przechodziła w Western Road, weszła do księgarni City Books i zapytała o wiersze T.S. Eliota. Następnie wróciła do domu.

Freya ziewnęła i zawołała:

– Prawie skończyłam. Za minutę zejdem!

Czuła ponętny zapach świeżych grzanek. Budzik przy łóżku pokazywał 9.40.

– Już mówiłaś, że zejdziesz za minutę, a to było jakieś pięć minut temu. Chciałaś jajka na miękko, ale będą całkiem zimne!

Kurczę, kiedy człowiek zaczyna z kimś mieszkać, z pewnością dowiaduje się o nim nowych rzeczy, pomyślała Freya. Na przykład musiała się pożegnać z długim leżeniem w niedzielne poranki. Zak nie cierpiał marnować ani chwili weekendu, wstawał wcześnie, aż w końcu zrozumiał, że Freyę może wyciągnąć z łóżka jedynie pokusa ulubionego niedzielnego śniadania, na przykład jajeczniczy z wędzonym łososiem. Zresztą, stwierdziła posępnie, niedziele jako wolne dni już wkrótce miały odejść w przeszłość.

Zak Ferguson był zawodowym kucharzem. Freya poznała go przed sześcioma miesiącami, gdy wszedł do restauracji w Notting

Hill, gdzie była kelnerką, i samotnie zjadł posiłek. Następnego wieczoru wrócił, również sam, i wykorzystywał każdą okazję, by zagadnąć do Freyi. Kiedy po kolacji przyniosła mu podwójne espresso, uświadomiła sobie, że nieco zawrócił jej w głowie.

Freya, beznadziejna kucharka, kupiła kilka książek kucharskich, a pozycja, która wydała się jej najbardziej klarowna i zawierała smakowite i łatwe przepisy, autorstwa Nicholasa Clee, nosiła tytuł *Nie odsączaj bakłażanów*. Właśnie ta książka leżała teraz przy jej łóżku.

Zak miał ambitne plany. Dzięki spadkowi – który pozwolił mu też na kupno tego edwardiańskiego domu, niby to w stylu Tudorów, w zielonym zakątku niedaleko Hove Park – mógł rzucić posadę kucharza w supermodnej restauracji w londyńskiej dzielnicy Hoxton i kupić restaurację w Brighton, której właściciel splajtował. Teraz właśnie Zak ją przerabiał, a po otwarciu, za dwa miesiące, Freya miała zostać jej menedżerką.

Tymczasem Zak pracował pełną parą; odwiedzał najlepsze restauracje w kraju, specjalizujące się w owocach morza, sprawdzał, co oferują, podpatrywał i „pożyczał” przepisy, które dałoby się ulepszyć. Dzisiaj wybierali się w dwugodzinną podróż do Whitstable na północy hrabstwa Kent, przy ujściu Tamizy. To słynące z ostryg miasteczko cieszyło się w ostatnich latach coraz większą popularnością i mogło się poszczycić kilkoma cenionymi restauracjami. Zak i Freya zarezerwowali miejsca w dwóch z nich, by zjeść lunch. Po drodze chciał też sprawdzić dwa puby z jedzeniem, stąd był ten wczesny wyjazd.

Zak, który miał już za sobą trzydziestokilometrową przejażdżkę rowerową o piątej trzydzieści, wciąż pozostawał chudy jak szczapa, pomimo uprawianego przez nich maratonu kulinarnego. Freya przytyła ponad sześć kilo. Jednym z efektów, radującym zresztą Zaka, były większe piersi, a nigdy dotąd nie stanowiły jej najsilniejszego atutu. Inny efekt, z którego Freya wcale się nie cieszyła, wiązał się z obfitszymi udami, na których pojawiły się dołeczki. Dobrze wiedziała, że i ona powinna zacząć ćwiczyć. Doktor Crisp pytał ją o to i zmarszczył czoło, kiedy

powiedziała mu, że wypala dziesięć papierosów dziennie, a jeszcze bardziej się zasepił, gdy wyznała, że opróżnia codziennie prawie całą butelkę białego wina. „Powinnaś rzucić palenie. Poza tym osoba w twoim wieku nie powinna tyle pić”, upomniał ją.

Wiedziała, że doktor Crisp ma rację, ale lubiła i papierosy, i wino. Do tego dochodziły przyjemności dzielone z Zakim. Po roku samotności – były chłopak rzucił ją w chamski sposób, przez SMS-a – Zak przywrócił uśmiech na jej twarz. Uwielbiała jego energię, poczucie humoru, ambicję. Uwielbiała też fakt, że z radością dla niej gotował, wypróbując swoje przepisy. Nieco mniej zachwycona była zeszłego wieczoru, kiedy strącił rondel i dwa wielkie homary zaczęły łązić po podłodze, stukając szczypcami, aż z wrzaskiem czmychnęła na krzesło.

Wróciła do poematu T.S. Eliota. Boże, doktor Crisp okazał się prawdziwym jasnowidzem. Cały wiersz dotyczył jedzenia! Trociny na podłodze restauracji; skorupy ostryg, herbata i grzanki; życie odmierzane łyżeczkami do kawy; herbata, ciasto i lody. Oto znajdowali się w nadmorskim mieście, a dziś wybierali się do innej nadmorskiej miejscowości. Eliot pisał o starzeniu się i podwijaniu mankietów spodni.

Czy Zak pewnego dnia taki się stanie? Czy zestarzeją się razem? Będą spacerować brzegiem morza, on z podwiniętymi nogawkami, z falami liżącymi mu stopy. Mogła to sobie wyobrazić. Po raz pierwszy spotkała kogoś, z kim widziała się w przyszłości. Z kim mogła się zestarzeć.

Odłożyła tomik, wyslizgnęła się naga z łóżka i owinęła szlafrokiem. Boso zeszła do kuchni, gdzie Zak, już po prysznicu, ogolony, w koszulce z krótkimi rękawami i džinsach, siedział, przeglądając strony kulinarne „Observera”. Objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

– Pachniesz cudownie – powiedziała.

Śniadanie podał z artyzmem, jakiego nie powstydziliby się topowa restauracja. Jajka na talerzu posypane truflami, obok zwinięte ruloniki wędzonego łososia z plasterkami cytryny,

pokrojone małe pomidorki. Grzanki na srebrnym stojaku, masło w kwadratowej nowoczesnej maselniczce.

– Wygląda pysznie. – Wtuliła usta w ucho Zaka.

– Jajka stwardnieją na kamień!

Freya przesunęła dłońią po jego udzie, dotknęła krocza.

– Hm – mruknęła. – Nie tylko one są tu twarde.

– Zjedz to cholerne śniadanie, dziewczyno! – powiedział Zak, tłumiąc uśmiech, po czym odwrócił się i ją pocałował.

Po godzinie wyszli z domu. Był suchy, choć wietrzny ranek. Stara mazda MX5 Zaka stała na krótkim podjeździe przed garażem wewnętrznym, obok sfatygowanej fiesty Freyi. Mazda, od lat niepolerowana, miała rozdarty płócienny dach, załatany czarną taśmą, i była upstrzona odchodami mew.

– Jak długo ten pies ma u nas mieszkać?

– Bobby! – powiedziała Freya. – Wabi się Bobby i jest słodki. Kiedy go zobaczysz, sam zapragniesz mieć psa.

– Koreańczycy jedzą psy. Mają świetne przepisy na ich przygotowanie.

– Zak, to potworne.

– Tak, przepraszam. Po prostu chciałem mieć cię dla siebie. Nie chcę cię dzielić z psem.

– Na pewno się w nim zakochasz. To tylko na tydzień.

Freya obiecała, że zaopiekuje się mieszańcem terierem swoich przyjaciół, Emily i Steve'a, podczas ich wyjazdu na wakacje. Nie podejrzewała, że Zak tak źle zareaguje na to urocze stworzenie.

Mężczyzna w małym szarym renault, stojącym nieco dalej przy szosie, z twarzą osłoniętą „Sunday Timesem”, patrzył, jak MX5 wycofuje się na jezdnię i rusza.

Z zainteresowaniem czytał zamieszczony na pierwszej stronie artykuł o Logan Somerville. Na siedzeniu pasażera leżały żółta kamizelka odblaskowa i podkładka do pisania. Dobrze wiedział, że ludzie, tak jak nie zauważają taksówek, nie zwracają też uwagi na kogoś w kamizelce odblaskowej, kto trzyma podkładkę do pisania.

48

14 grudnia, niedziela

– Kurczę, człowieku, to najstarszy numer świata – powiedział Glenn Branson, który siedział w swym ciasnym gabinecie, trzymając w potężnej łapie puszkę coli dietetycznej.

– Co to znaczy? – spytał Roy Grace.

– Zastanawiałem się nad tym Martinem Hornerem. Według mnie facet przyjął tożsamość zmarłego.

Grace wiedział, że w czasie przerwy na lunch powinien wrócić do domu i przygotować mowę pogrzebową na jutro. Ale Bella by zrozumiała. Jeśli istniał choć cień szansy na uratowanie Logan Somerville – a teraz także Ashleigh Stanford – Bella za nic by nie chciała, aby jej śmierć w jakikolwiek sposób spowolniła śledztwo.

Wypił łyżeczek soku jabłkowego, po czym zaczął jeść kanapkę z jajkiem i boczkiem, uzupełniając ją kwaśną śmietaną z kartonu i chipsami o smaku czerwonej cebuli. Oba przysmaki kupił w pobliskim supermarkecie Asda. Cieszył się, że nie ma tu Cleo, która wściekłaby się, widząc ten jego niezdrowy posiłek. Chociaż stwierdził, że może mieć czyste sumienie z uwagi na sok jabłkowy.

Czuł, że podobnie jak to jest w przypadku szczęściarzy mających wolne weekendy, poniedziałkowa chandra dopadnie go jutro, chociaż z innych powodów.

– Też o tym myślałem – przyznał.

– *Dzień szakala*. Widziałeś ten film?

– James Fox?

– Nie, jego brat, Edward Fox. Gra płatnego zabójcę, wynajętego, żeby sprzątnąć prezydenta Francji, de Gaulle’a. Kiedy potrzebuje fałszywego paszportu, idzie na cmentarz i znajduje nazwisko małego chłopca, który zmarł, nim zdążył uzyskać paszport. Bohater posługuje się tym nazwiskiem i wyrabia sobie lipny dokument. Świetny film.

– Nie widziałem. – Grace napił się soku, ugryzł kanapkę i podsunął chipsy Bransonowi, który jedną dłonią zgarnął połowę.

– Wiesz, jaki jest twój problem? – powiedział z ustami pełnymi chipsów. – Jesteś nieukiem w sprawach kultury. Jakim cudem zostałeś tak dobrym gliniarzem?

– Po prostu unikałem takich dupków jak ty. – Roy Grace wyszczerzył zęby w uśmiechu i uściskał swojego najlepszego przyjaciela. – Ale kilka lat temu czytałem tę powieść.

– To była powieść?

– Napisał ją Frederick Forsyth.

– Serio?

– Tak. Znacznie wcześniej, niż powstał film. Nie wiedziałeś? Nie czytałeś jej?

– Nie.

– I kto tu jest nieukiem?

– Burak z ciebie. – Branson wzruszył ramionami. – Ale wiesz, należysz do tych całkiem znośnych buraków.

– Stokrotne dzięki.

Grace ujrzał ze zgrozą, że Branson, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że to jego lunch, z głośnym chrupaniem pożarł resztę chipsów.

– Jak się czujesz w związku z pogrzebem?

– Ucieszę się, jak będzie po wszystkim. – Grace upił soku. – Co nowego w operacji Mona Lisa? Jesteś trochę bliżej zidentyfikowania „nieznanej kobiety”?

– Możliwe. Jak wiesz, Lucy Sibun oszacowała, że kobieta zmarła około trzydziestu lat temu i miała wtedy dwadzieścia parę lat. Posługując się parametrami, jakie podałeś, zacząłem

analizować wszystkie kobiety w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, odpowiadające naszemu opisowi, które zaginęły na terenie całego kraju od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat temu i nadal ich nie odnaleziono. Niektóre mogliśmy wykluczyć z uwagi na kolor włosów. Jutro zrobimy symulację komputerową twarzy i dowiemy się, czy miała brązowe włosy. Wtedy powinniśmy ustalić, kim była. Miejmy nadzieję, że uda się namierzyć członków rodziny. To pozwoliłoby nam sprawdzić dane dentystyczne lub uzyskać próbki DNA.

Grace pokiwał głową, myśląc o zaginięciu Sandy.

– Wiele rodzin, w których ktoś ginie, zwłaszcza dziecko, utrzymuje sypialnię takiej osoby nietkniętą niczym sanktuarium. Istnieje spora szansa, że znajdziemy szczotkę do włosów, szczoteczkę do zębów lub inny przedmiot, z którego da się pobrać DNA.

– Pojawilo się coś, co może mieć znaczenie – powiedział Branson. – Pamiętasz, jak w piątek pokazywałem ci akta Catherine Westerham, której ciało znaleziono w lesie Ashdown?

– Tak, dziewiętnastolatka z wypalonym napisem: I NIE ŻYJESZ. Podobna do pozostałych.

– Strasznie pobladłeś – stwierdził Glenn Branson. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Tak właśnie się czuję – przyznał Grace. – Mam bardzo niedobre przeczucia, stary. Te zabójstwa muszą być powiązane. Napis na ciele, włosy, przedział wiekowy, profil ofiar: za dużo tu podobieństw.

– Upłynęło wiele lat.

– Dawno temu, w innym kraju, poza tym dziewczka nie żyje.

– Co takiego? – Branson zmarszczył brwi.

– Christopher Marlowe.

– Kto to taki?

– Napisał to w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym roku. Nadal jestem nieukiem? – Grace skończył kanapkę, dopił sok, klepnął przyjaciela w plecy i wstał. – Muszę lecieć. Do zobaczenia jutro rano na apelu.

Glenn Branson nie odpowiedział. Pieczołowicie wstukiwał hasło „Christopher Marlowe” do Google’a w iPhonie.

Grace pomyślał, że gdy tylko zidentyfikuje się nieznajomą z Hove Lagoon, może da się ustalić, co łączy te dwie młode kobiety. Nagle jego komórka zaczęła wibrować. Dzwoniła detektyw Liz Seward z centrum operacyjnego.

– Panie nadinspektorze, właśnie odebrałam telefon od kogoś, kto chce rozmawiać z oficerem prowadzącym dochodzenie. Jakiś starszy mężczyzna twierdzi, że ma informacje, które mogą nas zainteresować. Próbowałam go nakłonić, żeby mi je przekazał, ale stanowczo domagał się rozmowy z panem. Czy mogę panu podać jego nazwisko i numer?

49

1974

– Hej, Krecie, dlaczego jesteś taki tusty?

– Nie mam na imię Kret – odpowiedział piskliwym głosem, jeszcze przed mutacją.

Stał nago w łazience swojej nowej szkoły z internatem, Cloisters w hrabstwie Surrey. Zaczynał się drugi tydzień semestru.

– Jesteś odrażający, Krecie! – stwierdził Gossage.

Jeden z chłopców tak mocno uszczypnął go w fałdy tłuszczu na brzuchu, że krzyknął z bólu.

– Jak to się nazywa?

– To bolało, debilu!

– Kogo Kret nazywa debilem? – zapytał Gore-Parker. – Ja? Debil?

– Nazywasz Gore-Parkera debilem? – parsknął Chaffinch, chłopak o świńskiej twarzy, z pewnością grubszy od niego, ale jakoś nikt nie zwracał na to uwagi.

– Dajcie mi spokój. – Wszedł pod prysznic i odkręcił kurki.

– Posłuchaj, arogancka beko wielorybiego tłuszczu – powiedział Gore-Parker. – Wczoraj cały internat nie mógł spać, bo waliłeś konia.

– Nie waliłem konia, do cholery.

– Dziwię się, że w ogóle możesz znaleźć wacka pod tymi zwałami tłuszczu – wtrącił Gossage.

Pozostali zarechotali donośnie.

– Coś ci powiem, Krecie. Lubisz tunele, to może wykopiesz sobie w lesie zgrabny tunelik, gdzie będziesz mógł walić konia ile

wlezie? – powiedział Chaffinch.

– Najlepiej, jak zostaniesz tam na zawsze – dodał Gore-Parker.

– Nie lubimy tłustych onanistów – stwierdził Gossage, czując poparcie kolegów, którzy w ostatnich dniach utworzyli klan.

– Po prostu dajcie mi spokój. – Miał łzy w oczach.

– Wychowawczyni mówi, że zeszłej nocy zmoczyłeś łóżko – powiedział Gore-Parker. – Kto tutaj beczy za domem, co?

– Poskarżę się na was panu Hartwellowi.

Pan Hartwell był dyrektorem szkoły.

– Poważnie, Krecie? – prychnął Chaffinch. – I co mu powiesz?

– Wiem, że wszyscy czytacie pornografię. Widziałem pisma.

Udając zaskoczenie, Gossage zwrócił się do Chaffincha i Gore-Parkera:

– Trzęsiemy się ze strachu, prawda? Kret doniesie na nas, że czytamy pornosy. A co ty czytasz, Krecie, że musisz walić konia przez całą noc. Książki o tunelach?

Znów zarechotali.

– Sam jesteś pieprzonym onanistą – powiedział ponuro, wszedł pod strumień wody i zaczął namydlać ciało. Zamknął oczy, rozprowadzając pianę po twarzy.

Nagle poczuł, że za oba przeguby chwytają go ręce mocne jak imadła. Brutalnie wywlekli go spod prysznic.

– Hej! – zawołał. – Hej!

Otworzył oczy, ale momentalnie zapiekły od mydła. Ślizgał się po macie prysznicowej, potem po linoleum na podłodze, wzrok mu się mącił. Poczował, że go podnoszą i wrzucają do wody.

Do wanny, pojął.

Głowę miał tuż pod kranem, z którego chlustała letnia woda. Prosto na jego twarz.

– Nie! Urrrrr! – Próbował krzyczeć, ale łykał wodę. Ręce mocno go przygwoździły. – Ppmcy! Pmóźci mmi!

Stracił oddech. Szarpał się, ogarnięty paniką. Tonął.

Pchnięto go do przodu. Łapczywie chwytając powietrze, słyszał tuż przy twarzy łoskot wody. Potem pociągnęli go w tył, strumień zalał mu usta i nos.

Wyrywał się i wierzgał, rozpaczliwie próbując się oswobodzić, ale silne ręce go nie puszczały.

– Jesteś brudnym draniem, Krecie! – powiedział Gossage. – Krety ryją w ziemi. Trzeba cię zasypać ziemią. Fuj!

– Może powinniśmy ci uciąć fiuta z jajami, żebyś przestał walić konia! – odezwał się Gore-Parker.

Łykał wodę. Gwałtownie dygotał, dławił się, szarpał.

Nagle usłyszał głos. Znajomy. Ostry. Wściekły.

– Co tu się, u licha, wyrabia? Gossage? Gore-Parker? Chaffinch? Co wy robicie? Ubierać się i natychmiast do mojego gabinetu!

Głos należał do Teda Hartwella, przed którym Kret, odkąd przybył do Cloisters, drżał ze strachu, bo dyrektor słynął z surowości.

Ale w ten niedzielny wieczór Kret poczuł, że Hartwell jest jego wybawicielem.

50

14 grudnia, niedziela

Grace patrzył na kartkę wyrwaną z notatnika Glenna Bransona, na której sam napisał: „doktor Jacob Van Dam”. Nazwisko podane mu przez Liz Seward, mężczyzna, który upierał się, że chce rozmawiać tylko z nadinspektorem.

To nazwisko coś mu mówiło.

Szybko przeszedł korytarzem do swojego gabinetu, zalogował się do komputera i sprawdził nazwisko w Google’u.

To, co przeczytał, było imponujące. Zrozumiał, dlaczego nazwisko wydało mu się znajome. Swego czasu Van Dam należał do czołowych psychiatrów sądowych w kraju. Jednak sądząc po dacie urodzenia, już dawno przekroczył wiek emerytalny. Zaintrygowany, Grace zadzwonił.

Po pięciu sygnałach usłyszał drżący męski głos:

– Słucham?

– Doktor Van Dam? – odezwał się Grace.

– Tak. Kto mówi? – spytał psychiatra z rezerwą.

– Nadinspektor Roy Grace. Kieruję dochodzeniem w sprawie zaginięcia Logan Somerville. Rozumiem, że chciał pan ze mną mówić, tak?

– Tak, dziękuję, że pan dzwoni. Bardzo nie lubię marnować czasu policji, ale widzi pan, rzecz w tym, że od blisko dwóch dni coś bardzo mnie trapi. – Umilkł.

– Powie mi pan? – rzucił zachęcająco Grace.

– Po pierwsze, powinien pan wiedzieć, że jestem wujem Logan Somerville.

– Rozumiem.

– Widzi pan, w piątek przyszedł do mnie bardzo osobliwy pacjent, niejaki Harrison Hunter. Czy to panu coś mówi?

– Harrison Hunter? – Grace zanotował nazwisko. – Nie.

Psychiatra mówił tak wolno, że było to niemal irytujące.

– Twierdził, że jest anestezjologiem, ale do tej pory nie udało mi się tego potwierdzić.

Grace zapisywał.

– Następnie powiedział coś dosyć dziwnego. Wstrzymywałem się z telefonem do pana, ponieważ, szczerze mówiąc, uznałem go za fantastę, a w swojej praktyce często spotykałem się z takimi ludźmi. Hunter oznajmił, że wie wszystko na temat uprowadzenia Logan. Potem, chcąc uwierzytelnić swoje rewelacje, poinformował mnie, że Logan ma na prawym udzie pewnego rodzaju tatuaż.

Nagle zainteresowanie Grace'a radykalnie wzrosło.

– Na prawym udzie?

– Tak twierdził. Natychmiast po jego wyjściu wziąłem od matki Logan numer telefonu do jej narzeczonego i zadzwoniłem, by spytać, czy Logan ma tatuaż. Ale on kategorycznie zaprzeczył.

– Psychiatra zamilkł na chwilę. – Rozmawiałem o tej sprawie ze swoją żoną. Rzecz w tym, że rodzice Logan... jej matka jest moją siostrą... odchodzą od zmysłów z niepokoju.

– To zrozumiałe – powiedział Grace.

– Martwią się jej związkami z narzeczoną. Najwyraźniej moja siostrzenica zerwała zaręczyny, ale on nie potrafi się z tym pogodzić. Dlatego całkiem możliwe, że okłamał mnie w sprawie tatuażu.

– Czemu, pana zdaniem, miałby kłamać?

– Nie mam pojęcia. Chyba że, jak sądzą jej rodzice, sam stoi za tym wszystkim.

– Czy ten doktor Hunter opisał tatuaż?

– Owszem. Według niego Logan ma na prawym udzie napis: I NIE ŻYJESZ.

Roy podziękował psychiatrze, po czym przez kilka minut siedział oszołomiony i zatopiony w myślach. Następnie

zadzwoił do trzech osób. Najpierw do Glenna Bransona, którego poprosił o niezwłoczne wysłanie jednego z detektywów do Londynu, by przesłuchał psychiatrę. Potem do szefa, Toma Martinsona, wreszcie do Pewe'a, z którymi ustalił termin spotkania.

Te ostatnie informacje zmieniły dochodzenie chyba w jedną z największych spraw, jakie prowadziła policja hrabstwa Sussex. Bez wątplenia zainteresują się nią media krajowe i zagraniczne, a Grace musiał zachować kontrolę nad całym śledztwem. Ponadto miał obowiązek współpracować z osobami opiniotwórczymi i lokalnymi społecznościami, by zapobiec panice. Postanowił, że powie szefowi i Pewe'owi, iż jego zdaniem należy powołać do życia „złotą grupę”.

„Złotą grupę” tworzą wyłącznie w ekstremalnych sytuacjach, takich jak przestępstwo na dużą skalę, poważny wypadek, wydarzenie publiczne wielkiej wagi czy klęska żywiołowa. W jej skład wchodziły wysocy oficerowie policji, wyżsi urzędnicy z rady miejskiej, funkcjonariusze odpowiedzialni za bezpieczeństwo, komisarz policji, lokalny poseł do parlamentu, komendant policji, członkowie niezależnej grupy doradczej, a także, co istotne, specjalista od public relations. Natychmiast po naradzie Grace musiał omówić szczegóły w głównej siedzibie policji.

Tylko tego mu brakowało: jutro pogrzeb, wciąż trwa śledztwo, które jest może największym wyzwaniem w jego karierze, a w tym tygodniu czeka go przeprowadzka do nowego domu. Sięgnął po telefon i wybrał numer Cleo, ale zanim odebrała, wziął głęboki oddech.

51

14 grudnia, niedziela

Niedzielną odprawa dotycząca operacji Haywain odbyła się dość pośpiesznie. Zaraz po niej Roy Grace miał się spotkać z Martinsonem i Pewe'em, by powiadomić ich, że sprawa może mieć ogromny wymiar. Nie miał dla nich dobrych wieści po rozmowie z Van Damem i kilku następnym telefonach.

Zdjęcie Logan Somerville zamieściły niemal wszystkie niedzielne gazety, niektóre na pierwszej stronie. Od czwartkowego wieczoru trwała akcja poszukiwawcza, w której uczestniczyli policjanci, grupy wsparcia, cywilni ochotnicy, a także, mimo wysokich kosztów, helikopter policyjny. Poszukiwania prowadzono na podstawie zgromadzonych danych oraz informacji od okolicznych mieszkańców. Sprawdzone cały teren w pobliżu miejsca zaginięcia Logan, ale bez rezultatu.

Chłopak Ashleigh Stanford wydawał się przyzwoitym młodym człowiekiem. Sporą część popołudnia spędził w centrum monitoringu przy John Street, gdzie wraz z operatorem Jonem Pumfreyem obejrzeli nagranie powrotu Ashleigh do domu, przez West Street i wzdłuż nabrzeża. Chłopak rozpoznał ją, jak pięćdziesiąt dwie minuty po północy jechała na rowerze po Duke Street, ulicy oddanej pieszym, potem po West Street, gdzie skręciła w prawo, w King's Road.

W ciągu kolejnych ośmiu minut cztery inne kamery wychwyciły Ashleigh Stanford jadącą na zachód: jedna nagrała dziewczynę mijającą Pomnik Pokoju, druga uchwyciła ją na Hove Lawns, w trzeciej było widać, jak przejeżdża na czerwonym świetle przy końcu Grand Avenue, a w czwartej, jak przecina

Hove Street. Gdyby jechała dalej na zachód, kolejna kamera uchwyciłaby ją na początku Shoreham Port. Ponieważ tam się nie pojawiła, należało wnioskować, że uprowadzono ją, razem z rowerem, właśnie tam lub na jednej z bocznych ulic, takich jak leżąca czterysta metrów dalej Carlisle Road, gdzie mieszkała.

Ashleigh Stanford dosłownie znikła z powierzchni ziemi.

W ciągu całego popołudnia ustalono jeden szczegół, który mógł się stać poważnym tropem. Te same kamery uchwyciły taksówkę marki Škoda, jadącą poniżej dozwolonej szybkości w pewnym oddaleniu od rowerzystki. Taksówka również nie pojawiła się na nagraniu z piątej kamery, na początku Shoreham Port, co oznaczało, że też gdzieś skręciła.

Taksówki nie wykryto na nagraniach z kamer filmujących wszystkie potencjalne trasy. System monitorujący numery rejestracyjne namierzył skodę na nabrzeżu i ustalono, że właściciel nazywa się Mark Tuckwell.

Tuckwella odnaleziono i przesłuchano. Chociaż numer rejestracyjny niewątpliwie należał do niego, tej nocy był na weselu w Lewes, razem z setką ludzi mogących potwierdzić jego alibi, natomiast taksówka stała przez cały weekend w warsztacie, z wybebeszonym silnikiem.

Ktoś zadał sobie niemało trudu, by sklonować ten pojazd i numery, a w obecnych czasach w Wielkiej Brytanii fałszowanie numerów rejestracyjnych nie było proste.

Roy Grace zwrócił uwagę na podobieństwo z volvo, które było widziane przed domem Logan Somerville w czasie jej przypuszczalnego uprowadzenia.

– Możliwe, że istnieje tu związek – zwrócił się do swoich ludzi.
– Zarówno w przypadku Ashleigh, jak i Logan sprawca prowadził samochód kombi mniej więcej w czasie zaginięcia dziewcząt. Po domniemanych uprowadzeniach nie pojawił się już na żadnej z kamer. To oznacza dla mnie dwie rzeczy.

Napił się wody i kontynuował:

– Po pierwsze, sprawca doskonale orientuje się w mieście, zna rozkład kamer i wie o bocznych uliczkach, pozwalających mu

unikać nagrania. Po drugie, prawdopodobnie mieszka w tym mieście. Dziś po południu przeanalizowałem mapy obu rejonów uprowadzenia. Żaden z pojazdów nie mógłby wyjechać z miasta w jakimkolwiek kierunku, jeśli wykluczamy jazdę w morze, nie będąc wychwycony przez kamerę naszą lub należącą do systemu monitoringu. Dokładnie przeszukano okolicę, gdzie po raz ostatni widziano Ashleigh, zrobiono wywiad środowiskowy, ale na razie nie wykryto nic istotnego.

Zwrócił się do detektywa Extona:

– Jon, co możesz nam powiedzieć o przesłuchaniu psychiatry, doktora Jacoba Van Dama, wuja Logan Somerville, oraz jego pacjenta, doktora Harrisona Huntera?

– Cóż, panie nadinspektorze, to zagadkowa sprawa. Pacjent twierdził, że skierował go internista z Brighton, doktor Edward Crisp, pokazał nawet list. Udało mi się uzyskać numer telefonu doktora Crispa, zadzwoniłem, ale oświadczył, że w życiu nie słyszał o żadnym doktorze Harrisonie Hunterze. Według Van Dama Hunter podawał się za anestezjologa z londyńskiego szpitala, jednak potem Van Dam sam to sprawdził i nie znalazł śladu takiej osoby. Psychiatra mówi, że jego pacjent wyglądał trochę dziwnie, miał pięćdziesiąt kilka lat, nosił przyciemniane okulary oraz, o czym jest przekonany, blond perukę, przywodzącą na myśl Borisa Johnsona. Van Dam powiedział, że korciło go, by uznać tamtego za świra, gdyby nie oznajmił, że Logan ma wytatuowany napis: I NIE ŻYJESZ.

Grace skinął głową. Czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Czy doktor Van Dam domyśla się, po co tamten człowiek do niego przyszedł i czego chciał?

– Sądzi, że Harrison Hunter szukał pomocy – odparł Exton. – Nie wie, czy tamten chciał od kogoś usłyszeć, że zabijanie ludzi jest w porządku, czy też był fantastą... Albo... – Sierżant wzruszył ramionami, po czym umilkł, zastanawiając się nad czymś.

– Albo co, Jon? – naciskał Grace.

Exton zajrzał do swoich notatek.

– Próbuje sobie przypomnieć, jak to dokładnie ujął doktor Van Dam, panie nadinspektorze. To było jak spowiedź, tylko bardzo skomplikowana. Jakby usiłował komuś coś wyznać, przekazać, zrzucić z siebie ciężar. To było jak wołanie o pomoc.

– Możemy mu pomóc – wtrącił Norman Potting. – Możemy go zamknąć i wyrzucić pieprzony klucz.

Kilka osób przy stole się uśmiechnęło.

Grace poprosił Extona, by zdobył list, który przyniósł Hunter, po czym zwrócił się do detektywa Cale:

– Tanju, zleciłaś wywiad środowiskowy na Carlisle Road, gdzie mieszkała Ashleigh Stanford. Jakieś nowiny?

– Nie, panie nadinspektorze, na razie nic. Czterech mundurowych nadal jest w terenie. Sprawdzili Carlisle Road i przylegające ulice, ale nikt tamtej nocy nic nie widział ani nie słyszał. Moi ludzie rozszerzają obszar poszukiwań. Z detektyw Seward przeczesują teren pod kątem roweru lub taksówki, ale na razie bez powodzenia. To dość charakterystyczny granatowy rower, z nalepką sklepu South Downs Bikes na ramie.

– Dobra robota, Tanju. Czy operator odezwał się w sprawie triangulacji komórki Ashleigh?

– Żadnych pomyslnych nowin, panie nadinspektorze – odpowiedziała detektyw Emma-Jane Boutwood. – Tuż przed naszą naradą zadzwoniła do centrali kobieta z Carlisle Road, mieszkająca dwa domy od Ashleigh. Dzisiaj znalazła w swoim ogrodzie telefon komórkowy, ale dopiero teraz olśniło ją, że może to mieć związek z działaniami policji.

– Słucham?! – wykrzyknął Jack Alexander.

– Co ona sobie myślała, że na krzakach rosną komórki? – parsknął Potting.

– Dwa domy dalej, EJ? – spytał z namysłem Grace.

– Tak, na południe od domu Ashleigh.

– I telefon leżał po drugiej stronie żywopłotu, w ogrodzie?

– Tak.

– Wygląda na to, że Ashleigh nie upuściła komórki, jadąc na rowerze. Telefony komórkowe nie przeskakują przez żywopłoty.

Sprawca porwał ją, kiedy zwolniła, żeby zsiąść, i rzucił komórkę za żywopłot. Telefon Logan Somerville zostawiono w jej aucie. Teraz porzucono też komórkę Ashleigh Stanford. Według mnie mamy do czynienia z kimś bardzo sprytnym. Wie, że komórkę da się namierzyć. Zna miasto. Jest zbyt mądry, by dwa razy używać tego samego pojazdu. Rozumiem, że telefon zabezpieczono i oddano do analizy. – Grace zwrócił się teraz do detektywa Alexandra: – Jack, co ze sprawą Martina Hornera?

– Cóż, panie nadinspektorze, znalazłem adres autentycznego Martina Hornera, data urodzenia zgadza się z danymi z bazy numerów rejestracyjnych. Niestety, to się chyba panu nie spodoba. – Młody detektyw zajrzał do swoich notatek, po czym rzekł z nieznacznym uśmiechem: – Aktualnie mieszka przy Old Shoreham Road, na cmentarzu w Hove.

– Co takiego? – spytał Guy Batchelor. – Sypia pod gołym niebem?

– Niezupełnie. Pełny adres Martina Hornera to kwatera numer trzydzieści cztery siedemdziesiąt dwa, cmentarz w Hove, Old Shoreham Road.

Dopiero po paru sekundach sens tego dotarł do zebranych. Kilka osób się zaśmiało, ale nie Batchelor, którego poczucie humoru całkiem w tej chwili znikło.

– Co to ma znaczyć, do diabła? – Zmarszczył brwi.

Jack Alexander wstał i wskazał duże zdjęcie przypięte na białej tablicy, pod twarzami Logan Somerville, Ashleigh Stanford i Emmy Johnson. Zbliżenie małego, skromnego nagrobka. Napis był prosty i czytelny.

MARTIN WILLIAM HORNER
3 PAŹDZIERNIKA 1964 – 12 CZERWCA 1965
UKOCHANY SYN KEVINA I BEVERLY

– Wygląda na to, że jakiś chory świr przywłaszczył sobie tożsamość zmarłego chłopca – stwierdziła Tanja Cale.

– I zarejestrował samochód na to nazwisko? – upewnił się Grace.

– Tak.

– A co z tym adresem, Blenheim Street sześćdziesiąt dwa? Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć z nim związek.

– Nasi ludzie rozmawiali z lokatorką, Anne Hill – ciągnęła Cale. – Teraz kobieta chętnie współpracuje, bo strasznie się boi, że oskarżymy ją o udawanie niepełnosprawności. Stanowczo twierdzi, że nic nie wie o tym samochodzie, ale powiedziała coś, co może być istotne. Sześć tygodni temu przyszedł do niej jakiś człowiek i oznajmił, że wyznaczono go na jej opiekuna. Przychodził przez kilka dni z rzędu, potem zniknął. Hill zadzwoniła do lekarza, żeby spytać, co się stało, ale ten nic nie wiedział o żadnym opiekunie. Według mnie czas ma tu znaczenie.

– Opisała tego człowieka? – spytał Guy Batchelor.

– Niezbyt dokładnie – odparła Cale. – W średnim wieku, długie włosy, ciemne okulary. Najwyraźniej posiadał pewną wiedzę medyczną.

– Musimy zrobić symulację komputerową – zarządził Grace.

– Tak, już się tym zajmujemy – powiedziała Cale. – Któryś z naszych specjalistów od rysopisu jest teraz u niej. – Na chwilę zajrzała do notatek i mówiła dalej: – Ten Martin Horner kupił volvo drugiego listopada. Możliwe, że opiekun pojawił się, żeby zgarnąć kartę rejestracyjną, kiedy przysłali ją z wydziału komunikacji.

– Czy mamy opis człowieka, który kupił volvo, naszego domniemanego Martina Hornera? – spytał Grace.

– Tak sobie, szefie – odparł Guy Batchelor. – Odszukaliśmy poprzedniego właściciela, handlarza antykami, Quentina Moona, ale nie okazał się zbyt pomocny. Nie przyjrzał się tamtemu na tyle, by go rozpoznać. Transakcję załatwiono nocą, na słabo oświetlonym wielopoziomowym parkingu w Worthing. Moon nie zachował żadnych namiarów na kupca. Zapamiętał, że Horner

nosił tweedową czapkę, szalik, ciemne okulary i zapłacił gotówką tysiąc pięćset funtów.

– Może mieć jeszcze te banknoty? – zapytał Jack Alexander. – To dałoby nam możliwość sprawdzenia odcisków palców albo DNA.

– Celna uwaga, Jack. Sprawdźcie to.

– Ten sprzedawca nie zdziwił się wyglądem Hornera? – wtrącił detektyw Davies. – Ciemne okulary na nieoświetlonym parkingu?

– Facetowi zależało tylko na forsie za samochód, a tę otrzymał – odrzekł Batchelor. – Handluje antykami, przypuszczalnie miewa klientów, którzy wyglądają jeszcze bardziej podejrzanie.

Na twarzy Grace'a pojawił się uśmiech. Doświadczenie wyniesione z ostatniej dużej sprawy, związanej z antykami, mówiło mu, że Batchelor ma rację.

– Czy na tym parkingu lub w pobliżu są kamery, Guy?

– Tak, w obu miejscach – potwierdził Batchelor. – Ale Horner kupił samochód sześć tygodni temu. Rzadko przechowuje się nagrania tak długo.

Grace skinął głową. Czuł jednak, że wobec coraz częstszego korzystania ze sprzętu cyfrowego, warto to sprawdzić. Uświadomił sobie, że wszystko, co do tej pory usłyszał, potwierdza jego wcześniejszą rozmowę z Glennem Bransonem o tym, kim mógł być Martin Horner.

Teraz z kolei rękę podniósł Norman Potting, który wyglądał na kompletnie przybitego, co nie było dziwne, skoro nazajutrz miał się odbyć pogrzeb jego narzeczonej.

– Rozmawiałem z lekarzem Anne Hill, niejakim Simonem Elkinem z kliniki w Portslade, pytałem go o opiekuna, którego jakoby jej wyznaczono. Doktor Elkin nie wyrażał się zbyt ciepło o pani Hill. Od pewnego czasu prosiła o opiekuna, ale Elkin czuł, że doskonale mogłaby poradzić sobie sama. Potem przepytałem sąsiadów. Nikt szczególnie jej nie lubi. Młoda para, mieszkająca po sąsiedzku, mówi, że często widują, jak Anne Hill się kręci, ale unikają jej, bo wystarczy, że skiną jej głową, a natychmiast

podchodzi i zaczyna opowiadać, jaka jest chora, skarży się, że nikt o nią nie dba. Nikt nie widział ani opiekuna, ani volvo.

– Naprawdę powinieneś pójść do domu, Norman. Odpocząć trochę – powiedział Grace.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, szefie, wolałbym dalej pracować.

– Pracujesz bardzo dobrze – zapewnił go Grace. – Ale przed jutrzejszym dniem wszystkim nam przydałby się odpoczynek.

– Powiedz to zaginionym dziewczynom – odparł Potting.

52

14 grudnia, niedziela

Ponieważ szef policji mieszkał w Brighton, a Cassian Pewe w wynajętym domu w Hove, postanowiono, że cała trójka spotka się wieczorem w gabinecie Roya w Sussex House, by uniknąć dwudziestopięciominutowej jazdy w obie strony do głównej siedziby policji w Lewes, gdzie pracowali Pewe i Martinson.

Kilka minut po wpół do ósmej obaj mężczyźni wkroczyli do skromnego gabinetu Grace'a. Szef miał na sobie dżinsy i luźny sweter robiony na drutach, Pewe spodnie z diagonalu, zamszowe półbuty oraz szykowną tweedową marynarkę z epoletami i skórzanymi łatami na łokciach. Pewe pewnie sądził, pomyślał Grace, że ten strój upodabnia go do posiadacza ziemskiego, ale w istocie wyglądał jak odpicowany bukmacher.

Grace zaparzył kawę, po czym usiadł obok nich przy małym okrągłym stole konferencyjnym. Podziękował im za przybycie w niedzielny wieczór i natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Niestety, wszelkie dowody świadczą o tym, że w mieście grasuje seryjny zabójca.

Twarz Martinsona wyraźnie stężała. Pewe wyglądał, jakby połknął osę.

– Zdajesz sobie sprawę z implikacji, Roy? – spytał Martinson.

– W Brighton nie ma seryjnych zabójców, Roy – powiedział Pewe. – Ostatnim przypadkiem były morderstwa kufrowe na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku. Na ile jesteś tego pewien?

Grace poinformował ich o tym, co on i Glenn Branson ustalili dotąd w ramach operacji Mona Lisa i Haywain. Kiedy skończył,

Martinson i Pewe długo siedzieli w milczeniu. Obaj zgodnie uznali, że należy stworzyć „złotą grupę”, a Pewe podjął się tego zadania.

– Przed naszym spotkaniem rozmawiałem dziś z Jonathanem Atkinsem z Narodowej Agencji Kryminalnej Wsparcia Operacyjnego – ciągnął Roy. – Przekazałem mu swoje opinie i dostałem od niego szczegółowe wytyczne do prowadzenia śledztwa. Powiedział mi też, jak sobie radzić z wpływem takiej sprawy na opinię publiczną. Radzi, by od początku działać w pełni jawnie, wciągnąć media i prasę. Czekam także, by do mnie oddzwonił, jak skończy swój wykład w akademii policyjnej, starszy oficer operacyjny, który ma doświadczenie z dwóch dochodzeń w sprawie seryjnych zabójców.

– Wpływ na społeczność będzie kolosalny, Roy – stwierdził Martinson.

– Wiem – przyznał Grace. – Wcielam w życie strategię prewencyjną, która pozwoli zmniejszyć ryzyko, że będą kolejne ofiary.

– Mieliśmy z tym do czynienia w Metropolitalnej – powiedział Pewe w zamyśleniu.

– Musi pan zrozumieć, że Brighton to nie Londyn – zauważył Grace. – Macie u siebie ponad osiem milionów mieszkańców, my niewiele ponad ćwierć miliona. Tutejsza społeczność jest znacznie bardziej zintegrowana. Ludzie nie przywykli do morderstw. Nasza strategia musi to uwzględnić, jeśli chcemy uniknąć paniki.

– Po blisko jedenastu latach udało nam się pozbyć miana brytyjskiej narkotykowej stolicy śmierci – powiedział Tom Martinson. – A teraz to.

– No tak, panie naczelniku. Niepokój wśród ludzi nie zniknie, dopóki nie schwytamy i zamkniemy sprawcy – odparł posępnie Grace.

– Zdajesz sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji, gdybyś się pomylił, Roy? – spytał Cassian Pewe.

W jego głosie zabrzmiało znajome zawrozczenie, uśmiechał się niemal szyderczo, jak gdyby wreszcie udało mu się strawić osę.

– Wyobrażam sobie, że sprawa może krótkoterminowo wpłynąć na turystykę, jak również na wielu nerwowych obywateli. Jednak niepowiadomienie opinii publicznej mogłoby doprowadzić do kolejnej śmierci. Może więcej niż jednej.

– Jak wiele szczegółów doradzono ci ujawnić opinii publicznej? – spytał Martinson.

– Cóż, rozmawiałem długo z agentem śledczym Jordanem Finuccim z wydziału zabójstw FBI w Quantico, którego poznałem cztery lata temu podczas szkolenia. Finucci ma doświadczenie wyniesione z dwóch najgorszych spraw seryjnych zabójców w Stanach Zjednoczonych, Teda Bundy'ego i Dennisa Radera, czyli BTK. Finucci udzielił mi pewnych rad, odwołując się do tego, w jaki sposób schwytano BTK.

– Mianowicie? – spytał Pewe.

– Panuje dość zgodne przekonanie, że przeważająca większość seryjnych zabójców ma wielkie ego. Niektórzy detektywi z amerykańskich wydziałów zabójstw wykorzystywali tę wiedzę z dobrym skutkiem. Finucci doradził mi rozdrażnić naszego sprawcę i spróbować wykurzyć go z kryjówki.

– Ale jeśli to zrobisz, a zaginione kobiety nadal żyją, czy nie sprowokujesz go do ich zabicia? – zaniepokoił się Martinson.

– W kwestii tego, czy one jeszcze żyją, statystyki są raczej przeciwko nam, panie naczelniku. Większość ofiar ginie w ciągu godziny od uprowadzenia, bardzo niewiele przeżywa dobę. Musimy być pozytywnie nastawieni i prowadzić dochodzenie z myślą o tym, by jak najszybciej odnaleźć i ocalić te młode kobiety, ale nie możemy się ograniczać tylko do nich. Trzeba zapobiec uprowadzeniu kolejnej lub wielu kolejnych. Dotychczas ustaliliśmy, że sprawca drobiazgowo planuje, a przynajmniej tak sądzi. Najwyraźniej uszło mu na sucho zabójstwo co najmniej dwóch kobiet trzydzieści lat temu, więc pewnie uważa się za niepokonanego.

– Wiesz, Roy – odezwał się Pewe – wydaje mi się dziwne, że tak nagle przestał zabijać, a po tylu latach znowu zaczął.

– Za pozwoleniem, niedawno prowadziłem śledztwo w sprawie seryjnego gwałciciela, który zabierał ofiarom buty. Na wiele lat zawiesił aktywność, ponieważ ożenił się i na świat przyszły dzieci. BTK w Stanach przerwał na podobny okres, z podobnych powodów.

– Roy ma rację, Cassian – poparł nadinspektora Tom Martinson. – Zresztą nie wiemy, czy ten sprawca faktycznie zawiesił działalność. Przypuszczamy tylko, że na wiele lat przestał zabijać w Sussex. Mógł to robić w innej części Wielkiej Brytanii albo nawet za granicą i niedawno powrócić w te strony.

– Tak, nasi ludzie pracują nad tym, na razie bez rezultatu. Dziś zrobiłem jeszcze jedno: skontaktowałem się z psychologiem sądowym Tonym Balazsem. Pracował nad dwoma znanymi seryjnymi przestępcami: gwałcicielem z autostrady M-dwadzieścia pięć, Antonim Imielą, oraz zabójcą prostytutek z Ipswich, Steve'em Wrightem. Balazs radzi to samo co Finucci: wykurzyć go za pomocą mediów.

– Słuchaj, Roy – odezwał się Cassian Pewe – w Policji Metropolitalnej jest starszy oficer operacyjny, z którym współpracowałem, Paul Sweetman. Asystował w sprawie zabójcy z Ipswich. Bynajmniej nie chcę się wtrącać, ale czy miałbyś coś przeciwko temu, jeśli poproszę Sweetmana, żeby tu przyjechał i pomógł?

Grace nieufnie przyglądał się Cassianowi. Relacje między policją hrabstwa Sussex a Policją Metropolitalną nigdy nie należały do łatwych. Ta druga podkradała wielu wartościowych oficerów, którym oferowano lepsze płace.

– Wiesz, Roy – powiedział dyplomatycznie Martinson – jestem przekonany, że Cassianowi leży na sercu wyłącznie dobro sprawy i nie zamierza uzurpować sobie przywództwa. – Spojrzał na Pewe'a, szukając potwierdzenia.

– Zdecydowanie tak, Tom. – Pewe obdarzył Grace'a fałszywym uśmiechem. – Wiem, Roy, że w przeszłości dochodziło między

nami do różnicy zdań, ale to już zamknięty rozdział. Detektyw Sweetman to równy gość. Tylko zaproponowałbym mu przyjazd wyłącznie w roli twojego doradcy, o ile nie masz z tym żadnego problemu. W przeciwnym razie zapomnimy o całej sprawie.

Po chwili namysłu Grace stwierdził, że ma niewielki wybór. Gdyby odmówił, a operacja zakończyłaby się fiaskiem, Pewe by mu tego nie darował.

– Jestem pewien, że jego pomoc bardzo się przyda – powiedział.

– Świetnie – skwitował Martinson. – Roy i Cassian, chcę, żebyście wspólnie nad tym pracowali, sporządźcie plan działania i informujcie mnie na bieżąco. A ja będę informował panią komisarz, a wiem, że ta sprawa bardzo ją zmartwi. Jutro starsi członkowie społeczności lokalnej powinni dołączyć do „złotej grupy”. Mimo pogrzebu skoncentrujcie się na dochodzeniu. Jutro, po pogrzebie, proponuję konferencję prasową i pierwsze spotkanie „złotej grupy”, na którym poinformujecie, że mamy seryjnego zabójcę. Nie ma się co łudzić, ta sprawa wstrząśnie miastem. Wybuchnie panika. Pojawią się negatywne skutki ekonomiczne.

– Z tego, co mówisz, Roy – odezwał się Cassian Pewe – wynika chyba, że operacja Mona Lisa powinna zostać włączona do operacji Haywain.

– Myślałem już o tym – odparł Grace. – Ja stanę na czele i poprosiłem inspektora Iaina Macleana, żeby został moim zastępcą. W ten sposób kluczowi oficerowie będą się zajmować poszczególnymi aspektami dochodzeń w sprawie każdej z ofiar.

Pewe skinął głową i spojrzał na swoją komórkę, która właśnie zabrzęczała.

– Powinniśmy też wymyślić przydomek dla sprawcy, zanim prasa wyskoczy z jakąś sensacją – zauważył Grace. – Nie chcemy, żeby „Argus” straszył czytelników Rozpruwaczem z Brighton czy Dusicielem z Sussex.

– Masz jakiś pomysł, Roy? – zapytał Tom Martinson.

– Owszem. W rozmowie z Tonym Balazsem ustaliliśmy, że nie chcemy go za bardzo gloryfikować. Obu nam podoba się Wypalacz z Brighton.

Martinson i Pewe rozważali to przez chwilę.

– To dobra propozycja – uznał w końcu Martinson.

– Tak – wtrącił Pewe. – Skonsultujmy ją ze „złotą grupą”, by zyskać pewność, że mamy za sobą społeczność lokalną.

Przez kolejne dziesięć minut rozmawiali o środkach, jakie będą potrzebne, w tym finansowych. Martinson oznajmił, że wobec tego, jak ta sprawa może wzburzyć społeczność lokalną, pieniądze nie grają tutaj roli. Musieli ruszyć pełną parą.

Jeszcze przed spotkaniem Roy Grace miał świadomość ogromu ciężącej na nim odpowiedzialności. Teraz odczuwał to jeszcze mocniej.

– Kwatera numer trzydzieści cztery siedemdziesiąt dwa na cmentarzu w Hove – odezwał się nagle Pewe, zaglądając do swoich notatek ze spotkania.

– Tak – potwierdził Grace.

Ton głosu Pewe’a wskazywał, że ta informacja zdecydowanie źle wpłynęła na jego ciśnienie krwi. Grace przez krótką chwilę miał nadzieję, że skutek okaże się zabójczy.

– To najstarszy numer świata – powiedział Pewe.

– Owszem – przyznał Grace. – Detektyw Branson zwrócił już na to uwagę.

53

14 grudnia, niedziela

Kilka minut po dwudziestej drugiej trzydziści Freya Northrop wjechała mazdą MX5 na podjazd przed domem, czując, że zaraz pęknie z przejeżdżenia. Kompletnie wyczerpana, stłumiła ziewnięcie. Siedzący obok Zak przespał prawie całą drogę powrotną z ostatniego ich przystanku tego dnia: kolacji w pubie i restauracji The Cat w West Hoathley, lokalu, który cieszył się świetną renomą – jak się okazało, uzasadnioną. Zak robił zdjęcia i zapisywał szczegóły dotyczące przystawki z koziego sera obtoczonego w orzechach laskowych, z figami smażonymi w miodzie i szynką parmeńską. Kawowe parfait podano w filiżance do cappuccino, z pianką, kostkami cukru i galaretką czekoladową. Obie te rzeczy Zak postanowił wprowadzić do menu w swoim lokalu.

Freya wciąż nie przestawała zdumiewać się ilością jedzenia, jaką Zak potrafił pochłonąć. W Whitstable zjedli dwa lunchy w dwóch restauracjach – przystawki, dania główne i desery, ponieważ chciał wypróbować szeroką gamę potraw – i podczas gdy ona tylko dziobała jak ptaszek, on pożarł zarówno swoje porcje, jak i Freyi. Wreszcie trzydaniowa kolacja w The Cat – i znowu uporał się ze wszystkim. Mimo to, pomyślała z zazdrością, nadal był wprost absurdalnie chudy.

Ojciec Freyi powiedział jej kiedyś, żeby nigdy nie jadła w restauracji, gdzie szef kuchni jest chudy, bo to zły znak. Jednak Zak był świetnym kucharzem. Żartował, że urodził się z ponaddwiękowym metabolizmem. Ale to była prawda. Gdzie

on mieścił te wszystkie węglowodany? Freya czule poklepała jego ostrzyżoną na jeża głowę.

– Jesteśmy w domu, kochanie.

Obudził się raptownie i stłumił ziewnięcie. Potem ujął dłoń Freyi i pocałował.

– Dzięki, że prowadziłaś. – Znowu ziewnął.

– Chcesz spać w samochodzie? – spytała z uśmiechem, już wysiadając.

Zak odpiął pas, otworzył drzwi i powoli wyszedł na chłodne, wilgotne nocne powietrze.

– Za dużo zjadłem – stwierdził, poklepując się po brzuchu.

– Jak na ciebie to niezłe wyznanie!

– Może przed pójściem spać jeszcze coś przekąszę.

Freya się roześmiała.

– Mam sprawdzić, czy w lodówce jest prosiak, którego dałoby się rzucić na grilla?

Ruszyła do drzwi frontowych, otworzyła je i weszła do środka, macając w ciemności, żeby zapalić światło. Poczowała zapach świeżej farby, nowego dywanu i niedawno piłowanego drewna.

Zak wszedł za Freyą, zamykając za sobą drzwi. Oboje przeszli do nowocześnie urządzonej kuchni, pierwszego wykończonego pomieszczenia, gdzie funkcję stołu pełnił pień rzeźniczy, na którym leżał dzisiejszy „Observer”.

– Przez cały dzień nie miałam w ustach alkoholu. Chyba zasłużyłam na kieliszek białego wina przed snem. – Freya otworzyła lodówkę, wyjęła do połowy opróżnioną butelkę sauvignon blanc i wyciągnęła korek. – Masz ochotę?

Zak pokręcił głową.

– Dzięki, ale już i tak za dużo wypilem – odparł.

– Bez komentarza!

Uśmiechnęła się szeroko i wyjęła ze zmywarki kieliszek oraz popielniczkę, które postawiła na stole. Nalała sobie wina i zaczęła szukać w torebce tytoniu, filtrów i bibulek o zapachu lukrecji. Kiedy układała tytoń na bibułce, spostrzegła, że Zak marszczy brwi.

– Co się stało? – spytała.

– Tu jest przeciąg. Czujesz?

Skinęła głową. Faktycznie, w kuchni dało się wyczuć chłodny powiew.

– Skąd tak wieje? – Zak nadal marszczył brwi.

– Nigdy wcześniej tego nie czułam. Tutaj zawsze było tak przytulnie.

W kuchni zazwyczaj miło się siedziało dzięki ogrzewaniu podłogowemu zainstalowanemu przez Zaka. Teraz jednak wyraźnie czuła chłodny powiew.

Zak nagle wstał i podszedł do drzwi na tyłach domu.

– Freyo, kochanie – odezwał się dziwnym głosem. – Przecież zamknęliśmy tylne drzwi, dziś rano przed wyjazdem starannie zamknęliśmy je na klucz, prawda?

– Sama to zrobiłam – powiedziała. – Pamiętam. Czemu pytasz?

Wskazał górną i dolną zasuwę, obie otwarte. Potem wskazał na klucz w zamku.

– Właśnie sprawdziłem ten klucz. Zamek był otwarty. Na pewno zamknęłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Tak, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– O cholera – zaklął Zak, wpatrując się w podłogę.

– Co takiego?

Zak pokazał jej witrażowe okno obok tylnych drzwi. Brakowało jednej kwadratowej szybki, o wymiarach piętnaście na piętnaście centymetrów. Potem dźgnął palcem w stronę podłogi.

– Spójrz.

Freya wstała, podeszła i zobaczyła szybkę obok wycieraczki.

– Jak... jak to się stało? – Zadrżała, z przerażeniem rozglądając się dokoła.

– Szklane szybki nie odrywają się same – stwierdził Zak. – A jeśli nawet, to nie spadają w całości na posadzkę. Zamki też nie otwierają się same z siebie. – Podszedł do komody, wysunął

szufladę i wyjął nóż rzeźniczy. Potem, wymachując nim, ruszył przez hol.

– Powinniśmy zawiadomić policję – powiedziała nerwowo.

– Zrób to. Wybierz dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Nie wychodź, Zak. Jeśli tam ktoś jest...

Freya chwyciła komórkę, ale dłonie tak mocno jej drżały, że o mało jej nie upuściła. W panice wystukała numery.

54

15 grudnia, poniedziałek

Drobny deszcz padał cicho i jednostajnie, mocząc zbierających się żałobników i pokrywając lśniąca warstewką szarą, surową bryłę Świętego Piotra. Imponujący, największy kościół w mieście wybrano z uwagi na rzesze policjantów i ludzi ze wsparcia, którzy wyrazili chęć uczestniczenia w pogrzebie.

Tego ranka Grace zrobił odprawę o wpół do ósmej i zostawił okrojony zespół dochodzeniowy pod przywództwem swego zastępcy, Iaina Macleana. Zamierzał wrócić do Sussex House natychmiast po nabożeństwie i pogrzebie.

Pomyślał, że w ten poniedziałkowy rano wszystko wydaje się szare. Nawet niebo miało barwę nagrobka. Nie czuł się zbyt swobodnie w mundurze galowym, niewyjmowanym od ponad czterech lat z pokrowca z pralni. Ostatnim razem miał go na sobie również z okazji uroczystego pogrzebu, po śmierci policjanta z Sussex, który zginął w tragicznych okolicznościach.

Wkrótce po wpół do jedenastej razem z Cleo, kuląc się pod parasolem, ruszyli z parkingu przy komisariacie na John Street, gdzie miał szczęście otrzymać jedno z niewielu dostępnych miejsc parkingowych, w kierunku London Road. Niewiele rozmawiali, bo Grace powtarzał sobie w myślach mowę pogrzebową. Właśnie wkraczali do dzielnicy będącej do niedawna najobszerniejszą częścią miasta, choć ostatnio wiele zmieniło się tu na lepsze. Normalnie Grace, jak to miał w zwyczaju, przyglądałby się twarzom mijanych ludzi, dziś jednak był myślami gdzie indziej, skupiony głównie na

pogrzebie, choć raz po raz wracał do Logan Somerville, Ashleigh Stanford oraz, może z nimi związanej, Emmy Johnson.

Cleo mocno trzymała go za rękę, co dodawało mu otuchy, i był jej niewypowiedzianie wdzięczny za to wsparcie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak bardzo się denerwował. Drżał na całym ciele, skręcało go w żołądku. W trakcie służby niejednokrotnie zdarzały mu się niebezpieczne sytuacje, ale tak chyba nigdy się nie czuł. Przede wszystkim obawiał się, że załamie się po wejściu na ambonę.

– Dasz sobie radę, kochany. – Cleo pocałowała męża.

Chyba już po raz siódmy poklepał kieszeń, by upewnić się, że ma tam tekst mowy, znowu panikując, że gdzieś go zawieruszył. Wyjął kartkę, na wszelki wypadek sprawdził, po czym starannie schował ją do kieszeni i raz jeszcze upewnił się, że tam jest.

Przed kościołem Świętego Piotra stał szpaler motocykli policyjnych, a za nimi gwardia honorowa, a także grupa strażaków – choć do rozpoczęcia uroczystości pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Wszędzie kręcili się fotoreporterzy gazet, ekipy telewizyjne i radiowe.

Kiedy podeszli bliżej, Grace dostrzegł Cassiana Pewe'a w mundurze galowym, pogrążonego w rozmowie z Tomem Martinsonem, także na galowo, oraz z Nicolą Roigard, ubraną, podobnie jak Cleo i większość kobiet, na czarno. Z szerokiego ronda jej kapelusza skapywały krople deszczu.

Cała trójka z powagą skinęła Cleo i Grace'owi głowami. Cassian Pewe słabo uścisnął mu dłoń.

– Wiesz, jak bardzo mi przykro, Roy.

Grace pomyślał, że przez ten jękliwy głos wszystko, co mówi Pewe, nawet kondolencje, brzmi jak szyderstwo.

– Dziękuję – odparł z rezerwą. – Chyba jeszcze nie zna pan mojej żony, Cleo.

Pewe ujął jej dłoń w rękawicze i odezwał się nadskakująco:

– Cóż to dla mnie za radość. Podobno w kostnicy bardzo boleśnie odczuwają pani brak. Czy podoba się pani macierzyństwo?

– Bardzo – powiedziała Cleo. – Ale wkrótce zamierzam wrócić do pracy.

– Jeśli o mnie chodzi, nie mogę się doczekać. – Cassian odsłonił w uśmiechu siekacze podobne do żmijowych zębów.

Grace przypomniał sobie, że Pewe stał przed płonącym domem, w którym zginęła detektyw Bella Moy, i pozostał tam, dopóki nie wyniesiono jej ciała. Nadinspektor przynajmniej za to darzył swego dawnego przeciwnika szacunkiem.

– To dla ciebie trudny ranek, Roy – zauważyła Nicola Roigard.

– Tak – potwierdził łamiącym się głosem. – To jest moja żona, Cleo.

Panie podały sobie ręce. Tymczasem Pewe przysunął się do Roya i cicho spytał:

– Czy przez noc wydarzyło się coś nowego?

Grace ujrzał zbliżającą się reporterkę „Argusa”, Siobhan Sheldrake.

– Nic ponad to, co przekazałem wam wczoraj wieczorem.

– Przepraszam, panowie! – przerwała im Siobhan Sheldrake, wyciągając w ich stronę mały mikrofon. – Czy mogę panów prosić o krótki komentarz na temat tragicznej śmierci sierżant Belli Moy?

Roy Grace, walcząc z mdłościami, musiał słuchać, jak Pewe wymienia ckliwą listę superlatywów o pracowitości, poświęceniu i odwadze tragicznie zmarłej funkcjonariuszki.

– Detektyw sierżant Bella Moy – zakończył Pewe – była bez wątpienia jedną z najwspanialszych policjantek, z jakimi miałem zaszczyt pracować.

Pomijając fakt, pomyślał gniewnie Roy Grace, że on nigdy z nią nie pracował. Nie były to jednak czas ani miejsce na wyrównywanie rachunków. Pozwolił Pewe’owi dokończyć, sam powiedział kilka słów do mikrofonu, po czym poprowadził Cleo ku wejściu do kościoła, gdzie Glenn Branson stał obok Guya Batchelora i jego szwedzkiej żony Leny, atrakcyjnej blondynki.

Wszyscy wymienili uprzejme uśmiechy, ale nikt nie miał szczególnej ochoty na rozmowę. Grace poczuł od Batchelora

zapach papierosów i sam z chęcią wymknąłby się na szybkiego dymka dla ukojenia nerwów. Glenn objął Roya i uściśnął. Grace pociągnął nosem, wyjął chusteczkę i wysiąkał nos.

– Powodzenia, bracie – powiedział Branson i przybił mu piątkę.

Grace nieraz zastanawiał się, jakie to uczucie dostać pięścią od Bransona, którego dłoń była jak wykuta z kamienia.

Wprost nieziemską ciszę miasta zakłóciło nagle wycie karetki, przebijającej się przez zakorkowaną London Road. Gdy sygnał ucichł, zapanowała jeszcze głębsza cisza. Zupełnie jakby całe Brighton and Hove zamarło. Nawet mewy przestały skrzeczeć. Przez kilka minut słyhać było jedynie stukot końskich kopyt.

Wtedy pojawił się kondukt. Cztery kare konie ciągnęły powóz, przez którego szyby widać było trumnę z udrapowaną flagą policji hrabstwa Sussex; leżała na niej kobieca czapka policyjna okolona kwiatami. Za powozem sunęła czarna limuzyna. Oba pojazdy zatrzymały się przed kościołem.

Roy Grace objął Cleo, poprowadził ją do kościoła, przyjął dwa egzemplarze programu nabożeństwa i ruszył przejściem, pozdrawiając skinieniem głowy znajome twarze. Gdy zajęli miejsca, usiadła przed nimi matka Belli, krucha kobieta z chodzikiem, a także kilkoro członków rodziny, w tym trójka dzieci.

Roy podał Cleo program i spojrzał na zdjęcie na pierwszej stronie. Przedstawiało anielskie dziecko o złotych lokach, a pod spodem widniały daty urodzin i śmierci. Bella Kathleen Moy miała zaledwie trzydzieści pięć lat, gdy zginęła. Grace otworzył program, przebiegł wzrokiem kolejne punkty, zwracając uwagę na wybrane hymny, i z zadowoleniem znalazł wśród nich jeden ze swych ulubionych, podnoszący na duchu *Jerusalem*.

Cleo powiedziała mu kiedyś, że wierzy w Boga, ale nigdy nie chodziła do kościoła. Odbyli szereg rozmów na temat wiary, zwłaszcza po przyjsciu na świat Noaha; zastanawiali się, czy go ochrzcić. Cleo tego chciała, ponieważ czuła przywiązanie do tradycji i podobała się jej idea rodziców chrzestnych. Grace nie

był pewien, co właściwie czuje. Po części nie chciał tego chrztu, bo wolał, by Noah sam podjął decyzję, gdy podrośnie. Ale skoro Cleo tego pragnęła, Grace z radością się zgodził.

Swego czasu on też był wierzący. Potem przeszedł etap niemal walczącego ateizmu, do którego skłoniły go śmierć obojga rodziców i całkowity cynizm Sandy w kwestiach religii. Wreszcie dotarł do obecnego stanu otwartości umysłowej. Trudno mu było uwierzyć w biblijnego Boga, lecz zarazem nie przekonywali go współcześni ateści w rodzaju Dawkinsa. Przyciśnięty do muru, Grace musiałyby przyznać, że wierzy w istnienie szerszej perspektywy, ale ludzie – przynajmniej dotychczas – nie byli wystarczająco inteligentni, by ją pojąć.

Ilekcję wchodził do jakiegoś imponującego kościoła, takiego jak ten, potrafił zrozumieć coś z mistycznego czaru, któremu ulegali ludzie. Siedział w ławce, wdychając woń drewna i zatechłych tkanin, podczas gdy Cleo odpięła klęcznik, postawiła na posadzce i uklękła, kryjąc twarz w dłoniach.

On również uklękł i przycisnął dłonie do twarzy. Usiłował sobie przypomnieć *Ojcze nasz*, modlitwę, którą odmawiał każdego wieczoru przez całe dzieciństwo i okres dorostania.

– *Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje* – wymamrotał nieśmiało, po czym umilkł, bo zapomniał dalsze słowa.

W kościele rozbrzmiały dźwięki utworu Johna Denvera *Leaving on a Jet Plane*.

Ludzie wokół nich zaczęli podnosić się z miejsc. Grace i Cleo także wstali.

Muzyka nie przestawała grać, gdy czterech mężczyzn niosło sosnową trumnę przejściem między ławkami. Grace, podobnie jak wszyscy, odwrócił się i ujrzał, jak mężczyźni, a wśród nich zapłakany Norman Potting, powoli zbliżają się do ołtarza. Ostrożnie postawili trumnę na katafalku.

Wierni ponownie usiedli. Nabożeństwo otworzył ojciec Martin, który całkiem niedawno dawał im ślub. Grace wyjął swoją mowę i raz jeszcze ją przeczytał. Duchowny powiedział

kilka słów wprowadzenia, po czym wszyscy wstali do hymnu *Abide With Me*. Gdy śpiew dobiegł końca, kapłan przeczytał rozdział dwunasty Pierwszego Listu do Koryntian. Następnie podniósł się Norman Potting i wolnym krokiem wszedł na ambonę.

Twarz miał mokrą od łez; w kościele panowała kompletna cisza. Dopiero po chwili odzyskał panowanie nad sobą.

– Tu chodzi o Bellę – powiedział łamiącym się głosem. – O muzykę, którą kochała. O ludzi, których kochała. Nikt nigdy nie kochał jej bardziej niż ja. – Zaczął łkać. Po paru sekundach otarł oczy i mówił dalej: – W czasie gdy miałem szczęście znać Bellę i została moją narzeczoną, w policji Sussex był jeden człowiek, który zawsze wiedział, jaka jest dobra. – Wyciągnął rękę w kierunku Roya Grace’a. – Szefie, chodzi o ciebie. Proszę, Roy, przyjdź tu i powiedz kilka słów. Ja już nie mogę.

Gdy Norman zszedł z ambony, Grace wstał i ruszył w jej kierunku. Mijając Normana, zatrzymał się, uściskał go i ucałował w oba policzki. Wreszcie wszedł na ambonę, wyjął kartkę, położył ją na pulpicie i odczekał, aż Norman zajmie miejsce w pierwszym rzędzie.

– W ostatnich latach policja spotykała się z ostrą krytyką – zaczął, a gdy napotkał krzepiące spojrzenie Cleo, popatrzył na blisko tysięczny tłum. – Prasa słusznie zwraca uwagę na idiotów w naszych szeregach, ludzi nieodpowiednich. W Wielkiej Brytanii jest ponad sto trzydzieści pięć tysięcy policjantów. W każdym tak liczonym gronie ludzi muszą się znaleźć zgniłki. Może jest ich jeden procent, chociaż moim zdaniem mniej. Co zatem z pozostałymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami? Bella Moy należała do tej grupy. Jako jedna z najbardziej cenionych osób z mojego zespołu pracowała nad wieloma sprawami. Podczas całej naszej znajomości, pomimo obowiązków związanych z opieką nad matką, nigdy nie brała zwolnień lekarskich, nigdy nie wychodziła wcześniej do domu, nigdy się nie skarżyła, nigdy nie wzięła ani jednego dnia wolnego, który by jej się nie należał. Wydział kryminalny policji

Sussex był jej życiem. Życiem, w którym niedawno i stanowczo na zbyt krótko znalazła prawdziwą miłość z Normanem.

Grace pochwycił wzrok sierżanta i głos mu się załamał – musiał głęboko odetchnąć, by odzyskać panowanie nad sobą. Ponownie spojrzął na morze milczących, lecz uważnych twarzy, w dużej mierze znajomych.

– Miałem zaszczyt służyć w policji hrabstwa Sussex przez dwadzieścia jeden lat i znam wielu tu obecnych. W naszych szeregach, podobnie jak w całej policji naszego kraju, jest niewielu ludzi, którzy w takim czy innym momencie nie ryzykowali życia. To może być konfrontacja z agresywnym pijakiem o trzeciej nad ranem w dzielnicy Lanes w Brighton albo przeszukiwanie na ciemnej odludnej ulicy samochodu, w którym może się czać uzbrojony włamywacz, albo interwencja podczas brutalnej bójki w pubie; zdarza się, że policjant czołga się po parapecie okna w wieżowcu, by odwieść potencjalnego samobójcę od skoku. Wiem jedno: w takich sytuacjach wy, dziś tu zebrani, podjęlibyście wyzwanie, nie zważając na własne bezpieczeństwo, spełnilibyście swój obowiązek.

Umilkł na chwilę, pozwalając, by te słowa dotarły do świadomości słuchaczy, po czym kontynuował:

– Bella Moy zginęła, tak właśnie postępując. Jej śmierć jest tym bardziej poruszająca i bohaterska, że nie była na służbie. Przejeżdżała obok płonącego domu, mogła jechać dalej. Nie zrobiła tego, zatrzymała się. Kiedy usłyszała, że w środku jest uwięzione małe dziecko, bez wahania weszła tam i uratowała je. Straż pożarna nie zdążyła jeszcze dotrzeć i gdyby nie Bella, dziecko prawdopodobnie by zginęło. Za ten bohaterski czyn zapłaciła życiem. Wiedziała, że wchodząc do płonącego domu, podejmuje wielkie ryzyko, ale nie miała czasu na kalkulacje. Wiedziała, że istnieje szansa ocalenia dziecka, bez względu na ryzyko.

Grace wziął głęboki wdech i mówił dalej:

– Według mnie doskonale pasują do Belli Moy słowa amerykańskiego pisarza, Jacka Londona:

Wolę być popiołem niż pyłem!

Wolę, by moja iskra rozbłysła jasno, niż żeby zdusiło ją próchno.

Wolę być wspaniałym meteorem, niech każdy mój atom cudownie się żarzy, niż uśpioną, ociężałą planetą.

Człowiek nie ma wegetować, ale żyć.

Nie zmarnuję swoich dni, próbując je przedłużyć.

Wykorzystam swój czas.

Z trudem powstrzymując drżenie głosu, Grace zakończył:

– Bella wykorzystała swój czas, który już się skończył. Wszyscy jesteśmy to ubożsi z powodu jej śmierci. Ale wzbogaca nas to, że ją znaleźliśmy.

Zszedł z ambony i na oślep, bo łzy zalewały mu oczy, wrócił na miejsce.

Dziesięć minut później, gdy wybrzmiały słowa ostatniego hymnu, *Jerusalem*, wierni ponownie uklękli. Kapłan udzielił ostatniego błogosławieństwa. W kościele rozległa się zupełnie inna muzyka. Utwór *A Good Heart* Feargala Sharkeya.

Mężczyźni, wśród nich Norman Potting, podnieśli trumnę i ruszyli do wyjścia z kościoła, a w ślad za nimi rodzina Belli.

Roy Grace wstał z ławki i podał rękę Cleo. Potem sięgnął po parasol i podążył za innymi, starając się zachować spokój.

Z tłumu ludzi stojących przed kościołem na chłodzie wyszła nagle młoda kobieta w czerni, w toczku na zmierzwionych jasnych włosach, trzymająca za rękę małą, dość ponurą dziewczynkę. Kobieta podeszła do Normana Pottinga.

– Przepraszam... pan... detektyw Potting?

– Tak? – Potting skinął głową.

– Nazywam się Maggie Durrant. Pańska narzeczona, Bella... Chciałam tylko panu powiedzieć, że uratowała moje dziecko, uratowała też naszego psa, Rocky'ego... nie wiem, co powiedzieć... ja tylko... chciałam tylko panu powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna i jak bardzo mi przykro. – Kobieta pociągnęła nosem, łzy płynęły jej po policzkach.

– Dziękuję – odrzekł Norman Potting łamiącym się głosem. –
Dziękuję. – Spojrzał na dziewczynkę, uśmiechnął się przez łyżę,
a mała nieznacznie odwzajemniła uśmiech.

55

15 grudnia, poniedziałek

Logan usłyszała zgrzyt otwieranej pokrywy. W słabej zielonej poświacie ukazała się głowa, z twarzą całkowicie zasłoniętą czarną maską, w goglach. Po chwili oślepiło ją białe światło latarki.

– Chwilowo sytuacja jest gówniana – powiedział głosem wykształconego człowieka. – Ale spójrz na to z jasnej strony, przecież zawsze jest jakaś jasna strona: nadal żyjesz. Powinnaś jednak wiedzieć, że żyjesz na pożyczonym czasie. Jak my wszyscy, co? Z życia nikt nie uchodzi z życiem!

Logan, czując, że z przerażenia dostaje hiperwentylacji, usłyszała jego chichot. Ohydny, jak skrzek wiedźmy.

– Chce mi się pić – wykrztusiła. – Potrzebuję więcej cukru. Proszę, proszę, powiedz mi, gdzie jestem. Czego chcesz? Zrobię wszystko, czego chcesz. Jeśli chcesz uprawiać ze mną seks, nie będę się opierać. Zrobię wszystko.

– Owszem. Zrobisz wszystko, co zechcę! – Znowu zarechotał. Potem spytał łagodniej: – Chcesz wody?

– Poproszę.

Nagle, nie dając jej szansy na złapanie oddechu, chlusnął jej na twarz lodowatą wodą. Przełknęła trochę, ale woda lała się dalej, zalewała jej twarz, ściekała po szyi. Logan potrząsnęła głową, przełknęła, jednak woda nie przestawała płynąć. Boleśnie wdzierала się do nosa. Logan próbowała oddychać, ale zaczęła się dławić. Przekręciła głowę w bok, za wszelką cenę starając się uwolnić. Woda nadal się lała. Logan zaczęła dygotać. Dusila się. Tonęła.

Chciała krzyknąć, ale z jej ust wydobyło się tylko gulgotanie. Rzuciła się na boki, szarpała więzy. Woda ciągle płynęła, smagając ją jak struga z węża pożarniczego.

Całe ciało Logan spięło się od wewnątrz. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej płuca.

Woda płynęła.

Potem, równie nieoczekiwanie, jak się to zaczęło, przestała płynąć.

Logan pluła, kaszlała, dusiła się, łapczywie chwytając powietrze. Zamknęła oczy przed ostrym światłem.

– Masz się odzywać, kiedy ci każę, szmato.

Pokrywa się zamknęła.

Kwiląc z przerażenia, zacisnęła powieki i modliła się bezgłośnie: „Boże, proszę, pomóż mi, proszę, pomóż”.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że kłapa znów się odsunęła. Człowiek w masce i goglach patrzył na Logan.

– Bóg nie lubi szmat, które zrywają zaręczyny – oświadczył.

Pokrywa się zamknęła.

Kim on był? Logan wciąż się zastanawiała, czy za tym wszystkim stał Jamie. On to zorganizował? Gdzie, do diabła, gdzie ona się znalazła?

Nasłuchiwała dźwięków, które byłyby jakąś wskazówką. Nie słyszała żadnych głosów. Żadnych syren. Żadnych samolotów. Tylko nieustępliwa cisza, przerywana wizytami prześladowcy.

Krzyknęła. Odpowiedziała jej cisza.

56

15 grudnia, poniedziałek

Roy w milczeniu, z Cleo na siedzeniu pasażera, jechał w sznurze samochodów, wolno posuwających się za konduktem. Deszcz się wzmógł, niebo było równie posępne jak ich nastroje.

– Nigdy nie widziałam smutniejszego pogrzebu – odezwała się nagle Cleo.

Grace tylko skinął głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Zazwyczaj, no wiesz, jest coś podnoszącego na duchu. Większość pogrzebów, w których uczestniczyłam, była pożegnaniem krewnych w podeszłym wieku. Mieli za sobą długie życie. Parę lat temu poszłam na pogrzeb mojej dawnej koleżanki szkolnej, która zmarła na raka w wieku dwudziestu siedmiu lat, ale nawet tamten, chociaż strasznie smutny, nie odbił się na mnie tak jak dzisiejszy.

– Myślę, że wszyscy w policji znamy zagrożenia. Glenna postrzelono, kiedy zrobili nalot, żeby uwolnić porwaną parę. Gdyby kula trafiła kilka centymetrów dalej, w jedną czy drugą stronę, albo by zginął, albo został sparaliżowany. EJ o mały włos nie została zmiażdżona przez furgonetkę, którą usiłowała zatrzymać.

– A ty, kochanie, ile razy ryzykowałeś życie?

– Kilka – przyznał. – Przypuszczam, że najbliższej byłem w zeszłym roku na Beachy Head, kiedy musiałem się przeczołgać poza skraj przepaści, żeby uratować życie Pewe'owi. A nienawidziłem sukinsyna.

– Miałeś powody. Nigdy mu nie wybaczę tego, co zrobił.

Grace wrócił myślami do upokarzających poczynań Pewe'a, który postanowił dowieść, że Grace zamordował Sandy. Kazał dokładnie przeszukać i przekopać ogród przy ich domu.

– Za wszelką cenę chciał udowodnić, że ją zabiłem. Potem ryzykowałem życie, żeby go uratować. Teraz jest moim pieprzonym szefem. Super, prawda?

– Cóż, może teraz okaże ci wdzięczność.

Grace czule dotknął uda Cleo.

– Wiesz, to jedna z dziesięciu tysięcy rzeczy, które w tobie kocham. Zawsze szukasz w ludziach dobra.

– A ty szukasz zła?

– To robi z człowiekiem dwadzieścia lat w policji.

– Nigdy nie przestawaj szukać dobra, Roy. Dobro jest w każdym. Czasami trzeba tylko głęboko podrać.

– Chciałbym ci wierzyć. Zwłaszcza kiedy pomyślisz o kimś takim jak Bella, oddana pracy i tak samo oddana swojej chorej matce... prawdziwie dobry człowiek. Ale spotkałem zbyt wielu ludzi, którzy całą swoją energię kierowali na wyrządzanie zła.

– Ilu z nich dostało od życia jakąkolwiek szansę? Ilu molestowali w dzieciństwie rodzice, ilu cierpiało z powodu braku wykształcenia, braku pozytywnych wzorców?

– Większość. Ale czy to ich usprawiedliwia? „Hej, bardzo mi przykro, właśnie zatłukłem na śmierć staruszkę, żeby splądrować jej dom, ale wszystko jest w porządku, bo moja mama się upijała i mnie biła”. – Roy przez chwilę prowadził w milczeniu, aż wreszcie powiedział: – Przepraszam, kochanie, nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak cynicznie. Za żadne skarby nie chcę stać się cyniczny. Bella zmarła jak bohaterka. Prawdziwa bohaterka. Nie wiem, ilu dupków, z którymi codziennie musimy się zmagać w tym mieście, zdobyłoby się na podobny heroizm. Czy w ogóle na dobry uczynek.

W końcu dotarli do cmentarza na wzgórzu i niedaleko przed sobą zobaczyli kondukt. Przeszli pośród płaskich nagrobków – tylko takie były tu teraz dopuszczalne z uwagi na ciągłe akty wandalizmu w przeszłości – i przystanęli. Nieopodal znajdował

się otwarty już grób rodzinny, w którym kilka lat wcześniej pochowano ojca Belli. Obok grobu piętrzył się kopczyk ziemi pokryty sztuczną trawą, jakby wykopaną z grobu. Ziejący otwór przykrywały dwie deski.

Nie bacząc na wiatr i ulewny deszcz, szybko podeszli do limuzyny, która zatrzymała się za konnym karawanem. Norman Potting, całkowicie zagubiony i oszołomiony, z twarzą mokrą od łez, wysiadł, ściskając plastikową torbę.

Grace objął szlochającego sierżanta.

– Bądź silny dla niej, Normanie – powiedział cicho. – Jeszcze trochę bądź dla niej silny.

– Nie wiem, jak mam bez niej żyć.

– Cholera, musisz dalej żyć, bo jesteś mi potrzebny.

Grace poprowadził Normana do pucułowatego, siwego jak gołąbek ojca Martina, który nie zważając na pogodę, stał przy grobie w samej czarnej sutannie z fioletową stułą. Wokół niego zgromadzili się krewni i przyjaciele Belli.

Trumnę przyniesiono do grobu, przez obręcz przecignięto pasy. Przez chwilę panowała zupełna cisza, którą zakłócały tylko wycie wiatru, szum deszczu i łkanie Normana.

– *Jestem zmartwychwstaniem i światłem, mówi Pan* – zaintonował ojciec Martin. – *Kto wierzy we mnie, choćby umarł, żyć będzie i nie umrze na wieki.* Przyjaciele, witajcie na cmentarzu, gdzie zebraliśmy się, by odprowadzić Bellę na ostatni spoczynek. Pismo przypomina nam, że nic nie przynosimy na ten świat i niczego nie możemy stąd zabrać. Pan daje i Pan zabiera. Błogosławione niech będzie imię Pańskie. Pochylmy głowy do pierwszej modlitwy.

Słuchając modlitwy, Grace przypomniał sobie wcześniejsze czytanie ojca Martina i łzy przesłoniły mu wzrok. Nadal podtrzymywał drżącego Normana Pottinga. Co pewien czas docierały do niego słowa duchownego.

– Ktoś mógłby spytać: jak zmartwychwstają zmarli? W jakim ciele? Ciało, które zostaje posiane, przemija. Powstaje jako ciało nieprzemijające. Gdzież, o śmierci, jest twe żądło?

Potting szlochał coraz głośniej. Grace usiłował go pocieszyć.

– Powierzamy Bellę Bogu – powiedział ojciec Martin.

Karawaniarze pochyłili głowy i powoli opuścili trumnę do grobu.

– Nasz Pan jest pełen współczucia i litości, niespieszny w gniewie... On pamięta, że jesteśmy tylko prochem, nasze dni są jako trawa, kwitniemy jak lilie polne. Gdy powieje wiatr, lilie znikają i nikt nie dowie się, gdzie kwitły, lecz litościwa dobroć Pana trwa na wieki... Powierzyliśmy naszą siostrę Bellę Kathleen Moy łasce Pańskiej i teraz składamy jej ciało do ziemi, z prochu powstałaś, w proch się obrócisz, z pełną i niezachwianą nadzieją na zmartwychwstanie do życia wiecznego, przez naszego Pana Jezusa Chrystusa. Amen.

Matka Belli, podtrzymywana przez kogoś z rodziny, podeszła chwiejnym krokiem i rzuciła do grobu garstkę ziemi.

Chwilę później Norman Potting, który nagle przycichł, wyswobodził się z objęć Grace'a, dowlóknął się do grobu i ukląkł. Z plastikowej torby wyjął małe czerwone pudełko.

Wodząc dokoła wzrokiem, niemal oszalałym z bólu, powiedział:

– Bella będzie ich potrzebowała. Będą jej potrzebne. Na pewno.

Pochylił się nad grobem i rzucił na trumnę paczkę cukierków Maltesers.

Potem z trudem wstał, wspierany przez Roya, który podbiegł, by mu pomóc.

– Będzie ich potrzebowała – powtórzył Potting. – W niebie będzie częstować cukierkami każdego, kogo spotka.

57

16 grudnia, wtorek

– Dzień dobry, chłopcy, nadszedł czas decyzji! *Zdecyduj się, chłopie!* – Zachichotał. – Kto pamięta tę kwestię, co? Felix? Harrison? Marcus?

– Cilla Black w telewizyjnej *Randce w ciemno*? – podsunął Felix, jak zwykle pierwszy.

– Nie, to był Hughie Green w programie *Opportunity Knocks* – stwierdził Marcus.

– Jak myślisz, Harrison?

– Nie jestem pewien, ale coś mi dzwoni.

– Dryń, dryń! – Znów zachichotał.

– To była na pewno *Randka w ciemno* – oświadczył Felix.

– Nigdy nie oglądałem *Randki w ciemno* – powiedział Marcus.

– No, no, żyłeś jak pustelnik, co?

– Na pewno lepiej niż teraz – odpalił Marcus.

– Oj, a co z twoją wdzięcznością, Marcusie?

– Za co niby mam być wdzięczny? – parsknął.

– Uuu, aleś ty zادیorny! Lubię, Marcus, jak stajesz się zادیorny. Feromony zaczynają mi buzować. Nigdy nie oglądałeś *Randki w ciemno*? Spędziłeś lata dziewięćdziesiąte w jaskini? Cała planeta oglądała ten program. Oczywiście oprócz ciebie.

– Oprócz mnie i jednej czwartej ludzi na świecie, którzy nigdy nie odbyli rozmowy telefonicznej, nie mówiąc o luksusie posiadania telewizji.

– Świetne. Uwielbiam twoją świadomość społeczną. Lubię ludzi z zasadami. Podejrzewam jednak, że ta liczba, którą podałeś, jest dzisiaj niższa. Naprawdę nie jesteś na bieżąco. Nie

mam pojęcia, jak spędzasz czas. Musimy popracować nad twoim rozwojem kulturalnym. Rozejrzę się za nagraniami *Randki w ciemno*, żebyś mógł nadrobić zaległości!

– Felix ma chyba rację – włączył się Harrison. – To była Cilla Black w *Randce w ciemno*.

– Taaaak – zapiszczał z rozkoszy. – Taaaaak, taaaaaak, taaaaaaak! Dzisiejszą nagrodę odbiera Felix! Brawa dla Felixa! Pogratulujmy mu! Felix, dostajesz batonik Mars. Wiem, że pora jest dość wczesna, ale jak mawiała moja mama, czym jest czas dla Irlandczyków? Co?

Wyjął z kieszeni batonik Mars, rozpakował go i pozwolił, by paperek sfrunął na podłogę.

– Boże mój, ale ze mnie flejtuch! – Wyciągnął batonik w stronę Felixa. – Proszę, Felix, nasyć się, a przegrani niech się obejdą smakiem. Ale zanim weźmiesz pierwszy kęs, chcę, żebyś mi powiedział, jak nazywała się Cilla Black, zanim zmieniła nazwisko. Potrafisz mi odpowiedzieć? – Kusił Felixa batonikiem.

– Nie wiem – przyznał Felix. – Nie mam pojęcia.

– Priscilla White! – oznajmił triumfalnie. – Kurczę, przegrałeś! – Podniósł rękę, w której trzymał batonik. – Dobrze, zanim postanowię, czy jeden z was dostanie całego marsa, czy wszyscy się nim podzielimy, chcę poznać wasze zdanie na temat mojego najnowszego projektu, Freyi Northrop. Jesteśmy zgodni? – Pokazał zdjęcie Freyi. – Pasuje pod wszystkimi względami, tak?

– Tak – potwierdził Felix.

– Harrison, co myślisz?

– Felix się zgadza tylko dlatego, że chce dostać batonik – powiedział Harrison.

– Ona z pewnością jest w twoim typie – zauważył Marcus.

– O, teraz się przymilasz, Marcus. Czyżby leciała ci ślinka na myśl o czekoladzie? Ale masz rację, ona jest w moim typie. Co do joty. Co wieczór wraca wcześniej, żeby przygotować kolację, a jej chłopak, Zak, haruje w restauracji. W tym tygodniu czeka go niespodzianka, jak przyjedzie do domu: nie ma kolacji, nie ma Freyi!

– Czy masz coś przeciwko parom, które mieszkają razem? – spytał Harrison.

– Prawisz mi morały, Harrison?

– Tylko pytam.

– To czysty zbieg okoliczności, stary. – Pokręcił głową. – Dziś rano wyczuwam tu sporo krnąbrności. – Odłożył zdjęcie i spojrział na zegarek. – Kwadrans po szóstej. No, no, jeszcze nie zjadłem śniadanka! – Odgryzł okazały kawał marsa i zaczął żuć. Z ustami pełnymi czekolady i toffi wymamrotał: – Mmm, dawno tego nie jadłem. Kurczę, ale pychota. Zbyt pyszne, żeby się dzielić! Poza tym czeka mnie długi dzień, muszę mieć dużo sił. Sorki! – Wepchnął do ust resztę batonika.

– Drań! – powiedział Marcus.

– Owszem, masz rację, Marcus, ale przecież ty nigdy się nie mylisz!

58

16 grudnia, wtorek

Kilka minut po siódmej Roy Grace, z kubkiem parującej kawy, wszedł do swego gabinetu, usiadł za biurkiem i wrócił myślami do wydarzeń minionego dnia, w szczególności do pierwszego spotkania „złotej grupy”, które odbyło się po posępnym pogrzebie i równie posępnej stypie, przed konferencją prasową i wieczorną odprawą. Za oknem pokrytym kroplami deszczu panował półmrok; supermarket Asda i miejski krajobraz Brighton były ledwo widoczne, majaczyła tylko poświata latarni ulicznych.

Między dwiema stertami papierzysek, z którymi musiał się zmierzyć, leżało zapakowane w folię śniadanie, które Cleo przygotowała mu zeszłego wieczoru: kanapka z jajkiem i pomidorem oraz sześć czerwonych winogron, ponieważ wyczytała w jakimś artykule zdrowotnym, że sześć czerwonych winogron, zjadanych codziennie, to znakomity eliksir zapobiegający starzeniu się. Zauważył, że od narodzin Noaha przywiązywała znacznie większą wagę do tego, by oboje, ona i Grace, zdrowo się odżywiali. Cleo nigdy nie była osobą nerwową, ale ostatnio wydawała się trochę niespokojna. Stwierdził, że musi to mieć związek z instynktem macierzyńskim.

Mocno zgnębiony, spojrzał na przypięty do tablicy wydruk słów, jakie odkryli na ciele niezidentyfikowanej kobiety: I NIE ŻYJESZ. Jego przygnębienie było przynajmniej po części spowodowane zbliżającym się przyjazdem oficera z Policji Metropolitalnej, detektywa Paula Sweetmana. Może i Pewe działał w jak najlepszej wierze, ale Grace z doświadczenia

wiedział, że do wszelkich poczynań Pewe'a należy się odnosić podejrzliwie.

Wiele osób gratulowało Grace'owi mowy pogrzebowej, jednak ich słowa prawie do niego nie docierały. Chociaż nie miał udziału w decyzji Belli, by wejść do płonącego domu, nadal dręczyło go silne poczucie winy. Ogień podłożył psychopatyczny podpalacz, centralna postać dochodzenia prowadzonego przez Grace'a. Gdyby schwytali Bryce'a Laurenta wcześniej, nigdy nie podpaliliby tego domu, a Bella nadal by żyła.

Raz po raz przebiegał myślami cały scenariusz tego śledztwa, znanego jako operacja Aardvark, od pierwszego doniesienia o tym, że ktoś prześladowuje panią Red Westwood, aż do chwili, gdy sierżant Bella Moy odważnie – a zarazem nierozważnie – wkroczyła do płonącego domu. Czy mógł zrobić coś, by wcześniej aresztować tego człowieka?

Niewielkim pocieszeniem był fakt, że Bryce Laurent spłonął w więzieniu Lewes, co uznano za samobójstwo. Grace chętnie doprowadziłby do procesu, bo może wtedy choć trochę zrozumiałby, co przyczyniło się do takiego wypaczenia umysłowego. Z drugiej strony, śmierć Laurenta stanowiła pewne zamknięcie sprawy dla Red Westwood, której życie zamienił w piekło. Przynajmniej oszczędzono jej lęku, że pewnego dnia Laurent wyjdzie z więzienia i znów zacznie ją prześladować.

Zgodnie z porannym rytuałem, Grace zalogował się do komputera i sprawdził najnowsze zgłoszenia. Próba gejowskiego gwałtu na mężczyźnie w Kemp Town; więzień zbiegły z otwartego więzienia Ford pojmany w Hollingbury; napad uliczny; włamanie do domu w Hove, gdzie według właścicieli, szefa kuchni i jego partnerki, nic nie skradziono; inne włamanie, do akademika przy Elm Grove, skąd skradziono dwa laptopy.

Następnie zajął się poranną odprawą wspólnej operacji Haywain. Sięgnął po kanapkę, zaczął odwijać folię, w którą owinęła ją Cleo, i wtedy wśród papierów na biurku dostrzegł teczkę z żółtą karteczką z napisem „Spójrz na to!”, skreślonym przez Glenna Bransona.

Grace odłożył śniadanie i otworzył teczkę. Poczuł, jak przeszywa go prąd.

Miał przed sobą jedną z kilku kopii symulacji komputerowej – stworzonej na podstawie układu kości czaszki – niezidentyfikowanej kobiety, którą znaleziono w Hove Lagoon. Na każdej wersji przedstawiono inne uczesanie. Atrakcyjna kobieta tuż po dwudziestce. Na kopii, którą właśnie trzymał, miała długie brązowe włosy.

– Cholera – mruknął do siebie.

– Tak, powiedziałem to samo.

Grace podniósł wzrok i zobaczył Glenna Bransona. Przyjaciel, świeżutki i znacznie schludniej ubrany niż on sam, mocniej niż zwykle pachniał pizmem. Grace nie usłyszał, jak wszedł.

– Oczywiście specjalista od rysopisów fantazjował co do uczesania – ciągnął Branson. – Kilka kosmyków włosów to trochę mało.

– Pomijając włosy, one wyglądają podobnie. – Grace patrzył na pozbawioną wyrazu twarz zmarłej. – Emma Johnson, Logan Somerville, Ashleigh Stanford, Katy Westerham. A teraz jeszcze ta kobieta. Dwie z nich zmarły trzydzieści lat temu, trzy zaginęły w ciągu ostatniego miesiąca.

Czas pokaże, czy te wizerunki okażą się przydatne, czy nie. Na razie jednak przypuszczalna podobizna ofiary była pomocna.

Branson odwrócił jedno ze stojących przed biurkiem krzeseł, usiadł na nim okrakiem, obejmując rękami oparcie, i w zamyśleniu popatrzył na swego przyjaciela i mentora.

– Jak poszło spotkanie „złotej grupy”? – spytał.

– Dobrze. Sformalizowaliśmy strukturę i uzgodniliśmy trzy podstawowe sprawy: zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom Brighton and Hove, kierunek i postęp dochodzenia, strategia kontaktów z mediami i prasą.

– Chcesz, żebym przyszedł na konferencję prasową?

– Chciałem, stary, ale pan Napuszony Paw chce stać obok mnie, żeby mógł spić śmietankę, jeśli odniesiemy sukces, i zwalić na mnie winę, jeżeli spieprzymy.

Grace ponownie spojrział na wydruki, w głowie mu wirowało, gdy przypominał sobie rady wszystkich doświadczonych osób, do których się zwrócił. Czy niczego nie pomijał? – zastanawiał się ciągle.

– Mam nowiny z zeszłej nocy, mogą okazać się pomocne – powiedział Branson. – Zdobyliśmy nazwiska trzech ludzi pracujących przy budowie drogi w Hove Lagoon, którzy nadal żyją. Dwóch zlokalizowano i dziś rano zostaną przesłuchani. W sumie drogę budowało siedmiu mężczyzn. Trzech nie żyje, jeden wyemigrował do Australii.

– Musimy go odnaleźć i przesłuchać, jeśli jeszcze żyje. Jeden z nich może być zabójcą, który wykorzystał okazję, by ponownie pogrzebać szczątki, licząc na to, że nikt nigdy nie tknie tej ścieżki.

– Norman Potting zna kogoś w policji w Melbourne, są w kontakcie. Ale ten facet wyemigrował blisko dwadzieścia lat temu. To może potrwać kilka dni.

– Nie mamy kilku dni, Glenn.

– Mogę skoczyć do Australii!

– Potrzebuję cię tutaj. Jeśli trzeba będzie kogoś posłać, a sprawa okaże się duża, to może być dobra okazja, żeby wysłać Normana. Niech się oderwie na kilka dni. Tak na marginesie, co z tą reporterką z „Argusa”, która wpadła ci w oko? Jakiś postęp?

Glenn Branson uniósł dłonie i nimi potrząsnął.

– Co to ma niby znaczyć? – spytał Grace.

– Jestem ostrożny z Siobhan.

– W jakim sensie?

Branson przesunął palcem po ustach, jakby zapinał suwak.

– I tak trzymaj – poradził mu Grace.

– Ona to rozumie.

– Siobhan jest dziennikarką. Dziennikarki zjadają swoje małe, jasne?

– Dziennikarki i policjantki z drogówki.

– Tak, z tą różnicą, że policjantce z drogówki bym zaufał. Nawet gdyby mnie zgarnęła.

– Mówię ci, Siobhan jest w porządku. Zdążyłem ją nieźle poznać.

Grace zerknął na niego z ukosa. Przyszło mu na myśl, że na tym etapie oswojona dziennikarka mogłaby się przydać.

Przeniósł wzrok na zdjęcie wypalonych słów.

– Kazałeś komuś skontaktować się z miejscowymi kowalami, żeby sprawdzić, kto wykonał żelazo do piętnowania, którym to zrobiono? Ktoś musi pamiętać, o ile ta osoba nadal żyje. Na pewno nie może być wielu kowali, którym zleca się wykucie żelaza do piętnowania z takimi słowami.

– W ogóle nie ma wielu kowali i odlewników. Tak, pracuje nad tym zespół, ale na razie bez powodzenia. To może być oczywiście dzieło „zrób to sam”.

Grace w zamyśleniu skinął głową. Skąd pomysł piętnowania ofiar? Co oznaczało to piętno? Władzę? Posiadanie? Owce i bydło piętnowano, by pokazać, do kogo należą. Także niewolników. Żydom w obozach koncentracyjnych robiono numery identyfikacyjne, ale raczej je tatuowano, niż wypalano rozżarzoną metalną kłódką. Ostatecznie jednak piętno stanowiło symbol władzy. „Teraz jesteś moją własnością. Mogę z tobą zrobić, co zechcę. Nie jesteś niczym więcej niż bydlęciem”.

Myśli o reporterce z „Argusa” nabierały realnego kształtu.

– Stary, chcę, żebyś poprosił o coś Siobhan. Przysługa w rodzaju „ręka rękę myje”. Zgoda?

Branson popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Jasne, żaden problem. – Skinął głową.

– Niech to ma związek z pracą, dobrze?

Inspektor nic nie odpowiedział, tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

59

16 grudnia, wtorek

Adrienne Macklin lubiła swoją pracę recepcjonistki na parkingu przyczep kempingowych Roundstone na obrzeżach Horsham, kwitnącego miasteczka z nowoczesnym centrum sklepowym, położonego czterdzieści kilometrów na północ od Brighton, pośród wspaniałej przyrody hrabstwa Sussex. Firma zajmowała się częściowo sprzedażą kamperów, a mieli w swojej ofercie całą ich gamę, od używanych przyczep jeżdżących, po rozsądnych cenach, do najnowocześniejszych, luksusowych przyczep stacjonarnych. Druga część działalności firmy polegała na zarządzaniu dwiema setkami domów na kołach.

Niektórzy właściciele przyczep byli stałymi użytkownikami, ale wielu przyjeżdżało tylko na wakacje, zresztą nie tylko z Sussex, lecz z całej Wielkiej Brytanii. No i był też dżentelmen z Jednostki R-73.

Adrienne, wdowa, wciąż poszukiwała nowego partnera, a ten mężczyzna odpowiadał jej pod wieloma względami. Był przystojny, uroczy, zawsze radosny, ale dotychczasowe próby wciągnięcia go do rozmowy spotykały się z odmową – zresztą bardzo uprzejmą. Adrienne prawie nic o nim nie wiedziała.

Mężczyzna od lat miał tutaj bardzo ładny dom na kółkach, który utrzymywał w nieskazitelnym stanie. Pojawiał się sporadycznie, czasem w środku tygodnia, czasem w weekendy, zdarzało mu się zostawać na parę dni, jednak najczęściej spędzał tu zaledwie kilka godzin. Nieodmiennie przyjeżdżał sam, zaopatrzonego w mnóstwo gazet i czasopism, z torbą

z supermarketu Waitrose, z której zazwyczaj wystawała szafka butelki wina.

Raz Adrienne spytała go, z czego żyje.

– Och, robię w komputerach, wiesz, same nudy.

– Według mnie to wcale nie jest nudne – powiedziała, chcąc podtrzymać rozmowę.

– Ależ to nudne jak flaki z olejem, wierz mi, kochana – uciał.

Innym razem starała się z niego wyciągnąć, gdzie mieszka, ale odpowiedział jak zwykle radosnym tonem:

– Och, wiesz, tu i tam. Zamierzam tu osiąść po przejściu na emeryturę. To już niedługo!

Adrienne miała więc nadzieję, że wkrótce tu zamieszka i może wtedy uda się jej bliżej go poznać.

Tymczasem zabawiała się trochę w detektywa i kiedy go nie było, myszkowała wokół jego przyczepy kempingowej. Ponieważ miała klucze do większości domów, pewnego dnia spróbowała otworzyć drzwi, ale bez powodzenia. Natrafiła na trzy zamki i w dodatku drzwi okazały się wzmocnione stalowym zbrojeniem. A opuszczone żaluzje w oknach nie pozwalały zajrzeć do środka.

Najwyraźniej ten człowiek bardzo cenił sobie prywatność.

Niekiedy Adrienne zastanawiała się, może krzywdząco, czy przypadkiem nie ma do czynienia ze zbrojencem. Co knuł w tej przyczepie, obłożony gazetami i czasopismami?

Odbyła z nim prawdziwą rozmowę tylko raz, parę lat temu, gdy jej córka, Hayley, wtedy na studiach, przyjechała na lato pomóc i trochę sobie zarobić. Nieznajomy zapałał wielką sympatią do Hayley, nieustannie kręcił się w recepcji i gadał z nią o muzyce. Okazało się, że oboje uwielbiają zespół Kinks, a mężczyzna opowiadał Hayley o pubie w północnym Londynie, gdzie bywał Ray Davies.

Adrienne po raz pierwszy poczuła się zazdrosna o córkę. Kiedy jednak mężczyzna poszedł do swojej przyczepy, jak zwykle z naręczem gazet i czasopism, Hayley sprowadziła matkę na ziemię.

- Co za świr! – parsknęła.
- Według mnie jest całkiem przystojny!
- Ocknij się, mamó!

60

16 grudnia, wtorek

Po spotkaniu „złotej grupy”, o jedenastej, Cassian Pewe, w wykrochmalonej białej koszuli z epoletami i czarnym krawacie, wkroczył tuż przed dwunastą do sali konferencyjnej Malling House, w siedzibie policji Sussex.

Roy Grace, w granatowym garniturze, w ślad za swoim szefem wszedł na podium, gdzie stanęli przed mikrofonami, mając przed sobą największe zgromadzenie przedstawicieli mediów i prasy, jakie Grace widział w życiu. Błyskały flesze. Nadinspektor przypomniał sobie, że przed laty ktoś mu poradził, by przed zwróceniem się do tłumu wziąć kilka głębokich oddechów, dla opanowania nerwów i pobudzenia energii.

W sali było co najmniej pięćdziesiąt osób: dziennikarze, ekipy telewizyjne ze Sky News, Latest TV, BBC South, reporterzy radiowi, wśród których rozpoznał pracowników Radia Sussex i Juice FM, a ponadto z pół tuzina nieznanych mu twarzy. Na podium stała też, po lewej stronie, pani komisarz policji, w wytwornym szarym kostiumie i białej bluzce, oraz równie wytworna przewodnicząca rady miejskiej Brighton and Hove, Philippa Tomsett.

W sali zapadła cisza, Pewe zaczął mówić, ale nikt nie słyszał ani słowa.

– Proszę podejść bliżej do mikrofonu – szepnął Grace.

Rozległ się pisk, potem donośny trzask i wreszcie popłynęły słowa Pewe’a.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Nazywam się Cassian Pewe, jestem zastępcą naczelnika i odpowiadam za wszystkie

duże dochodzenia kryminalne w Sussex. Po mojej prawej ręce stoi nadinspektor Roy Grace z wydziału kryminalnego policji Surrey i Sussex, dowodzący operacją Haywain. Są też z nami – wskazał ręką na lewo – pani komisarz policji hrabstwa Sussex oraz przewodnicząca rady miejskiej Brighton and Hove. Teraz poproszę nadinspektora Grace’a, by poinformował państwa o dotychczasowych wynikach dochodzenia, a następnie odpowiemy na pytania.

Gdy tylko Grace skończył mówić, uniosło się morze rąk. Siobhan Sheldrake z „Argusa” wyrwała się pierwsza:

– Nadinspektorze Grace, czy rzeczywiście uważa pan, że zaginięcie w zeszłym tygodniu dwóch kobiet w Brighton, Logan Somerville i Ashleigh Stanford, ma związek z zaginięciem dwa tygodnie temu Emmy Johnson z Worthing?

Grace ponownie zaczerpnął tchu i zbliżył się do mikrofonu.

– Owszem. Mamy też powody, by podejrzewać, że sprawca tych uprowadzeń może być odpowiedzialny za dwa zabójstwa, które wydarzyły się około trzydziestu lat temu. Chodzi o Catherine Jane Marie Westerham, dziewiętnastoletnią studentkę Uniwersytetu Sussex, która nie wróciła do domu w Elm Grove w Brighton w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku i której szczątki znaleziono w lesie Ashdown w kwietniu roku następnego. Drugi przypadek dotyczy szczątków młodej kobiety, około dwudziestki, na które natrafiono w Hove Lagoon. Sądzymy, że zamordowano ją w podobnym czasie.

Grace wskazał ekran z tyłu, gdzie wyświetlono zdjęcia Emmy Johnson, Logan Somerville i Ashleigh Stanford.

– Nasze dochodzenie koncentruje się obecnie na odnalezieniu tych trzech młodych kobiet. Jeśli ktokolwiek je widział lub wie, gdzie przebywają, prosimy o kontakt z oficerem dyżurnym lub z działem zapobiegania przestępczości. Numery telefonów są podane na ekranie.

– Nadinspektorze! – zawołał niechlujnie odziany reporter w średnim wieku, którego Grace nie rozpoznał. – Czy twierdzi

pan, że w rejonie Brighton and Hove działa obecnie seryjny zabójca, który zawiesił aktywność na trzydzieści lat?

W sali zapadła cisza, a Grace wyczuł atmosferę wyczekiwania, jakby stado sępów czekało na zdobycz. Z rozważą wypowiedział słowa, które wielokrotnie sobie powtarzał:

– Poszukujemy mężczyzny w średnim wieku, który świetnie orientuje się w lokalnym terenie, ma sadystyczne upodobania i najwyraźniej koncentruje się na młodych kobietach o pewnym określonym wyglądzie. Już popełnił kilka błędów, których nie mogę ujawnić. Dysponujemy dowodami potwierdzającymi, że sprawca piętnuje ofiary tymi samymi słowami. Brzmiały one: „I nie żyjesz”. – Na ekranie pojawił się napis: I NIE ŻYJESZ. – Wiem, że zechcecie jakoś nazwać tego przestępcę, i dlatego nadaliśmy mu miano Wypalacza z Brighton.

Reporterzy, przekrzykując się nawzajem, zasypali Grace'a gradem pytań.

– Na jakiej części ciała robi to piętno?

– Czym je robi?

– Jakiej ono jest wielkości?

– Co oznacza?

Roy uspokoił dziennikarzy ruchem dłoni.

– Nie wiemy, co znaczą te słowa, ale mogę wam powiedzieć, że napis ma około pięciu centymetrów szerokości i nieco ponad centymetr wysokości.

Kolejne pytanie nadeszło z głębi sali.

– Nadinspektorze, jak to możliwe, że odstęp czasu między uprowadzeniami jest tak duży?

– Wiemy jedynie, że odstęp czasu był duży w naszym mieście – odparł Grace. – Niewykluczone, że sprawca przeniósł się gdzieś indziej. Mamy wiele przykładów, zarówno z kraju, jak i z zagranicy, takiego schematu działania.

– Czy ma pan pewność, że sprawca jest mężczyzną? – spytała siedząca z przodu kobieta o ostrych rysach twarzy.

– Owszem, na podstawie dowodów.

– Czy może pan ujawnić, co to za dowody? Nasienie?

– Na tym etapie nie jesteśmy gotowi zagłębiać się w takie szczegóły – oznajmił Grace. – Prosimy o kontakt wszystkich, którzy między siedemnastą a osiemnastą w ostatni czwartek widzieli w okolicy Kemp Town lub Dyke Road, w pobliżu domu mieszkalnego Chesham Gate, stare ciemnoszare bądź granatowe volvo. – Na razie celowo nie podawali numeru rejestracyjnego.

Stojący obok kamerzysty Latest TV siwy mężczyzna w czapce baseballowej zawołał:

– Czy macie podejrzanych, kogoś, kto mógłby być Wypalaczem z Brighton?!

Grace ucieszył się, że tamten użył tego określenia.

– Nie, jeszcze nie. Pracujemy z psychiatrami sądowymi oraz z psychologiem. – Po kolejnym głębokim wdechu kontynuował: – Chociaż łączymy zaginięcia Emmy, Logan i Ashleigh, jest to dość rzadka sytuacja i nie chcemy wzbudzać niepotrzebnego niepokoju. Udzielimy wskazówek i rad młodym kobietom z naszego miasta, a także wzmocnimy obecność policji na ulicach.

Nagle Pewe nachylił się do mikrofonu i powiedział:

– Ważne, by nie wzbudzać paniki. Jesteśmy pewni, że wkrótce ujmemy sprawcę.

Grace zerknął z ukosa na Cassiana, w duchu zżymając się na niego. Pewe właśnie wymówił słowo, którego Grace tak starannie unikał. Panika. Poza tym Pewe obiecał rychłe ujęcie sprawcy, co na tym etapie, wobec braku podejrzanego, nie wchodziło w grę.

– Panie naczelniku, czy uważa pan, że mieszkańcy Brighton powinni przedsięwziąć specjalne środki ostrożności przed Wypalaczem z Brighton? – spytała jakaś dziennikarka.

Z sali posypały się kolejne pytania, zbyt szybko, by dało się na wszystkie odpowiedzieć.

– Panie naczelniku, czy doradzałby pan kobietom z Brighton pozostanie w domu do czasu ujęcia Wypalacza z Brighton?

– Panie nadinspektorze, jakich rad zamierza pan udzielać młodym kobietom z naszego miasta?

– Chciałbym zapytać panią komisarz, czy w obecnej sytuacji przeznaczy budżet na przywrócenie dawnej liczby policjantów w tym mieście?

Nicola Roigard pokrótce opowiedziała o wsparciu, jakiego zamierza udzielić policji w tym dochodzeniu, a także odniosła się do kwestii bezpieczeństwa publicznego.

– Nadinspektorze, czy może pan zdradzić, jakie konkretne kroki zamierza pan podjąć, aby złapać człowieka, którego nazywacie Wypalaczem z Brighton?

– Nadinspektorze, czy może pan dodać otuchy mieszkańcom Sussex?

Grace pochylił się do mikrofonu i próbował mówić, ale jego głos utonął w burzy pytań z sali. Kiedy wrzawa ustała, powiedział jeszcze to, co miało dotrzeć do mediów. Wyjaśnił też, jak mieszkańcy mogą przekazywać policji informacje, które być może posuną śledztwo do przodu.

Godzinę później konferencja prasowa dobiegła końca. W swoim wydaniu internetowym „Argus” zamieścił nagłówek: SZEF POLICJI OSTRZEGA PRZED PANIKĄ Z POWODU SERYJNEGO ZABÓJCY.

Radio i telewizja BBC oraz Sky rozpoczęły krajowe serwisy informacyjne od wiadomości, że Brighton ogarnęła panika w związku z seryjnym zabójcą, który wrócił po trzydziestu latach.

O osiemnastej trzydzieści Grace, z kamienną twarzą, siedział na odprawie operacji Haywain. W leżącym przed nim notesie napisał: *Cassian Pewe. Skończony palant*. I kilkakrotnie to podkreślił.

Na razie jednak musiał swoją opinię zachować dla siebie.

61

16 grudnia, wtorek

– Pan Wypalacz z Brighton! – powiedział Harrison i zachichotał.

Felix ryknął śmiechem.

– Wypalacz z Brighton! O mój Boże, boki zrywać. Pan Wypalacz! Masz własną ksywkę!

– Bardziej pasowałby Pan Napalony Czubek – stwierdził Marcus.

Oglądali wiadomości telewizji ITV o dwudziestej drugiej. Mówiono o panice w Brighton and Hove w związku z seryjnym mordercą.

– Może byście się ode mnie odczepili? – warknął.

– Musisz przyznać, że to zabawne. – Harrison chichotał w najlepsze.

– Pierdol się, Harrison.

– Cóż, dzięki za propozycję. Skorzystałbym, gdybym tylko mógł.

– Może wepchnąć ci do dupy ananasa?

– I po co tak się najeżać?

Felix zarechotał.

– Twoim zdaniem to zabawne, Felix?

– Wyluzuj, brachu – odparł Felix. – Nie widzisz, co ten superinteligentny gliniarz, inspektor Grace, próbuje zrobić?

– Nadinspektor – warknął. – Owszem, stara się przedstawić mnie jako okrutnego sadystę.

– No, tak bardzo nie musi się starać – mruknął Marcus.

– Co takiego, Marcus? – Odwrócił się i ruszył prosto na niego. – Co powiedziałeś?

– No proszę – odezwał się głośno Harrison. – Jesteście wściekli i zdenerwowani, czyli robicie dokładnie to, na czym zależy temu Grace’owi. Nie widzicie, że dźga was długim kijem, żeby was rozdrażnić? Ma nadzieję, że jeśli was wkurzy, popełnicie błąd, a wtedy gdzie wszyscy wylądujemy? „Poszukujemy mężczyzny w średnim wieku, który świetnie orientuje się w lokalnym terenie, ma sadystyczne upodobania i najwyraźniej koncentruje się na młodych kobietach o pewnym określonym wyglądzie. Już popełnił kilka błędów, których nie mogę ujawnić” – zacytował słowa podane w wiadomościach i pokręcił głową. – No, no, a więc popełniłeś kilka błędów. Co to za błędy? Chyba potrzebne są spore poprawki, jak sądzicie, ludzie? Co z tym zrobimy?

– Wiem dokładnie, co z tym zrobimy. Ten arogancki gnój, nadinspektor Roy Grace, otrzyma Order Ananasa. Wepchniemy mu go prosto w dupę. Nie popełniłem żadnych błędów. Nie powinęła mi się noga. Załatwię tego gliniarza.

– Serio? Niby jak?

– Tylko uważajcie, chłopcy.

– Hej, czemu nie? – wtrącił Felix. – Niby co innego mamy, kurwa, do roboty?

– Tak, obejrzymy sobie twój kolejny błąd! – powiedział Harrison.

Groźnie spojrzał na Harrisona. Potem przeniósł wściekły wzrok na twarz Roya Grace’a, widoczną na ekranie telewizora.

– Pożałujesz, że to o mnie powiedziałeś, nadinspektorze, gorzko pożałujesz.

– Wiemy, że w tym akurat jesteś bardzo dobry – stwierdził Felix. – Umiesz sprawić, żeby ludzie żalowali.

– To prawda – przyznał Harrison.

– Szczera prawda – dorzucił Marcus.

62

16 grudnia, wtorek

O wpół do jedenastej wieczorem Roy Grace, fizycznie i psychicznie wyczerpany, podjechał samochodem służbowym pod eleganckie wejście hotelu Limehouse w stylu regencji, dokąd przywiózł detektywa Paula Sweetmana, który na prośbę Cassiana Pewe'a przybył z Londynu, by doradzać Grace'owi w dochodzeniu.

Na razie było nie najgorzej. Grace polubił tego spokojnego mężczyznę o kręconych włosach, mówiącego cicho i poważnie, lecz obdarzonego poczuciem humoru – przyjemna odmiana po wielu zaczepnych stołecznych policjantach, z którymi dotychczas się stykał. Sweetman przyleciał po południu, omówił z Grace'em zasady śledztwa, po czym wziął udział w odprawie o osiemnastej trzydzieści. Następnie Grace zabrał go do English, tradycyjnej restauracji rybnej w Brighton, a później wrócił na kolejne dwie godziny do Sussex House.

Grace obiecał, że nazajutrz przyjedzie po Sweetmana o siódmej i przed poranną odprawą jeszcze porozmawiają; potem mieli się spotkać z psychologiem Tonym Balazsem i omówić dalszą taktykę. Zgodnie z przewidywaniami media się rozszalały. Nadinspektor nie zdążył dotąd spotkać się ani z Glennem Bransonem, ani Iainem Macleanem, którzy walczyli dzielnie w centrum operacyjnym. Przy pomocy ludzi ze wsparcia zorganizowali centralę telefoniczną, gdzie odbierano setki telefonów. Zespół Grace'a w pocie czoła analizował napływające zgłoszenia, układając ewentualny plan działania.

Skreślił w prawo, w Marine Parade, mając przed sobą światła nabrzeża, Brighton Eye i molo, nieco zamglone przez mżawkę. Nie do końca wiedział, jakie powitanie zgotuje mu Cleo, która nie mogła zawieźć Noaha na popołudniowe zajęcia dla dzieci, ponieważ ludzie od przeprowadzki przyjechali z pudłami wcześniej, niż było umówione. Nagle zadzwoniła komórka Grace'a.

Odebrał w systemie głośnomówiącym i usłyszał, jak zwykle podszyty paniką, głos oficera dyżurnego z komisariatu w Brighton, Andy'ego Anakina.

– Roy, myślę, że powinieneś to wiedzieć: na plaży przed King Alfred Leisure Centre właśnie znaleziono ciało kobiety. Może chcesz tam pojechać i obejrzeć, zanim odwiozą ją do kostnicy. Znalazła je para młodych ludzi.

Randka na plaży o tej porze, przy tej pogodzie? – pomyślał Grace z zamarłym sercem. King Alfred znajdowało się niedaleko Hove Lagoon. Natychmiast przyszło mu do głowy, że Wypalacz wybrał tę okolicę na miejsce porzucania ciał.

– Co zdołałeś ustalić na temat tej kobiety, Andy? W jakim jest wieku, w jakim stanie? Wygląd?

– Na miejscu jest mundurowy sierżant i dyżurny z biura koronera. Wygląda na to, że ciało jest mocno rozłożone. Znaczną część twarzy zjadły ryby.

– Co z jej włosami? Jakiego są koloru? Długie czy krótkie?

– Nie pytałem o to.

– Spróbuj to czym prędzej ustalić, Andy.

– Kolor włosów i długość? To jest ważne, Roy?

Boże, ten facet jest czasami irytujący, pomyślał Grace.

– Tak, to może mieć znaczenie. Oraz jej wiek, choćby w przybliżeniu.

Andy obiecał, że oddzwoni najszybciej, jak zdoła.

Dziesięć minut później Grace zaparkował na ulicy, przeszedł przez jezdnię i wstukał kod otwierający bramę osiedla, z którego razem z Cleo mieli się wyprowadzić pod koniec tygodnia. Nieopodal stała tablica agencji nieruchomości z napisem:

„Sprzedane”. Przeciął brukowany dziedziniec, a wsuwając klucz do zamka, usłyszał szczekanie Humphreya.

Gdy otworzył drzwi, powitali go skaczący z radości Humphrey i sterty kartonowych pudeł. Cleo, w luźnej piżamie, z kieliszkiem czerwonego wina, leżała na sofie, wpatrując się w ekran telewizora, gdzie pokazywano obraz zniszczenia w Iraku. Normalnie zerwałaby się i zarzuciła mężowi ręce na szyję, ale ku jego konsternacji, nawet nie odwróciła głowy.

– Cześć, kochanie – powiedział. – Przepraszam, że wracam tak późno.

– Zostawiłam ci jedzenie.

– Już jadłem... mówiłem ci... na cały wieczór ugrzązłem z tym londyńskim detektywem, którym uszczęśliwił mnie Pewe.

– Nie, nie mówiłeś – odparła chłodno Cleo. – Mówiłeś natomiast, że wrócisz o ósmej i pomożesz mi w pakowaniu.

– Ja... o cholera. – Nagle uświadomił sobie, że w natłoku zdarzeń na śmierć zapomniał do niej zadzwonić. – Boże, tak mi przykro. – Podszedł, nachylił się i pocałował ją w policzek. Nie zareagowała. – Kochanie, naprawdę przepraszam, miałem koszmarne dzień.

– Czyli ty możesz mieć koszmarne dzień, ale ja nie?

– Skądże znowu. Psiakrew, muszę się napić... gdzie wino?

Cleo wskazała głową na stół. Grace sięgnął po butelkę i z irytacją stwierdził, że jest pusta.

– Wypiłaś całą butelkę?

– Tak, wypięłam całą pieprzoną butelkę.

– Myślałem... karmienie piersią... czy to nie...

– Owszem, nie powinnam pić, kiedy karmię piersią. I co z tym zrobisz?

– Hej, daj spokój. – Usiadł na sofie i objął żonę, ale się odsunęła.

– Nie daję rady, Roy. Jak niby mam sobie radzić? Noah płakał przez cały dzień. – Pokazała ręką na pokój. – Nie podołam temu sama.

– Musimy poprosić kogoś o pomoc – stwierdził Grace. – Co z twoją siostrą, z twoimi rodzicami?

Twarz Cleo nieco złagodniała, jak gdyby wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

– Zapytam też Rosie i Caroline. – Były to jej dwie najlepsze przyjaciółki.

– Sądziłem, że ludzie z firmy przeprowadzkowej spakują rzeczy – powiedział Grace.

– Zrobią to, ale ktoś musi nimi kierować, do cholery. Boże, to takie trudne. Wiem, że nic nie możesz poradzić, bo masz dużą sprawę, ale to się stało nie w porę, po prostu w najgorszym możliwym momencie!

Znów zadzwoniła komórka Grace'a. Wstał, wyszedł z pokoju i odebrał. Dzwonił Anakin.

– Roy, udało mi się ustalić, że kobieta ma krótkie siwe włosy i jest po pięćdziesiątce, może nawet po sześćdziesiątce.

– Są pewni?

– Cóż, jak mówiłem, ciało jest mocno rozłożone. Mówią, że leżała w wodzie sporo czasu, ale tyle udało się stwierdzić.

Grace poczuł ogromną ulgę.

– W porządku, Andy, to dobra wiadomość.

– Dobra?

– Relatywnie biorąc.

– Cieszę się, że uważasz to za dobrą wiadomość.

– Tak, wygląda na to, że dziś wieczorem już niewiele da się zrobić. Rano zobaczymy, co wykaże sekcja, i jeśli przyczyna śmierci wzbudzi nasze podejrzenia, zdecydujemy o dalszym postępowaniu.

– Miejmy nadzieję, że to też będą dobre wiadomości, nadinspektorze – powiedział Anakin z lekkim sarkazmem.

Grace wiedział, że wcale nierzadko ciała są wyrzucane na brzeg w okolicy Brighton and Hove. Z uwagi na pływy i prądy kanału La Manche liczni samobójcy wybierający śmierć przez utonięcie dalej na zachodzie, a także osoby wypadające za burtę, lądowali na tutejszych plażach. Śmierć nie stawała się przez to

mniej tragiczna, ale Grace odczuł ulgę na wieść, że nie była to młoda kobieta o długich brązowych włosach.

Zakończył rozmowę i wrócił do Cleo. Już jej nie zastał. Pusty kieliszek stał na stoliku obok opróżnionej butelki.

Ciężko ruszył po schodach, zastanawiając się, co mógłby powiedzieć, co zasugerować, żeby pomóc Cleo. Kiedy dotarł na półpiętro, usłyszał głośny płacz Noaha.

63

17 grudnia, środa

Podczas odprawy o ósmej trzydzieści Sarah Milligan, analityczka z grupy HOLMES, oznajmiła, że na podstawie badań DNA ustalono tożsamość kobiety z Hove Lagoon. Nazywała się Denise Patterson, mieszkała w Aldwick Bay w Bognor Regis i zaginęła w wieku dziewiętnastu lat. Możliwe, że podobnie jak inne ofiary, miała długie brązowe włosy.

Roy Grace wskazał nieostre czarno-białe zdjęcie młodej kobiety, przyczepione do tablicy. Patrząc na tę twarz, zastanawiał się, jaką kryła historię. Trzydzieści lat temu on miał dziesięć lat. Puszczal swoje dziecięce żagłówki w Hove Lagoon. W tym samym czasie, kiedy Wypalacz odbierał życie Denise?

Dręczyło go, że to wszystko – i przeprowadzka, i opieka nad dzieckiem – spoczywa wyłącznie na Cleo. W sumie zachowywała spokój i dawała sobie radę. Wczorajszy wybuch należał do rzadkości, a przecież tyle ostatnio musiała znosić. Mimowolnie porównywał ją z Sandy, która regularnie suszyła mu głowę za długie godziny pracy. Nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy zostanie popełnione morderstwo. Czy w dzień, czy w nocy, czy w trakcie przyjęcia urodzinowego, detektywi z wydziału zabójstw musieli być przygotowani, żeby w jednej chwili wszystko rzucić, a potem, w pierwszych dniach śledztwa, praktycznie mieszkali w pracy. Współmałżonkowie czy partnerzy nigdy nie przyjmowali tego dobrze. Cleo, jako szefowa prosektorium, funkcjonowała w takim samym, całodobowym trybie, dzięki czemu potrafiła to zrozumieć.

Widok wycieńczonej twarzy Normana Pottinga również nie poprawił mu nastroju. Pięćdziesięcioletni sierżant siedział na swoim miejscu przy stole konferencyjnym, w eleganckim ubraniu, które pomogła mu wybrać Bella. Pochwyciwszy wzrok Grace'a, uśmiechnął się blado.

Na stole przed Grace'em leżało najnowsze wydanie „Argusa”. Gazeta raczej nie sprzyjała ograniczeniu niepokojów społecznych wywołanych przez Wypalacza z Brighton. Z pierwszej strony bił po oczach nagłówek: CZY WYPALACZ Z BRIGHTON UDERZY PONOWNIE?

Wszystkie inne krajowe tabloidy poświęciły tej sprawie wiele miejsca. „Mirror” pytał, czy Brighton wkrótce odzyska dawną złą sławę brytyjskiej stolicy morderstw.

Roy Grace otworzył notes.

– Na użytek całego zespołu, zwłaszcza że mamy nowych ludzi, zamierzam omówić obydwa dochodzenia i poszczególne tropy, które mogą prowadzić do dalszych pytań.

Pokrótce przedstawił okoliczności zaginięcia Emmy Johnson.

– Publiczny odzew w sprawie Emmy był bardzo słaby. Już wcześniej zdarzało się jej zniknąć, ale obecnie jest to o wiele bardziej zagadkowe i uważam, że ma związek z człowiekiem, którego nazwaliśmy Wypalaczem z Brighton. Odkąd po raz ostatni widziano Emmę wychodzącą z domu, ślad po niej zaginął i nie wiadomo, gdzie mogłaby przebywać. Została włączona do naszej operacji z uwagi na rysopis i podobieństwo do innych zaginionych dziewcząt.

Przewrócił kartkę w notesie i kontynuował:

– Teraz zajmiemy się dochodzeniem i najświeższymi informacjami dotyczącymi szczątków kobiety znalezionych w pobliżu Hove Lagoon. Roboczo uznajemy, że jest to Denise Patterson, która zaginęła we wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Lucy Sibun sądzi, że jej zwłoki przeniesiono na lagunę w połowie lat dziewięćdziesiątych. – Zreferował wyniki autopsji i innych przeprowadzonych badań.

Następnie omówił śledztwo dotyczące niewyjaśnionego zabójstwa Catherine Westerham w 1984 roku. Przed kilkoma laty powrócono do tej sprawy, jednak nie odkryto żadnych nowych tropów. Grace objaśnił działania poszczególnych członków zespołu i przedstawił najświeższe ustalenia.

Wreszcie powiedział:

– Teraz przejdę do dwóch najbardziej aktualnych spraw, Logan Somerville oraz Ashleigh Stanford. Zacznę od Logan. Na tym etapie możemy mieć przekonanie, graniczące z pewnością, że jej narzeczony, Jamie Ball, nie jest w to zamieszany. Podobnie jak w przypadku Emmy Johnson, nikt nie widział Logan i mamy bardzo niewiele informacji. Na podstawie jej wyglądu sądzimy, że znów chodzi tu o potencjalnego seryjnego zabójcę.

Wypił łyk kawy i mówił dalej:

– Na zakończenie przejdę do piątej ofiary, Ashleigh Stanford. Nie widziano jej od czasu, gdy zaginęła w sobotę, około pierwszej w nocy, w Hove, gdzie mogła zostać uprowadzona, kiedy na rowerze wracała z pracy do domu. Jej komórkę znaleziono nieopodal, a z innymi kobietami również łączy ją wygląd. – Grace omówił szczegóły tego konkretnego dochodzenia.

Przerwał na chwilę, by kilka osób zdążyło zanotować.

– Nadchodzące dni będą bardzo napięte, wszyscy musicie pracować do późna. Mam nadzieję, że nasza strategia sprowokowania zabójcy za pomocą mediów przyniesie skutek. Opublikujemy symulacje portretów i dwa razy dziennie będziemy organizować konferencję prasową. Spodziewam się szerokiego odzewu, więc musimy całkowicie skoncentrować się na kluczowych elementach dochodzenia. Musicie być gotowi do błyskawicznego działania, nalotów na domy, przeszukań oraz, miejmy nadzieję, przesłuchiwania podejrzanych. Pracujecie w trudnych warunkach, a Bella byłaby z was tak samo dumna jak ja.

Grace spostrzegł, że drzwi się otwierają i do sali zagląda jego nowa asystentka, Tish Hannington, dając mu ręką znaki.

– Przepraszam na chwilę. – Podeszedł do drzwi.

Tish była szczupłą, schludnie ubraną kobietą przed czterdziestką. Wydawało się, że nic nie może wyprowadzić jej z równowagi. W dłoni trzymała niewielką kopertę bąbelkową.

– Przepraszam, Roy – odezwała się cicho. – Właśnie przysłał nam to redaktor „Argusa”. Rano czekało na niego w pracy. W nocy ktoś wsunął to w otwór na listy.

– No tak, ta gazeta podpadła mi swoim dzisiejszym nagłówkiem wzbudzającym panikę. Właśnie tego nam nie trzeba. Co to jest?

– Myślę, że powinieneś to zobaczyć, natychmiast.

Grace wsunął dłoń do koperty i wyjął dwa kartoniki w plastikowych okładkach. Przeczytał to, co było tam napisane drobnym drukiem, i spojrzał na Tish.

– Cholera jasna.

64

17 grudnia, środa

Dwadzieścia minut później Roy Grace siedział przy stole konferencyjnym w swoim gabinecie z detektywem Sweetmanem i Tonym Balazsem. Wszyscy trzej mieli na sobie ciemne garnitury, ale w odróżnieniu od obu detektywów, z krótkimi włosami i w stonowanych krawatach, Balazs pysznił się falującą grzywą siwych włosów, a pod szyją miał jaskrawą muszkę. Według Grace'a przypominał raczej handlarza antykami niż psychologa sądowego.

Wpatrywali się w dwa poplamione prawa jazdy z zielonego papieru, liczące trzydzieści lat. Pierwszy dokument wystawiono na nazwisko „Catherine Jane Marie Westerham”, drugi na „Denise Lesley Anne Patterson”. Obok leżała kartka formatu A4 z wydrukowaną następującą wiadomością:

Powiedzcie nadinspektorowi Grace'owi, że potrzebuje pomocy w identyfikacji damy z Hove Lagoon. Kiedy otrzymamy tę wiadomość, spytajcie go, kto jest teraz inteligentny. Ja nie popełniam błędów.

– „Otrzyma” napisał przez „sz” – zauważył Balazs.

– Czy to coś oznacza? – spytał Grace.

– Tak, że jest słaby z ortografii!

Wszyscy trzej zaśmiali się słabo.

– Roy, czy w „Argusie” mają nagrania monitoringu z zeszłej nocy? – zapytał Sweetman. – Czy kamera uchwyciła człowieka,

który to dostarczył?

– Owszem, wygląda jak bohater tego starego filmu *Niewidzialny człowiek*. Kapelusz, ciemne okulary, twarz owinięta szalem aż po sam nos. Haydn Kelly i ludzie z kryminalnego są teraz w redakcji gazety, szukają śladów pasujących do tego, który znaleziono w kałuży benzyny na parkingu podziemnym w Chesham Gate. W okolicy redakcji „Argusa” nie mogło w nocy chodzić zbyt wielu ludzi. Sprawdzamy też, czy okoliczne kamery wychwyciły wolno poruszający się lub zaparkowany pojazd.

Grace podszedł do biurka, sięgnął po teczkę, przyniósł do stołu i zajrzał do niej.

– Denise Patterson była na liście zaginionych, które odpowiadały kobiecie z laguny pod względem wieku i rysopisu. Przy odrobinie szczęścia będziemy mogli, dzięki analizie DNA lub danych dentystycznych, oficjalnie potwierdzić, że to ona. Te prawa jazdy zdecydowanie łączą się z naszym dochodzeniem. Czy możesz coś wywnioskować z tej wiadomości?

– Owszem – przytaknął Balazs. – Nasz sprawca ma wybujałe, ale kruche ego. Sugestia, że popełnił błędy, zgodnie z naszym oczekiwaniem go ubodła. Fakt, że zachował te prawa jazdy, świadczy o tym, że zabiera sobie pamiątki. – Psycholog wpatrywał się w oba dokumenty. – Zastanawiam się, czy bierze też trofea.

Trofea mogły być kosmykami włosów ofiary, biżuterią, częścią ubrania lub fragmentem skóry. Grace wiedział, że mogą wskazywać na samotnika, który zastępuje przyjaciół przedmiotami.

– Za pomocą tej wiadomości usiłuje ponownie odzyskać przewagę – stwierdził Sweetman.

– Zgadza się. Wypalacz uważa, że on jest teraz górą – oznajmił Balazs. – Jego egoistyczny umysł mówi mu, że to on pomógł ci zidentyfikować tę kobietę. Myślę, że musimy wyprowadzić go z błędu.

– A jeśli na konferencji prasowej w południe umniejszemy znaczenie tych praw jazdy, to może przyśle nam więcej fantów?

Mógłbym po prostu ogłosić, że dokumenty dostarczył do redakcji „Argusa” ktoś podający się za Wypalacza.

– Jeżeli jest tak bystry, jak sądzimy, domyśli się, że celowo staramy się go podbechtać – powiedział Sweetman. – To mogłoby sprowokować go do działania, żeby nam pokazać.

– Jakiego działania, Paul? Miałby znowu zabić? – spytał Grace.

– Bardzo możliwe. Ale wiemy, że i tak zabije, to jedynie kwestia czasu. Jeśli sprowokujemy go, by sięgnął po kolejną ofiarę wcześniej, niż planował, bez przygotowania, można liczyć na to, że popełni błąd, a wtedy będziemy mieli najlepszą sposobność, żeby go złapać.

Po spotkaniu Grace zadzwonił do Cassiana Pewe’a i poinformował go o planowanych krokach. Detektyw Sweetman w pełni je popierał, ale Grace chciał mieć też zgodę przełożonego.

– Chyba nie postąpiłeś słusznie, Roy – odezwał się Pewe lodowatym tonem – upubliczniając całą sprawę. Zgodnie z obawami pani komisarz i moimi, miasto jest na skraju paniki.

– Przecież zarówno pan, jak i pani komisarz daliście mi zielone światło podczas niedzielnego spotkania.

– Masz pojęcie, jaki strach wywołało twoje oświadczenie na wczorajszej konferencji prasowej? – Głos Pewe’a brzmiał jeszcze bardziej nosowo, uderzał w jeszcze wyższe tony niż zwykle. – Do Bożego Narodzenia został zaledwie tydzień. Dziś rano dzwonił do mnie szef agencji Visit Brighton. W hotelach odwoływane są rezerwacje pokoi, a w restauracjach lunchów świątecznych i imprez noworocznych. Wystraszyłeś całe miasto na amen.

– Z całym szacunkiem, to zabójca straszy całe miasto, nie ja.

– Niedawno dzwoniła do mnie Nicola Roigard, by wyrazić swoje zaniepokojenie reakcją ludności.

– Spodziewam się, że pani komisarz jest zaniepokojona – odparł Grace. – Dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

– Nie próbuj się mądrzyć.

Grace oddalił słuchawkę od ucha i wpatrywał się w nią przez pewien czas. Już prawie nie mógł znieść tego zawodzenia. W zeszłym roku złamał wszystkie reguły, ryzykował życie, by uratować Pewe'a. W tej pracy człowiek musiał łamać reguły i ryzykować. Ale teraz jego szef dawał drapaka, gdy tylko rozległy się strzały.

– Jeśli zechce pan udzielić mi instrukcji, to je wypełnię.

W słuchawce zapadło długie milczenie. W końcu Pewe powiedział niechętnie:

– Ty kierujesz operacją. Sam podejmuj decyzje.

– Czułbym się o wiele spokojniejszy, gdybym miał pana zgodę w kwestii tak ważnej decyzji.

– Wyjaśnij mi, na co konkretnie miałbym się zgodzić.

– Na to, żeby podczas konferencji prasowej w południe oświadczyć, że gazeta „Argus” otrzymała dwa prawa jazdy, na nazwiska Katy Westerham oraz Denise Patterson, kobiety z Hove Lagoon. Możliwe, że przysłał je poszukiwany przez nas seryjny zabójca. Jeżeli Wypalacz zechce się z nami skontaktować, poprosimy go o przedstawienie niezbitego dowodu, że to faktycznie on. Zamierzam umniejszyć znaczenie praw jazdy i oznajmić, że zanim nadeszły, już zidentyfikowaliśmy kobietę z Hove Lagoon.

Następnie Grace przedstawił plan konferencji prasowej, a gdy skończył, Pewe, bardzo niechętnie, wyraził zgodę i powiedział, że poinformuje naczelnika i panią komisarz.

Rozłączywszy się, Grace sporządził szczegółową notatkę w książce raportów. Pod datą i godziną zapisał cały przebieg swojej rozmowy z Pewe'em.

65

17 grudnia, środa

Skurcze w nogach się nasilały. Niekiedy ból stawał się tak ostry, zwłaszcza w prawej nodze, że Logan krzyczała. Właśnie teraz zaczynał się kolejny skurcz. Momentami czuła, jakby mięsień był wielką gumką, która lada chwila pęknie i przebije ciało. Rozpaczliwie pragnęła rozprostować nogę. Stanąć.

Walczyła z bólem, oddychając coraz szybciej, aż wreszcie ustąpił, a ona leżała wyczerpana, z oczami piekącymi od łez, których nie mogła otrzeć.

Jak długo? Boże, jak długo już tu tkwiła? Dygotała z zimna i strachu. Nagle przypomniała sobie, że głęboki oddech pomaga się uspokoić. Powoli wciągnęła powietrze do płuc. Miała na to czas. Mnóstwo czasu. Następnie poruszyła się na tyle, na ile pozwalały więzy, wpijające jej się w przeguby i kostki nóg, i minimalnie – bo przytrzymał ją pas wokół szyi – uniosła głowę.

Próbowała układać sobie plany. Gdyby tylko zdołała nakłonić tego drania, żeby ją rozwiązał, mogłaby uderzyć go z byka. Dzięki pracy miała silne dłonie. Gdyby udało się jej na moment go oszołomić, złapałaby go za szyję i mogłaby udusić.

Ale jeśli to by się nie powiodło?

Nieustannie obracała to w głowie. Przecież kiedyś będzie musiał ją rozwiązać. Prawda?

Dla zabicia czasu, a także starając się wprawić w pozytywny nastrój, wspominała różne szczęśliwe chwile. Letnie wakacje, gdy jako mała dziewczynka jeździła z rodzicami do wynajętego domu w Kornwalii. Wiosłowanie po rzece, pikniki na brzegu,

z rodzicami, siostrą i bratem. Obieranie jajka na twardo, zanurzanie go w kopczyku soli na papierowym talerzu, wgryzanie się w jajko; potem kęs posmarowanego masłem chleba z chrupiącą skórką, potem kawałek pomidora zerwanego rano w szklarni.

Poczuła, że ślina napływa jej do ust. Nagle zapragnęła zjeść jajko na twardo i kromkę chleba z masłem. Cokolwiek, byle nie te mdłe koktajle białkowe, którymi karmił ją prześladowca. Potem spróbowała myśleć o Jamiem. O tym szczęśliwym dniu, gdy go poznała, na marnym przyjęciu urodzinowym, w pubie na piętrze. Urodziny obchodziła jej dawna szkolna koleżanka, ale Logan nie знаła tam prawie nikogo, a ludzie, z którymi rozmawiała, sprawiali wrażenie potwornych nudziarzy. Z plastikowym kubkiem ciepłego białego wina posępnie kręciła się przy stole z kostkami cheddaru, piklami i kawałkami nieco czerstwych bagietek. Właśnie miała wyjść na dwór zapalić, z nadzieją że znajdzie lepsze towarzystwo, gdy nagle pojawił się jej kolega John Southern z Jamiem. Przedstawił ich sobie, po czym ruszył po piwo.

– Wyglądasz na równie znudzoną jak ja – stwierdził Jamie.

– Możesz dołączyć do mojej grupy ucieczkowej – odparła.

– Chętnie, ale chyba niegrzecznie byłoby wyjść przed mowami urodzinowymi.

– Idę na dwór na papierosa. Palisz? – spytała.

– Nie, ale dotrzymam ci towarzystwa.

Logan wydało się, że czuje słodki zapach dymu papierosowego. Ale zaraz się ulotnił. Wspomnienie Jamiego również. Nagle usłyszała jakiś cichy odgłos.

Plusk. Szuranie wleczzonego po ziemi przedmiotu. Kroki. Szelest ubrania. Skaczące światło latarki. Coś się działo. W sercu Logan zrodziła się nadzieja. Coś się działo! Czy przybyła policja, żeby ją uwolnić?

Potem światło zgasło. Znów otoczyły ją cisza i mrok.

– Halo?! – zawołała. – Halo?! Na pomoc! Pomóżcie mi! Proszę, niech ktoś mi pomoże!

66

17 grudnia, środa

O piętnastej, półtorej godziny po zakończeniu konferencji prasowej, Roy Grace sprawdził internetowe wydanie „Argusa” i z zadowoleniem stwierdził, że reporterka Siobhan Sheldrake dotrzymała słowa i zamieściła nagłówek, o jaki prosił.

WYPALACZ Z BRIGHTON DOSTARCZA WAŻNYCH WSKAZÓWEK

W artykule przytaczano wypowiedź Grace’a z konferencji prasowej, że policja otrzymała pewne przedmioty, przysłane jakoby przez zabójcę Katy Westerham i kobiety z Hove Lagoon, którą uważano za Denise Patterson.

Grace oświadczył, że zabójca popełnił wielki błąd, ponieważ umożliwił policji zbadanie kluczowych dowodów.

Słowa użyte w artykule zostały skrupulatnie dobrane przez psychologa Tony’ego Balazsa, a Grace je powtórzył. Liczyli na to, że spowodują reakcję. Tymczasem analitycy pracowali nad wiadomością przysланą wraz z prawami jazdy oraz nad samą kopertą.

Grace, który znowu nie zrobił sobie przerwy na lunch, zbiegł na parking przed Sussex House, postanawiając na chwilę wpaść do domu – może uda mu się porozmawiać z Cleo i choć trochę pomoże jej w pakowaniu. Jadąc, żuł wiekowego twixa, z białym nalotem na czekoladzie, którego znalazł w schowku, pośród tony kwitów parkingowych. Batonik był stęchły, ale jemu to nie

przeszkadzało. Nagle uświadomił sobie, że jest tak głodny, że smakowałoby mu prawie wszystko.

Gdy otworzył drzwi, ściskając w dłoni okazały bukiet, który kupił po drodze, stanął jak wryty. Dwie przyjaciółki Cleo, jej siostra Charlie i jej rodzice pracowali gorączkowo, owijając ich dobytek w cienki papier i wkładając do pudeł. Z piętra dobiegał krzyk Noaha.

– Cześć, Roy! – Charlie ucałowała go w oba policzki. Grace zawsze ją lubił, widząc w niej młodszą, bardziej pucułowatą i wiecznie radosną wersję Cleo. Charlie wskazała palcem na schody. – Noah jest okropnie marudny, chyba ząbkuje, biedactwo. – Spojrzała na kwiaty. – To dla Cleo?

– Tak.

– Dobry pomysł. Może uratuje twoje małżeństwo – dodała z uśmiechem.

Grace przywitał się z rodzicami Cleo i jej dwiema przyjaciółkami, podziękował im, po czym pospieszył na górę, do pokoju Noaha. Zaskoczyło go znużenie i przygnębienie na twarzy Cleo, która siedziała na krześle obok łóżeczka, tuląc i kołysząc syna, żeby go uspokoić. Posępnie skinęła głową mężowi.

– To dla ciebie, kochanie – powiedział, unosząc kwiaty.

– Super – rzuciła beznamiętnie. – Jeszcze jedna rzecz do spakowania.

– Hej, daj spokój! – Grace podszedł, z czułością spojrzał na wykrzywioną płaczem buzię syna i pocałował żonę w czoło.

– Przepraszam. – Cleo uśmiechnęła się słabo. – Chwilowo nie ogarniam. W dodatku zastanawiam się, czy na pewno dobrze robimy, przenosząc się na wieś. Tu przynajmniej, kiedy odchodzę od zmysłów z tym małym, mogę spacerować z nim w wózku po ulicach, widzieć życie, ludzi, kolory. A co mnie czeka w Henfield? Mam rozmawiać z krowami i owcami?

– Wszyscy mówią, że wieś jest bardziej przyjazna niż miasto.

Noah znowu zaczął płakać. W tej samej chwili zadzwoniła komórka Grace'a. Wszedł z pokoju, żeby odebrać. Ktoś mówił

łamanym angielskim, głos wydał mu się znajomy, ale nie mógł go umiejscowić, zbyt rozstrojony smutkiem Cleo i płaczem Noaha.

– Roy, dzień dobry, ja mówić z Roy Grace?

– Tak, kto mówi?

– Marcel Kullen! Cierpisz na demencja, tak? Na starość zapominasz przyjaciół z Niemiec?

Grace zamknął drzwi pokoju Noaha i przeszedł do cichej sypialni małżeńskiej.

– Marcel? Witaj, jak się masz? Wspaniale cię słyszeć, co u ciebie?

Marcel Kullen był oficerem monachijskiej Landeskriminalamt, niemieckiego odpowiednika brytyjskiej policji kryminalnej. Zaprzyjaźnili się mniej więcej przed pięcioma laty, kiedy niemiecki policjant przyjechał do Sussex House na półroczną wymianę. Później spotkali się jeszcze półtora roku temu, gdy Roy Grace poleciał do Monachium po doniesieniach, że widziano tam Sandy. Doniesienia okazały się błędne.

– Tutaj wszystko w porządku.

– Jak dzieci?

– No wiesz, dobrze. Mój syn, Dieter, ma dwa lata i doprowadza nas do szału. W Anglii nazywacie to chyba „okropnymi dwulatkami”.

– Tak, ja też mam syna. Pewnie słyszysz, jak płacze!

– Aha, masz syna? Znowu się ożeniłeś?

– Bardzo szczęśliwie. Chciałbym, żebyś poznał moją żonę!

– Przywieź ją do Monachium. Jak ma na imię?

– Cleo.

– A twój syn?

– Noah.

– Dzwonię z powodu twojej byłej żony... Sandy, tak?

– Sandy? – Grace poczuł skurcz żołądka.

– Do szpitala w Monachium przywieziono kobietę po wypadku... została potrącona przez taksówkę, kiedy przechodziła przez ulicę. Leżała na jezdni, podjechał

motocyklista i zabrał jej torebkę. Są mili ludzie na tym świecie, co?

– Przyjemniaczki – parsknął Grace. – Tutaj też ich trochę mamy. Jesteś pewien, że to był wypadek, a nie celowa robota?

– Aha, jestem pewien. Świadkowie widzieli, jak ona wyszła na jezdnię i spojrzała w złą stronę. Anglicy czasem to robią, bo nadal jeżdżicie po niewłaściwej stronie!

Grace uśmiechnął się, ale poczuł gwałtowne zdenerwowanie. Na każdą wzmiankę o Sandy zdejmował go chłód. Jakby do pokoju nagle wkroczył duch i przeszedł wprost przez niego.

– Kobieta jest w śpiączce i na razie nie udało się nam ustalić tożsamości, ale uważamy, że może się posługiwać nazwiskiem Lohmann. Takie nazwisko podał nam jej syn. Alessandra Lohmann.

– Ile on ma lat, Marcel?

– Dziesięć.

– My nie mieliśmy syna, a Sandy zniknęła więcej niż dziesięć lat temu.

– Wiem, strzelam, jak to chyba nazywacie, na oślep. Ale wiek tej kobiety tak jakby pasuje. Według mnie widać pewne podobieństwo twarzy do zdjęć, jakie mam, ale one są oczywiście sprzed ponad dziesięciu lat. Ta kobieta nie jest blondynką, ma ciemne włosy. Ale pomyślałem, że prześlę ci jej zdjęcie, żebyś ją wykluczył. Mogę to zrobić?

– Oczywiście – powiedział Grace z udawanym entuzjazmem.

Zamknął drzwi sypialni, bo nie chciał, żeby Cleo słyszała tę rozmowę. Czyżby właśnie miał się sprawdzić koszmar, który prześladował go, odkąd zakochał się w Cleo?

– Dobrze, Roy, za dziesięć minut prześlę ci zdjęcia.

– *Danke!*

– Nie ma za co! Przepraszam za kłopot.

– To żaden kłopot, naprawdę doceniam, że zadzwoniłeś, Marcel.

– Wkrótce się zobaczymy, tak?

– Bardzo chciałbym pokazać Cleo Monachium. To piękne miasto.

– Przywieź Cleo i Noaha. Nasz dom jest waszym domem.

– Bardzo możliwe, że to zrobimy!

– Przyjedźcie w przyszłym roku. Pójdziemy na Oktoberfest.

– Wyprasuję swoje skórzane spodenki!

Kiedy się rozłączyli, Roy Grace usiadł na łóżku, pogrążony w myślach. Obudziły się w nim najróżniejsze demony. Ilekroć sądził, że wreszcie złożył ducha Sandy na spoczynek, coś go budziło.

Po pewnym czasie drzwi sypialni się otworzyły i weszła Cleo. Uśmiechnęła się do niego blado.

– Przepraszam cię, kochanie – powiedziała. – Po prostu teraz jest naprawdę ciężko. Nie chcę się na ciebie gniewać.

Grace wstał i ją objął.

– Tak mi przykro, chwilowo jestem do niczego – mówiła dalej.

– Nigdy nie chciałam stawać między tobą a twoją pracą. Chyba nie zdawałam sobie sprawy, jakie trudne jest zajmowanie się małym dzieckiem. Ale za nic w świecie bym z tego nie zrezygnowała.

– Ja też nie zdawałem sobie sprawy. Będzie łatwiej, jak weźmiemy opiekunkę. Poradzimy sobie.

– Tak, na pewno.

Jego komórka zawibrowała, oznajmiając przyjście maila. Grace przeprosił Cleo, mówiąc, że musi skorzystać z toalety, zamknął się w łazience i z poczuciem winy, że tak się kryje, otworzył mail.

To było zdjęcie w formacie JPEG od Marcela Kullena.

Przez całą minutę Grace wpatrywał się w twarz kobiety. Dłonie mu drżały. Czy to mogła być ona? Czy to mogła być Sandy?

Opuchniętą twarz, posiniaczoną i obtartą, częściowo zakrywał bandaż; nos był zalepiony plastrem. Owszem, dało się zauważyć podobieństwa. Grace nie widział oczu, zamkniętych i opuchłych. Widział za to zmarszczki w miejscach, gdzie Sandy ich nie miała,

ale przecież upłynęło dziesięć lat. Rozpoznanie utrudniały też krótkie brązowe włosy, chłopięca fryzura. Grace powiększył obraz, lecz niewiele to dało. Możliwe, ale... Ale.

Chryste, a jeśli to ona?

Co by to oznaczało dla Cleo i Noaha? Dla życia Grace'a? Przecież nie mógł teraz wziąć wolnego, żeby tam polecieć i osobiście się przekonać.

Odpisał niemieckiemu detektywowi:

Dzięki, Marcel. Rozumiem, dlaczego to przysłałeś, ale nie wydaje mi się, że to ona. Daj mi znać, proszę, jeśli dowiesz się czegoś więcej o jej tożsamości. Tymczasem wszystkiego najlepszego na święta. Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy.

Spuścił wodę, na chwilę odkręcił kran, schował komórkę do kieszeni i wrócił do sypialni.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – Cleo przyglądała mu się uważnie.

– Tak, czemu pytasz?

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

67

18 grudnia, czwartek

Nazajutrz Roy Grace przeglądał notatki z wczorajszego wieczornego zebrania „złotej grupy” i przygotowywał się do odprawy o ósmej trzydzieści. „Złota grupa” postanowiła kontynuować dotychczasową strategię postępowania z mediami.

Na biurku zobaczył wiadomość od Glenna Bransona, dotyczącą Denise Patterson. Odnaleziono jej rodziców, nadal mieszkających w tym samym domu w Aldwick Bay. Sypialnię córki traktowali jak sanktuarium. Szczotkę do włosów przesłano do badań DNA. Ponadto uzyskano adres kliniki dentystycznej, do której chodziła denatka, i policjanci mieli nadzieję jeszcze tego dnia potwierdzić jej tożsamość na podstawie zapisów w karcie pacjenta.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła, wyraźnie stropiona, detektyw Tanja Cale, z bąbelkową kopertą w dłoni.

– Przepraszam, że tak wpadam, panie nadinspektorze, ale to chyba ważne.

– Nie ma sprawy. W czym rzecz?

– Pół godziny temu dzwoniли z „Argusa” na naszą gorącą linię. Dziś rano ta koperta leżała na progu redakcji, zaadresowana do pana, za pośrednictwem redaktora. Lepiej niech pan rzuci na to okiem. – Wręczyła Grace’owi kopertę.

Grace wyjął plastikową koszulkę zawierającą dwa kawałki papieru: wycinek z gazety oraz zadrukowaną kartkę A4. Wycinek był pierwszą stroną wczorajszego wydania „Argusa”, gdzie pisano o otrzymaniu przedmiotów przesłanych jakoby przez

zabójcę oraz o komentarzu nadinspektora Roya Grace'a, że był to błąd.

Na kartce A4 widniały słowa:

ROY, OTO PREZENT, KTÓRY CHYBA CHCIAŁBYŚ
OTSZYMAĆ. IDŹ DO MONUMENTAL INDIAN I KUP SOBIE
COŚ NA WYNOS!

Grace natychmiast zwrócił uwagę na ten sam błąd ortograficzny w słowie „otrzymać”.

– Albo jest marny z ortografii, albo robi to celowo.

– Celowo? – Detektyw Cale zmarszczyła brwi.

– W ten sposób sygnalizuje swoją tożsamość. Wczoraj popełnił ten sam błąd. Coś mi mówi, że zabójca wcale nie jest takim analfabetą. – Ponownie spojrzął na wiadomość. – Monumental Indian?

– Brzmi bardzo tajemniczo – przyznała Tanja. – Mam sprawdzić w internecie hinduskie restauracje, które sprzedają jedzenie na wynos?

– Tak, to samo przyszło mi do głowy. On lubi się z nami bawić i zadawać zagadki.

Raz jeszcze przeczytał na głos drugą część wiadomości.

– „Idź do Monumental Indian i kup sobie coś na wynos”.

Podczas ciąży Cleo zaczęła rozwiązywać krzyżówki, zwłaszcza dużą, ukazującą się codziennie w „Timesie”, a Grace lubił jej pomagać.

– Monumental Indian. – Ściągnął usta, zastanawiając się, czy zadzwonić do Cleo.

Nagle go olśniło. Odsunął się od biurka i wstał.

– Chyba już wiem, o co w tym chodzi. Idziemy.

68

29 grudnia, 1976

Miał piętnaście lat i przyjechał do domu na ferie bożonarodzeniowe ze szkoły z internatem, której nienawidził z całego serca, Cloisters w Godalming, w hrabstwie Surrey. Wszyscy twierdzili, że to piękna szkoła, cudownie położona, a jeśli chciało się grać w krykieta, nie było lepszego miejsca. Dzięki usytuowaniu na wzgórzu, gdzie ziemia szybko wysychała, nawet po ulewnym deszczu bramki stały jak trzeba. Szkolna lista legendarnych graczy w krykieta stanowiła prawdziwą galerię sław.

Tyle że jego nie interesowały krykiety ani żadne gry w piłkę. Interesował go tylko jeden sport, nieuwzględniony w programie szkolnym: speleologia. Pasjonowały go jaskinie i wszelkiego rodzaju tunele.

Dlatego nazywali go Kretem.

Nikt go nie lubił, uważali, że jest dziwny i zadziera nosa. Chwalił się bogatymi rodzicami, ich luksusowymi samochodami, basenem w kształcie serca i ogromnym jachtem. Z tego powodu lubili go jeszcze mniej. Nawet nauczyciele nie darzyli go sympatią. Nie miał przyjaciół. Prawdę mówiąc, przywykł do tego. Nigdy nie miał prawdziwych przyjaciół i wcale się tym nie przejmował. Miał za to swoich zmyślonych przyjaciół, o wiele zabawniejszych. Im mógł ufać bezgranicznie.

W walentynki otrzymał długą miłosną kartkę od anonimowej wielbicielki i z dumą pokazywał ją wszystkim w szkole, chociaż nie wiedział, kto mógł ją przysłać. „Widzicie, mam dziewczynę?”

Okazało się, że ci sami chłopcy, którzy mu dokuczali, dla żartów przysłali kartkę. Całymi dniami docinali mu, skandując na jego widok: „Kret ma dziewczynę, Kret ma dziewczynę, Kret ma dziewczynę”.

Jednak docinki z powodu kartki walentynkowej były niczym w porównaniu z tym, co wydarzyło się kilka dni później. Koledzy podkradli się, odrzucili z niego kołdrę i odkryli, że onanizuje się, trzymając „Playboya” w lewej dłoni, z latarką w ustach.

To zabolalo. Bardzo.

Postanowił im wszystkim pokazać. W przyszłym roku wszystko będzie inaczej. W te ferie świąteczne miał dziewczynę, no, tak jakby. Może nie była na poziomie eleganckiej szkoły Cloisters. Ale miała duże cycki. W każdym razie takie sprawiały wrażenie pod bluzką. Kiedy zaglądał jej w dekolt, prawie widział sutki. Wyobrażał sobie, jakie są czerwone, soczyste, dojrzałe. Twardniał na tę myśl. Kiedy szedł z Mandy White nad jezioro w Hove Lagoon, musiał wsuwać rękę do kieszeni, żeby ukryć wybrzuszenie. Co nie znaczy, że się tym przejmował; był pewien, że Mandy jest chętna. Jej mama sprzątała u jego rodziców. Mandy była tylko tanią laską z dużymi cyckami.

Ale nikt w Cloisters nie miał się o tym dowiedzieć.

Kilka dni wcześniej poszli na lekcje tańca do sali imienia Marjorie Bentley, przy stacji kolejowej w Hove. Tańczyli przytuleni, jego duże twarde coś przyciskało się do Mandy. Szepnęła mu na ucho, że chciałyby zrobić mu laskę. Ale jego matka czekała na zewnątrz, żeby odwieźć go do domu.

Dzisiaj wieczorem było inaczej. Dziś zabrał Mandy na drinka do pubu nad morzem, co okazało się proste, bo wyglądał na starszego, niż w istocie był. Potem zaproponował, że odprowadzi ją do domu, naprzeciwko zatoki Shoreham. Od ponad dwóch tygodni panowały silne mrozy. Poczęstował Mandy papierosem i szli, paląc, przez co czuł się bardzo dorosły. Poza tym był strasznie napalony. Jednak pomimo drinka Mandy wydawała się dziwnie odległa i małowówna, zupełnie inna niż w tańcu.

Chociaż się opierała, namówił ją, by zeszli z promenady do ciemnego parku Hove Lagoon. O dwudziestej drugiej park świecił pustkami. Tylko dwa zamrożone jeziora, słabe światło latarni ulicznych połyskiwało na czarnym jak atrament lodzie. Cycki Mandy lśniły, pęczniały pod bluzką i płaszczem. Erekcja w spodniach nie dawała mu spokoju.

Kiedy szli wokół większego jeziora, nagle zatrzymał się, przyciągnął Mandy ku sobie i przywarł ustami do jej ust.

Mandy momentalnie odwróciła twarz na bok i mocno go odepchnęła.

– Nie! – powiedziała.

– W porządku. Mam, no wiesz, zabezpieczenie. – Wtulił twarz w jej piersi i zaczął łapczywie całować.

Mandy pchnęła go z taką siłą, że prawie upadł na lód. Odwróciła się na pięcie, żeby odejść.

– Chcę do domu.

Chwycił ją za ramię.

– W zeszłym tygodniu, przed świętami, powiedziałaś na tańcach, że chcesz mi zrobić łaskę!

– Tak, ale wtedy nie miałaś pryszczki na całej twarzy, prawda? I nie cuchnąłeś płynem po goleniu. – Wyrwała się i ruszyła przed siebie.

W ostatnich dniach wysypał mu się trądzik, co wprawiało go w straszne zakłopotanie. Kilka dużych czerwonych pryszczki próbował zakryć maścią Clearasil. Poza tym przed dzisiejszą randką oblał się płynem po goleniu Brut, bo w reklamie telewizyjnej widział, jak kobiety za nim szaleją.

– Ty pieprzona oszustko! – Pobiegnął za Mandy i znowu ją złapał.

– Puść mnie! – Podniosła głos.

Znów spróbował ją pocałować, ale kopnęła go w krocze.

– Auuu! – zawył, zwijając się z bólu.

Mandy puściła się biegiem, on pognął za nią i chwycił ją za pasek płaszcza.

– Puszczaj, pryszczaty zboczeńcu!

– To zrób mi dobrze ręką.

– Fu. Puść mnie.

Objął ją i spróbował przyciągnąć do siebie. Mandy wyrwała się, a wtedy on się potknął i stracił równowagę. Trzymał ją mocno i oboje runęli w lewo, miażdżąc cienki lód, prosto w upiornie zimną wodę.

– Na pomoc, policja, gwałcą, policja! – krzyczała Mandy.

Wepchnął jej twarz pod wodę, ze strachem i ze złością wołając:

– Zamknij się, dziwko, wstrętna, tania oszustko.

Czuł, jak dziewczyna szamocze się w płytkiej wodzie, gorączkowo wymachuje rękami i wierzga, ale mocno przyciskał obiema dłońmi jej czoło. Wiła się jak szalona, lecz nie przestawał napierać, choć czuł, że siły go opuszczają.

Przytrzymał jej głowę w atramentowej czerni.

Szamotanie się Mandy stopniowo osłabło. Znieruchomiała. Leżał tam, drżąc na całym ciele, dłonie kostniały z zimna, myśli galopowały.

W końcu, kiedy nabrał pewności, że Mandy wystarczająco długo już leżała pod wodą, wstał, wyszedł na brzeg, popędził przez trawę i wbiegł po schodach na promenadę. Machając jak szalony, ociekający wodą, wypadł na szosę i zaczął krzyczeć:

– Na pomoc, pomóżcie! Boże, niech ktoś mi pomoże!

Przejeżdżający samochód się zatrzymał, a on podbiegł do okna kierowcy.

– Dziękuję – wykrztusił. – Dziękuję. Proszę mi pomóc.

69

18 grudnia, czwartek

Roy Grace przekazał Iainowi Macleanowi kierowanie odprawą o ósmej trzydzieści, po czym, w towarzystwie detektyw Cale, skierował się na autostradę A27, minął kilka rond i wjechał na strome wzgórze nad dwupasmówką. Gdy zbliżył się do bramy z pięciokrotnym zaryglowaniem, spostrzegł, że łańcuch od kłódki został przecięty i spadł na ziemię. Wysiedli i szybkim krokiem wspięli się na trawiaste zbocze, omijając końskie łajno. Dzień był zimny, słoneczny i wietrzny, ale na szczęście padający od kilku dni deszcz ustał.

Po dziesięciu minutach intensywnej wspinaczki wzdłuż śladów opon w podmokłej trawie Grace ujrzał po prawej stronie niewielką, zwieńczoną kopułą budowlę, która przycupnęła wśród wzgórz. Ślady opon skręcały w jej stronę. Chattri była jedną z najbardziej urodziwych, a zarazem najmniej znanych atrakcji Brighton and Hove. Krągła biała świątynia na szczycie kamiennych schodów, przepięknie położona na wzgórzach South Downs, była otwarta na żywioły, z kopułą opartą na kolumnach ustawionych w koło.

Podczas pierwszej wojny światowej wielu hinduskich żołnierzy, którzy zostali ranni, walcząc za Imperium Brytyjskie, przywożono do improwizowanych szpitali w Anglii. Jeden z nich znajdował się w Royal Pavilion w Brighton. Świątynię Chattri wzniesiono w miejscu kremacji zmarłych.

Gdy oboje podeszli do ogrodzenia, Roy Grace stanął jak wryty. U stóp schodów, na kamiennych płytach, przed rzędem pustych ławek, leżały dwie kobiety o długich brązowych włosach,

z rękami założonymi za głowy, jakby spały. Leżały jednak zbyt nieruchomo. Niesamowicie nieruchomo. Grace ostrzegawczo uniósł dłoń i skinął na Cale, by szła za nim.

Kiedy podszedł bliżej, znów się zatrzymał. Podczas swojej służby widział wystarczająco dużo ciał, aby odróżnić, nawet z oddali, osobę żywą od zmarłej.

Te dwie kobiety z całą pewnością nie żyły.

Młode kobiety. Jedna w dżinsach i tenisówkach, w puchowej kurtce, spod której wystawał zrobiony na drutach sweter; druga również w dżinsach oraz w brudnej koszulce. Obie miały długie ciemnobrązowe włosy.

Śmierć zmieniała wyraz ludzkich twarzy. Był nieruchomy niczym u woskowych figur. Grace miał jednak smutną pewność, że nie patrzy na woskowe figury. Pamiętał zdjęcia i wiedział, że ma przed sobą ciała Emmy Johnson i Ashleigh Stanford. Obie miały alabastrowe twarze. Obie miały otwarte oczy, ale nie widziały smugi odrzutowca na niebie.

Nie musiał podchodzić bliżej, by ich dotknąć. Nie chcąc zanieczyszczać miejsca zbrodni bardziej, niż już to uczynił, sięgnął po komórkę.

Jeszcze nigdy w całej swojej karierze nie czuł się tak bliski rozpaczy.

Nagle dostrzegł, że za szyją kobiety, którą uznał za Emmę Johnson, coś furkocze. Dał znak detektyw Cale, by pozostała na miejscu, podszedł i przyklęknął. Między palcami zmarłej tkwiła kartka. Grace włożył rękawiczki, wyjął ją i przeczytał.

OTO KOLEJNY PREZENT, ROY. NA PEWNO CHCIAŁBYŚ
POKWITOWAĆ ODBIÓR. MINUSEM LOKALIZACJI JEST TO,
ŻE MUSZĘ JE PRZENOSIĆ. ŻYCIE TO SUKA, PRAWDA?
WOBEC TEGO SUKA MUSI UMRZEĆ. SZCZĘŚLIWEGO
WĘSZENIA, SHERLOCKU! BEZ JAJ. DOMYŚLASZ SIĘ
KOLEJNEJ OFIARY? POTRAFISZ JĄ URATOWAĆ? MOŻESZ
OPUBLIKOWAĆ TĘ WIADOMOŚĆ W KAŻDEJ GAZECIE,

JAKA CI SIĘ SPODOBA. NAJLEPSZE ŻYCZENIA. PAN
WYPALACZ.

70

18 grudnia, czwartek

Sześć godzin później, w kostnicy, najgorsze obawy Roya Grace'a się potwierdziły. Po wewnętrznej stronie prawego uda obie młode kobiety miały wypalony napis: I NIE ŻYJESZ.

Patolog Nadiuska De Sancha stała nad nagim ciałem Ashleigh Stanford, pobierając próbki treści żołądkowej i zawartości pęcherza moczowego do analizy, ale już teraz raczej nie miała wątpliwości co do przyczyny śmierci obu kobiet. Na białkach oczu, powiekach i policzkach były drobne czerwone plamki krwotoku punkcikowatego, spowodowanego brakiem tlenu i uduszeniem. Żadna nie miała sińców na szyi ani uszkodzonej kości gnykowej, ale w płucach wykryto wodę. Ashleigh i Emma zostały utopione. Obie padły ofiarą napaści seksualnej, ale nie znaleziono śladów DNA sprawcy.

Na ciele Ashleigh Stanford były sińce, a na twarzy otarcia, jakie mogą powstać przy upadku z roweru. Ponadto na czole miała duży siniak po uderzeniu, które mogło doprowadzić do wstrząśnienia mózgu. Na całym ciele wykryto siedemnaście obrażeń, jak po ciosach zadanych tępym narzędziem, natomiast posiniaczone knykcie świadczyły o tym, że mogła walczyć z napastnikiem.

U Emmy Johnson znaleziono na szyi, brzuchu, udach, przegubach i kostkach nóg ślady po krępowaniu, wskazujące, że ktoś ją więził.

Oznak duszenia nie wykryto też u tych dwóch kobiet zabitych przed trzydziestu laty, ale nie zachowało się dość tkanki miękkiej, by ustalić przyczynę śmierci. Mogły zostać zadżgane,

jednak w takich sytuacjach zazwyczaj znajduje się uszczerbki na kościach. Albo zastrzelone, ale i w takim przypadku kule najczęściej zostawiają ślady na kościach. Inną możliwością było otrucie, toteż próbki pobrane z ciał poddano badaniom toksykologicznym. Problem z toksykologią polegał jednak na tym, że patolodzy musieli wiedzieć, czego szukają, co ograniczało ich do najbardziej oczywistych substancji.

Czy tamte dwie kobiety również utonęły? – zastanawiał się Grace.

Czy ten sam świr wypalił im piętno, zgwałcił je i utopił?

Co, do diabła, działo się w umyśle Wypalacza?

Czy Logan Somerville została uwięziona? A jeśli tak, to czy może nadal żyć?

Zdjęcia wypalonych słów przesłano analitykowi, który w niespełna godzinę potwierdził, że oba piętna są dokładnie takie same jak te znalezione u Katy Westerham i Denise Patterson.

Według Grace'a można było wykluczyć hipotezę o kimś, kto kopiował dawne przestępstwa. Wypalacz, inteligentny, arogancki, kimkolwiek był – i gdziekolwiek podziewał się przez trzydzieści lat – pojawił się na nowo. W świetle najnowszych wydarzeń nadinspektor przełożył konferencję prasową na dziesiętnastą.

Zostawiwszy Glenna Bransona przy sekcji obu kobiet, która miała potrwać jeszcze kilka godzin, tuż przed szesnastą trzydzieści Grace wrócił do swojego gabinetu i zasiadł przy okrągłym stole konferencyjnym wraz z detektywem Sweetmanem i psychologiem sądowym Tonym Balazsem.

Wszyscy trzej wpatrywali się w wiadomość, wyjętą z palców Emmy Johnson tego ranka. Ze względu na delikatność miejsca, gdzie porzucono zwłoki, Grace zadbał o to, by przedstawiciel komitetu pomnika Chattri dołączył do „złotej grupy”. Miał reagować na ewentualne reakcje opinii publicznej.

OTO KOLEJNY PREZENT, ROY. NA PEWNO CHCIAŁBYŚ
POKWITOWAĆ ODBIÓR. MINUSEM LOKALIZACJI JEST TO,
ŻE MUSZĘ JE PRZENOSIĆ. ŻYCIE TO SUKA, PRAWDA?
WOBEC TEGO SUKA MUSI UMRZEĆ. SZCZĘŚLIWEGO
WĘSZENIA, SHERLOCKU! BEZ JAJ. DOMYŚLASZ SIĘ
KOLEJNEJ OFIARY? POTRAFISZ JĄ URATOWAĆ? MOŻESZ
OPUBLIKOWAĆ TĘ WIADOMOŚĆ W KAŻDEJ GAZECIE,
JAKA CI SIĘ SPODOBA. NAJLEPSZE ŻYCZENIA. PAN
WYPALACZ.

– Jest rozzłoszczony – odezwał się psycholog. – Nie pozostawia ci też żadnych wątpliwości co do swoich intencji.

– Zamierza uderzyć ponownie? – spytał Grace.

– Owszem – potwierdził Tony Balazs. – I to dwukrotnie.

Sweetman skinął głową na znak, że zgadza się z tą opinią.

– Jak, do diabła, mamy go znaleźć, zanim znów uderzy? – wybuchnął Grace.

– Cóż, pozytywne jest to, że udało się nam go wkurzyć – odrzekł Balazs. – Spokojni ludzie nie popełniają błędów, ale rozgniewani owszem. Wypalacz jest teraz panem Gniewnym. Postanowił wkrótce znowu uderzyć, żeby postawić na swoim. Jak rozmawialiśmy wcześniej, możemy liczyć na to, że w pośpiechu popełni błąd.

Psycholog niekiedy sprawiał wrażenie człowieka pompatycznego i zadufanego w sobie, co drażniło Grace'a. Nigdy nie przepadał za ludźmi noszącymi muszkę na co dzień. Balazs, w swoim krzykliwym prążkowanym garniturze i jeszcze bardziej krzykliwej muszce, grał mu teraz na nerwach.

– Świetnie, Tony, to bardzo pomocne. Musimy jednak znaleźć drania, zanim to zrobi. Doniesienia prasowe po tym, jak ogłosimy podwójne morderstwo, raczej nie uspokoją mieszkańców Brighton and Hove czy hrabstwa Sussex. Musimy go znaleźć. Padnie pytanie: „Czy taktyka policji doprowadziła do śmierci tych dwóch młodych kobiet?”. Będziemy musieli się z tym zmierzyć.

– Zgadzasz się z tobą, Roy – przyznał Balazs. – Ale jak właściwie zamierzasz tego dokonać?

Przed Sweetmanem leżała książka raportów Grace'a.

– Roy, prowadzisz to dochodzenie prawidłowo. Sprawdziłem wszystko pod kątem środków, które zastosowałeś, i nie znalazłem żadnych przeoczeń. Uważam, że Tony ma rację.

– Twierdzisz, że mamy czekać, aż facetowi powinie się noga? – Grace zaczął tracić panowanie nad sobą. – Czy tak wyglądają wszystkie dochodzenia w sprawie seryjnego zabójcy? To mi się nie podoba.

– Co chcesz zrobić, Roy? – spytał Sweetman. – Roztoczyć całodobowy nadzór nad każdą kobietą w Brighton w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat, która ma długie brązowe włosy? Dysponujesz takimi środkami?

– Motto policji Sussex brzmi: „Służyć i chronić” – odparł Grace.

– Chcesz wydać komunikat nakazujący wszystkim kobietom z tej grupy pozostać w domu do czasu schwytania Wypalacza? Chcesz jeszcze spotęgować panikę?

– Nie, oczywiście nie możemy tego zrobić. – Grace pokręcił głową. – Wykorzystam konferencję prasową, by powiedzieć mediom, że wielkie dochodzenie trwa nadal i sprawdzamy wiele tropów. Taktyka zmierzająca do zidentyfikowania i wykurzenia zabójcy za pomocą mediów to tylko jeden aspekt tego złożonego i szybko rozwijającego się śledztwa. Nigdy się nie dowiemy, czy aktualne wydarzenia przyspieszyły śmierć tych dwóch młodych kobiet, mamy jednak pewność, że ten, kto je uprowadził, dawniej zabił już dwukrotnie.

Detektyw z Londynu i psycholog skinęli głowami.

– Boże, co nam umyka? Mamy coś tuż pod nosem, ale tego nie widzimy. Gdzie ten skurwiol podziewał się przez trzydzieści lat? – Grace na chwilę ukrył twarz w dłoniach. – Zespół HOLMES sprawdził wszystkie zabójstwa we wszystkich hrabstwach Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich trzydziestu lat, jednak żaden podejrzany nie pasuje do naszego profilu. Każdy przestępca,

który zabił kobietę w podobnym wieku i o podobnym wyglądzie, albo siedzi za kratkami, albo znajduje się w innej części kraju, albo nie żyje. Interpol nie ma nikogo takiego w Europie ani gdzie indziej, FBI również. Nasz facet jest przebiegły.

– Istnieją podobieństwa ze sprawą BTK – wtrącił Sweetman.

– Ustaliłem, że BTK lubił się droczyć z policją, podobnie jak najwyraźniej robi to Wypalacz, sądząc po tej wiadomości – powiedział Grace. – Wiemy, że posługuje się różnymi samochodami i musi gdzieś je trzymać, co sugeruje, że jest dość zamożny.

– Uniwersalny profil seryjnych morderców wskazuje, że w chwili pierwszego zabójstwa mają od piętnastu do czterdziestu pięciu lat, a w momencie ostatniego od osiemnastu do sześćdziesięciu lat – oznajmił Balazs.

– Co idealnie pasuje do naszego zabójcy – zauważył Grace. – Jeśli pierwsze morderstwa, o których wiemy, popełnił około dwudziestego roku życia, a wydarzyło się to trzydzieści lat temu, teraz ma jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat.

– Masz rację – powiedział Sweetman.

– Zastanawiałeś się nad przynętą, Roy? – spytał psycholog.

– To nie jest sprawa na przynętę – odparł Grace. – Zbyt niebezpieczne.

– Owszem, Roy – przyznał Sweetman. – Jednak ta notatka sugeruje, że on już wybrał kolejną ofiarę. Możemy liczyć na to, że się pomyli, bo jest rozzłoszczony. Według mnie może uderzyć w ciągu najbliższych godzin.

– Godzin? – powtórzył Grace.

– Założyłbym się o ranczo.

71

18 grudnia, czwartek

O siedemnastej trzydzieści Roy Grace wziął udział w kolejnym spotkaniu „złotej grupy”. Gdy tylko dobiegło końca, usiadł razem z Sue Fleet, odpowiedzialną za kontakty z prasą, by omówić szczegóły konferencji prasowej zaplanowanej na dziewiętnastą.

– Sue, naszym priorytetem jest chronienie ludności. Musimy uświadomić ludziom, że w chwili obecnej na ulicach Brighton czyha na młode kobiety śmiertelne niebezpieczeństwo. Zwróć się do Neva Kempa z prośbą o rzucenie na ulicę wszystkich dostępnych funkcjonariuszy, w kamizelkach odblaskowych.

Nadinspektor lubił pracować z Sue Fleet. Ta rozsądna, pragmatyczna i całkowicie opanowana kobieta zawsze wyprzedzała go w myśleniu przynajmniej o krok.

– Musisz przygotować bardzo spójny komunikat na konferencję, Roy. Proponuję coś w tym rodzaju: „Istnieje wiarygodne i bezpośrednie zagrożenie bezpieczeństwa kobiet na ulicach hrabstwa Sussex, w szczególności w Brighton and Hove. Jeśli to tylko możliwe, kobiety nie powinny samotnie przebywać na ulicach. Powinny informować, gdzie się znajdują. Każdy, kto zauważy coś podejrzanego albo sądzi, że wie, kim jest zabójca, powinien niezwłocznie skontaktować się z policją, dzwoniąc pod numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć”.

Grace na bieżąco notował słowa Sue.

– Sugeruję też, żebyś przed konferencją rozważył wszelkie możliwe pytania, jakie mogą paść. Nie możemy sobie pozwolić, żeby cię zaskoczono, nie wolno ci się wahać. Musisz sprawiać

wrażenie, że panujesz nad sytuacją i jesteś pewny siebie. Tego oczekuje opinia publiczna.

– Tak – powiedział Grace, który bardzo pragnął nie tylko sprawiać takie wrażenie.

– Podczas spotkania „złotej grupy” uznaliśmy, że komisarz powinna stać obok ciebie. To pokaże prasie i opinii publicznej stopień zaangażowania policji. Jeśli tylko możesz, powinienes też złożyć wizytę rodzicom Emmy Johnson i Ashleigh Stanford. To doda im trochę otuchy, a jednocześnie będzie pozytywnym przekazem. Jak przypuszczam, oficerowie do kontaktów z rodzinami są już zaangażowani?

– Tak, posłałem ich do obu rodzin i zamierzałem dziś wieczorem sam tam pójść.

Natychmiast po wyjściu Sue Fleet nadinspektor zadzwonił do Cleo i przepaszającym tonem powiedział, że nie ma pojęcia, kiedy wróci do domu.

72

18 grudnia, czwartek

Wkrótce po dwudziestej Freya Northrop, brudna i marząca o prysznicu po całodziennym rozpakowywaniu i ustawianiu mebli w nowej restauracji Zaka, wjechała swoim fordem fiestą na podjazd domu niedaleko Hove Park, wyłączyła silnik i wysiadła.

Bobby, mieszany terier, którego dopiero co odebrała od przyjaciół, Emily i Steve'a, z podnieceniem przeskoczył na siedzenie pasażera i oparł łapy na tablicy rozdzielczej. Freya otworzyła bagażnik, wyjęła dwie torby wypełnione zakupami z supermarketu Waitrose, duży kosz z workiem suchej karmy dla psów, mielone mięso, miski na jedzenie, ulubione zabawki Bobby'ego oraz dwa pudełka psich smakołyków, które dostała od Emily. Potem wsunęła pod pachę małe posłanko, na którym zawsze sypiał, i podniosła pakunki.

W domu było ciemno; drogę do drzwi wejściowych słabo oświetlała pobliska latarnia uliczna. Freya zmarszczyła czoło, bo mogłaby przysiąc, że kiedy wychodzili rano, celowo zostawili kilka zapalonych świateł.

Zak został w restauracji, gdzie musiał porozmawiać z ludźmi, którzy przyjechali, by zainstalować system nagłaśniający. Jak zwykle w ostatnim czasie, miał później wrócić do domu taksówką.

Freya chciała zrobić mu kolację, ale przepelniał ją lęk. Jak mogła przyrzędzić coś dla mistrza kuchni, żeby spotkało się to z jego aprobatą? Zawsze odczuwała taki sam niepokój, gdy chciała Zakowi coś przyrzędzić, zwłaszcza że nie lubił gotowych

dań, ani świeżych, ani mrożonych. Ona sama całymi latami żywiła się gotowcami z supermarketu, ale Zak starał się zmienić jej nawyki.

Tego wieczoru zamierzała sprawić Zakowi niespodziankę. Po lekturze książki kucharskiej *Nie odsączaj bakłażanów* wybrała jeden przepis. Krótko gotować bakłażany. Utrzeć imbir i czosnek. Dodać sosu sojowego i sosu teriyaki. Nie smażyć za długo przegrzebków lub krewetek. Do tego chciała zrobić sałatkę z buraków, koziego sera, groszku i pomidorów. Wszystkie niezbędne składniki kupiła w Waitrose.

Gdy szła do drzwi wejściowych, Bobby rwał się na smyczy i z przejęciem obwąchiwał ścieżkę. Przed drzwiami Freya postawiła torby na schodkach i zaprowadziła psa na frontowy trawnik, gdzie zadarł nogę. Potem przekręciła klucz w zamku, weszła, pies za nią. Zapaliła światło w holu, wtaszczyła zakupy, zamknęła drzwi i odpięła Bobby'emu smycz.

Wzięła torby i posłanie Bobby'ego. Prawie zdążyła już zapomnieć o wybitej szybie w kuchni i późniejszej wizycie detektywa oraz specjalnej grupy do badania odcisków palców. Bobby przez chwilę wariował, biegając po holu, z nosem w grubym dywanie.

– Czy nowa siedziba przypadła do gustu waszej wysokości, lordzie Bobby? – spytała z uśmiechem, zniosła wszystko do kuchni i postawiła na podłodze.

Wyjęła miskę, odkręciła wodę, napełniła miskę i dała psu. Bobby przydreptał i zaczął pić. Freya uklękła i pogłaskała zwierzę.

– Pobiegnę na górę, wezmę prysznic, a potem zrobię ci kolację. Zgłodniałeś? – Z torby od Emily wyjęła pudełko z chrupkami ze szpiku kostnego, otworzyła i położyła jedną chrupkę przed Bobbym.

Chwycił ją w pysk, przegalopował po kuchni, po czym dał susa na swoje posłanie i zaczął pałaszować.

Freya wróciła do holu, gdzie przystanęła na chwilę, z aprobatą patrząc na kolory, które wybrali. Ściany były

w ciepłym jasnokremowym kolorze, a drewniane wykończenia, włącznie z poręczami, błyszcząły szarością. Wnętrze zdobiły zdjęcia i ryciny z widokami Londynu, które wzięła z poprzedniego mieszkania.

Weszła po ciemnych schodach i na górze usiłowała wymacać włącznik światła, zastanawiając się, czemu idiota elektryk nie umieścił go u stóp schodów. W końcu go znalazła i zapaliła światło. Drzwi do trzech pokoi były zamknięte. Freya otworzyła ich sypialnię, a gdy znów szukała włącznika, usłyszała jakby cichy brzęk.

Chwilę nasłuchiwała, sądząc, że może jej się zdawało; a może blaszka z imieniem przy obroży Bobby'ego uderzyła o metalową miskę, kiedy pił?

W masce, rękawiczkach i elastycznym kombinezonie, opinającym mu całe ciało, stał w szafie w sypialni. Ukryty za sukienkami, przywarł do ściany i znieruchomiał, żeby już nie zabrzączeć żadnym wieszakiem.

Ogromnie podniecony, z trudem panował nad sobą i obawiał się, że wytryśnie zbyt wcześnie. Zaczął głęboko oddychać, żeby się uspokoić.

O mój Boże, to oczekiwanie! Jakież to piękne, gdy plany się spełniają!

Nasłuchiwał jej kroków. W szparze drzwi szafy błysnęło światło.

Tak, kochanie, tak! Tak, ty suko!

Freya weszła do białej sypialni, uśmiechnęła się do dwóch pluszowych misiów z dzieciństwa. Każdemu brakowało oka. Czule objęte, leżały na poduszkach, gdzie zostawiła je rano. Zbliżyła się do okna, zaciągnęła zasłony – sąsiedzi mogli zaglądać im prosto do domu – rozebrała się, otworzyła przyległą łazienkę

i zapaliła tam światło. Odkręciła prysznic, ustawiła temperaturę – Zak lubił wodę znacznie chłodniejszą – sprawdziła strumień, weszła do kabiny i zamknęła drzwi.

Z plastikowej butelki wycisnęła szampon na włosy, po czym sięgnęła po żel i namydliła ciało.

Po chwili światło w łazience zgasło.

73

18 grudnia, czwartek

Roy Grace wyjechał z siedziby policji swoim służbowym nieoznakowanym fordem i ruszył w drogę powrotną do Brighton, rad, że konferencja prasowa dobiegła końca. Chociaż padło trochę trudnych pytań, czuł, że przy pomocy pani komisarz i naczelnika udało mu się wyjść z twarzą. Mimo to nie marzył o rychłym powtórzeniu tego przeżycia.

Nie marzył też o kolejnym stojącym przed nim zadaniu, gdy skręcał z autostrady A27 w ciemne ulice Patcham. Zegarek pokazywał 20.20. W głowie Grace'a pobrzmiwały słowa Paula Sweetmana:

„Według mnie może uderzyć w ciągu najbliższych godzin... Założyłbym się o ranczo”.

Patrzył na mijane domy: w wielu oknach paliły się gwiazdkowe lampki, tu i ówdzie były też światełka na dworze. Gdzieś tam migotały telewizory. Po ulicach spieszyli ludzie – z pewnością szli do pubów czy na spotkania z przyjaciółmi lub wracali z pracy, skuleni, w siekącym deszczu.

Czy przy jednym z tych domów czaił się teraz Wypalacz?

Czy już wszedł do któregoś?

Czy już uprowadził kolejną ofiarę?

Ilekcroć Grace widział idącego samotnego mężczyznę, zwalniał, by mu się przyjrzeć. Podiatra sądowy, Haydn Kelly, który w przeszłości już bardzo Grace'owi pomógł, stworzył profil na podstawie śladu stopy w kałuży benzyny, znalezionej w garażu Logan Somerville. Kelly zaprezentował zespołowi śledczemu nagranie wideo przedstawiające człowieka, który

chodził niemal przesadnie wyprostowany, stawiając stopy na zewnątrz. Tę symulację rozesłano do zespołu policyjnego monitorującego trzysta pięćdziesiąt kamer w mieście. Dotychczas Grace nie zauważył wśród przemokniętych ludzi na ulicy nikogo, kto chodziłby w ten osobliwy sposób – o ile w ogóle ślad należał do sprawcy.

Skreślił w Mackie Avenue i przez zaporowaną boczną szybę zaczął wypatrywać numerów na domach. Najpierw zamierzał odwiedzić matkę Emmy Johnson, sprawdzić, jak sobie radzi, i zapewnić, że jego zespół robi, co tylko możliwe, by schwycić zabójcę jej córki. Potem chciał pojechać do rodziców Ashleigh Stanford. Powiadomiono go, że akurat jest u nich jej chłopak.

Nawiązywanie relacji z rodziną ofiary zabójstwa należało do najtrudniejszych, a zarazem najważniejszych aspektów jego pracy. Jako ojciec, drżał, myśląc o tym, co by poczuł, dowiedziawszy się, choćby w odległej przyszłości, że jego syn został zamordowany. To by go kompletnie zniszczyło, a jego życie już nigdy nie byłoby takie jak dawniej. Tyle wiedział, gdy posępnie zbliżał się do drzwi domu matki Emmy Johnson, prawie nie zważając na deszcz. Na progu wziął się w garść, głęboko zaczerpnął tchu i zadzwonił.

74

18 grudnia, czwartek

– Pieprzony elektryk! – zaklęła Freya.

W całkowitej ciemności opłukała włosy i podstawiała twarz pod strumień wody.

Wtedy usłyszała, że drzwi łazienki się otwierają.

– Zak? – spytała.

Czyjaś dłoń chwyciła ją za rękę i Freya poczuła, że ktoś brutalnie wyciąga ją spod prysznica na matę łazienkową.

– Zak, co ty, do diabła...

– Zamknij się, suko, nie jestem Zak.

Freya знаła ten głos, już gdzieś go słyszała. Gdzie? Przeszył ją zimny dreszcz. Myśli jej galopowały, wirowały, próbowały zrozumieć. Dostrzegła słaby zielonkawy blask. Rzuciła się do przodu i wyczuła pod palcami gumę, jakby piankę do nurkowania.

– NIE! – krzyknęła. – NA POMOC!

Na gardle poczuła czyjaś dłoń.

Nagle coś się w niej obudziło, choć nie wiedziała, skąd się wzięło – jakieś wspomnienie, może czegoś, co widziała w kinie lub telewizji. Pochyliła głowę i z całej siły uderzyła napastnika bykiem. Jej czoło zetknęło się z czymś twardym i miękkim zarazem; rozległo się chrupnięcie, które niemal ją zadowoliło.

Napastnik zawył z bólu i rozluźnił chwyt.

Freya przesunęła się obok niego, popychając go co siłą, usłyszała walnięcie w drzwi łazienki, a potem łoskot ciała padającego na podłogę i przekleństwo.

W niemal całkowitej ciemności przebiegła przez sypialnię, ale nie trafiła w drzwi i zderzyła się ze ścianą. Macając na oślep, z walącym sercem, odszukała klamkę, otworzyła drzwi i z krzykiem wypadła na schody.

– Na pomoc, na pomoc, POMOCY!

Słyszając za sobą kroki, zbiegła po schodach; na dole pies szczekał radośnie, jakby sądził, że to zabawa. Naga, przebiegła przez hol. Bobby podskoczył. Czyjaś ręka znów chwyciła ją za gardło, pociągnęła w tył.

Tym razem Bobby warknął.

– Pierdol się! – rzucił napastnik.

Bobby zawarczał wściekle, a potem rozległo się:

– Au! Odpierdol się ode mnie, ty dumny... ty cholerny...

Ręka ześlizgnęła się z jej szyi. Freya runęła na ścianę obok drzwi frontowych. Była tuż-tuż.

Pies szczeknął i warknął.

– Auuu – zawył napastnik.

Freya szarpnęła drzwi frontowe, wypadła na ulicę, oświetloną słabym blaskiem latarni, i zaczęła krzyczeć co sił w płucach:

– NA POMOC! NIECH KTOŚ MI POMOŻE! POMOCY!

Za jej plecami Bobby nie przestawał warczeć i ujadać.

Freya słyszała, jak napastnik krzyczy:

– Zostaw mnie, puszczaj, pieprzony kundlu!

Nie zważając na ból w stopach i zimno, popędziła ścieżką na wyludnioną ulicę, Hove Park Road. Goniący ją napastnik był coraz bliżej.

Podjęła nagłą decyzję, skręciła w lewo i najszybciej, jak potrafiła, pobiegła w kierunku ruchliwej ulicy Goldstone Crescent, z majaczącym w oddali Hove Park. Widziała zbliżające się światła samochodu. Nie myśląc o tym, że może zostać przejechana, kompletnie naga wypadła na jezdnię. Oślepiły ją światła i rozległ się pisk hamulców.

Samochód się zatrzymał. Zza kierownicy wyskoczyła kobieta.

– Co...?

Freya, łkając, objęła nieznajomą.

– Pomóż mi, proszę, pomóż.

Jak przez mgłę docierały do niej światła innych pojazdów za samochodem kobiety. I dźwięk klaksonu.

– Ktoś właśnie próbował mnie zabić – wykrztusiła. – Błagam, pomóż mi.

Odwróciła się i z przerażeniem spojrzała na pustą ulicę.

Nieopodal ktoś włączył silnik, zapiszczały opony i jakiś samochód ruszył pełnym gazem.

75

18 grudnia, czwartek

Nikt nie uczył, jak informować o śmierci. Nabywało się tę umiejętność z czasem. Jako żółtodziób uczył się tego człowiek od starszych policjantów. Jedni robili to łagodnie, inni od razu walili prosto z mostu.

Niemal wszyscy policjanci nienawidzili tej części pracy.

Sierżant, od którego uczył się Roy Grace, radził mu zawsze mówić otwarcie i wprost, że bliska osoba nie żyje. W ten sposób unikało się dwuznaczności.

Linda Buckley już wcześniej przekazała smutną wiadomość, a teraz została z rodziną zamordowanej, by ją wspierać. Matka Emmy Johnson nadal nie wierzyła, nawet po tym, jak siostra Emmy dokonała identyfikacji w kostnicy. Matka była pijana, zła i pełna goryczy. Dwadzieścia minut spędzone w tym domu było istnym piekłem, więc Grace z ulgą wyszedł stamtąd i wrócił do samochodu.

Właśnie wstukiwał do nawigatora GPS adres Ashleigh Stanford, gdy zadzwonił Anakin Panikarz z komisariatu w Brighton.

Jakaś kobieta została napadnięta w swoim domu koło Hove Park.

Dzięki psu zdołała się wyrwać napastnikowi. Teraz byli z nią dwaj policjanci.

– Gdzie oni są, Andy?

– Na tylnym siedzeniu wozu policyjnego za jej domem. Kobieta była naga.

– Nie pozwól im wrócić do środka.

– Nie pozwoliłem, Roy. Kazałem funkcjonariuszowi pilnować wejścia do domu.

Grace włączył niebieskie światła policyjne i rzekł:

– Jadę tam.

76

18 grudnia, czwartek

– Kurczę, tym razem naprawdę spieprzyłeś! – powiedział Felix. – Napędzała cię zwykła pycha.

– Wszystkich nas naraziłeś na niebezpieczeństwo – dodał surowo Harrison. – Pozwoliłeś, żeby ten detektyw Roy Grace sprowokował cię do błędu. Wbrew temu, co mówił, nigdy wcześniej nie powinęła ci się noga. Teraz wszyscy jesteśmy zagrożeni.

– Już po nas – dodał ponuro Marcus. – Na tym etapie życia nie chcemy żadnych zmian. Teraz zgnijemy w więzieniu za współudział w zabójstwie.

– Jesteś śmieszny.

– Sam jesteś śmieszny – odparował Marcus. – Temu BTK wszystkie morderstwa uszłyby na sucho, gdyby nie dał się nabrać na przynętę FBI. Ostrzegaliśmy cię, żebyś zachował spokój. Ręce przy sobie, zero ruchu. Ale nie, ty i twoje cholerne ego!

– Chyba wiedziałeś, że ona ma psa? – spytał Felix.

– Mówię wam, że nie miała żadnego zasranego psa!

– Aha – włączył się Harrison. – Czyli ugryzł cię zmyślony pies?

– Boki zrywać.

– Czyli możesz dostać zmyślonej wścieklizny – zauważył Marcus powoli, jakby sprawdzał tę hipotezę na sobie samym. – Psychosomatycznej.

– Tak jak człowiek po stracie kończyny czuje ją jeszcze przez lata – powiedział Harrison.

Marcus i Felix zarechotali.

– O tak, absolutnie!

– Chłopcy, to nie jest zabawne. Zostałem ugryziony, mam krew na spodniach, co znaczy, że mogłem zostawić ślady krwi w tym domu.

– Pamiętacie tego komika, Tony’ego Hancocka? – spytał Felix.

– Telewizyjny program *Pół godziny z Hancockiem*? Jednym z najlepszych odcinków był *Krwiodawca*. Hancock poszedł oddać krew i zapytał, ile mu pobiorą. Kiedy odpowiedzieli, że nieco ponad pół litra, obliczył, że skoro przeciętny człowiek ma od pięciu do siedmiu litrów krwi, ilość, jaką chcą mu pobrać, odpowiada krwi w jednej ręce. „Nie zamierzam chodzić z pustą ręką!”, powiedział.

– Wiem, co miał na myśli! – odezwał się Harrison. – Przynajmniej tym nie musimy się martwić, prawda?

Felix i Marcus zaśmiali się gorzko, po czym Marcus rzucił:

– Popatrz na to z jasnej strony!

Felix zanucił piosenkę z *Żywota Briana* grupy Monty Pythona:

– *Always look on the bright side of life!*

– Zamknijcie się, wszyscy trzej! – wrzasnął.

– Nie pojmuję, jak mogłeś przeoczyć, że w domu jest pies – powiedział Felix.

– Zrobiłem cholerny rekonesans. Nie było żadnej psiej miski, ani na wodę, ani na żarcie. Chybabym ją, kurwa, zauważył, nie?

– Najwyraźniej nie – parsknął Marcus.

Ruszył na Marcusa z groźną miną.

– Ostrzegam cię.

– Och, jak się boję. Mamusiu, pomóż, umieram ze strachu. Pan Ważniak został pogryziony przez wściekłego psa i zaraz pójdzie mu piana z ust!

– Ostrzegam cię po raz ostatni!

Zapadło posępne milczenie, a on powtórzył:

– Wcześniej nie było tam żadnego zasranego psa. Musiała go przywieźć.

– A teraz jest po nas! – stwierdził Felix. – PO NAS!

– Chcesz w gębę, Felix?

- Jeśli w ten sposób usuniesz bolący ząb, to proszę bardzo!
- Wy dupki – prychnął. – Trzech dupków. Mamy kryzys, a wy potraficie tylko robić sobie jaja. Ocknijcie się!
- Przepraszam – powiedział Marcus.
- Autentycznie przepraszam – dodał Felix.
- Ja też – dorzucił Harrison.
- Mówicie poważnie? – Patrzył na nich z groźną miną.
- Trzymaj nerwy na wodzy – odezwał się Felix. – Weź głęboki wdech i się uspokój. Pamiętaj, co mówił Nelson Mandela: „Chować do kogoś urazę to jak pić truciznę z nadzieją, że ta druga osoba umrze”.
- Idź do diabła.
- Nie ma takiej możliwości.
- A to dlaczego?
- Bo my wszyscy już tam u niego jesteśmy.

19 grudnia, piątek

Kilka minut po północy Roy Grace w końcu wrócił do domu. Humphrey leżał pośród pudeł do pakowania, jedno oko miał otwarte i wyglądał na mocno zaniepokojonego. Co dziwne, nie zerwał się, by go powitać. Noah i Cleo głęboko spali.

Grace, kompletnie wyczerpany, nastawił budzik na trzecią, na wszelki wypadek również budzik w komórce, umył zęby, zrzucił ubranie i wślizgnął się do łóżka, wsuwając rękę pod poduszkę Cleo. Poruszyła się, po czym znów znieruchomiała. Grace pocałował nagie ramię żony.

Wydawało się, że budzik zadzwonił chwilę później. Zaraz potem zawtórowała mu komórka.

Grace obudził się zmęczony i z silnym poczuciem winy. Tego dnia mieli się przeprowadzać, a on nie mógł pomóc.

Ze zwieszoną głową usiadł na łóżku, próbując zebrać myśli. Czy wczoraj wieczorem sprawca ponownie zaatakował i poniósł klęskę?

Młoda kobieta o długich brązowych włosach, dokładnie pasująca do profilu, została napadnięta pod prysznicem we własnym domu. Na miejscu znaleziono kilka kropli krwi, przypuszczalnie napastnika, i jeśli dopisze im szczęście, jeszcze dziś uzyskają wyniki badania DNA.

Na konferencję prasową przybyło ponad sto osób. W tym wszystkim jedyną dobrą stroną – jeśli w ogóle można by o czymś takim mówić – było to, że w grudniu szczyt sezonu turystycznego mieli już za sobą. Sześć miesięcy wcześniej skutki finansowe dla miejscowej branży turystycznej okazałyby się katastrofalne. Ale

to w żadnej mierze nie pocieszało Grace'a. Brighton zamieniało się we współczesny odpowiednik kolonii trędowatych. Oczy wszystkich były skierowane na nadinspektora. To on miał przywrócić normalność.

Na początek powinien zamknąć wiarygodnego podejrzanego.

O czwartej rano siedział już za biurkiem w Sussex House, z kubkiem parującej kawy i bananem, który musiał mu wystarczyć za śniadanie. Podłoga gabinetu była zavalona dokumentami z operacji Yorker, śledztwa w sprawie zabójstwa Catherine Jane Marie Westerham.

Przed południem zaplanowano kolejną konferencję prasową, na której Grace zamierzał przedstawić szczegóły napaści na Freyę Northrop i ponownie zwrócić się do mieszkańców z prośbą o pomoc. Ponadto musiał przekazać najświeższe informacje „złotej grupie”, tak by wspólnie zastanowili się nad niezbędnymi środkami bezpieczeństwa dla młodych kobiet w mieście. Może nieudana napasć okaże się punktem zwrotnym, którego tak potrzebował: pozwoli uzyskać dobry opis sprawcy oraz, kto wie, może nawet DNA.

Grace wziął z biurka skrócony opis niezidentyfikowanej kobiety z Hove Lagoon, teraz znanej już jako Denise Patterson. Pochodziła z uboższej rodziny niż Katy Westerham i zaraz po szkole poszła do pracy w fabryce rękawiczek Cornelii James w Brighton.

I tak samo jak Katy, nie żyła.

Popatrzył na zdjęcie Denise, następnie położył obok zdjęcie Katy Westerham. Mogły być siostrami. Tak jak Emma Johnson i Ashleigh Stanford.

Wstał, podszedł do stołu i rozłożył tam zdjęcia wszystkich kobiet.

Usiadł i patrząc na nie, zaczął się zastanawiać.

Dlaczego właśnie one?

Czy łączyło je coś jeszcze oprócz młodego wieku, urody i długich brązowych włosów?

Co mu umykało?

Ze wszystkich jego badań nad seryjnymi zabójcami oraz rozmów z Tonym Balazsem wynikało, że zawsze istniał jakiś zapalnik. Sadystyczny ojciec. Matka alkoholiczka. A Teda Bundy'ego porzuciła dziewczyna.

Co popychało tego nikczemnika do zbrodni?

Gdzie należało szukać takiego zapalnika? Czyżby patrzyli w niewłaściwym kierunku?

Ziewnął, napił się kawy. Ciało gwałtownie domagało się snu. Wykluczone.

Nagle zrozumiał, co powinien zrobić.

Wkrótce potem rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł Norman Potting i usiadł przed Grace'em.

– Wcześniej wstałeś, Norman!

– Nie, szefie, w ogóle się nie kładłem. Nie mogę spać. Pomyślałem, że przyjdę, to może na coś się przydam.

– Nie mogłeś trafić lepiej! – Grace współczująco uśmiechnął się do niego i wskazał na stół.

Potting popatrzył na zdjęcia.

– Denise Patterson, Katy Westerham, Emma Johnson, Ashleigh Stanford, Logan Somerville i Freya Northrop – powiedział.

– Kto jeszcze?

– Jak to: kto jeszcze?

– Kto jeszcze w ciągu ostatnich trzydziestu lat? Czy to możliwe, że poza tymi kobietami nie było już nikogo? Czy ostatnio nie wydarzyło się coś, co pchnęło sprawcę do nowej serii zabójstw?

– Nikogo takiego nie znaleziono, szefie.

– No właśnie: nie znaleziono. Ale przecież przez ostatnie trzydzieści lat w kraju zaginęło bez śladu mnóstwo osób. Wiemy, że sprawca jest inteligentny. Nie mamy pojęcia, ile jeszcze zabił kobiet, o których możemy nigdy się nie dowiedzieć.

Gwałtowny podmuch wiatru sprawił, że deszcz zabębnił w szyby, co zabrzmiało jak grzechotanie kamyków.

– Jeśli wolno mi zauważyć, szefie, wyglądasz na wykończonego – powiedział Potting.

– Dzięki, wszystko w porządku. – Grace uśmiechnął się słabo.

– Będę wyglądał na znacznie mniej wykończonego, kiedy sprawca znajdzie się za kratkami. Niepokoi mnie pewien człowiek, od którego odebrałeś zeznania. Wiem, że wtedy zadawał sporo pytań o śledztwo, potem kontaktował się z tobą jeszcze kilkakrotnie i wypytywał, jak nam idzie.

– O kogo chodzi, szefie?

Grace wziął z biurka kartkę papieru, napisał na niej nazwisko i wręczył ją sierżantowi.

78

19 grudnia, piątek

Tuż przed dziewiątą Red Westwood, czekając na klientów, siedziała w mini morrisie, należącym do agencji nieruchomości Mishon Mackay, u szczytu krótkiego, stromego podjazdu, który prowadził do ceglanej posiadłości z portykiem, w stylu neogeorgiańskim. Samochodem wstrząsał silny wiatr, lada chwila mógł znowu lunąć deszcz. Niezbyt dobry dzień na prezentację domu, pomyślała.

Ta szczupła atrakcyjna ruda kobieta po trzydziestce czuła dość silny niepokój, że właśnie tutaj się znalazła. Niewiele ponad sześć tygodni temu jej były chłopak, podszywający się pod klienta, porwał ją sprzed domu na tej samej ulicy, zaledwie kilkaset metrów dalej na wschód. Chociaż teraz już jej nie zagrażał, jego obecność prześladowała ją niczym duch. Uważnie przeczytała dane na podkładce do pisania, które sama zanotowała.

Po chwili usłyszała warkot silnika i tuż przed nią zatrzymało się czarne porsche. Od strony kierowcy wysiadł niski mężczyzna – oceniła, że jest przed pięćdziesiątką – w drogiej krótkiej skórzanej kurtce, ze złotym rolexem na przegubie. Z drugiej strony auta wysiadła znacznie młodsza, wytworna kobieta, co najmniej w szóstym miesiącu ciąży.

Red także wysiadła i pospieszyła ku nim, wyciągając rękę. Włosy rozwiewał jej wiatr.

– Państwo Middleton? Jestem Red Westwood z Mishon Mackay. Bardzo miło mi państwa poznać!

Podali sobie ręce. Mężczyzna przedstawił się jako Darren, jego żona jako Isabel.

Oboje patrzyli na fasadę posiadłości.

– To bardzo piękny dom – powiedziała Red entuzjastycznie.

– Okna są okropne – stwierdził Darren.

– Rzecz w tym, że ten dom ma zaledwie dwadzieścia lat, jest w doskonałym stanie – ciągnęła Red. – Nie jest wpisany na listę zabytków, więc gdybyście go kupili, moglibyście wstawić sobie inne okna.

– Wstawiała pani kiedyś nowe okna? Wie pani, ile to by kosztowało w domu tej wielkości?

– Naturalnie, koszty należy brać pod uwagę. Zaczniemy oglądanie od środka, a potem przejdziemy do ogrodu? – spytała radośnie. – Ogród naprawdę robi wrażenie. Uwielbiam tę okolicę. Uważam, że to najlepsza ulica willowa w całym mieście. Po części dlatego, że jest tak niewielki hałas ruchu ulicznego.

– Pomijając ludzi uczących się prowadzić, którzy wloką się jak ślimaki. Po drodze musieliśmy stawać dwukrotnie, żeby kursanci mogli zawrócić.

– Widok jest piękny – włączyła się żona, jakby pragnąc uspokoić Darrena.

– Jak najbardziej, pani Middleton – odrzekła Red. – W dodatku po tej stronie ulicy, gdzie domy stoją na wzniesieniu, widoki są najładniejsze.

Cała trójka popatrzyła ponad dachami domów w kierunku kanału.

– W słoneczne dni widoki są naprawdę bajeczne – dodała agentka nieruchomości.

– Ile słonecznych dni w roku tu macie? – spytał Darren Middleton.

– Na trzysta sześćdziesiąt pięć dni mamy dwieście siedemdziesiąt dwa słoneczne, panie Middleton – odparła Red.

– Pani żartuje.

– Nie, zapewniam, że to prawda. Zgodnie z danymi statystycznymi Lloyda tu, w Brighton, tylko w ciągu

dziewięćdziesięciu trzech dni w roku zdarzają się opady. Znajdujemy się w jednym z najbardziej słonecznych miejsc na Wyspach Brytyjskich!

Darren Middleton podniósł wzrok na zachmurzone niebo.

– Prawie mnie pani nabrała – rzucił.

Red poprowadziła ich do drzwi wejściowych.

Kwadrans później Red minęła z klientami wielką cieplarnię i otworzyła drzwi wiodące na patio. Middletonowie ruszyli za agentką wokół basenu z odsuwającym elektrycznie szklanym dachem i wyszli na tarasowy trawnik z rzeźbami przedstawiającymi rzymskie igraszki.

Podczas gdy żona wodziła dokoła zachwyconym wzrokiem – Red miała nadzieję, że wyobraża sobie przyjęcia, jakie mogłaby tu urządzać – Darren Middleton podszedł do wschodniego muru, w znacznej mierze zasłoniętego roślinnością, rozgarnął gałęzie figowca i podciągnął się do góry.

Po chwili odwrócił się do Red i zapytał ze zgrozą:

– Przepraszam, ale co to za szkaradziejstwo?

Wiedziała, że w tym właśnie tkwi problem. Opuszczony sąsiedni dom z zarośniętym ogrodem kłuł w oczy. Prawda była jednak taka, że o ile człowiek nie wspiał się na mur, jak to właśnie uczynił pan Middleton, dom pozostawał niewidoczny. Oprócz, rzecz jasna, kilku okien na piętrze, które skrzętnie przed nimi ukryła podczas prezentacji domu.

– Cóż – zaszcebiotała Red – dobra strona polega na tym, że ten dom jest od lat niezamieszkały. Ogród to cudowne miejsce dla dzikiej przyrody. Pokrzywy dają schronienie motylom i ptakom.

– Oraz miejskim lisom – dodał z przekąsem Darren. – Kto jest właścicielem?

– Jakaś zagraniczna firma. Ten obok należy do lekarza. – Potem, zdając sobie sprawę, że to atut, Red dorzuciła: – On jest bardzo szanowanym członkiem tutejszej społeczności.

Middleton zeskoczył z muru.

– To istna wylęgarnia szczurów i innych szkodników! – Potrzęsnał głową. – A jak kiedyś ktoś kupi ten teren i zagospodaruje? Przecież tu mogą postawić pieprzony wysokościowiec!

Red, tracąc nadzieję na udaną transakcję z tymi ludźmi, odparła defensywnie:

– Miejski urząd planowania chyba nie dopuściłby do tego w dzielnicy willowej.

– Już miałem do czynienia z planistami. Bywają nieprzewidywalni.

– To prawda, ale nie wyobrażam sobie, żeby postawili tu wysokościowiec. Czy zechcieliby państwo jeszcze raz obejrzeć dom?

– Dzięki, widzieliśmy już dosyć, pani Westwood. Musimy się zastanowić.

79

19 grudnia, piątek

Edward Crisp zawsze lubił przychodzić wcześniej do pracy. Większość ludzi potrzebowała siedmiu do ośmiu godzin snu, ale jemu wystarczyło pięć, a niekiedy nawet mniej, przy niewielkiej pomocy „przyjaciół”, jak czule nazywał leki w szafce. Dzięki nim, w razie potrzeby, mógł nie spać całą noc. Crisp należał do nielicznych lekarzy lubiących wizyty domowe.

Do godziny dziewiątej, kiedy pojawił się pierwszy pacjent, doktor Crisp zdążył się już przekopać przez zaległe maile i przeczytać sterty urzędowych papierzysk, które zalewały go, tak jak wszystkich lekarzy rodzinnych w Wielkiej Brytanii.

Każdy nowy przepis tylko wzmacniał jego gniew. Tego ranka niewiele było trzeba, żeby go rozzłościć. Gdy myślał już, że załatwił wszystkie sprawy z tą suką, swoją żoną, przedstawiła kolejne żądania. Crisp znowu miał uczucie, że toczy prywatną walkę z całym światem. A przynajmniej z nią.

Nigdy jednak nie okazywał gniewu swoim pacjentom. Dla nich był zawsze – przynajmniej we własnym wyobrażeniu – Panem Uroczym, Panem Uważnym, Panem Siła Spokoju. Kiedy urzędy w końcu postawią na swoim i będzie musiał się włączyć w tryb kultury spraw sądowych, wszystko to ulegnie zmianie. Ale na razie pracował tak jak zwykle.

– Czy naprawdę chcesz zrobić sobie zabieg zmniejszenia żołądka, Rosamund? – zwrócił się do siedzącej przed nim czterdziestoletniej kobiety o skołtunionych włosach, której potężne ciało, wbite w sukienkę o rozmiarach małej markizy sklepowej, wylewało się po obu stronach krzesła.

Przez te piętnaście lat, gdy była jego pacjentką, Rosamund regularnie przybierała na wadze, a teraz przypominała mu olbrzymią meduzę pokrytą wodorostami, jaką niedawno widział na plaży podczas spaceru ze Smut.

– Nie potrafię się powstrzymać od jedzenia. Odkąd mąż mnie opuścił, nic innego nie robię.

Może właśnie dlatego odszedł, pomyślał Crisp, ale nie wypowiedział tych słów na głos. Z trudem przypominał sobie, jaką śliczną szczupłą blondynką była kiedyś Rosamund; nie mogła ważyć więcej niż sześćdziesiąt kilogramów.

– Kiedy ostatnio ćwiczyłaś?

– Nie mogę – odparła. – Nogi za bardzo mnie boją.

– Ale przecież tu przyszałaś. – Raczej się przywlokłaś, pomyślał.

– Dlatego że nie dało się wjechać na schody skuterkiem.

– Skuterkiem?

– Dzięki niemu się poruszam. Jeżdżę do sklepów.

– Po jedzenie? – Crisp pokręcił głową. – Rosamund, zabieg, o którym mówisz, zmniejszy ci żołądek, przez co będziesz mniej jadła.

– Dlatego chcę go zrobić.

Doktor Crisp uśmiechnął się do niej życzliwie.

– Jest coś, co przyniesie ten sam efekt, nawet lepszy.

– Co takiego? Tabletki?

– Nie, nie tabletki. – Lekarz postukał się w skroń. – Kontrola.

– Kontrola?

– Twój mózg, kochanie! Sześć w twojej głowie. Siła woli.

– Nie mam żadnej siły woli. – Rosamund, lekko zawstydzona, spuściła wzrok. – Potrzebuję pomocy, panie doktorze.

– Podczas ostatniej wizyty prosiłaś o całościowe badania. – Crisp spojrział w komputer. – Trzy tygodnie temu. Od tamtego czasu zrobiono ci tomografię komputerową jamy brzusznej, pachwiny, serca i klatki piersiowej oraz wirtualną kolonoskopię. Jelito grube jest w porządku, poziom wapnia w tętnicach sercowych jest na wspaniałym zerowym poziomie. Wątroba bez żadnych zmian, podobnie trzustka, nerki i płuca.

Co zakrawa na jakiś cholerny cud, dodałby chętnie.

– Miewałem pacjentów z nadwagą podobną do twojej, którzy są praktycznie inwalidami. Nie chcę widzieć cię w takim stanie. Jesteś zdrową kobietą, która właśnie rujnuje swoje zdrowie. Za pięć lat dorobisz się cukrzycy, potem przyjdą choroby krążenia. Tego chcesz?

– Nie, właśnie dlatego chcę sobie zmniejszyć żołądek.

Doktor Crisp ponownie spojrzął na monitor.

– Mieszkasz w Wilbury Villas, niecały kilometr stąd, tak?

– Tak.

– Wybij sobie z głowy zmniejszanie żołądka. Wróć do domu swoim skuterkim, wstaw go do garażu, a potem sprzedaj na eBayu. Zaczynaj chodzić.

– Chodzić? – Spojrzała na niego, jakby oszalała.

– Czy zaplanowałaś już swój pogrzeb?

– Mój pogrzeb? O czym pan mówi?

– Zaczynaj chodzić, twoje serce to wytrzyma. Zaczynaj chodzić albo zabierz się do planowania własnego pogrzebu.

– Panie doktorze, przyszłam tu po pomoc. Nie podoba mi się to, co słyszę.

– Gorzkie lekarstwo, co? Wróć za dwa lata i powiedz, że nie przypadło ci do gustu. Wtedy porozmawiamy o zmniejszaniu żołądka. – Crisp zerknął na zegarek.

– To wszystko, co może pan dla mnie zrobić?

– Rosamund, podstawowa zasada medycyny brzmi: po pierwsze, nie szkodzić. Nie zamierzam popierać zabiegu chirurgicznego, skoro szef w twojej głowie lepiej potrafi sobie z tym poradzić. Musisz mu tylko pozwolić!

Po przyjęciu połowy przedpołudniowych pacjentów, gdy z gabinetu właśnie wyszła młoda kobieta w ciąży, jego sekretarka zadzwoniła przez interkom.

– Panie doktorze, jest tu policjant, detektyw, który chciałby zamienić z panem słowo. Mam mu powiedzieć, żeby przyszedł,

jak pan skończy przyjmować pacjentów?

– Policjant? W jakiej sprawie?

– Podobno w czwartek wieczorem był pan w Hove Lagoon i pomógł pan policji.

– Ach tak, naturalnie, Jenni. Poproś go od razu. To raczej nie potrwa długo.

Edward Crisp uśmiechnął się szeroko, kiedy sekretarka otworzyła drzwi i wprowadziła do gabinetu Normana Pottinga.

Lekarz wstał, podał rękę przez biurko i mocno uściśnął szorstką dłoń detektywa.

– Bardzo miło znów pana widzieć, sierżancie.

– Dziękuję, że zechciał pan spotkać się ze mną tak szybko.

– To żaden problem, proszę usiąść. Musimy się streszczać, bo mam wielu pacjentów. Proszę więc powiedzieć, jak posuwa się dochodzenie.

Norman Potting usiadł na jednym z dwóch krzeseł przed biurkiem lekarza i zerknął na stojący po prawej stronie szkielet, zastanawiając się, czy jest prawdziwy, czy plastikowy.

– Dziękuję, robimy postępy. Ma pan na twarzy paskudny siniak, doktorze.

– Tak, przewróciłem się pod prysznicem! – Crisp zaśmiał się lekceważąco. – Mój znajomy mówił, żeby nigdy nie przewracać się pod prysznicem, bo to robią ludzie starzy!

Uważny wzrok detektywa sprawił, że lekarz poczuł się nieswojo.

– Koniec dowcipu – dodał Crisp.

Potting skinął głową.

– Znam to, mam koszulkę z takim nadrukiem. Przepraszam, że zakłócam panu dzień pracy. W zeszły czwartek był pan na tyle uprzejmy, że poświadczył pan zgon osoby, której szczątki znaleziono nieopodal Big Beach Café w Hove Lagoon. Potem złożył pan oświadczenie.

– No tak, w sumie to przecież drobiazg. Dawno temu pracowałem jako chirurg policyjny i często wzywano mnie w najróżniejszych porach, żebym to właśnie robił: poświadczał

zgon. Szczerze mówiąc, jeśli chodzi o szczątki tej biedaczki z Hove Lagoon, to dość głupie. Ale rozumiem, że wszystko musi być zgodne z procedurami.

Detektyw wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i coś zapisał.

– Mam jeszcze kilka pytań. Doktorze Crisp, w czwartek wieczorem spacerował pan z psem po Hove Lagoon. Czy to pana typowa trasa?

– W zimie tak. Latem jest tam za dużo ludzi. Wszędzie te cholerne bachory. Ona uwielbia plażę.

Potting uśmiechnął się i spojrzał na śpiącego kundelka.

– Zawsze przyprowadza pan psa do pracy?

– Od kiedy porzuciła mnie żona. – Crisp wskazał palcem stojące na biurku zdjęcie w ramce, które przedstawiało atrakcyjną kobietę o długich ciemnych włosach, w towarzystwie dwóch podobnych do siebie nastolatek. – Nieuczciwie byłoby Smut zostawiać samą na cały dzień, a zresztą większość pacjentów ją lubi. Smut przydaje się zwłaszcza przy nawiązywaniu kontaktu z młodszymi pacjentami.

– To także mam już za sobą – przyznał Potting. – Żony odchodziły ode mnie kilka razy.

– Czyż Oscar Wilde nie powiedział, że stracić żonę to rzecz niefortunna, ale stracić dwie to lekkomyślność? – zażartował Crisp.

– Wydaje mi się, że chodziło o rodziców – zauważył Potting. – *Bądźmy poważni na serio?*

– O, człowiek wykształcony! Pełna zgoda!

– Jak dawno odeszła od pana żona, doktorze Crisp?

– Mniej więcej sześć miesięcy temu... Miała romans... Ale tak to już bywa, prawda?

– Kobiety! – rzucił Potting.

– Istotnie. – Lekarz wzruszył ramionami.

Zmieniając temat, Norman Potting spytał:

– Czy pańska suczka potrzebuje dużo ruchu?

– Rano wyprowadzam ją do ogrodu, mam duży ogród, który Smut ubóstwia. Potem, w porze lunchu, zazwyczaj idę z nią na plażę i przegryzam coś w moim klubie, Hove Deep Sea Anglers, albo w Big Beach Café.

– Klub Deep Sea Anglers jest niedaleko Hove Lagoon, prawda?

– Bardzo blisko.

– Gdzie pan mieszka, doktorze Crisp?

– W Tongdean Villas.

– To ładna okolica, sam chciałbym tam zamieszkać, gdybym wygrał w totka. Prywatna praktyka musi przynosić spory dochód.

– W niektórych specjalizacjach owszem, ale nie w przypadku internistów. Na szczęście mam prywatne środki – odparł Crisp z uśmiechem.

– Czyli o tej porze roku spaceruje pan z suczką dwa razy dziennie?

– Tak, w porze lunchu oraz wieczorem, po pracy.

– Jak w zegarku?

– Jak w zegarku. – Znów się uśmiechnął. – Bardzo interesuje się pan moimi spacerami z psem, sierżancie. Czy jest po temu jakiś powód?

Potting wzruszył ramionami i posłał lekarzowi smutny uśmiech.

– Niedawno straciłem w pożarze narzeczoną. Rozważam wzięcie psa, ale zastanawiam się, czy miałbym dość czasu na spacer.

– W pożarze? Czy ona była policjantką?

– Owszem.

– Czytałem o tym. Chyba niedawno? Jakieś parę tygodni temu? Uratowała dziecko i psa? Bardzo panu współczuję.

Potting przytaknął i pociągnął nosem.

– Dobrze się pan czuje? Jest pan pod właściwą opieką? – spytał z troską Crisp. – Sypia pan?

– Właściwie nie – przyznał Norman Potting.

– O Boże. Czy zajmuje się panem jakiś lekarz?

Potting pokręcił głową.

– Jeśli pan chce, mogę przepisać panu coś na sen. Kiedy człowiek cierpi, sen jest niezmiernie ważny. Mogę panu dać lekki środek uspokajający, który pozwoli panu wrócić do normalnego rytmu.

– To bardzo uprzejme z pana strony, ale daję sobie radę. Choć ledwo, ledwo.

– Czy mógłbym coś jeszcze dla pana zrobić?

Po krótkim wahaniu Potting rzekł:

– Cóż, jest pewna sprawa. Nie powinienem tego panu mówić, to nie bardzo profesjonalne z mojej strony. Niedawno zdiagnozowano u mnie raka prostaty i trochę nie wiem, co robić. Dostaję wiele sprzecznych rad co do różnych metod leczenia. – Zamilkł na chwilę. – Wie pan, chodzi o terapie, które mogłyby doprowadzić do utraty... no, rozumie pan...

Crisp czekał z cierpliwym uśmiechem.

– Ma pan na myśli erekcję?

– Otóż to – potwierdził Potting. – Chodzi mi o sprawność wacka.

– Ile pan ma lat?

– Pięćdziesiąt pięć.

– No cóż, znam paru świetnych specjalistów, do których mógłbym pana skierować. Jeśli prześle mi pan szczegóły diagnozy i napisze, z kim pan się dotychczas konsultował, z radością panu pomogę, zupełnie nieodpłatnie.

– To ogromnie miłe z pana strony, doktorze. Czuję, że się panu narzucam.

– Bynajmniej. Jak już wspomniałem, byłem kiedyś chirurgiem policyjnym i darzę policjantów najwyższym szacunkiem. Z radością pomogę. Mam pańską wizytówkę, którą dał mi pan poprzednio. Prześlę panu informacje o kilku organizacjach, które oferują pomoc i doradztwo mężczyznom cierpiącym na raka prostaty.

– Bardzo dziękuję. Może poda mi pan namiary na siebie? Numer komórki?

– Oczywiście. – Crisp zapisał numer na karteczce, poślinił palec, żeby oderwać ją od bloczka, i wręczył ją detektywowi. Potting starannie złożył karteczkę i schował do kieszeni.

80

19 grudnia, piątek

Tuż przed trzynastą Roy Grace skręcił z autostrady A27, zwolnił na rondzie i zjechał drugą po lewej na Dyke Road Avenue, gdzie po obu stronach były wille, z których wiele przerobiono na domy opieki. Zahamował za sznurem pojazdów stojących przed blokadą policyjną.

Pomyślał, że nadinspektor Nev Kemp, komendant wydziału Brighton and Hove, dobrze sobie radzi z wlewaniem otuchy w serca mieszkańców. Wszędzie widziało się pojazdy policyjne – samochody, furgonetki i motocykle – oraz funkcjonariuszy i ludzi z grupy wsparcia, w kamizelkach odblaskowych. Podobnie musiał się czuć człowiek wkraczający do strefy działań wojennych.

Kiedy przyszła jego kolej i pokazał swoją legitymację, przepuszczono go, więc ruszył dalej, mijając samochód z otwartym bagażnikiem, do którego zaglądali dwaj policjanci. Grace słuchał Radia Sussex, by śledzić komunikaty. Prezenter, Danny Pike, właśnie przeprowadzał wywiad z panią komisarz w swoim zwykłym stylu, uprzejmie, acz ostro.

Według Grace'a, Nicola Roigard stała na wysokości zadania.

– Pani komisarz, czy uważa pani, że w świetle ostatnich wydarzeń w mieście należy wprowadzić godzinę policyjną? – spytał Pike.

– Na razie nie mamy wystarczających dowodów, by łączyć incydent w Hove z ostatniej nocy z innymi atakami, które tak

bardzo nas niepokoją. Poza tym wprowadzenie godziny policyjnej nie leży oczywiście w gestii policji.

– Dlaczego nie? Rozumiem, że kobieta napadnięta wczorajszej nocy w swoim domu pasuje do profilu poprzednich ofiar. Czy ze względu na interesy ekonomiczne Brighton and Hove wywierane są na panią naciski, by rozwiązać tę sprawę?

– Aktualnie mamy na względzie jedynie bezpieczeństwo wszystkich mieszkańców oraz osób odwiedzających nasze miasto. Policja robi, co w jej mocy, by jak najszybciej schwycić sprawcę i wsadzić go do więzienia.

– Czy jest pani pewna, że sprawca z was nie drwi? Kierujący dochodzeniem detektyw otwarcie rzucił mu wyzwanie na konferencji prasowej, a odpowiedzią były dwie kolejne ofiary. Czy policja aby na pewno wie, co robi? Czy nadinspektor Roy Grace to właściwy człowiek do sprawy tej rangi?

– Mam pełne zaufanie do oficera kierującego dochodzeniem. I powinieneś wiedzieć, Danny, że Roy Grace nie działa w próżni. Pomaga nam też najbardziej doświadczony oficer Policji Metropolitalnej, biegły w sprawach seryjnych zabójców, oraz wysoko wykwalifikowany psycholog sądowy.

– Czy sugeruje pani, że wkrótce możemy się spodziewać aresztowania?

– Nie, tego nie sugeruję, ale mam całkowite zaufanie do mojej policji. Wydział kryminalny Surrey i Sussex wykonuje świetną robotę. Nie ma powodu do paniki w mieście, ale pragnę powtórzyć przestrogi, jakie padły na wczorajszej konferencji prasowej: w miarę możliwości kobiety powinny unikać samotnego przebywania na ulicach Brighton o każdej porze dnia i nocy, by nie narażać się na niepotrzebne ryzyko; powinny na bieżąco informować swoich bliskich o tym, gdzie akurat się znajdują; stale powinien im ktoś towarzyszyć. Chcę też ponownie zaapelować, aby każdy, kto widział coś podejrzanego lub sądzi, że wie, kim jest sprawca, skontaktował się z policją Sussex lub, jeśli pragnie zachować anonimowość, zadzwonił na gorącą linię.

– Pani komisarz podała numery.

Grace wyłączył radio, skręcił w prawo, w zieloną uliczkę eleganckich domów, i ruszył w kierunku Hove Park, jednego z największych terenów rekreacyjnych w mieście. Przy krawężniku dostrzegł furgonetkę Radia Sussex, a także wozy BBC South i Latest TV. Minąwszy je, skręcił w lewo, w wyboistą Hove Park Lane, przypominającą niemal wiejską drogę.

Zobaczył przed sobą wielki furgon grupy poszukiwań specjalnych, mniejszy pojazd analityków oraz dwa oznakowane wozy policyjne. Przy końcu uliczki, odgrodzonym taśmą policyjną, stał strażnik pilnujący domu, gdzie napadnięto na Freyę Northrop. Wokół kręcili się reporterzy, fotoreporterzy i kamerzyści.

Grace zaparkował i zadzwonił do Cleo. W słuchawce rozległ się udręczony głos żony.

– Jak idzie? – zapytał.

– Jeden z ludzi od przeprowadzki właśnie stłukł akwarium Marlona.

Coś ścisnęło go w żołądku. Komiczne, że przy tym wszystkim, co się działo, on martwił się o złotą rybkę. Ale Marlon był dla niego czymś znacznie więcej.

– Nic mu nie jest?

– Twoja pieprzona złota rybka ma się świetnie. Pływa sobie teraz w wiadrze.

– Dzięki Bogu!

Cleo cmoknęła w słuchawkę.

– Wracaj do zbawiania świata. Dajemy sobie radę. Marlon będzie podróżował z fasonem. Podoba mu się w tym wiadrze.

Roy Grace się uśmiechnął. Kiedy wysiadł z samochodu, ruszyli ku niemu dziennikarze. Obok Siobhan Sheldrake z „Argusa” zobaczył starszego reportera z Latest TV, Tima Ridgwaya z kamerzystą.

– Panie nadinspektorze – odezwała się Sheldrake – kiedy areштуje pan sprawcę, który napadł wczoraj na Freyę Northrop? Człowieka, którego nazywacie Wypalaczem z Brighton?

– Przykro mi, ale w tej chwili nie mam nic do powiedzenia. Jak tylko pojawią się nowe informacje, zwołamy kolejną konferencję prasową.

Grace minął reporterów, szybkim krokiem udał się do furgonetki speców od zabezpieczenia miejsca zbrodni i włożył kombinezon ochronny i rękawiczki. Następnie podszedł do strażnika, który zanotował jego nazwisko oraz godzinę, po czym nadinspektor zanurkował pod taśmą i ruszył w stronę domu Freyi Northrop. Przede wszystkim musiał pilnie ustalić, czy ta napaść miała związek z ich śledztwem. Zdaniem Tony’ego Balazsa, ten nieudany atak wywrze silny wpływ psychologiczny na sprawcę, tak że albo na pewien czas przycichnie, albo, jeśli wystarczająco go sprowokują, znowu, w pośpiechu, popełni błąd. Żaden z tych scenariuszy nie cieszył Grace’a.

Szef zespołu zabezpieczającego, David Green, w takim samym niebieskim kombinezonie ochronnym jak wszyscy pozostali, oprowadził nadinspektora i powiedział mu, że na dywanie w holu znaleźli kilka kropli krwi. Green miał nadzieję, że na podstawie analizy DNA uda się stworzyć dobry profil napastnika. Obaj wiedzieli jednak, że takie badanie przyda się tylko pod warunkiem, że DNA sprawcy jest już w bazie danych.

Dom roił się od speców kryminalistyki, co pokazywało, jak poważnie Grace traktował napaść. Policjanci przeczesywali każdy centymetr każdego pomieszczenia, z wszystkich przedmiotów zdejmując odciski palców. Po rozłożonej na podłodze płachcie ochronnej Green zaprowadził go na górę, do sypialni, a potem do łazienki, gdzie pokazał mu kabinę prysznicową, w której Freya Northrop została zaatakowana. Następnie wrócili do sypialni – szafa z rozsuwanymi lustrzanymi drzwiami była otwarta, a kilka sukienek leżało na podłodze.

– Wygląda na to, że napastnik mógł się ukryć tutaj – powiedział Green.

– Co się stało z psem?

– Pies ma się dobrze. Jak widać, to rzadki przypadek psa, który nie tylko szczeka, ale też gryzie!

Grace podziękował mu i zamyślił się, wpatrzony w szafę. Z informacji, jakie dotąd uzyskali, wynikało, że Freya Northrop wróciła do domu sama i weszła z zakupami oraz psem przyjaciół, którym obiecała się zająć.

Ten pies pewnie uratował jej życie, pomyślał Grace. I pewnie mógłby doprowadzić ich do sprawcy.

Czy Freya Northrop jest inteligentna inaczej? Zaledwie kilka dni temu, w niedzielny wieczór, ona i jej chłopak stwierdzili po powrocie do domu, że ktoś się tu włamał. Mimo to nie zadali sobie trudu, żeby wymienić zamki. Wczoraj wieczorem, kiedy podjechała pod dom, zobaczyła, że w oknach jest ciemno, choć celowo zostawiła zapalone światła.

Mimo to weszła do środka.

Przez tylne drzwi Grace wyszedł do zapuszczonego ogrodu. Wysokie drzewa zapewniały sporą prywatność, a ściana sąsiedniego domu, w głębi ogrodu, nie miała okien.

Zaciszny ogród przy niemal równie zacisznej uliczce willowej. Tylne wejście niewidoczne od strony ulicy. Kobieta dokładnie pasująca do profilu ofiar.

Na miejscu sprawcy uznałby to miejsce za idealne. Jednak, dzięki pomocy psa, kobieta zdołała odeprzeć atak i uciec, w przeciwieństwie do innych ofiar. Co w tej sytuacji poczuł sprawca?

Zadzwonila komórka Grace'a – odebrał natychmiast.

– Szefie, za dwadzieścia minut zaczyna się przesłuchanie Freyi Northrop – zameldował Glenn Branson. – Mówiłeś, żeby dać ci znać.

– Dzięki, przyjadę najszybciej, jak dam radę.

– Gdzie teraz jesteś?

– W domu Freyi Northrop.

– W Bates Motel.

– W Bates Motel?

– Tak, *Psychoza*.

– Psychoza?

– Czasem ogarnia mnie rozpacz. Film *Psychoza*. Tony Perkins i Janet Leigh. Zaszlachtowana na śmierć pod prysznicem.

– A, tak – rzucił z roztargnieniem Grace, patrząc na tył domu.

Na ziemi leżały drabiny robotników budowlanych i stały sterty puszek z farbą elewacyjną. Napastnik mógł bez trudu dostać się do środka przez okno na piętrze.

Kobieta z biura śledczego klęczała na trawniku i robiła zdjęcia.

– Znalazłaś coś? – spytał Grace, gdy rozłączył się z Bransonem.

– Tak, panie nadinspektorze, mamy kilka śladów stóp, zabezpieczono je w nocy. – Policjantka wskazała ślad na ziemi, tuż pod oknem na parterze. – Robię zdjęcia, zanim wykonamy odlewy.

– Przekaż je jak najszybciej Haydnowi Kelly’emu.

– Już tu był, zrobił zdjęcia i zdjął odlewy.

– Dobrze.

Odszedł kilka kroków i znów spojrzał na ten niewielki dom. Ładny, w sielskiej okolicy. Freya Northrop niedawno przeprowadziła się tu z Londynu. Jeżeli napadł na nią Wypalacz z Brighton, o czym Grace był niemal przekonany, to w jaki sposób ją namierzył?

I dlaczego po niedzielnym włamaniu Freya Northrop i jej chłopak, Zak Ferguson, nie wymienili zamków, chociaż im to doradzano? Boże, policja tylko do pewnego stopnia jest w stanie chronić mieszkańców tego czy każdego innego miasta. Ludzie muszą też sami sobie pomagać.

Grace wrócił do środka i poszedł na górę do sypialni, a potem znów do łazienki.

Freję napadnięto tu, pod prysznicem. To faktycznie przywodziło na myśl *Psychozę*. Na szczęście jednak w tym przypadku nie było martwej matki na fotelu obrotowym. Była tylko przerażona ofiara, która zdołała uciec. Nie zawdzięczała tego ani jemu, ani nikomu z jego zespołu. Zawdzięczała to psu.

Grace ponownie przeszedł do sypialni i omiół wzrokiem nowoczesne skąpe umeblowanie oraz schludnie pościelone łóżko

z białą atlasową narzutą i kilkoma białymi poduszkami przy srebrnym wezglowiu. Na jednym stoliku nocnym zobaczył książkę kucharską i budzik w kształcie sześcianu. Na drugim były thriller Simona Kernicka i szklanka do połowy napełniona wodą.

Podszedł do tego drugiego stolika i dłonią w rękawiczce wysunął szufladę. W środku leżała niewielka książka ze zdjęciem na okładce – przedstawiała kobietę w niebieskiej koszuli, klęczącą nad nagim mężczyzną. Tytuł: *Seks: przewodnik dla kochanków*.

Z kwaśnym uśmiechem zamknął szufladę. Tę książkę dostał od Cleo na urodziny.

Długo stał w zamyśleniu. Minęło trzydzieści lat. I teraz znowu. Pięć kobiet w podobnym wieku, o podobnym wyglądzie; jeśli wliczać Freyę Northrop, facet namierzył sześć kobiet. Czyżby Wypalacz wzorował się na Tedzie Bundym?

Zanim został stracony, Bundy przyznał się do trzydziestu dziewięciu morderstw, ale FBI uważało, że mógł mieć na koncie aż sto sześć ofiar. Wszystkie, prócz jednej, która najwyraźniej była pomyłką, miały mniej więcej tyle samo lat i wyglądały podobnie.

Morderczy szal Bundy'ego wywołała jego pierwsza dziewczyna, która go rzuciła. Miała długie brązowe włosy z przedziałką pośrodku. Wszystko, co Grace przeczytał o tym seryjnym zabójcy, wskazywało, że Bundy zaczął zabijać młode kobiety o podobnym wyglądzie, aby się zemścić.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Zadzwoił do Bransona.

– Glenn, nie dotrę na przesłuchanie. Później obejrzę na nagraniu. Zadzwoń, jeśli wyjdzie coś ciekawego.

– Gdzie będziesz?

– W bibliotece Jubilee.

– W bibliotece?

– Tak.

– Wybrałeś świetny moment na uzupełnianie braków w wykształceniu.

– Dowcip ci się wyostrzył.

81

19 grudnia, piątek

Pół godziny później Roy Grace siedział przed przeglądarką mikrofilmów w dziale źródeł biblioteki Jubilee w Brighton, którą uwielbiał od dnia otwarcia. Postanowił zaszyć się tam na godzinę i spokojnie pomyśleć. W razie pilnej potrzeby mogli się z nim skontaktować.

Dotychczas koncentrowali się na okresie między zaginięciem Katy Westerham i Denise Patterson a chwilą obecną, ale nadinspektor miał silne poczucie, że patrzyli w niewłaściwym kierunku, na niewłaściwy okres. Musiał zapuścić się znacznie dalej w przeszłość, do czasów poprzedzających pierwsze dwa morderstwa.

Na ekranie przed nim przesuwwały się dawne numery gazety „Argus”. Zaczął od zaginięcia Katy Westerham, czyli od grudnia 1984 roku, i teraz cofał się w przeszłość. Przed jego oczami migały wiekopomne wydarzenia, zarówno globalne, jak i w skali miasta.

Południowokoreański odrzutowiec pasażerski zabłąkał się w radziecką przestrzeń powietrzną i został zestrzelony z 269 osobami na pokładzie. Sally K. Ride została pierwszą astronautką. W Ameryce wytropiono szefa Gestapo Klausea Barbiego. Czy Brighton and Hove powinno otrzymać status miasta? Grace cofnął się do 1983 roku. Drużyna piłkarska Brighton and Hove Albion dotarła do finału Pucharu Anglii i zremisowała dwa do dwóch z Manchesterem United.

Grace podróżował dalej w przeszłość, aż do 1975 roku. Pol Pot został przywódcą Kambodży, ale koszmar pół śmierci miał się

dopiero zacząć. Jimmy Carter został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Królowa złożyła oficjalną wizytę w Brighton. Björn Borg zwyciężył na kortach Wimbledonu. Członka rady miejskiej Brighton wsadzono do więzienia za korupcję.

Było wpół do trzeciej. Głodny i spragniony, zaczynał widzieć nieostro, marzył o wodzie i kawie. Zdawał sobie sprawę, że jego koncentracja słabnie; może zbyt szybko przewinął ostatnie miesiące. Czy przeoczył coś istotnego? Cofnął mikrofilmy.

Nagle zastygł. Utkwił wzrok w ekranie. Wpatrywał się w zdjęcie pod nagłówkiem.

Młoda dziewczyna o ładnej twarzy i długich brązowych włosach.

Gazeta z 30 grudnia 1976 roku.

Nagłówek „Argusa” brzmiał:

TRAGICZNE UTONIĘCIE W HOVE LAGOON

Grace czytał dalej.

Ratownicy z karetki pogotowia nie zdołali uratować Mandy White, lat 14, która podczas nocnego spaceru wpadła pod lód na jezioru w Hove Lagoon. Tuż przed północą nastolatkę przywieziono do Szpitala Królewskiego Hrabstwa Sussex, ale lekarze stwierdzili zgon.

Karetkę wezwał towarzyszący dziewczynie Edward Denning, lat 15, który wyznał policjantom, że tego wieczoru oboje sporo wypili. Według Denninga, Mandy, córka kobiety zatrudnionej u jego rodziców, postanowiła poślizgać się na lodzie, chociaż ją przed tym ostrzegł. Denning twierdzi, że usiłował ją powstrzymać, ale Mandy wyrwała mu się i po chwili wpadła pod lód. Chłopak próbował wyciągnąć koleżankę, jednak z powodu lodowatej wody wycofał się i pobiegł po pomoc.

Rodzice Mandy są zdruzgotani. Wczoraj jej matka nie była w stanie rozmawiać z reporterami „Argusa”. Ojciec

tragicznie zmarłej dziewczyny, Ronald White, powiedział, że Mandy była jego oczkiem w głowie, uroczą dziewczyną, która pilnie uczyła się w szkole i pracowała jako roznosicielka gazet. Bliski płaczu, powiedział: „Mandy jest moją córką, naszą jedyną córką, tak bardzo pragnę ją odzyskać”.

Inspektor Ron Gilbert z policji Hove oświadczył, że wygląda to na tragiczne zakończenie zabawy pary nastolatków, ale policja przeprowadzi szczegółowe śledztwo.

Artykuł zajmował całą pierwszą stronę gazety. Roy Grace przeczytał go dwukrotnie, wynotował nazwiska i zaczął się zastanawiać. Sprawa wydarzyła się blisko czterdzieści lat temu, na kilka lat przed zabójstwami Katy Westerham i Denise Patterson. W umyśle nadinspektora pobrzmiwały wczorajsze słowa Tony’ego Balazsa.

„Uniwersalny profil seryjnych morderców wskazuje, że w chwili pierwszego zabójstwa mają od piętnastu do czterdziestu pięciu lat, a w momencie ostatniego od osiemnastu do sześćdziesięciu lat”.

Czy mógł istnieć związek między utonięciem tamtej dziewczyny a obecnym śledztwem? Ramy czasowe się zgadzały. Czyżby wtedy wszystko się zaczęło?

Zrobił zdjęcie ekranu iPhone’em i na wszelki wypadek jeszcze jedno.

Inspektor Ron Gilbert. W tamtych czasach ambitni oficerowie dochodzili do tego stopnia między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Czy Gilbert jeszcze żył? Jeśli tak, byłby po siedemdziesiątce lub osiemdziesiątce. Grace dokładnie wiedział, kogo ma spytać.

Wychodząc szybkim krokiem z biblioteki, zadzwonił do Tish i poprosił o numer Davida Rowlanda, byłego policjanta z Sussex, dziś już po siedemdziesiątce, który koordynował działalność miejscowego stowarzyszenia emerytowanych policjantów. Grace

stał na chodniku w lekkiej mżawce i czekał, aż Tish znajdzie numer. Po chwili powiedziała, że zaraz oddzwoni. Właśnie gdy miał zatelefonować do Cleo, by sprawdzić, jak sobie radzi, Tish oddzwoniła i podała mu numer.

Grace wybrał go natychmiast, ale odezwała się poczta głosowa. Zostawił Rowlandowi wiadomość z prośbą o pilny kontakt. Szybko wyszedł na Church Street, wrzucił do parkometru kwotę żadaną przez maszynę, jego zdaniem haniebnie wysoką, po czym zaczął wyjeżdżać z parkingu. W chwili gdy uniósł się szlaban, zadzwoniła komórka Grace'a.

W głosie Davida Rowlanda słyszało się podeszły wiek, ale również zaraźliwy, niemal młodzieńczy entuzjazm.

– Przepraszam, że nie odebrałem, Roy. Byłem w kazamatach Muzeum Policji, gdzie chyba nie ma zasięgu. Jak mogę ci pomóc?

– Inspektor Ron Gilbert, pamiętasz go może? – Grace minął szlaban i zatrzymał się, żeby przepuścić rowerzystę, a potem młodą parę z dzieckiem w wózku.

– Owszem, nawet bardzo dobrze – powiedział Rowland, wyraźnie zdziwiony. – Dość długo służyliśmy razem w Hove. Szkoda, że zlikwidowali ten komisariat, bo dla mnie wiążą się z nim dobre wspomnienia. Co chcesz wiedzieć o Gilbarcie?

– Wiesz, czy jeszcze żyje? – Grace zobaczył w lusterku, że do szlabanu za nim podjeżdża czarny range rover.

– Żyje, ale nie jest z biedakiem najlepiej. Parę lat temu przeszedł wylew, jest praktycznie uziemiony w domu. Zachował sprawność umysłową, ale ma trudności z mówieniem. Żona bardzo troskliwie się nim opiekuje. Mają domek w Woodingdean.

– Znasz adres i numer telefonu?

Range rover zatrąbił gniewnie. Ignorując to, Grace wstukał numer do swojej komórki. Po chwili w jego szybę zapukał niski łyśy facet.

– Jedź dalej, frajerze!

Grace wyjął portfel, machnął odznaką przed nosem piekłącego się kurdupła i wybrał numer. Łyśy z frustracją wyrzucił ręce w górę. Nie zważając na to, Grace słuchał sygnału,

aż w końcu odezwała się kobieta. Żona Gilberta powiedziała, że jej mąż jest w domu.

Zgodnie z aktualnymi przepisami, przekraczanie ograniczeń prędkości uzasadniały jedynie nagłe przypadki. Zdaniem nadinspektora to był właśnie nagły przypadek. Brutalnie wepchnął się do ruchu ulicznego i jak najszybciej pomknął w kierunku domu Gilberta.

82

19 grudnia, piątek

Logan Somerville znów dostawała hiperwentylacji.

– Niech ktoś mi pomoże! Na pomoc! – wołała coraz bardziej ochryple.

Krzyczała nieprzerwanie, odkąd jakiś czas temu ocknęła się, ogarnięta paralizującym strachem. Od wielu godzin – czy może dni – nie słyszała żadnych odgłosów. Całkowicie straciła poczucie czasu, była potwornie głodna, rozpaczliwie marzyła o wodzie. Poziom cukru spadał, czemu towarzyszyły drgawki i nasilająca się paranoja.

A jeśli?

W głowie rozbłyskiwało jej mrowie możliwości.

A jeśli prześladowca umarł?

Albo został aresztowany?

Lub postanowił, że pozwoli jej tu gnić do śmierci?

Znów zaczęła szarpać więzy. Na rękach, na nogach. Osiągnęła jedynie to, że obtarte miejsca na ciele zaczęły ją boleć.

Jeśli ktoś jej nie uwolni, nigdy się stąd nie wydostanie. Za nic w świecie nie chciała tu umierać w samotności.

– Policja. POLICJA! Halo! NA POMOC!

Ujrzała słabą zielonkawą poświatę.

– Halo! – powiedziała słabym głosem. – Błagam. Potrzebuję wody, cukru. Proszę.

– Dzisiaj już prawie cię stąd zabrałem! – rozległ się przytłumiony głos. – Ale sprawy trochę się skomplikowały. Nie martw się, mam na myśli kogoś innego. Jak tylko ją tu sprowadzę, będziesz wolna. Wolna jak ptak.

- Dziękuję – wydyszała.
- Nie ma sprawy.

83

19 grudnia, piątek

Dziesięć minut po tym, jak opuścił parking na Church Street, Roy Grace skręcił w lewo, na strome zbocze naprzeciwko szpitala Nuffield, i jechał powoli, patrząc na numery domów. O piętnastej trzydzieści już zapadł zmierzch. Niemal we wszystkich oknach na parterze paliły się lampki gwiazdkowe; w ogrodach dwóch sąsiadujących domów wystawiono okazałe świetlne dekoracje. W końcu zatrzymał się przed numerem osiemdziesiąt dwa. Na podjeździe stał nieduży minivan z niebieską naklejką inwalidy.

Grace wszedł na werandę i zadzwonił. Po chwili otworzyła mu drzwi żona Gilberta, Hilary, drobniutka energiczna kobieta pod osiemdziesiątkę, o wesołej twarzy i starannie uczesanych siwych włosach.

– Niestety, panie nadinspektorze, mąż ma trudności nie tylko z mówieniem, ale też i ze słuchem – powiedziała, wprowadzając go do środka.

W domu było gorąco jak w saunie i pachniało pieczeniem. Prawie cały hol zajmowała szafka ze srebrnymi pucharami, wśród których stało zdjęcie drużyny rugby.

– Trofea Rona w rugby i golfie! – oznajmiła z dumą. – Przez lata grał w policyjnych drużynach rugby i golfa, praktycznie do czasu wylewu.

Z pokoju dobiegł zniekształcony, nieco agresywny głos. Słowa z trudem dało się zrozumieć.

– Chto pszszyszęd? Szeko kkce? Niech pkkasze dowudd.

– Kochanie, to oficer policji, który dzwonił niedawno. Nadinspektor Roy Grace. Przyjaciel Davida Rowlanda.

– Ych.

Chwilę później Grace usiadł na sofie przed buzującym kominkiem gazowym i poczuł, że zaczyna się zlewać potem. Telewizor ryczał ogłuszająco. Na ścianie za telewizorem wisiał dyplom policji hrabstwa Sussex. Grace patrzył na emerytowanego inspektora, siedzącego w fotelu z opuszczanym oparciem; obok fotela stał chodzik. Gilbert majstrował przy pilocie, próbując wyłączyć głos w telewizorze, gdzie pokazywano jakiś zagraniczny mecz krykieta. Gilbert był potężnym mężczyzną z rzednącymi siwymi włosami, spod których prześwitywała skóra pokryta plamami wątrobowymi. Uśmiech, jaki posłał Grace'owi, mógł być serdeczny lub szyderczy.

– Znyszsz dddwida rrowla?

– Tak, znam Davida od wielu lat – potwierdził Grace. – Przed chwilą podziwiałem w holu twoje trofea. Jestem kapitanem drużyny rugby policji Sussex.

– Juszsz ni mogge grać – wyjąkał z ogromnym smutkiem Gilbert.

Do pokoju weszła Hilary Gilbert, przynosząc Grace'owi herbatę i kawałek ciasta na talerzyku. Przycupnęła na sofie i powiedziała:

– Będę tłumaczyć.

Grace podziękował i zwrócił się do emerytowanego detektywa:

– Ron, czy mówią ci coś nazwiska Mandy White lub Edward Denning? Ciało Mandy wyłowiono w Hove Lagoon w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, kiedy byłeś oficerem dyżurnym.

Wpatrując się w wyciszony telewizor, na którego ekranie zawodnik właśnie zaczął bieg, Gilbert powiedział:

– Lord Denning, pppieprzny sssędzia.

– Kochanie, nadinspektor chyba nie ma na myśli lorda Denninga. Pyta cię o Edwarda Denninga – sprostowała Hilary, po czym zwróciła się do Grace'a: – Jeśli da mi pan chwilę, pójdę po notatnik Rona. Na pewno są tam informacje o tej sprawie.

Gilbart znów utkwiał wzrok w ekranie. Zawodnik rzucający oddał piłkę biegaczowi, który zaczął kolejną rundę. Grace już się zastanawiał, czy staruszek przypadkiem nie zasnął, gdy ten nagle odezwał się podniesionym głosem:

– Mły gówniarz!

– Mały gówniarz? – spytał Grace. – Edward Denning?

– Mły gówniarz.

– W jakim sensie?

– Mógł uratować... mógł uratować... dziw... dziw...

– Mógł uratować tę dziewczynę? – spytała Hilary, wracając do pokoju. – To właśnie chcesz powiedzieć, kochanie?

Emerytowany inspektor skinął głową.

– Dlaczego tego nie zrobił, Ron? Czemu jej nie uratował? – zapytał Grace.

Gilbart otworzył usta, znów popatrzył na mecz krykieta i pokiwał głową.

– Poni... poniwysz... ponieważ ją sabił.

84

19 grudnia, piątek

Roy Grace wrócił do Sussex House tuż przed odprawą o osiemnastej trzydzieści. To był dzień przeprowadzki. Cleo i Noah dotarli już pewnie do nowego domu; z całego serca pragnął być z nimi, ale nie miał pojęcia, kiedy uda mu się wrócić. Na pewno niezbyt wcześnie. Zajął miejsce przy stole, szybko sporządził notatkę ze swego spotkania z Ronem Gilbertem i z tego, co przeczytał w jego starej książce raportów, i wreszcie przebiegł wzrokiem harmonogram odprawy, który przygotowała jego asystentka.

Drzwi otworzyły się i do sali wpadł Norman Potting, bardziej ożywiony niż ostatnio. Sierżant zatrzymał się na moment, powiódł wzrokiem po zebranych członkach zespołu, jakby oceniając, czy wypada przerywać, po czym najwyraźniej uznał, że tak.

– Szefie – odezwał się – chyba mam coś interesującego!

– Cóż, w zasadzie jeszcze nie zaczęliśmy, ale mów, Norman – powiedział Grace.

– Dziś rano znów poszedłem zobaczyć się z Edwardem Crispem, jak poleciłeś. To śliski drań. Przesłuchiwanie go przypomina próby pisania na mokrym jajku. Wiemy, że spacerował z psem po Hove Lagoon tego wieczoru, kiedy robotnicy odkopali ciało Denise Patterson. Wyjaśnienie doktora Crispa, dlaczego akurat tam był, wcale mnie nie zadowoliło. Powiedział, że jak zwykle odbywał tam swój wieczorny spacer. Dodał też, że codziennie w porze lunchu spaceruje z psem po tej

samej okolicy i zatrzymuje się, żeby coś zjeść w klubie Hove Deep Sea Anglers albo Big Beach Café.

Potting przerwał, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zmiętą kartkę i przez chwilę ją czytał. Potem uniósł ją i pomachał nią dokoła.

– Mam tu raport triangulacyjny od operatora komórkowego. Doktor Crisp mówił prawdę o swoich spacerach w porze lunchu; raport to potwierdza. Kłamał za to w kwestii swoich wieczornych zwyczajów. Według tego raportu, Crisp co wieczór, jak w zegarku, chodzi ze swojego gabinetu przy Wilbury Road do Tongdean Villas, przez Hove Park. Wieczorem jedenastego grudnia, kiedy odkryto ciało Denise, nagle zmienił zwyczaj i zszedł na Hove Lagoon. Uważam, że powinniśmy dowiedzieć się dlaczego. Prosiłeś, żebym znowu z nim pomówił, między innymi z powodu jego nadmiernego zainteresowania śledztwem. Crisp kontaktował się ze mną aż siedem razy.

Detektyw Jon Exton podniósł rękę.

– Czy nie mogło być tak, że podczas spaceru w porze lunchu zauważył robotników rozkopujących ścieżkę i wrócił z czystej ciekawości?

– Rozkopywanie starej drogi chyba nie zainteresowałoby normalnego człowieka, nie sądzicie? – powiedział Potting. – Co innego, gdyby taki ktoś zauważył, że odkopują coś, co dawno temu zakopał.

– Czy dowiedzieliśmy się czegoś istotnego od robotników, którzy kładli starą drogę? – spytał Grace.

– Norman rozmawiał z facetem, który mieszka dziś w Perth w Australii – odparł Guy Batchelor. – Należał do pierwotnej ekipy i twierdzi, że niczego nie zauważył.

– Jak się nazywa? – zapytał Grace.

– Tony Scudder. Długo gadałem z nim przez telefon. Chyba nie widział nic podejrzanego.

– Wiemy coś o przeszłości tego Scuddera?

– Sprawdzalem w aktach, ale nie ma nic.

Grace wstał i oznajmił:

– Dobrze, teraz ja mam do zakomunikowania coś, co może okazać się istotne. – Zrelacjonował swoje odkrycia z biblioteki i streścił rozmowę z Ronem Gilbertem. – To nie było łatwe, bo biedak ledwo mówi. Przy pomocy jego żony udało nam się jednak porozmawiać. Gilbert opowiedział mi o sprawie z grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, kiedy był oficerem dyżurnym w Hove. W Hove Lagoon utonęła nastolatka. Tego wieczoru poszła na randkę z synem ludzi, u których pracowała jej matka, niejakim Edwardem Denningiem. Matka dziewczyny pracowała u Denningów jako sprzątaczką. W gazecie napisali, że dziewczyna wpadła pod lód, próbując się ślizgać, bo jezioro zamarzło podczas nietypowej fali mrozów. Koroner orzekł wypadek, ale to nie zadowoliło Gilberta i zaczął węszyć na własną rękę. Powiedział mi, że chłopak i dziewczyna, oboje nieletni, tego wieczoru sporo pili, rum z colą, w pobliskim pubie na nabrzeżu. Gilbert jest przekonany, że Denning zamordował dziewczynę, ale nigdy nie zdołał tego udowodnić.

– Czyli Denninga wypuszczono? – spytał Jon Exton.

– Twierdził, że dziewczyna wpadła pod lód, a on próbował ją uratować. Zatrzymał przejeżdżający samochód i wezwał pomoc. Nie było żadnych świadków.

– Dlaczego Gilbert sądzi, że Denning ją zabił? – zapytał Guy Batchelor.

– Przeczucie, czyli nos gliniarza. – Grace wzruszył ramionami.
– Ale mamy też coś bardzo istotnego – dodał z uśmiechem. – W starym notesie Gilberta znalazłem wycinki prasowe związane z tą sprawą. Dwa lata po śmierci dziewczyny, Mandy White, rodzice Edwarda Denninga się rozwiedli. Nie przewidują żadnych nagród dla osób, które odgadną nazwisko drugiego męża jego matki.

– Crisp? – zaryzykował Jack Alexander.

– Bingo! – potwierdził Grace.

– Edward Denning to Edward Crisp?! – wykrzyknął detektyw Exton. – Jasna cholera!

– Nie wyciągam żadnych pochopnych wniosków. Ale im więcej dowiaduję się o tym lekarzu, tym mniej mi się podoba. – Grace spojrział na Normana Pottinga, a potem na Jona Extona i zwrócił się do nich: – Daję wam zadanie. Macie dokładnie sprawdzić całą przeszłość Edwarda Crispa, poczynając od dzieciństwa. Chcę wiedzieć wszystko o jego relacjach z ludźmi, o kolegach szkolnych, nauczycielach, osobach, z którymi umawiał się na randki, o żonie, dzieciach, krewnych, o każdym człowieku, z którym miał jakikolwiek związek, prywatny lub zawodowy. Wreszcie najważniejsze: chcę mieć kompletną listę jego aktualnych pacjentów, a także wszystkich, których przyjmował w przeszłości. Rozumiecie?

Obaj detektywi skinęli głowami.

– Aha, szefie – odezwał się Potting. – To może wróżenie z fusów, ale chciałbym przesłać do badania daktyloskopowego i DNA kartkę, na której Crisp zapisał mi swój numer telefonu.

– Dobry pomysł, Norman. Prześlij.

Rękę podniosła Tanja Cale.

– Panie nadinspektorze, nie wiem, czy to ma znaczenie, czy nie, ale dziś uczestniczyłam w przesłuchaniu świadka, Freyi Northrop. Okazuje się, że tydzień temu była na wizycie u doktora Edwarda Crispa.

– Co takiego?! – W Grace’a jakby grom uderzył.

– Freya powiedziała, że lekarz wydał się jej uroczy, choć nieco dziwaczny.

W sali zapadło milczenie. Grace myślał intensywnie.

– To może mieć kolosalne znaczenie – stwierdził Batchelor.

Grace tylko skinął głową, wciąż się zastanawiając.

W górę powędrowała ręka Emmy-Jane Boutwood.

– Tak, EJ? – spytał Grace.

– Panie nadinspektorze, ludzie od wywiadu środowiskowego rozmawiali z kobietą, która mieszka naprzeciwko Freyi Northrop. Tak się składa, że ta pani jest koordynatorką straży sąsiedzkiej na tej ulicy. Po przeczytaniu o sprawie w „Argusie” zadzwoniła dziś na gorącą linię i oświadczyła, że w ostatnią

niedzielę około jedenastej widziała mężczyznę w kamizelce odblaskowej, z podkładką do pisania, który kręcił się pod domem Freyi. Wtedy nie uznała tego za ważne, ale teraz, jak przeczytała o śledztwie, zmieniła zdanie.

– Potrafiła go opisać? – spytał Grace.

– Niestety, niezbyt dokładnie. Ponoć twarz miał częściowo zasłoniętą szalikiem i tweedową czapką. Potem kobietę oderwał od okna jej mały wnuczek.

– Czy powiedziała, jakiej był postury?

– Szczupły, w średnim wieku. Biały, gładko ogolony mężczyzna w okularach.

Pasuje do doktora Crispa, pomyślał Grace, po czym zwrócił się do podiatry sądowego, Haydna Kelly'ego, jak zwykle w eleganckim garniturze i krzykliwym krawacie. Włączenie go do zespołu i codzienne korzystanie z jego usług sporo kosztowało, ale teraz pieniądze nie grały roli.

– Haydn, czy zrobiłeś jakieś postępy w sprawie śladu z parkingu podziemnego?

– Cóż, najpierw wpadłem w euforię, ponieważ w ogrodzie przy domu Freyi Northrop znalazłem ślad, który początkowo wyglądał na odcisk takiego samego buta sportowego. Ale, nie wchodząc w szczegóły techniczne, odkryłem wystarczająco dużo drobnych różnic, by uznać, że to dwa różne buty. Rozumiem, że w ostatnich tygodniach po domu kręciło się sporo robotników, więc ślad mógł zostawić każdy.

– Według mnie nie powinniśmy lekceważyć żadnych śladów z ogrodu – stwierdził Grace. – Nie mamy pewności, czy ślad znaleziony na parkingu zostawił sprawca. To czyste spekulacje.

– Jasne – potwierdził Kelly.

– Ślady butów staną się ciekawsze, kiedy zamkniemy podejrzanego – wtrącił Dave Green, szef zespołu zabezpieczającego.

Grace podziękował mu i zwrócił się do Bransona:

– Glenn, czy masz listę ludzi, którzy pracowali w domu Freyi?

– Owszem, szefie. Spece od wywiadu środowiskowego przesłuchali wszystkich. – Zajrzał do notesu i przerzucił parę stron do tyłu. – W sumie siedmiu. Elektrycy, hydraulicy, malarze, tynkarz i stolarz. Wszystkich wykluczyliśmy.

– Szefie, a może by przymknąć Crispa i go przesłuchać? – zaproponował Guy Batchelor. – Chyba mamy na niego już dosyć?

– Nie, Guy – odparł Grace. – Dopiero co stał się potencjalnym podejrzanym i musimy pilnie wykonać jeszcze sporą robotę, by ustalić, czy to faktycznie nasz zabójca. – Zanotował coś w książce raportów i znów podniósł wzrok. – Mamy sporo dowodów poszlakowych wskazujących na Crispa, ale nic poza tym. Niezależnie od tego, kto jest sprawcą, Crisp, Harrison Hunter, którego nie udało się namierzyć, czy ktokolwiek inny, jest to bez wątpienia człowiek inteligentny, skoro całymi latami się wymykał. Aby podjąć decyzję, że aresztujemy Crispa, musimy mieć mocniejsze karty. Obawiam się też zbyt szybkiego aresztowania, ponieważ jeżeli nic na niego nie znajdziemy i trzeba będzie go wypuścić, a on faktycznie jest sprawcą, może znowu przejść w stan uśpienia i stracimy go na wiele lat, może na zawsze. Uważam, że na tym etapie Crisp bardziej nam się przyda na wolności. Nie zapominajmy, że gdzieś tam jest Logan, mam nadzieję żywa. Odnalezienie jej to nasz absolutny priorytet.

Wypił łyk kawy i mówił dalej:

– Przeczucie podpowiada mi, że człowiek, którego tropimy, nigdy nie postępuje spontanicznie. Zawsze skrupulatnie obmyśla plan. Tego samego zdania jest Tony Balazs, który nie mógł tu dzisiaj przyjść. Podejrzewam, że przed uprowadzeniem ofiary Wypalacz obserwuje ją przez wiele tygodni, jeśli nie miesięcy. Według Balazsa on już wybrał kolejną ofiarę i wkrótce uderzy ponownie, żeby zrekompensować sobie wczorajszą porażkę. Bez wątpienia stanowi potencjalne zagrożenie dla ludności. Zamierzam wystąpić o zgodę na całodobową obserwację Crispa, przede wszystkim z powodu jego związków z Freyą Northrop.

Grace usłyszał w głowie słowa psychologa sądowego, Tony'ego Balazsa: „Znajdź sposób, żeby go wkurzyć. Sprowokuj

go do popełnienia błędu!”.

Uśmiechnął się, bo właśnie przyszło mu na myśl coś zgoła nieszablonowego. Czy mogło zadziałać?

Pomysł był niebezpieczny i mógł się obrócić przeciwko nim. Grace wiedział, że na wszelki wypadek, aby być kryty, musi uzyskać zgodę prokuratury koronnej. Jeżeli, a miał taką nadzieję, Logan Somerville nadal żyła, pozostawało bardzo niewiele czasu, by ją znaleźć. Liczyła się każda minuta.

Zwrócił się do szefa zespołu zabezpieczającego:

– Dave, pilnie potrzebuję nagrania, jak doktor Edward Crisp idzie, oraz zbliżenia jego twarzy. Czy jutro rano możesz posłać pod jego dom fotografa? Tak żeby Crisp się w niczym nie zorientował. Zazwyczaj wyprowadza psa między siódmą a ósmą. I masz uzyskać wymaganą zgodę.

– Tak jest, szefie.

Kwadrans później Roy Grace wyszedł z odprawy i szybkim krokiem udał się do swojego gabinetu, chyba po raz pierwszy od początku dochodzenia z nadzieją w sercu. Odczuwał już to znajome mrowienie, tak jak czasami, gdy śledztwo przybierało pomyślny obrót i zaczęli się zbliżać do podejrzanego. Zaciskać się.

Crisp.

Doktor Edward Crisp.

Grace wiedział, że nie wolno mu stawiać wszystkiego na jedną kartę i zapominać o Harrisonie Hunterze. Niepokoiło go, że nadal nie natrafiono na ślad tego człowieka.

Wrócił myślami do czwartkowego wieczoru w Hove Lagoon. Dla większości ludzi widok martwego ciała był szokiem. Crispa w ogóle to nie ruszyło, wydawał się wręcz wesoły. Co prawda lekarze reagowali inaczej, a on pracował dawniej jako chirurg policyjny. Tacy ludzie, podobnie jak gliniarze, wyrabiali w sobie mechanizmy obronne, które pozwalały im zachować obojętność w obliczu śmierci; czasem nawet potrafili się z niej śmiać. Zawór

bezpieczeństwa, nieodzowny dla ludzi, którzy na co dzień mieli do czynienia ze śmiercią. Pracownicy pogotowia, lekarze, wszyscy oni lubili wisielczy humor. Grace przypomniał sobie, jak wezwano go do wypadku drogowego pod Brighton, gdzie samochód zjechał z szosy na pastwisko owiec, a kierowca nadział się na palik ogrodzenia. Stojący obok policjant z drogówki zauważył: „Biedny sukinkot. Żona posłała go tylko po steki”.

Do gabinetu wszedł Guy Batchelor.

– Co z prośbą o zgodę na obserwację, Guy? – spytał Grace, który dobrze wiedział, że rozpatrywanie takich wniosków potrafi zajmować sporo czasu z powodu ich delikatnej natury i złożoności.

Uśmiechnął się z ulgą, gdy usłyszał odpowiedź Batchelora:

– Mamy zgodę.

85

20 grudnia, sobota

Nazajutrz w południe Roy Grace stał na podium obok Cassiana Pewe'a w sali konferencyjnej Malling House. Tak jak poprzednio, całe pomieszczenie wypełniali dziennikarze, fotoreporterzy, kamerzyści z telewizyjnych serwisów informacyjnych i reporterzy radiowi.

Jak zwykle podczas takich publicznych wystąpień, Pewe zabrał głos jako pierwszy:

– Oto najświeższe wiadomości. Codziennie podejmujemy zaostrzone środki bezpieczeństwa, by ochronić mieszkanki Brighton and Hove. Dzięki wsparciu pani komisarz Nicoli Roigard otrzymaliśmy dodatkowy budżet, co pozwoli nam na ściągnięcie policjantów z innych wydziałów. Począwszy od dzisiaj, dodatkowi funkcjonariusze będą patrolować ulice. Dzięki nieudanej napaści w miniony czwartek oraz zeznaniom niezwykle przytomnego świadka sądzymy, że mamy podejrzanego. Prowadzący dochodzenie nadinspektor Roy Grace powie wam więcej na ten temat. – Cassian Pewe cofnął się od mikrofonu.

Patrząc na jego wąskie wilgotne wargi, Grace poczuł się jak mysz wrzucona do klatki wygłodniałego węża. Odetchnął głęboko i zwrócił się do dziennikarzy:

– Symulacja komputerowa pomaga nam w poszukiwaniu człowieka, którego w czwartek wieczorem widziano w pobliżu placu zabaw w Hove. – Grace wskazał portret na ekranie za sobą.
– A oto podobizna mężczyzny, którego zauważono odjeżdżającego w czasie wprowadzenia Logan. – Wskazał duży

ekran po swojej prawej stronie, na którym widniał drugi portret, ukończony zaledwie pół godziny wcześniej.

Pewnie spojrzał na niego pytająco, marszcząc brwi, ale Grace udął, że tego nie widzi.

Rysownik, współpracując z Grace'em i Pottingiem, stworzył portret na podstawie zdjęcia, które tego ranka skrycie zrobiono doktorowi Crispowi. Celowo nie ukazano rysów Crispa zbyt dokładnie; był to raczej szkic twarzy i włosów. Takie podejście uzgodniono z prawnikiem z prokuratury wyznaczonym do tej sprawy.

Mrugając oczami z powodu lamp błyskowych, Grace zachowywał pokerowy wyraz twarzy, ale w duchu się uśmiechał. Ludzie to kupili. Crisp będzie miał powód do niepokoju, a jednocześnie portret nie był na tyle dokładny, by ktoś mógł go rozpoznać; nie był też na tyle dokładny, aby skłonić go do zaszycia się w mysiej dziurze.

– Apelujemy, aby każdy, zwłaszcza młode kobiety, kto mógł zetknąć się z tym człowiekiem, lub każdy, kto widział, że zachowuje się on podejrzanie, skontaktował się z nami.

– Czy może pan podać nazwisko podejrzanego?! – zawołał ktoś z głębi sali.

– Nie na tym etapie – odparł Grace. – Proszę, aby każdy, kto mógł coś zauważyć, niezwłocznie się z nami skontaktował.

– Nadinspektorze, czy porywacz zażądał okupu za Logan Somerville?

– Nie, nie otrzymaliśmy takiego żądania.

– Roy, czy wierzysz, że Logan Somerville nadal żyje?

– Mamy nadzieję, że wciąż żyje, i robimy co w naszej mocy, żeby ją odnaleźć.

– Panie nadinspektorze, co w tym momencie radzi pan kobietom z naszego miasta?

– Uczulamy wszystkie młode kobiety, by zachowały wyjątkową czujność i nie opuszczały samotnie domu; na noc powinny zamykać drzwi i okna oraz zgłaszać nam wszystko, co wyda się im podejrzane. Proszę się nie przejmować tym, że

alarm może być fałszywy. Nawet jeśli tak będzie, wolimy, by zaniepokojone osoby od razu się do nas zwracały.

– Nadinspektorze, czy ta sprawa ma związek z zaginięciem pańskiej żony dziesięć lat temu?

Chociaż Grace był przygotowany na to pytanie, i tak ugodziło go w serce. Wiedział, że podobnego związku nie da się wykluczyć.

– Żadne dowody na to nie wskazują – odparł.

– Jak blisko jest pan aresztowania?

– Usłyszeliście o postępach dochodzenia. Potrzebna jest nam pomoc ludności. Robimy wszystko, aby znaleźć i aresztować mordercę.

– Czy uznał pan, że zabójstwa Emmy Johnson i Ashleigh Stanford są powiązane ze śmiercią Katy Westerham i Denise Patterson trzydzieści lat temu?

– Istnieją pewne podobieństwa, które nadal badamy – odpowiedział Roy Grace wymijająco. – W chwili obecnej rozważamy wszelkie ewentualności.

– Czy znaleźliście żelazo do wypalania albo ustaliliście, gdzie je wykonano?! – zawołała jakaś reporterka.

– Nie – odparł Roy.

Posypały się dalsze pytania dotyczące Wypalacza z Brighton.

– Czy jest pan w stanie podać nazwisko podejrzanego?! Czy to Wypalacz z Brighton?! – zawołał mężczyzna z głębi sali.

Jeszcze przez czterdzieści minut Roy odpowiadał na pytania, a także przekazywał ludziom z mediów inne informacje.

Po zakończeniu konferencji prasowej Grace, kompletnie wyczerpany, pojechał z powrotem do Sussex House. W głowie kłębiły mu się myśli. Według porannego raportu z obserwacji Edwarda Crispa, całą minioną noc spędził w domu. Ustalili to dwaj funkcjonariusze w eleganckich ubraniach, którzy zadzwonili do bramy i podali się za świadków Jehowy. Dziś

o siódmej rano Crisp poszedł z psem do Hove Park i wrócił po godzinie. Od tamtej pory nie opuszczał domu.

Doktor Edward Crisp, myślał Grace. Lekarz rodzinny w średnim wieku. Czy naprawdę mógł stać za tym wszystkim?

Wystarczyło jednak, by Grace przypomniał sobie, że jednym z najpotworniejszych brytyjskich seryjnych morderców był Harold Shipman, lekarz rodzinny, mężczyzna w średnim wieku. Wszystkie ofiary Shipmana należały do jego pacjentów. Ale to chyba byłby zbyt duży zbieg okoliczności, by pierwszym seryjnym mordercą w historii Brighton również okazał się lekarz, prawda?

Grace wiedział, że niebezpieczeństwo, gdy ma się dobrego podejrzanego, tkwi w pokusie, aby skoncentrować się na nim i ignorować całą resztę. Co jeszcze mu umykało?

Jedynym innym potencjalnym podejrzanym był tajemniczy doktor Harrison Hunter, domniemany anestezjolog, który złożył wizytę Jacobowi Van Damowi. W średnim wieku, średniego wzrostu, w blond peruce.

Doktor Crisp w przebraniu? Alter ego?

Van Dama przesłuchiwali trzykrotnie. Dlaczego, do diabła, Hunter do niego poszedł?

Grace domyślał się, że odpowiedź kryje się w zwichrowanym umyśle sprawcy. Morderstwo nigdy nie było rzeczą racjonalną. Leżało za granicą, której, na szczęście, większość ludzi nigdy nie przekraczała. Ale jeśli ktoś ją przekroczył, nie miał już odwrotu. Nie sposób było cofnąć faktu, że odebrało się komuś życie. Większość zabójców w końcu się zgłaszała, nie mogąc znieść poczucia winy. Najbardziej niebezpieczni byli ci, którzy dochodzili do wniosku, że potrafią żyć z tą świadomością. Ludzie, którzy gdzieś w zakamarkach swoich wynaturzonych umysłów czerpali z tego przyjemność.

Dla nich nie grało roli, czy jest to jedno zabójstwo, czy dwadzieścia. Kiedy przekroczyli rubikon pierwszego mordu i stwierdzali, że jest im z tym dobrze, nie mogli już zawrócić. Nawet jeśli chcieli.

Wielu morderców było chorych na schizofrenię – jak Sutcliffe, Rozpruwacz z Yorkshire, który słyszał głos Boga, mówiący mu, by zabijał prostytutki.

Wyjąwszy tych, którzy zabijają w afekcie, większość zabójców to socjopaci – lub psychopaci, Grace nie widział tu różnicy – ludzie, którzy rodzili się bez empatii. Ludzie zdolni zabijać z niewielką dozą emocji czy poczucia winy.

Czy Hunter poszedł do Jacoba Van Dama, żeby się chełpić? Szukał rozgrzeszenia? Chciał się popisać? Czy sadystycznie dręczyć psychiatrę, jako wuja Logan?

Co to, u licha, było? Wołanie o pomoc?

Tylko taka odpowiedź przychodziła obecnie Grace'owi do głowy: sprawcę dręczyło poczucie winy, więc pragnął, aby go schwytano, zanim znowu kogoś skrzywdzi.

Tony Balazs potwierdzał, że to możliwe.

Grace miał pewność, że kluczem do znalezienia sprawcy jest właśnie ta wizyta. Pomimo peruki i przyciemnianych okularów, pod względem budowy ciała, wedle opisu Jacoba Van Dama, Hunter pasował do doktora Crispa.

Zbyt wyczerpany, by myśleć klarownie, położył głowę na biurku, na splecionych rękach, i zamknął oczy. Miał wrażenie, że zaledwie chwilę później obudziło go bzyczenie, jakby uwięzionego owada.

Komórka, wyciszona na konferencję prasową, wibrowała na biurku.

– Roy Grace – powiedział oszołomiony, tylko na wpół przebudzony.

Zerknął na zegarek. Szlag by to. Spał blisko godzinę.

– Panie nadinspektorze – odezwał się Jack Alexander. – Właśnie dzwoniła zaalarmowana kobieta z parkingu przyczep turystycznych w Horsham. W południowych wiadomościach widziała portrety i sądzi, że może znać tego człowieka. On chyba ma tam przyczepę.

86

20 grudnia, sobota

Prześladowca Logan nie pojawiał się już ponad dobę, może dłużej. Straciła poczucie czasu.

A jeśli, pomyślała ze zgrozą, została porzucona?

Jeśli zostawił ją tu, by umarła z głodu lub pragnienia?

Resztką sił szarpnęła rękami i nagle poczuła, że więzy na prawym przegubie minimalnie się rozluźniają. Spróbowała znowu, i jeszcze raz. Wywalczyła kolejny milimetr. Pas wrzynał jej się w ciało, ale nie zważając na ból, szarpnęła znowu. I znowu. Jeszcze raz.

Więzy puszczały!

Wtedy usłyszała jakiś odgłos. Dach więzienia zaczął się odsuwać. Logan ujrzała nad sobą zielonkawą poświatę i zamarła.

– Już niedługo – warknął głos.

Dach się zasunął.

87

20 grudnia, sobota

Mieszkańcy Horsham mieli rozmaite teorie na temat pochodzenia tej nazwy. Niektórzy twierdzili, że wzięła się od *Horse Ham*, czyli miejsca, gdzie trzyma się konie. Inni uważali, że wywodzi się od saksońskiego wojownika, który nazywał się Horsa's Ham i któremu nadano ziemię w tych stronach.

Roy Grace wiedział o tym od swego ojca, pasjonata historii Sussex. Nadinspektor lubił to miasteczko, ale ponieważ współczesne Horsham rozlewało się we wszystkich kierunkach, w równej mierze go irytowało, bo nieodmiennie się tu gubił.

– Gdzie to jest, do jasnej cholery? – zapytał.

– Należało pojechać szosą A-dwadzieścia cztery, jak sugerowałem – powiedział Glenn Branson.

Próbując wyczytać coś z aplikacji GPS w trzęsącej się komórce, Grace pokręcił głową.

– To cholerstwo powinno wiedzieć.

W telefonie znalazł trzy nieodebrane połączenia od Cleo. Jak na razie spędził w nowym domu zaledwie kilka godzin. Nie miał pojęcia, o której zdoła dziś wrócić ani kiedy będzie mógł zacząć rozpakowywać swoje rzeczy.

Dziesięć minut później po prawej stronie ukazało się zbiorowisko błyszczących przyczep turystycznych, każda z ceną we frontowym oknie. Duży szyld głosił: KAMPERY ROUNDSTONE, DOMY URLOPOWE, GAZ PROPAN BUTAN.

Po drodze Grace zaczął ściągać dodatkowe siły tam, dokąd jechali, ponieważ czuł, że to dobry trop, i miał nadzieję, że wsparcie przyda się raczej wcześniej niż później. Poprosił ludzi,

by zebrali się w wyznaczonym miejscu niedaleko parkingu przyczep.

Minął bramę i kierując się znakami, podjechał do recepcji, nowoczesnego budynku przylegającego do dużego malowniczego domu w stylu edwardiańskim. Tam zaparkował i obaj wysiedli. Na drzwiach widniała wywieszka: KIEDY DRZWI SĄ ZAMKNIĘTE, PROSZĘ DZWONIĆ DO DOMU.

Weszli na werandę, Grace zadzwonił. Zaszczekał pies i po chwili drzwi otworzyła im niska, dobrze prezentująca się blondynka po pięćdziesiątce, w czarnym golfie, dżinsach i wysokich butach.

– Dzień dobry – przywitała ich z przyjaznym, choć pytającym uśmiechem.

Grace pokazał legitymację.

– Nadinspektor Grace i inspektor Branson, wydział kryminalny policji Surrey i Sussex. Niedawno dzwoniła stąd Adrienne Macklin, w odpowiedzi na apel w południowych wiadomościach.

– A, tak – potwierdziła kobieta. – Adrienne, która dzwoniła na moją prośbę, ma dziś wolne. Jestem właścicielką. Natalie Morris. Mam wszystkie informacje, o jakie wam chodzi. Wejdziecie?

Wprowadziła ich do dużego przytulnego salonu, gdzie w kominku paliło się drewno, i wskazała im sofę, a sama usiadła w fotelu naprzeciwko.

– W czym mogę pomóc? Napijcie się czegoś? Herbaty?

Branson już miał się zgodzić, ale Grace pospiesznie wpadł mu w słowo:

– Nie, dziękujemy, pani Morris. – Wyjął z kieszeni zdjęcie Edwarda Crispa i pokazał kobiecie. – Poznaje pani tego człowieka?

Natalie przyjrzała się fotografii.

– Kiedy zobaczyłam go w telewizji, miałam pewność, że to nasz pan Hunter, ale teraz już nie jestem przekonana. – Przyjrzała się dokładniej. – To niezbyt wyraźne zdjęcie.

Grace pochylił się do przodu, czując przypływ adrenaliny.

– Harrison Hunter? – spytał.

– Dajcie mi chwilę.

Wybiegła z salonu, po czym zaraz wróciła, niosąc sporą księgę w purpurowej okładce, i zaczęła ją wertować.

– Pan Harrison Hunter. Jednostka R-siedemdziesiąt trzy.

– Jednostka R-siedemdziesiąt trzy? – powtórzył Grace.

– Tak, to bardzo elegancki kamper. Jeden z naszych stałych.

– Od jak dawna on tu mieszka?

– Już dość długo. Naprawdę mam nadzieję, że nie marnuję waszego czasu. Rzecz w tym – dodała nerwowo – że my nie wściubiamy nosa w życie naszych klientów.

– Naturalnie – przytaknął Glenn Branson. – Czemu mielibyście to robić?

– To nie byłoby miłe wobec klientów, prawda? Zawsze mamy nadzieję, że gościmy tu przyzwoitych ludzi. Dajemy im wolną rękę.

– Dopóki płacą czynsz? – wtrącił Grace.

– Otóż to. – Kobieta zaczynała wyglądać na mocno skrepowaną.

– Jak dobrze zna pani Huntera? – zapytał Grace.

– Szczerze mówiąc, właściwie wcale go nie znam. Płaci punktualnie, zawsze jest miły. Ale rzadko tu bywa. Nie zadajemy pytań. Niektórzy rezydenci wykorzystują przyczepy do... no wiecie... spotkań z paniami. Inni traktują je jako ucieczkę od miejskiego zgiełku. Podchodzę do tego tak, że dopóki nie przeszkadzają innym, to, co tam robią, jest ich sprawą.

– Czy pan Hunter jest teraz w przyczepie?

– Nie widziałam go – odparła. – Kiedy jest, zazwyczaj stoi tam samochód.

– Jakiej marki?

Po chwili zastanowienia pani Morris odparła:

– Pamiętam, że jest duży i szary.

– Ma pani jego numer? – spytał Glenn Branson.

Znowu zajrzała do księgi.

– Obawiam się, że nie. Ale to nic niezwykłego.

– Może mi pani pokazać przyczepę pana Huntera? – zapytał Grace z rosnącym podnieceniem.

– Oczywiście. – Wstała i podeszła do ściany, gdzie wisiało zdjęcie całego obiektu z lotu ptaka. – Jednostka R-siedemdziesiąt trzy. – Wskazała palcem. – Mogę was tam zaprowadzić, obejrzyjecie przyczepę tylko z zewnątrz, jeśli go nie zastaniemy, bo nie mam klucza.

– Chwilowo nie chcę się ujawniać – powiedział Grace. – Mogłaby mi pani pożyczyć starą pelerynę czy kurtkę, czapkę lub kapelusz i pojemnik na śmieci?

– Owszem. – Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Zapadał zmrok. Za godzinę całkiem się ściemni, pomyślał Grace, pchając po wilgotnej trawie pusty pojemnik na śmieci. Na głowie miał tweedową czapkę i był w kurtce o kilka numerów za dużej, którą znalazła dla niego właścicielka. Starając się wyglądać nonszalancko, lawirował wśród kamperów różnej wielkości, aż dotarł do jednostki R-73. Przetoczył pojemnik obok przyczepy, omiatając ją wzrokiem.

Żaluzje były opuszczone, a trzy zamki w drzwiach wydawały się przesadnym zabezpieczeniem. W środku nie widział światła, panowała cisza. Mimo to, na wypadek gdyby go obserwowano, przetoczył pojemnik dalej, powoli ukończył obchód i wrócił do recepcji. Zanim wszedł, zadzwonił do dyżurnego i spytał, czy helikopter jest dostępny. Jeśli stacjonował w Redhill, mógłby się tu zjawić w niewiele ponad pięć minut.

Z ulgą usłyszał, że helikopter jest wolny.

Poprosił, by natychmiast skierowano tu helikopter, dopóki jest jeszcze trochę światła dziennego. Dodał, że prześle mailem zdjęcie parkingu przyczep. Chciał, żeby z helikoptera sprawdzili kamerą termowizyjną, czy w jednostce R-73 ktoś jest. Potem wszedł do recepcji i poprosił panią Morris o zgodę na sfotografowanie planu całego obiektu.

Gdy robił zdjęcie, Glenn Branson zwrócił się do właścicielki:

– Czy miewa tu pani jakieś problemy z bezpieczeństwem?

– Nie. Cały teren monitorują kamery i jest też całodobowa ochrona. W zasadzie nie mamy kłopotów. Nie pamiętam, kiedy ostatnio było tu włamanie... jeszcze za życia mojego męża, co najmniej dziesięć lat temu. – Zawahała się i dodała nerwowo: – Chyba pan nie podejrzewa, że pan Hunter to ten Wypalacz z Brighton, co?

– Czemu pani myśli, że moglibyśmy go podejrzewać? – odpowiedział pytaniem Branson.

– Och, wie pan, lubię seriale policyjne. Czasem daję się ponieść wyobraźni. Ale Adrienne i ja zobaczyłyśmy te zdjęcia w telewizji i obie stwierdziłyśmy: „To mógłby być pan Hunter!”.

– Jakim właściwie człowiekiem jest Harrison Hunter? – włączył się Grace.

– Cóż, może nie to, że dziwnym, tak daleko bym się nie posunęła – odparła z uśmiechem. – Raczej bardzo skrytym.

– Wystąpię o nakaz rewizji, pani Morris. To zajmie około godziny. Nie chcę sprawiać pani kłopotów ani robić problemów pani klientom. Zachowamy najwyższą dyskrecję.

– Zawsze chętnie współpracuję z policją – zapewniła Natalie Morris, wyrzucając ręce w górę.

Grace jej podziękował.

– Może, skoro czekacie, zaproponuję wam herbatę, kawę albo coś mocniejszego?

– Kawę, chętnie – powiedział Grace.

Branson skinął głową.

– Ja też poproszę.

Wkrótce po jej wyjściu z pokoju Grace usłyszał odległy terkot nadlatującego helikoptera. Dyżurny zadzwonił i zameldował, że za minutę helikopter znajdzie się nad nimi.

Grace podziękował, po czym rzucił cicho do Bransona:

– Chyba powinniśmy być gotowi do szybkiej akcji, w razie gdybyśmy znaleźli tam coś ważnego, a przecucie mówi mi, że tak będzie. Jeśli wyważymy drzwi, to Hunter, jak wróci, zorientuje się, że go tropimy. Nie możemy ryzykować spłoszenia faceta. Czuję, że w tej przyczepie znajdziemy coś, co łączy go

z zabójcą, albo okaże się, że gość jest całkiem niewinny. Jednak według mnie, całkiem niewinny człowiek nie stosowałby takich zabezpieczeń.

– Masz na myśli doktora Crispa.

– Jeżeli mamy go zgarnąć, wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Chcę mieć odciski palców i ślady DNA.

Grace wyjął komórkę i zadzwonił do szefa operacji specjalnych, inspektora Jasona Tingleya. Naświetlił mu sytuację i poprosił, żeby ludzie ze wsparcia dołączyli do policjantów obserwujących dom Edwarda Crispa.

Tingley wyraził zgodę.

Oficer dyżurny zadzwonił do Grace'a z meldunkiem, że kamery helikoptera nie wykryły żadnych śladów życia w przyczepie R-73.

Grace podziękował i zapytał, czy NPAS 15 mógłby wrócić do Brighton i sprawdzić dom doktora Edwarda Crispa oraz bezpośrednie sąsiedztwo, póki starczy światła dziennego.

Zapewniono go, że w ciągu dwunastu minut helikopter znajdzie się nad domem Crispa i utrzyma taką wysokość, by nie zwracać niczyjej uwagi.

88

20 grudnia, sobota

– Nigdy nam nie powiedziałaś... po co właściwie poszedłeś do tego psychiatry w Londynie, doktorze Harrisonie Hunter? – zapytał szyderczo Marcus.

– Czyżby twoje ego znów podniosło główkę? – dorzucił Felix. – A może, o czym doskonale wiemy od zawsze, jesteś po prostu pierdolnięty?

– Dajcie spokój, chłopcy, miejcież do mnie odrobinę zaufania.

– Zamieniamy się w słuch – oznajmił Marcus. – Wyjaśnij, czemu mamy ci ufać.

– Próbowałem zmylić tropy.

– Nie mieli żadnych tropów – zauważył Felix. – A teraz wszędzie pokazują twoje pieprzone zdjęcie.

– Jest zbyt niewyraźne, by mnie rozpoznano.

– Jasne – parsknął Marcus. – My rozpoznaliśmy cię bez trudu.

– Tylko dlatego, że mnie znacie.

– Gdybym nie znał cię lepiej, uznałbym, że pragniesz śmierci – powiedział Marcus. – Że się nudzisz. Że chcesz zakończyć grę. Mam rację? Postanowiłeś nas porzucić. Tobie łatwo jest odejść. Ale co z nami?

– Podajcie choć jeden powód, dla którego miałyby mi na was zależeć.

– Jesteśmy całym twoim życiem, wszystkim, co masz. Twoja żona odeszła, dzieci razem z nią. Jesteś przegrany, zresztą zawsze byłeś.

– No, no. Chyba żaden z was nie czytał *Sztuki wojennej* Sun Zi, prawda? Tam moglibyście znaleźć wyjaśnienie, dlaczego

poszedłem zobaczyć się z doktorem Jacobem Van Damem. „Stój nad rzeką tak długo, aż zobaczysz przepływające ciała wszystkich swoich wrogów”.

– Co to ma, do kurwy, znaczyć? – warknął Marcus.

– Och, niedługo się dowiecie. Naprawdę bardzo niedługo.

– To napięcie mnie zabija. – Felix zaczął chichotać. – Nie mogę się doczekać tego dnia.

– Nie łapiecie tego, co?

– A co tu jest do łapania? Od dziesiątek lat spływamy twoją rzeką. Zdążyliśmy ją polubić. Kurczę, polubiliśmy nawet ciebie.

– Cóż, nie przesadzajcie z tą sympatią. Bo aktualnie podoba mi się inne powiedzonko.

– Jakie?

– „Życie daje ci w kość, a potem umierasz”.

89

20 grudnia, sobota

Norman Potting jechał nieoznakowanym policyjnym fordem po zatłoczonej głównej ulicy niedużego miasteczka w hrabstwie Surrey. Na chodnikach roiło się od ludzi, grubo ubranych dla ochrony przed mrozem, a w zapadającym zmierzchu błyskały, migotały i lśniły w witrynach sklepowych dekoracje i życzenia gwiazdkowe. Czekając na zielone światło, Norman słyszał orkiestrę dętą wygrywającą kolędę *Dobry król Wacław*.

Po policzku spłynęła mu łza – otarł ją wierzchem dłoni. Boże Narodzenie. Razem z Bellą wynajęli domek w Kornwalii, gdzie zamierzali spędzić pierwsze wspólne święta i zabrać tam jej starą matkę. Teraz Norman nie miał żadnych planów. Siostra zaprosiła go do siebie do Devon, ale chociaż ją lubił, nie czuł się na siłach, by znosić radosny nastrój rodzinnego spędu. Wolał całkowicie zatopić się w pracy.

Wyjechał z miasteczka krętą drogą, która przywiodła go do łukowatego mostu na rzece. Kiedyś, w szczęśliwszych czasach, uległby drzemiącemu w nim dziecku, dodałby gazu i z ekstazą wjechał na garb mostu. Teraz jednak nie miał nastroju na takie wybryki; zastanawiał się, czy to jeszcze kiedyś powróci.

Dotarł do skrzyżowania, skręcił w lewo i zaczął wjeżdżać na strome zbocze. Znaki prowadziły go do Cloisters, jednej z najszlachetniejszych szkół w kraju. Minął ciąg wiejskich szeregowych domów, a potem wolno stojące wille po obu stronach drogi. Na lewo zobaczył skupisko dużych nowoczesnych biurowców. U szczytu wzgórza przejechał pod kamiennym mostem i trzymając się drogowskazów, wziął ostry skręt

w prawo, potem jeszcze jeden, aż w końcu przejechał przez neogotycką bramę, nad którą widniały witrażowe okna. Wjechał na teren szkoły. Wszędzie gotyk, a po lewej stronie, nad boiskami, górowała olbrzymia kaplica. Dostrzegł idących dwóch nastolatków w tweedowych marynarkach i szarych flanelowych spodniach; jeden miał zapięty środkowy guzik marynarki. Zwolnił obok chłopców i opuścił szybę.

– Możecie mi wskazać drogę do biura kwestora? – zapytał.

– Ależ oczywiście – odrzekł jeden z uczniów z akcentem wyższych sfer.

Dwie minuty później, zgodnie ze wskazówkami, Potting przeciął zamknięty dziedziniec i kilku podobnie ubranych chłopców, po czym zatrzymał się przed niezbyt okazałym piętrowym budynkiem, za którym widniała nowoczesna konstrukcja z betonu i szkła. Na niebieskich drzwiach wejściowych wisiała skromna tabliczka z napisem BIURO KWESTORA.

Wysiadł z wozu, rozejrzał się, podszedł do drzwi i zapukał. Po chwili otworzył mu wysoki pięćdziesięciolatek, noszący się po wojskowemu. Brązowa sztruksowa marynarka, kraciasta koszula, krawat z dzianiny, beżowe spodnie z diagonalu, włosy krótko przycięte z tyłu i po bokach. Kwestor mówił pewnym, nieco protekcjonalnym tonem, typowym dla prywatnej szkoły.

– Sierżant Potting? – Obdarzył gościa entuzjastycznym uśmiechem.

– Tak. – Norman pokazał swoją legitymację. – Wydział kryminalny Surrey i Sussex.

– Jestem Neville Andrew, kwestor.

– Jak się pan miewa? – powiedział Potting, dodając unижone „proszę pana”, podczas gdy tamten mocno uściśnął mu rękę. – Dostyc elegancka szkoła.

– Owszem, trzeba przyznać, że jest tu przepysznie! – odrzekł kwestor, oglądając legitymację policyjną dłużej, niż robiła to większość ludzi.

Wprowadził Pottinga do niewielkiego gabinetu z maleńkim staroświeckim drewnianym biurkiem, na którym po obu stronach monitora komputerowego stały zdjęcia klasycznie ubranej kobiety po pięćdziesiątce oraz trojga dzieci. Przed biurkiem stały dwa stare, lecz nadające się do użytku drewniane krzesła ze skórzanym obiciem. Gabinet wypełniały metalowe szafki na akta, na ścianie w głębi widniało oprawione godło uczelni z łacińską sentencją, której Potting nie potrafił odcyfrować. Wokół unosił się stęchły zapach starego papieru i jak to bywa w wielu biurach, woń pasty do polerowania mebli.

– Tę wspaniałą placówkę założono w tysiąc sześćset jedenastym roku – oznajmił promiennie kwestor. – Pierwotnie była w Londynie, potem, w tysiąc osiemset czterdziestym trzecim roku przeniesiono ją tutaj, nieco wcześniej, niż my przyszliśmy na ten świat! Czy ukończył pan szkołę prywatną?

– Och, nie – odparł Potting swoim niskim głosem, z silnym akcentem ojczystego Devon. – Skończyłem szkołę ogólną w Tiverton. Moich rodziców raczej nie byłoby stać na takie miejsce. Założę się, że kosztuje trochę grosza.

– Od trzydziestu pięciu do czterdziestu tysięcy rocznie, w zależności od zajęć dodatkowych.

– Funtów?

– Tak.

– Tyle zarabiam rocznie! – wykrzyknął Potting. – Jasny gwint! Tyle forsy za to, żeby twoim rozpieszczonym gnojkiem pomiatano!

– Sam ukończyłem tę szkołę – powiedział kwestor. – Nie przypominam sobie, żebym był rozpieszczonym gnojkiem ani żeby mną pomiatano. Napije się pan kawy lub herbaty?

– Poproszę mocną herbatę. Dwie łyżeczki cukru – odparł Potting i dodał: – Dziękuję, że zgodził się pan spotkać w sobotę. Mam nadzieję, że to nie był kłopot.

– Bynajmniej. Dzięki temu wykręciłem się od upiornej wyprawy do supermarketu z „tą, której trzeba słuchać”. – Kwestor nieco się rozluźnił. – Jeden czy dwóch naszych chłopców

zasiliło wasze świetne szeregi. Jesteśmy dumni szczególnie z nadinspektora policji Sussex, który utrzymuje z nami regularne kontakty. Stephen Rogan. Zetknął się pan z nim kiedyś?

– Nadinspektor Rogan? Owszem. Nie przypuszczałem, że ukończył ekskluzywną szkołę. Czy macie kontakt ze wszystkimi dawnymi uczniami, wychowankami, tak się chyba tu mówi, prawda?

– Och, lubimy być z nimi w kontakcie, z tymi dobrymi, jak i tymi nie całkiem dobrymi. Do moich obowiązków należy przekonywanie ich, by wspierali macierzystą uczelnię i w testamentach zapisywali jej darowizny. Niełatwo jest utrzymać takie miejsce pod względem finansowym.

– Przyjechałem tu, żeby porozmawiać o pewnym konkretnym dawnym uczniu – powiedział Potting.

– Przez telefon wspomniał pan, że ma to związek ze śledztwem w sprawie zabójstwa? – Kwestor uniósł brwi.

– Śledztwo dotyczy właściwie zabójstwa i uprowadzenia. Uważamy, że uprowadzona kobieta może nadal żyć, dlatego czas ma kluczowe znaczenie.

– Jakże to intrygujące. Wracam za momencik. – Neville Andrew wyszedł, a Norman Potting skorzystał z okazji, by się rozejrzeć.

Na ścianach widniały zdjęcia drużyn futbolowych, krykietowych i hokejowych. Na zdjęciu grupy żołnierzy był gdzieś pewnie Andrew; Potting lustrował wzrokiem szeregi oficerów, ale bez powodzenia. Potem spojrzął na zdjęcia kobiety i trójki elegancko ubranych, szczęśliwych dzieci, stojące na biurku, i pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach o własnym życiu osobistym. Kilka byłych żon, liczne dzieci, a z większością z nich nie rozmawiał od ponad dwudziestu lat. Teraz zmarła jego narzeczona.

Po kilku minutach kwestor wrócił z dwoma parującymi kubkami i talerzykiem ciasteczek, podał herbatę Pottingowi i usiadł za biurkiem, przytłaczając je swoim zwalistym ciałem.

– Jak więc mogę panu pomóc w śledztwie, sierżancie? Rozumiem, że połączenie policji hrabstw Surrey i Sussex to dość świeża sprawa, tak?

– Sprzed paru lat – odparł Potting.

– System się sprawdza?

– Dosyc – przyznał Potting. W tej ekskluzywnej uczelni czuł się trochę jak ryba wyjęta z wody, jakby trafił do innego świata, niemal innego wszechświata. Wyjął notes. – Przechodząc do rzeczy, panie Andrew...

– Brygadierze, jeśli łaska.

Potting uniósł palec i rzucił:

– Och, *mea culpa!* Błagam o wybaczenie, brygadierze Andrew.

Potting stwierdził, że jego łacina chyba sprawiła kwestorowi przyjemność. Brnął dalej:

– W latach siedemdziesiątych mieliście tu ucznia o nazwisku Denning. Edward Denning. Później jego rodzice się rozwiedli i przyjął nowe nazwisko matki, Crisp. Został prywatnym lekarzem w Brighton, a obecnie interesuje nas w związku z dochodzeniem. Czy mógłby pan rzucić światło na jego lata szkolne?

– Denning? – Andrew zmarszczył czoło. – Potem Crisp? Hm. Coś mi dzwoni. Kiedy trzy lata temu objąłem tę posadę, wprowadziłem system komputerowy, który pozwala nam utrzymywać kontakty z wychowankami, a także im umożliwia porozumiewanie się między sobą. Da mi pan chwilkę?

– Oczywiście.

Potting sięgnął po ciastko i zanurzył je w herbacie. Z niejaką irytacją zauważył, że kawałek ciastka oderwał się i wpadł do herbaty. Zażenowany, wyłowił go palcami, po czym niezdarnie upuścił na spodnie.

Kwestor założył okulary połówki i przez chwilę stukał w klawiaturę, bacznie wpatrując się w ekran.

– O, mam. – Zawahał się. – Wie pan, w zasadzie nie powinienem panu tego mówić, dopóki nie okaże pan bardziej formalnych dokumentów, ponieważ te informacje podlegają

ustawie o ochronie danych. – Wzruszył ramionami. – Denning dołączył do nas w semestrze letnim siedemdziesiątego czwartego roku i mieszkał w Lark House, a odszedł ze szkoły w semestrze letnim roku siedemdziesiątego dziewiątego. Studiował na Uniwersytecie Sussex oraz w akademii medycznej King's College w Londynie. Ma pan rację, podczas pobytu u nas zmienił nazwisko na Crisp. – Czytał dalej: – Niezbyt wybitny uczeń. W ostatnim roku został opiekunem domu. Samotnik, nie okazywał zainteresowania sportem ani grami zespołowymi, ale wziął udział w szkolnej wyprawie speleologicznej do Walii. Ukończył szkołę z najwyższymi ocenami z fizyki, chemii i biologii. – Kwestor znów zmarszczył czoło. – Ale coś ciekawego wiąże się z tym chłopcem.

– Ach, tak? – rzucił Potting, upijając łyk herbaty.

Miał ochotę ponownie zanurzyć ciastko, ale rozmyślił się, ugryzł kawałek i zaczął żuć.

– Tak. Wspominałem panu, że próbujemy utrzymywać kontakt ze wszystkimi wychowankami, w nadziei że nakłonimy ich do wsparcia szkoły. Sprawa dotyczy kilku uczniów przebywających tu w tym samym okresie co Crisp, których nie udało nam się zlokalizować.

– Ilu uczniów przebywa tu jednocześnie? – spytał detektyw.

– Aktualnie mamy siedmuset dziesięciu uczniów. Czterystu osiemdziesięciu chłopców, reszta to dziewczęta. Oczywiście w tamtych czasach sprawy wyglądały inaczej. Prawie nie było dziewcząt.

– Jak wielu byłych uczniów nie udało się panu namierzyć?

– Boże, na liście mamy ponad trzysta nazwisk. – Kwestor uśmiechnął się szeroko. – Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby ich odnaleźć. Karierę wojskową zaczynałem od wywiadu. Mam misję, aby odszukać wszystkich, co do jednego, i wycisnąć z nich tyle mamony, ile się da. Dla dobra przyszłych pokoleń.

Przyszłych pokoleń nadętych dupków, pomyślał Potting, ale zachował tę refleksję dla siebie.

– Co może mi pan powiedzieć, brygadierze, na temat tych rówieśników Crispa, których pan nie znalazł?

Po chwili wahania kwestor odparł:

– Żałuję, ale nie mogę panu udzielić żadnych informacji. Jak już mówiłem, obowiązuje mnie ustawa o ochronie danych.

– To jest dochodzenie w sprawie zabójstwa, brygadierze. Doceniłbym pańską pełną współpracę. Może pan sądzić, że pewne informacje są nieistotne, ale musimy wiedzieć wszystko i sami zdecydujemy.

– Rozumiem, sierżancie, jednak obowiązują mnie przepisy. Dyrektor szkoły zezwolił mi, choć niechętnie, porozmawiać z panem o Edwardzie Denningu, ale o nikim więcej.

Potting przez chwilę patrzył na niego bez słowa. Wcześniej Roy Grace przestrzegał go przed trudnościami, jakie może napotkać w kontaktach z takimi placówkami. Neville Andrew wyraźnie się wywyższał, co zaczynało mu grać na nerwach. Rządy starców. Potting upił łyk herbaty, przełknął rozmiękły okruch ciastka, którego nie zdołał wyłowić.

– Rozumiem, że czcigodne szkoły, takie jak ta, funkcjonują na zasadzie pewnego kodeksu.

– Kodeksu? – powtórzył Andrew.

– Uważacie, że stoicie ponad prawem, że macie uprzywilejowaną pozycję. Możecie wyrzucać uczniów, ale nigdy ich nie zawiedziecie. Czy tak to można ująć?

– Zapewniam pana, że to nie jest ten przypadek.

Potting postukał się w pierś.

– Tak się składa, brygadierze, że to ja zdecyduję, czy to jest, czy nie jest ten przypadek. – Zerknął na zegarek. – Za półtorej godziny mogę tu sprowadzić ekipę z nakazem rewizji. Zabierzemy wam wszystkie komputery, wymiemy akta, jeśli tak pan chce to rozgrywać. Gdyby prasa się dowiedziała, średnio by to wyglądało. Nalot policji na jedną z najlepszych szkół prywatnych. Kilka gazet miałoby chyba używanie.

Neville Andrew nerwowo oblizał wargi.

– Cóż, jeszcze nikt nigdy tak tego nie ujmował. – Potem się uśmiechnął. – Na pewno zdołamy dojść do porozumienia.

– Świetnie – skwitował Potting. – Naszemu dochodzeniu bardzo by pomogło, gdyby nie zatajał pan żadnych informacji, choćby uważał pan je za nieistotne i choćby były nie wiadomo jak chronione ustawą.

– Pyta pan o rówieśników Crispa?

– Musimy wiedzieć wszystko na temat Crispa i muszę porozmawiać z każdym, kto miał z nim styczność w latach szkolnych. Na początek: czy cokolwiek w dawnym zachowaniu Edwarda Denninga, czyli Crispa, mogłoby wskazywać na jakieś zaburzenia charakterologiczne?

Kwestor spojrział w ekran.

– Cóż, mam przed sobą świadectwa, jakie na koniec szkoły napisał opiekun Crispa, czyli nauczyciel znający go najlepiej. Zgodnie z tradycją Cloisters, opiekunowie wystawiają świadectwa: jedno dla ucznia, drugie dla rodziców i jeszcze jedno, które trafia do naszych akt.

– No i?

– Najpierw przeczytam panu to dla rodziców. „Jak zwykle tajemniczy i nieprzewidywalny, nie pasuje do żadnego typu charakterologicznego. Nauczyciele, próbujący przewidzieć przyszłość Edwarda, przyznają się do bezradności. Chłopiec chowa w sobie różne urazy, jak gdyby czuł, że cały świat jest przeciw niemu. Kariera medyczna wydaje się nieunikniona, choć może być kilka falstartów”.

Potting zanotował wszystko słowo w słowo.

– A teraz świadectwo wyłącznie do naszych akt – kontynuował Andrew, patrząc w ekran. – „Edward Crisp to niezwykle osobliwa jednostka. Nie sposób się do niego zbliżyć ani zgłębić jego myśli. Trzyma się na osobności, chyba nie ma przyjaciół. Szczerze mówiąc, uważam, że chłopiec jest mocno zaburzony i brak mu empatii. Po części kładę to na karb rozvodu rodziców, a po części tłumaczę niezmiernie traumatycznym dla niego wydarzeniem, do którego doszło zimą tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątego szóstego roku, kiedy był świadkiem utonięcia koleżanki w jeziorze w Hove. Na początku pobytu w naszej szkole kilku chłopców go terroryzowało. Nie wchodząc w szczegóły, zresztą nie mam wykształcenia medycznego, twierdzę, że Edward Crisp przejawia klasyczne oznaki socjopatii. Jestem pewien, że osiągnie w życiu sukces, ponieważ osoby o tendencjach socjopatycznych pną się na szczyt lepiej niż inni. Gdyby jednak Edward Crisp istotnie został lekarzem, chyba nie chciałbym być jego pacjentem”.

Potting zacisnął wargi.

– Cóż, to niezbyt chwalebny obraz – podsumował. – Ale pasuje. A co z tymi jego rówieśnikami, z którymi nie udało się nawiązać kontaktu?

– Hm. – Andrew jakby się zawahał. – Tak się składa, że przyjechał pan w dość szczególnym momencie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przygotowywałem sprawozdanie na temat uczniów z rocznika Crispa. Wygląda na to, że trzech chłopców, którzy mieszkali z Edwardem Crispem w Lark House, dosłownie zniknęli z powierzchni ziemi. To doprawdy niezwykle dziwne.

– W jakim sensie dziwne? – naciskał Potting. – Osoby zaginione to rzecz bardzo powszechna. Każdego roku w Wielkiej Brytanii zgłasza się zaginięcie tysięcy ludzi. Sporo z nich nie odnajduje się nawet po roku. Dlatego trzech nie wydaje mi się niczym szczególnym.

– Wszyscy trzech z rocznika Crispa, mieszkający w tym samym domu? – Kwestor zmarszczył brwi. – Według mnie to bardzo dziwne. Starzy ludzie umierają, co jest smutne, albo emigrują. Zazwyczaj jednak udaje się nam ich namierzyć, jesteśmy bardzo skrupulatni. – Postukał w klawiaturę i ponownie spojrzął na ekran. – Tych trzech wyróżnia to, że rodziny zgłosiły policji ich zaginięcie, i z tego, co wiemy, nigdy ich nie odnaleziono.

– Ilu uczniów liczy Lark House?

– To jeden z mniejszych domów. W roczniku Crispa mieszkało tam siedemdziesięciu ośmiu chłopców. Trzech zaginionych to spory odsetek. Jest to też spory procent w zestawieniu ze średnią

krajową, według tych zatrważających danych statystycznych, które właśnie mi pan podał.

– Zaginieni? Uważa się ich za zmarłych? – spytał Potting, coraz bardziej zaintrygowany.

– Cóż, nie potrafię na to odpowiedzieć. Wszyscy oni przybyli do naszej szkoły w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Od ponad dwudziestu lat nic o nich nie słyszano. W chwili zaginięcia wszyscy mieli około trzydziestki.

– I wszyscy byli przyjaciółmi Edwarda Crispa, brygadierze?

– Nie mogę powiedzieć, że się z nim przyjaźnili. Byli nieco starsi od Edwarda, o rok czy coś koło tego. Kiedy ma się trzynaście lat, rok różnicy to przepaść.

– Może mi pan podać ich nazwiska? – poprosił Potting, trzymając długopis w pogotowiu.

Po kolejnej chwili wahania kwestor wyrecytował:

– Felix Gore-Parker, Marcus Gossage i Harrison Chaffinch.

Potting zapisał nazwiska. Następnie podał kwestorowi numer swojej komórki, na wypadek gdyby coś jeszcze przyszło mu do głowy, i wrócił do samochodu. Zanim ruszył, przez chwilę wpatrywał się w notatki. Opuszczając teren szkoły, myślał o Crispie z dużo większym niepokojem niż wtedy, gdy tu przyjeżdżał.

Zjechał na bok i zadzwonił do Roya Grace'a.

90

20 grudnia, sobota

Za kwadrans osiemnasta Roy Grace rozłączył się z Pottingiem, dziękując mu za wiadomości, i zrelacjonował rozmowę Glennowi Bransonowi. Obaj detektywi siedzieli w ciasnym biurze parkingu przyczep turystycznych Roundstone, gdzie obserwowali monitory kamer obejmujących wejście i znaczną część terenu. Wypatrywali mężczyznę, który, według przypuszczeń Haydna Kelly'ego, chodził przesadnie wyprostowany, stawiając stopy na zewnątrz.

– „Klasyczne oznaki socjopatii”? – zacytował Branson. – W wieku osiemnastu lat?

– Socjopatia ujawnia się od czwartego roku życia – odparł Grace. – Wielu tych ludzi chytrze to ukrywa.

– Czyli nauczyciel, który to zauważył, był bardzo bystry.

– Być może. – Grace wzruszył ramionami. – Trzech rówieśników Crispa znikło bez śladu. O co w tym chodzi? Zbieg okoliczności?

– To byli mężczyźni. Nie pasuje to do profilu ofiar, kobiet o długich brązowych włosach.

– To prawda – przyznał z zadumą Grace.

Wrócił myślami do swojej rozmowy z byłym inspektorem Ronem Gilbertem. Czy Crisp zabił tamtą dziewczynę w Hove Lagoon, jak podejrzewał Gilbert? Czy potem zabił trzech kolegów szkolnych? Jaki motyw mógł mu przyświecać? Terroryzowanie? Raczej nie. Czyżby ta trójka postanowiła razem zniknąć? Chcieli zostać najemnikami? I w tamtym czasie nikt nie połączył ich ze sobą?

Grace zadzwonił do analityczki, Annalise Vineer, podał jej nazwiska trzech zaginionych młodych mężczyzn i poprosił, by dowiedziała się wszystkiego na ich temat.

Na dworze zapadł zmrok, a oni w ciągu ostatniej godziny nie widzieli żywej duszy. Jak powiedziała im Natalie Morris, oprócz garstki stałych rezydentów o tej porze roku to miejsce świeci pustkami. Na Boże Narodzenie należało się spodziewać przyjazdu najwyżej kilku osób.

Nadinspektor zadzwonił do Cleo, ale z powodu trzasków ledwo ją słyszał.

– Cóż, ciągle tu jesteśmy – powiedziała zmęczonym, lecz wesołym głosem. – Próbuję nad wszystkim zapanować, ale to zupełny chaos. Aha, Marlon polubił swoje nowe akwarium!

– Wrócę najszybciej, jak będę mógł, ale obawiam się, że trochę to potrwa – powiedział Grace z uśmiechem.

– Jak idzie?

Jego komórka zaczęła brzęczeć.

– Oddzwonię do ciebie – rzucił szybko, po czym odebrał.

Dzwonił Haydn Kelly.

– Posłuchaj, Roy, zrobiłem analizę porównawczą chodu, opierając się na nagraniu doktora Edwarda Crispa, oraz śladu w benzynie z parkingu podziemnego Logan Somerville. Niestety, z powodu słabej jakości tego śladu muszę przyjąć spory margines błędu. Istnieje dość zbieżności, by sądzić, że to może być ślad Crispa, ale za mało, by mieć całkowitą pewność. Oceniałbym, że prawdopodobieństwo wynosi pięćdziesiąt do pięćdziesięciu procent.

– Czyli mamy pół na pół, że to nie jest doktor Crisp, tak?

– Tak, do tego to się sprowadza – odrzekł podiatra sądowy. – Inaczej mówiąc, mamy pół na pół, że to jest doktor Crisp, ponieważ wyniki analizy nie pozwalają go wykluczyć.

Grace stłumił rozczarowanie, że ta analiza nie dała większej pewności.

– Cóż, to i tak pomocne, Haydn. Jak mówisz, ostatecznie ustalić się nie da, ale to jednak kolejna poszlaka wskazująca na

Crispa. – Rozłączył się i w tym momencie usłyszał, że przed biurem parkuje samochód.

Obaj detektywi wyszli w ciemną noc.

Młody, pełen entuzjazmu posterunkowy w mundurze, Pete Coppard, uśmiechnięty od ucha do ucha, biegł ku nim, wymachując kartką.

– Nadinspektorze Grace, właśnie podpisali. Nakaz rewizji. Mam podpis sędzi Juliet Smith, okazała się bardzo życzliwa!

Po chwili ośmiu funkcjonariuszy z lokalnej grupy wsparcia, w kamizelkach kuloodpornych, ruszyło w kierunku przyczepy znanej jako jednostka R-73. Grace i Branson, w płaszczach, kuląc się na mrozie, szli za nimi. Ziemię już zaczął pokrywać szron. Jednego człowieka z psem posłano na tył przyczepy, drugiego do wjazdu na parking, na wypadek gdyby helikopter przeoczył kogoś, kto chciałby stąd uciec.

Dwaj idący przodem ludzie wspięli się po schodkach, odczekali chwilę, po czym jeden uderzył łomem w drzwi. Łom odskoczył. Człowiek stojący z tyłu przyłożył dwa ramiona młota hydraulicznego do framugi i odpalił. Framuga zaskrzypiała, jęknęła i wygięła się nieco.

Pierwszy funkcjonariusz ponownie zamierzył się łomem i tym razem drzwi ustąpiły nieznacznie, odpadła farba. Jeszcze jedno uderzenie łomem i kolejne – za każdym razem drzwi trochę bardziej się poddawały. Zadyszany, przerwał pracę.

– Co to jest, do kurwy nędzy? Pieprzony Fort Knox?

Jeszcze raz grzmotnął żółtym łomem i drzwi raptownie ustąpiły. Dwaj kolejni ludzie z grupy wsparcia natychmiast wbiegli po schodkach i wpadli do przyczepy.

Stojący z tyłu Grace widział światło latarek omiatających wnętrze przy wstępnym przeszukaniu.

Jakieś pół minuty później w przyczepie zapalono światło. W drzwiach ukazał się inspektor wsparcia, John Walton, wysoki, szczupły, bardzo doświadczony policjant.

– Nie ma nikogo, panie nadinspektorze – zameldował Grace'owi. – Ale to trochę dziwaczne miejsce.

Grace wszedł do przyczepy, Branson w ślad za nim. Okazała się znacznie większa, niż wydawało się z zewnątrz, i było tu jeszcze zimniej niż na dworze, dosłownie jak w lodówce. Nadinspektor zmarszczył nos, czując zjełczały smród, jakby kilka dni temu rozlało się mleko i ktoś niedokładnie je wytarł. Wokół drewnianego stołu były miejsca do siedzenia, na stole leżały gazety i segregatory. Naprzeciwko stała wbudowana sofa, którą zapewne, pomyślał Grace, dawało się rozłożyć jako dodatkowe łóżko. Na ścianie wisiał duży telewizor, w głębi była schludna kuchenka. Za otwartymi drzwiami harmonijkowymi dostrzegł łóżko. Zarejestrował to wszystko, ale na niczym nie zatrzymał wzroku. Jego uwagę przyciągały ściany.

– Cholera – zaklął Glenn Branson, patrząc na datę gazety. Artykuł dotyczył domniemanego uprowadzenia Logan Somerville. – To z zeszłej soboty. On tu niedawno był. – Założył rękawiczki i zaczął wertować stertę.

Grace prawie go nie słuchał. Wodził wzrokiem po ścianach przyczepy. Niemal każdy centymetr kwadratowy ścian i okien z opuszczonymi żaluzjami pokrywały zdjęcia, wszystkie o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Każde z nich opatrzone wydrukowaną notką i datą. Portrety młodych kobiet w wieku, jak szacował Grace, od kilkunastu do dwudziestu kilku lat. Niektóre zdjęcia przedstawiały same twarze, na innych widać było także górną część ciała. Niemal wszystkie zdjęcia zostały zrobione na dworze, w miejscach publicznych, i na wielu dało się rozpoznać konkretną lokalizację w Brighton and Hove. Wspólnym mianownikiem wszystkich kobiet była fryzura.

Wszystkie miały długie brązowe włosy.

Grace poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Stał jak skamieniały, rozglądał się, dygotał – zarówno z zimna, jak i z powodu tego, na co patrzył. W ciszy przyczepy usłyszał kliknięcie, a potem szum lodówki, która właśnie się włączyła. Uważnie przyjrzał się jednemu zdjęciu: uśmiechnięta dwudziestolatka w ciemnych okularach. Przeczytał notkę pod spodem.

23 lipca 1983. Kolejka Volka. Ainsley? (nn) G.

Dalej zobaczył zdjęcia dwóch innych kobiet, zrobione w różnych miesiącach 1984 roku. Między nimi widniał odstęp, puste miejsce po usuniętym zdjęciu. W tej samej części zauważył jeszcze jedną przerwę. Po fotografiach Katy Westerham i Denise Patterson?

Zdjęcia, uszeregowane w porządku chronologicznym, biegły dokoła całego wnętrza przyczepy. Grace przyjrzał się kolejnemu. Dziewczyna była młodsza, miała pewnie nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Z figlarnym wyrazem twarzy, w wyzywającej pozie, trzymała w ustach lizaka, ale wydawało się, jakby pozowała komu innemu, nie osobie robiącej zdjęcie. Niektóre fotografie zrobiono chyba z pewnej odległości.

21 sierpnia 2011. Molo Btn. Megan Walters. M. Śledzona.
Mieszkanie 7. Havelock Street 233. Trzy dziewczyny.

– Co to znaczy? – Branson wskazał „nn” oraz „G” po imieniu Ainsley.

Grace zmarszczył czoło. Ponownie przyjrzał się literze G, sprawdził inne zdjęcia i stwierdził, że po każdym imieniu umieszczono nieduże G lub M. W końcu go olśniło.

– NN: nazwisko nieznane – powiedział.

– Na stare lata jesteś coraz bystrzejszy.

Ignorując tę uwagę, Grace dodał:

– „G” znaczy gość, „M” to miejscowa. On poluje. To jego ambona myśliwska.

– Czyli powinniśmy tu znaleźć fotkę Logan Somerville?

– Nie. – Grace wskazał puste miejsca, gdzie wcześniej wisiały zdjęcia przymocowane niebieską masą klejącą. – Nie znajdziemy tu Denise Patterson, Emmy Johnson, Katy Westerham ani Ashleigh Stanford. – Po namyśle dodał: – Ani Logan Somerville czy Freyi Northrop. Widzisz tu kobiety, których jeszcze nie zgarnął. Po uprowadzeniu kobiety usuwa jej zdjęcie.

Ostatnia fotografia przedstawiała ładną, dość wyniosłą dziewczynę w wieku około dwudziestu lat. W pozie modelki siedziała na tarasie, paląc papierosa.

17 maja 2014. Bohemia. Louise Masters. M. Śledzona.
Mieszkanie 1b, Palmeira Villas, Brighton. Solo.

Kobieta wydała się Grace'owi znajoma. Poznawał twarz, ale nie kojarzył nazwiska. Na pewno gdzieś ją widział. Miał świetną pamięć do twarzy.

Louise Masters.

Coś mu nagle zadzwięczało w głowie. Skąd znał to nazwisko?

Ostatnie zdjęcie na ścianie. Ostatni cel Wypalacza? Zanim? Zanim się przeprowadzi?

Grace zadzwonił do biura numerów, podał nazwisko i adres Louise Masters i poprosił o jej numer telefonu. Po chwili przesłano mu go na komórkę. Zadzwonił. Po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa. Przyjazny, pewny, mocny głos.

„Mówi Louise. Jeśli tego słuchasz, to znaczy, że wyszłam. Zostaw wiadomość, a jeśli to pilne, zadzwoń na komórkę”. Podała numer.

Grace zanotował go i bezzwłocznie zadzwonił. Od razu włączyła się poczta głosowa. Nagrał się: „Dzień dobry, Louise. Czy natychmiast po odsłuchaniu tej wiadomości możesz się skontaktować z nadinspektorem Grace'em z wydziału kryminalnego policji Surrey i Sussex? Teraz jest osiemnasta pięćdziesiąt, sobota. To niezwykle pilne”. Zostawił swój numer, na wszelki wypadek wypowiadając go dwukrotnie, wolno i wyraźnie.

Grace'a przeszedł kolejny, jeszcze bardziej dojmujący dreszcz. Zadzwonił do oficera odpowiedzialnego za sytuacje kryzysowe. Gdy tylko inspektor Tingley odebrał, Roy Grace powiedział:

– Słuchaj, Jason, możliwe, że nasz człowiek wziął na cel Louise Masters, która mieszka w Palmeira Villas pod numerem jeden b. Pasuje do jego profilu i może być kolejną ofiarą. Próbowałem się

do niej dodzwonić, ale nie odbiera. Ten facet może być u niej nawet w tej chwili. Mógłbyś tam posłać ludzi i sprawdzić? Trzeba ją niezwłocznie znaleźć. Ktoś ma jej pilnować przez całą dobę, dopóki go nie znajdziemy.

– A jeśli nie zastaniemy jej tam, Roy?

– Nadal będę do niej dzwonił. Naprawdę uważam, że Masters może grozić bezpośrednio niebezpieczeństwo. Znajduje się na jego liście zaraz po Freyi Northrop. Jeżeli on obserwuje Louise Masters, może uznać, że to idealny moment, by ją zgarnąć. Sobotni wieczór, mogła pójść na randkę albo spotkać się z przyjaciółmi. Prześlę ci mailem jej zdjęcie. Roześlij je do wszystkich funkcjonariuszy. Niech jej szukają w barach i klubach. Ktoś musi ją znać i wiedzieć, gdzie teraz jest. Miejmy nadzieję, że wzięła sobie do serca naszą radę i nie chodzi sama.

– Zlecę to zespołowi, Roy, i pošlę kogoś pod jej adres.

Grace podziękował mu, rozłączył się, po czym szybko zrobił telefonem zdjęcie fotografii Louise Masters i przesłał je Tingleyowi.

Boże, nie pozwól, żeby ją też porwano, myślał gorączkowo. Błagam.

Wyjął z kieszeni rękawiczki, założył i otworzył lodówkę. Na półce zobaczył opróżnioną do połowy butelkę półtłustego mleka, kilka jabłek, kostkę masła Lurpak oraz dwie duże plastikowe butelki wody Evian. Na drzwiach lodówki znalazł nieoznakowane ampułki. Odnotował w pamięci, że później należy zbadać ich zawartość.

Sięgnął po mleko i sprawdził datę ważności. Jeszcze cztery dni.

Spojrzał na numer „Argusa”. Kiedy Hunter tu był? Skoro zostawił mleko, przypuszczalnie zamierzał wkrótce wrócić. Ale co znaczy „wkrótce”? W ciągu czterech dni? A jeśli właśnie w tej chwili idzie tutaj?

Na widok policji Hunter z pewnością by czmychnął.

Grace poprosił szefa grupy wsparcia, żeby natychmiast usunęli samochody z widoku i rozlokowali się w ukryciu, skąd

będą mieli oko na bramę wjazdową. Ludzi z psami również poprosił o schowanie samochodów. Potem zadzwonił do szefa grupy zabezpieczającej i oznajmił, że chce obserwować teren jeszcze przez dwie godziny, ale później mają przysłać ludzi i przeszukać przyczepę jako miejsce zbrodni.

Znowu zadrżał. Z zimna. Ze zmęczenia. Ale wiedział, że przede wszystkim drży z powodu tego upiornego miejsca. To nie był domek letniskowy. To była kryjówka. Kryjówka Wypalacza.

Co ten świr robił? Siedział tu? Patrzył na zdjęcia i onanizował się? Wybierał kolejną ofiarę?

Nadinspektor poprosił ludzi o opuszczenie przyczepy, by nie zatarli śladów, i sam wyszedł za nimi, zamykając drzwi najlepiej, jak było można. W ciemności Hunter zauważył ślady włamania dopiero, gdy znalazł się całkiem blisko. Grace wrócił do samochodu i usiadł w ciemności. Miał czas, aby przemyśleć to, co tu zobaczył, i zastanowić się nad dalszym ciągiem śledztwa. Wszystko potwierdzało jego przeczucia, że Crisp i Hunter mają związek z uprowadzeniami i śmiercią tych kobiet.

Czterdzieści minut później zadzwoniła jego komórka.

– Roy Grace – odezwał się natychmiast w nadziei, że to może Louise Masters.

Ale to był inspektor Tingley, który oznajmił ponuro:

– Roy, właśnie ustaliłem, że Louise Masters jest młodą funkcjonariuszką tu, na komisariacie przy John Street. Niedawno ukończyła okres próbny i dołączyła do zespołu patrolującego dzielnicę. Spóźnia się do pracy. Jej zmiana zaczęła się o czwartej po południu. Masters się nie pojawiła, nie zgłosiła choroby, nikt nie może się z nią skontaktować. Nie odbiera telefonu, nie oddzwania. Jej chłopakiem jest zatrudniony u nas Adrian Gonzales z zespołu reagowania. Właśnie z nim rozmawiałem. Ostatnio widział Louise dziś o jedenastej. Przed pracą zamierzała pojechać do miasta na zakupy świąteczne. Sprawdził mieszkanie, ale jej tam nie ma.

Grace poczuł ucisk w żołądku.

– Cholera, cholera, cholera. – Na chwilę utracił zdolność jasnego myślenia. – Słuchaj, Jason, musimy prześledzić jej ruchy na podstawie triangulacji komórki. Jeśli faktycznie wybrała się na zakupy, można sprawdzić, za co płaciła kartą kredytową. A jeśli ustalimy, gdzie robiła zakupy, może namierzemy ją z kamer przemysłowych w tej okolicy.

– To prawda, Roy – powiedział Tingley. – Przypuszczam, że chcesz to zlecić swojemu zespołowi?

Natychmiast po zakończeniu tej rozmowy Roy Grace zadzwonił do oficera dyżurnego i poprosił o połączenie z kimś z zespołu obserwującego dom Crispa. Meldunek detektywa zaskoczył Grace'a. Doktor poszedł na swój zwykły poranny spacer z psem, po czym wrócił i najwyraźniej nie opuszczał już domu.

91

20 grudnia, sobota

Logan usłyszała hałasy. Silny kobiecy głos krzyczał:

– Puszczaj, draniu! Puszczaj... puszczaj... Au! Puść mnie...

Kto to był? Co się działo?

Głos słabł z każdą sekundą.

Zapadła cisza.

Co się, do diabła, stało? Co się stało z innymi kobietami, które słyszała?

Po chwili rozległ się znajomy odgłos odsuwane go dachu i Logan skurczyła się z przerażenia. Do ust wepchnięto jej rurkę, popłynęła woda, a ona piła łapczywie, desperacko. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio ten człowiek dał jej pić.

– Dobre nowiny! – warknął. – Masz towarzystwo! A to oznacza, że wkrótce stąd odejdziesz. Już bardzo niedługo!

– Co to znaczy? – wykrztusiła Logan. – Wytłumacz, proszę. Wyjaśnij mi, co się dzieje? Co się stało z innymi ludźmi tutaj, słyszałam głosy. Powiedz, kim jesteś. Wypuść mnie, nie zabijaj mnie, proszę, daruj mi życie.

– Zanim odejdziesz, przyniosę ci ostatni posiłek.

– Dziękuję – odparła Logan drżącym głosem.

– Och, proszę bardzo. To ci się należy jako gościowi, który spędził u mnie najwięcej czasu i stwarzał najmniejsze problemy!

92

20 grudnia, sobota

– Jeśli doktor Crisp przez cały dzień był w domu, to znaczy, że wracamy do punktu wyjścia? – zapytał Branson.

– Niekoniecznie. Może istnieje inne wytłumaczenie tego, że Louise Masters nie przyszła do pracy.

Branson łypnął na Grace'a.

– Brzytwa Ockhama? Pamiętasz, czego mnie o niej uczyłeś?

– Tak.

Żyjący w trzynastym wieku mnich William Ockham wywarł olbrzymi wpływ na życie intelektualne w późniejszych stuleciach. Radził przecinać problem u samej jego podstawy, obrazowo przedstawiając to jako cięcie brzytwą. Uważał, że najprostsze, najbardziej oczywiste wyjaśnienie jest zazwyczaj tym właściwym. Roy Grace często kierował się tą zasadą.

– Louise Masters, ostatnia na liście Wypalacza, zniknęła – powiedział Glenn Branson. – Czy najprostszym wyjaśnieniem nie jest to, że w przypadku Crispa patrzymy w niewłaściwym kierunku? Przecież znaleźliśmy przyczepę należącą do Huntera, z całą jej zawartością.

– Kiedy tu siedzieliśmy, trochę rozmyślałem – odparł Grace. – Crisp i Hunter mogą być ze sobą o wiele bliżej powiązani, niż pierwotnie sądziliśmy. Według mnie to może być jeden i ten sam człowiek.

Zastanawiał się, czy nie łamie swojej własnej zasady, że niebezpiecznie jest mieć jednego podejrzanego, bo pojawia się wówczas silna pokusa, by całkowicie koncentrować się na nim,

ignorując całą resztę. Grace wierzył jednak, że uniknął tej pułapki.

Czy przeoczył coś jeszcze? Coś, co miał tuż pod nosem?

Przywołał obraz klaustrofobicznych ścian przyczepy turystycznej. Zdjęcia potencjalnych ofiar Wypalacza. Czyżby mylił się co do nich? Błędnie typował sprawcę? Teraz miał nad sobą nowego szefa, który zdecydowanie go nie lubił. Nadinspektor wiedział doskonale, że Pewe tylko czeka, aż powinie mu się noga.

Gdzie się, do diabła, podziewasz, Louise Masters?

Zadzwoiła jego komórka.

– Roy Grace – odezwał się natychmiast i usłyszał rozpoznawalny zachodni akcent Normana Pottinga.

– Szefie, mam informacje, które chyba ci się spodobają.

– Dawaj.

– Właśnie wróciłem ze szkoły Cloisters i znalazłem pilną wiadomość z laboratorium. Wcześniej przesłałem im kartkę, na której doktor Crisp zapisał mi swój numer komórkowy. Zbadali odciski palców i ślady DNA.

– No i?

– Zadzwoiłem do laboratorium. DNA bardzo pasuje do krwi znalezionej w czwartek w domu Freyi Northrop.

– Jak bardzo? – Grace poczuł przypływ adrenaliny.

– Muszą mi jeszcze podać sporo liczb i obliczeń – odparł Potting. – Ale sprowadza się to do prostej rzeczy. Prawdopodobieństwo, że to nie jest krew Crispa, wynosi jeden do miliarda. Wystarczy?

– Tak! – wykrzyknął Roy Grace z szerokim uśmiechem.

Podziękował Pottingowi i natychmiast zadzwonił do szefa sytuacji kryzysowych.

93

20 grudnia, sobota

Dwie godziny później, w sali konferencyjnej, Roy Grace mógłby się obyć bez kofeiny, zawartej w stojącej przed nim kawie. Jechał na adrenalinie, myślał klarownie, był w pełni skoncentrowany.

Stał twarzą do zebranych, mając za plecami białe tablice. Wokół stołu siedzieli – uważni i niespokojni – Glenn Branson, Tanja Cale, Guy Batchelor oraz wytypowani przez Grace'a szefowie zespołów, którzy właśnie musieli pogrzebać swoje plany na sobotni wieczór. Mimo to nikt się nie skarżył. Wszystkim udzielało się to samo zaraźliwe uczucie wyczekiwania, jakie krążyło w żyłach nadinspektora. Dreszcz pościgu, zbliżania się do tropionej zwierzyny.

Wszyscy obecni mieli na sobie ciemne stroje, w większości czarne, z wyjątkiem ludzi ze wsparcia, w granatowych drelichach częściowo zasłoniętych przez kamizelki kuloodporne. Kilku oficerów popijało herbatę lub kawę, jedli kanapki, czekoladę albo batony energetyczne.

Odprawę prowadzili szef sytuacji kryzysowych i Roy Grace. Wśród szefów zespołów znaleźli się: inspektor dyżurny lokalnej grupy wsparcia, Anthony Martin, a także sierżant z grupy wsparcia, sierżant z jednostki broni taktycznej, technik, starszy oficer z kryminalnego, inspektor zatrzymań, szef grupy zabezpieczającej, inspektor z grupy porządku publicznego, sierżant należący do zespołu z psami oraz zaprzyjaźniony z Grace'em inspektor James Biggs z drogowki, który już rozmieścił jednostki i był gotowy do ustawienia blokad w okolicy

domu Crispa, kiedy ludzie Grace'a wkroczą, a lekarz spróbowałby uciekać.

Na pierwszej tablicy widniał plan Tongdean Villas i okolicznych ulic, obszar ograniczony Dyke Road Avenue, Shirley Drive, Tongdean Road i Woodruff Avenue. W obrębie tych ulic znajdowały się najdroższe, najbardziej ekskluzywne nieruchomości w mieście.

Na drugiej tablicy były zrobione kilka godzin wcześniej z helikoptera zdjęcia domu Crispa – widok ogólny oraz zbliżenia. Na trzeciej tablicy zawieszono zdjęcia doktora Crispa, Logan Somerville i niedawno zaginionej policjantki Louise Masters. Na czwartej zebrani mogli oglądać bramę willi Crispa i podobne bramy sąsiednich posiadłości. Piąta tablica ukazywała plany piwnicy, parteru i pierwszego piętra domu, uzyskane z miejskiego archiwum urbanistycznego.

Grace spojrzął na zegarek. Była dwudziesta pierwsza. Przebiegł wzrokiem listę nazwisk, sprawdził, czy wszyscy są, po czym zwrócił się do inspektora zatrzymań, Toma McDonalda:

– Tom, chcę mieć przygotowaną celę dla sprawcy. Ma tam zostać zamknięty natychmiast po zatrzymaniu, tak by z nikim się nie kontaktował. Może mieć przy sobie kluczowe dowody dotyczące ofiar. Trzeba go odizolować i bezzwłocznie umieścić w celi, a także pobrać próbki z jego ciała i ubrania, nie dopuszczając do zanieczyszczeń. Jasne?

– Zrozumiałem, panie nadinspektorze.

Używając laserowego wskaźnika, Grace pokazał zebrany edwardiańską willę z wykuszami, cel nalotu, następnie bramy, a potem zdjęcie długiego stromego podjazdu prowadzącego do frontowych drzwi domu Crispa.

– Ten podjazd to jedyna droga, jaką można wjechać do willi i wyjechać z niej – powiedział. – Jak widzicie na zdjęciach z lotu ptaka, na tyłach znajduje się mur, ponad czterometrowej wysokości, więc niełatwo się na niego wspiąć. W głębi jest posiadłość, również z jednym podjazdem, którą obstawimy na

mało prawdopodobny wypadek, gdyby próbował tamtędy uciekać.

– Co z sąsiadami z drugiej strony, Roy? – zapytał szef lokalnej grupy wsparcia.

Grace skierował czerwony punkt lasera na posiadłość po prawej stronie, nowoczesną białą konstrukcję, zdradzającą silne wpływy hiszpańskie.

– Wątpię, by okazał się na tyle głupi, by próbował uciekać tędy. Ten dom należy do człowieka świetnie znanego niektórym z nas. To Jorma Mahlanen, Śliski Fin.

Wokół stołu błysnęły uśmiechy.

– Jorma jest na zwolnieniu warunkowym, po piętnastoletnim wyroku więzienia za handel narkotykami. Żyje w kompletnej paranoi. Ma całą baterię reflektorów, cztery rottweilery łązą po terenie, zatrudnia na stałe dwóch ochroniarzy. Sądzę, że Śliski Fin swego czasu naraził się kilku ludziom, więc teraz woli prywatność. Choćby Crisp zdołał przesadzić mur posesji Mahlanena, na pewno nie zawędruje daleko. – Grace przesunął czerwony punkt w lewo. – Ta posiadłość po zachodniej stronie kłuje w oczy wszystkich mieszkańców ulicy, czy raczej kłubały, gdyby ktokolwiek mógł ją zobaczyć. Od lat stoi opuszczona, niewiele o niej wiadomo. Kilku miejscowych deweloperów próbowało ją kupić, ale nieruchomość należy do zarejestrowanej za granicą anonimowej firmy, która nigdy nie odpowiada. To przypuszczalnie jeszcze jedna posiadłość w portfolio jakiegoś miliardera, który opuścił kraj z przyczyn podatkowych. Może to być ewentualna droga ucieczki, ponieważ ogrodzenie między zapuszczoną posiadłością a willą Crispa jest w kiepskim stanie.

– Czy mamy pewność, że Crisp jest w domu? – zapytał sierżant od broni taktycznej.

– Owszem, od porannego spaceru z psem nie wystawił nosa – potwierdził szef kierujący zespołem obserwacyjnym.

– Według mnie Logan Somerville nadal może żyć i być przetrzymywana w tym domu – powiedział Grace. – Obecnie to samo może dotyczyć Louise Masters. Wiemy, że Crisp nie ma

oporów przed zabijaniem swoich ofiar. Pragnę wam przypomnieć, że głównym celem operacji jest uwolnienie wszystkich żyjących jeszcze ofiar. Aresztowanie Crispa jest ważne, ale ustępuje bezpieczeństwu uwięzionych. Nie mam pewności, czy Logan żyje, ale to właśnie powinniśmy zakładać. Dlatego decydującą rolę odgrywa tu szybkość akcji. Macie wkroczyć, maksymalnie wykorzystując efekt zaskoczenia i zastraszenia, a potem zadbać o kompletne i szybkie przeszukanie domu. No dobrze, naszą pierwszą przeszkodą jest wejście.

Grace przesunął wskaźnik na widoczną z ulicy dużą żelazną bramę, osadzoną w wysokim ceglany murze najeżonym kolcami. Czerwony punkt powędrował w prawo.

– To jest panel dzwonek do drzwi, z kamerą i reflektorem. Kiedy ruszymy, żeby otworzyć bramę, trzeba zasłonić obiektyw kamery. Po otwarciu bramy pojazdy grupy wsparcia podjadą prosto pod drzwi, ludzie wejdą i zabezpieczą teren.

Przesunął wskaźnik na piątą tablicę, gdzie widniały plany trzech kondygnacji willi, uzyskane z sekcji archiwum obejmującej 1907 rok.

– Anthony – zwrócił się do inspektora, który miał wprowadzić do willi pierwsze zespoły – nie wiemy, jakie przeróbki wykonano w willi od czasu złożenia tych pierwotnych planów. Ale powinny ci dać ogólne pojęcie.

– Tak. – Inspektor skinął głową.

– Jakież pytania? – spytał Grace.

– Czy wiemy coś o uzbrojeniu? – odezwał się sierżant z jednostki broni taktycznej.

– Doktor Crisp nie ma pozwolenia na broń, sprawdziliśmy. Mimo to nie zamierzam ryzykować. Macie zająć pozycje jako potencjalne wsparcie. Do chwili, gdy Anthony uzna teren za bezpieczny, każdy, kto wchodzi do środka, ma nosić kamizelkę kuloodporną. Miejmy nadzieję, że naszym atutem będzie element zaskoczenia. Nie wymieniliśmy Crispa z nazwiska, nie

mówiliśmy, że jest podejrzany, można więc liczyć, że niczego się nie spodziewa.

– Przyjmując rolę adwokata diabła, szefie, co będzie, jeśli nie zastaniemy go w willi? – spytał Guy Batchelor.

– Wtedy, Guy, mamy przerąbane, jak mówią drwale.

Rozległy się nerwowe śmiechy.

Grace spojrział na zegarek.

– Jeszcze jakieś pytania?

Nie było żadnych.

94

20 grudnia, sobota

Tuż przed dwudziestą drugą Roy Grace, wraz z Glennem Bransonem, podjechał nieoznakowanym fordem pod dom Crispa i przez telefon zameldował kontrolerowi operacji, że zajęli pozycję.

– NPAS piętnaście jest w drodze, za pięć minut będzie nad wami, Roy – powiedział Andrew Kille.

– Pięć minut. Dzięki, Andy. Powiedz im, że dopóki nie dam sygnału, mają mieć wygaszone światła.

– Wygasić światła, tak, tak.

Grace czekał z rosnącą niecierpliwością, przebiegał w myślach plany wkroczenia do domu Crispa; miał głęboką nadzieję, że akcja się powiedzie. Na ekskluzywnej zadrzewionej ulicy panowała cisza. To nie była dzielnica, gdzie ludzie unosili zasłony w oknach, ilekroć podjechał samochód. Nieopodal, po obu stronach drogi, przy eleganckiej bramie ozdobionej balonami, było zaparkowanych kilka samochodów. Wśród nich stała niewielka, nierzucająca się w oczy szara furgonetka z napisem „K.T. Electrics Ltd.” z boku.

Kiedy wysiadł w mroźną noc, usłyszał odległe dudnienie muzyki, które dobiegało z przyjęcia. Jakiś mężczyzna zatrzymał się koło latarni, pozwalając ją obwąchać swojemu golden retrieverowi. Brighton mogło się poszczycić kilkoma ulicami zasługującymi na miano zaułka milionerów, ale według Roya Grace’a, tej należała się palma pierwszeństwa. Cicha, ustronna, z małym ruchem, pełna okazałych willi, ukrytych za fortecznymi

murami, wysokimi żywopłotami i ogrodzeniami, miała rozległy widok na południe, ponad całym miastem, aż do kanału.

Grace ponownie sprawdził, czy ma w wewnętrznej kieszeni nakaz rewizji wraz z fotokopiami planów domu, po czym, z Bransonem u boku, przeszedł krótki odcinek ulicy, widząc, że oznakowane i nieoznakowane samochody i furgonetki zajęły już swoje pozycje, i wreszcie stanął przed bramą opuszczonej posiadłości przylegającej do willi Crispa. Wyjął z kieszeni małą latarkę, zapalił ją i przez chwilę oglądał starą drewnianą bramę, prosząc się o lakier. Kiedy jednak przyjrzał się bliżej, dostrzegł mechanizm elektryczny, który nie był ani stary, ani zardzewiały.

– Ktoś regularnie używa tej bramy – stwierdził Branson.

– Pewnie firma ochroniarska sprawdza teren – odparł Grace.

Oświetlił latarką długi podjazd, porośnięty po obu stronach zapuszczonym laurowym żywopłotem. Podjazd był brukowany, ale chwasty i trawa, które się przebiły, zasłaniały widok. Grace zauważył, że zielsko po obu stronach jest przygniecione, pewnie przez opony jakiegoś pojazdu.

Obaj detektywi szybko przecięli ulicę, podeszli do furgonetki elektryków, a szyba od strony pasażera natychmiast powędrowała w dół. W środku siedzieli dwaj członkowie zespołu obserwacyjnego.

– Dobry wieczór, panie nadinspektorze – rozległ się głos z silnym północnym akcentem, należący do Pete'a Darby'ego, którego Grace dobrze znał.

Drugiego człowieka w furgonetce nie rozpoznał.

– Dobry wieczór, Pete. – Grace wskazał drewnianą bramę. – Czy ostatnio ktoś tędy wjeżdżał lub wyjeżdżał?

– Odkąd tu jesteśmy, nie. Zaczęliśmy zmianę o dziewiętnastej. Ludzie, których zmienialiśmy, powiedzieli nam, że żaden człowiek ani pojazd nie przekraczał tej bramy w żadną stronę. Sprawdzę, jak wygląda sytuacja w domu obok.

Po przeciwnej stronie ulicy Grace zobaczył Anthony'ego Martina, w kamizelce kuloodpornej i hełmie z osłoną, górującego dobre piętnaście centymetrów nad najwyższymi członkami jego

ekipy wsparcia, w podobnym jak on rynsztunku. Jeden z ludzi zaklejał taśmą kamerę przy bramie, inny taszczył ciężki żółty łom, jeszcze inny młot hydrauliczny. Tuż obok przewodnik prowadził na krótkiej smyczy owczarka niemieckiego. Nieopodal czekali w pogotowiu czterej funkcjonariusze z jednostki broni taktycznej.

Przeszli przez ulicę. Z samochodów wysiadali kolejni policjanci, a Grace kazał dwóm stanąć na straży przy drewnianej bramie opuszczonego domu. Ponownie spojrzął na zegarek i po chwili usłyszał łoskot wirników helikoptera, narastający z każdą sekundą.

Andy Kille zameldował kontrolerowi:

– Jason, za minutę helikopter będzie nad ludźmi.

– Przypomnij pilotowi, że ma mieć zgaszone światła, dopóki nie dam sygnału.

– Światła wygaszone, zrozumiałem.

Stojący za Grace'em Jason Tingley przekazał Martinowi dalsze instrukcje.

Ludzie z grupy wsparcia wtoczyli się do furgonetki i podjechali pod bramę. Po chwili potężnie zbudowany oficer przy bramie grzmotnął łomem w sam jej środek. Łom odskoczył z głośnym metalicznym brzękiem. Policjant uderzył znowu, i jeszcze raz, brama zadrżała, aż w końcu, po czwartym uderzeniu, ustąpiła.

Zachowując sporą odległość, Roy Grace i Glenn Branson ruszyli pieszo za furgonetką wsparcia i razem z przewodnikiem psa wspięli się na stromy łukowaty podjazd. Za pierwszym zakrętem, sto metrów przed sobą, ujrzeli dom na wzniesieniu. Po chwili łoskot helikoptera się nasilił i cały teren zalała powódź białego światła.

Idący z przodu dwaj policjanci z grupy wsparcia, jeden z łomem, drugi z młotem hydraulicznym, weszli na okazałą werandę, a tuż za nimi stanął inspektor Martin.

– RUSZAMY, RUSZAMY, RUSZAMY! – zawołał Martin.

– POLICJA, POLICJA, POLICJA! – zaczęło wrzeszczeć ośmiu z grupy wsparcia. Jeden rozwalił framugę młotem hydraulicznym, inny napał łomem na drzwi. Przy drugiej próbie ustąpiły z trzaskiem rozszczepianego drewna, latarki oświetliły wnętrze i cała ósemka wdarła się do środka, nie przestając krzyczeć co sił w płucach: – POLICJA, POLICJA, POLICJA!

Zgodnie z regulaminem Grace i Branson powinni czekać, dopóki teren nie będzie uznany za bezpieczny, ale kiedy policjanci rozbiegli się po domu i zapalono światła, Grace nie mógł się już powstrzymać. Razem z Bransonem wszedł i przystanął, rozglądając się z podziwem. Miał poczucie, że wkroczył do niewielkiej rezydencji.

W szerokim, wyłożonym dębową boazerią holu królował duży złocony żyrandol. Antyczne meble, na ścianach stare obrazy olejne. Grace i Branson zobaczyli przed sobą ozdobnie rzeźbione schody. Po obu stronach i u góry słyszeli tupot buciorów i nieprzerwane krzyki: POLICJA, POLICJA, POLICJA! W pobliskim domu ujadał pies.

Obaj czekali w holu.

– Niezła chata jak na internistę!

– On ma prywatną praktykę. Poza tym rozumiem, że odziedziczył majątek rodzinny.

– Ja też dostałem majątek rodzinny po śmierci taty – powiedział Glenn Branson. – Pięć tysięcy siedemset funtów.

Grace uśmiechnął się, powiódł dokoła wzrokiem, spojrzał na schody. Drzwi do wszystkich pokoi na parterze były otwarte, światła zapalone. Parę minut później Anthony Martin zszedł po schodach, rozmawiając przez krótkofalówkę. Zobaczył obu detektywów i zwrócił się do Grace'a:

– Teren czysty, panie nadinspektorze. Ani żywej duszy.

Grace momentalnie poczuł, jak uchodzi z niego napięcie.

– Jesteś pewien, Anthony? – Rozglądał się po domu, nie przestając myśleć.

Czyżby coś przeoczyli? Na terenie tak dużej posiadłości było pewnie milion kryjówek. Crisp musiał gdzieś tu być. Podobnie jak

– proszę, Boże – Logan Somerville.

– Sprawdziliśmy wszystkie piętra, szefie. Zrobimy to jeszcze raz, dokładniej. Ale nie wydaje mi się, żeby tu ktoś był.

Grace gorączkowo się zastanawiał. Przypomniał sobie ślady opon przy opuszczonym sąsiednim domu. Czy Crisp uciekł podczas zmiany obserwatorów? Czyżby zespół Martina – w co wątpił – mógł coś przeoczyć? Połączył się z obserwatorem w furgonetce.

– Pete, dowiedziałeś się czegoś od poprzedniej zmiany o domu po zachodniej stronie?

– Właśnie z nimi rozmawiałem, szefie. Przez cały dzień nie widzieli, żeby ktokolwiek wchodził czy wychodził, ale mocno padało i mieli słabą widoczność.

Grace założył rękawiczki, po czym wszedł – a za nim Branson i Martin – do schludnego sporego pomieszczenia, gdzie zobaczył duże antyczne biurko z żaluzją, teraz zamkniętą, skórzaną sofę i niski stolik, na którego szklanym blacie leżały pisma medyczne. Na gzymsie okazałego marmurowego kominka stały cylindryczne szklane gablotki różnej wielkości, każda z wypchanym zwierzęciem w środku. W jednej widniała szara wiewiórka, z łapkami wokół kawałka drzewa. Obok kaczka, dalej myszokoczek. W kolejnej gablotce, w jakimś płynie – Grace domyślał się, że to formalina – pływała żaba.

Półki z książkami sięgały sufitu. Grace powiódł wzrokiem po grzbietach. Kilka półek z dziedziny psychologii sądowej. Cały rząd poświęcony drugiej wojnie światowej. Jedna z książek nosiła tytuł *Ucieczka z Niemiec: metody ucieczki stosowane przez lotników RAF-u podczas drugiej wojny światowej*. Druga – *Drut kolczasty i bambus: historie niewoli i ucieczek w latach pierwszej i drugiej wojny światowej*. Dalej: *Wielka ucieczka* oraz *Ucieczka z Colditz*.

Zawsze uważał, że o człowieku bardzo dużo mówią jego książki – lub ich brak. Po chwili, gdy przeszedł trochę dalej, znalazł potwierdzenie tego. Wiele półek z książkami o seryjnych zabójcach, często dobrze mu znanych. Ian Brady, Myra Hindley,

Dennis Nilsen, Dennis Rader, Jeffrey Dahmer, John George Haigh od morderstw z kąpielą w kwasie siarkowym, Ed Kemper, Fred i Rose Westowie, Peter Sutcliffe, Richard Ramirez, David Berkowitz, czyli Syn Sama, Kenneth Bianchi i Angelo Buono – Dusiecie z Hillside – Peter Manuel, Andriej Czikałło – Rzeźnik z Rostowa – Gary Ridgway, Harold Shipman oraz osławiony Zodiak z Kalifornii, którego nazwiska do dziś nie ustalono.

Pewnego dnia do tej odrażającej galerii sław dołączy doktor Edward Crisp, pomyślał pośpiesznie Grace. Jeśli dopisze im szczęście, na ów dzień nie trzeba będzie długo czekać.

Poniżej stały książki poświęcone taksydermii.

– *Psychoza* – powiedział Glenn Branson.

– *Psychoza?* To samo mówiłeś w domu Freyi Northrop – odparł Grace.

– Tak, ale tutaj mamy autentyk. Właśnie tym zajmował się Norman Bates, taksydermią. Pamiętasz jego matkę?

– Pamiętam, że robota niezbyt mu wyszła. Ona była praktycznie szkieletem.

Grace usłyszał w górze warkot helikoptera. Za oknami z ołowiowego szkła zobaczył ogród częściowo zalany białym światłem punktowców NPAS 15. Przystrzyżone żywopłoty, basen zakryty na zimę.

Spojrzał na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie szczęśliwej rodziny. Młodszy, uśmiechnięty Crisp, w rozpinanym swetrze na niebieskiej koszuli, w szarych spodniach, obejmował kobietę w wieku około czterdziestu lat. Obok niej, na jasnoniebieskim tle, stały dwie schludnie ubrane, uśmiechnięte nastolatki. Wszystkie trzy miały długie lśniące brązowe włosy.

Żona, która niedawno odeszła od Crispa, domyślił się Grace, przypominając sobie raport Pottinga. Uniósł żaluzję biurka. Na wyłożonym skórą blacie zobaczył podstawkę na pióro i duży notes w twardej oprawie. Otworzył go. Na pierwszej stronie były wypisane starannym pismem nazwiska ludzi rozmaitych specjalności wraz z numerami telefonów. Hydraulik, elektryk, sprzątaczką, kierownik budowy, konserwacja basenu, firma

ochroniarska, konserwacja bramy elektrycznej, firma od drzwi garażowych, naprawa telewizorów, ogrodnik, koszenie trawników, weterynarz, dostawca artykułów spożywczych Ocado, prasa.

Grace przewrócił następną, pustą stronę, przewertował jeszcze kilka – i nagle zamarł. Ujrzał fotografię, równiutko umocowaną narożnikami do zdjęć, którą natychmiast rozpoznał. Denise Patterson.

Na kolejnej stronie zobaczył, umieszczone tak samo pieczołowicie, zdjęcie Katie Westerham. Dalej Emma Johnson. A jeszcze dalej Logan Somerville, Ashleigh Stanford oraz Freya Northrop.

Uświadomił sobie, że patrzy na zdjęcia, których brakowało w przyczepie turystycznej na parkingu Roundstone.

95

20 grudnia, sobota

– Jesteśmy we właściwym miejscu – powiedział szorstko Roy Grace, wertując notes i przyglądając się zdjęciom. – Skurwiel gdzieś tu jest, musi tu być. Glenn, sprawdź sam na piętrze, w każdej szafie, schowku, pod każdym pieprzonym łóżkiem.

Następnie zwrócił się do inspektora:

– Anthony, macie wybebeszyć ten dom. Zerwijcie podłogę, rozprujcie ściany. To jego miejsce. Choćby miał inne kryjówki, których nie znamy, tutaj na pewno coś znajdziemy. Co z ogrodem?

– Właśnie go przeszukują.

– Znaleźli już psa? Wcześniej ujadał.

Jakby w odpowiedzi, nieopodal zaszczekał na dworze policyjny owczarek niemiecki, przebiegający z przewodnikiem obok okna, jasno oświetlonego reflektorami helikoptera.

– Suka Crispa wabi się Smut. Przewodnik zamknął ją w łazience, dla bezpieczeństwa.

Grace zdawał sobie sprawę, że w domu tej wielkości, z ogrodem o półhektarowej powierzchni, mogło się znajdować sporo kryjówek.

– Może ją wypuścimy i sprawdzimy, czy zaprowadzi nas do swojego pana? – powiedział.

– Kiedy wkroczyliśmy, suka była w kuchni, wyraźnie skołowana i smutna, jakby została porzucona – odparł Martin.

– Dobra, jak zejść do piwnicy?

– Pokażę ci.

W ślad za inspektorem Grace ruszył przez korytarz do przestronnej, nowoczesnej i dobrze wyposażonej kuchni, z wielką lodówką w stylu amerykańskim i stołem. Wszędzie było nieskazitelnie czysto. Martin wskazał na otwarte drzwi, za którymi słabe światło omiatało schody.

– Tam, Roy. Mam z tobą zejść? Ale już sprawdzaliśmy piwnicę.

– Nie. Ściągnij tu cały zespół do przeszukiwań, niech zaczną rozbierać ten dom na kawałki. Ściągnij kryminalistów, a tymczasem dołącz do innych i pomóż przeczesywać ogród. Jeżeli tego faceta nie ma w domu, musi być gdzieś w ogrodzie, w domku basenowym, w szopie, w garażu czy nawet na dachu. On tu, kurwa, jest! Dopilnuj, Anthony, żeby się nie wymknął.

Na dworze, na tle miarowego łoskotu helikoptera, rozległo się szczekanie policyjnego wilczura, coraz głośniejsze, aż Grace poczuł przypływ podniecenia i nadziei. Czyżby pies coś wytropił?

Ktoś z zewnątrz zameldował przez krótkofalówkę: „To tylko pieprzony lis!”.

Z mętlikiem w głowie, Roy Grace, ściskając latarkę w jednej dłoni, a drugą trzymając się poręczy, zbiegł po stromych drewnianych schodach. Sukinsyn musi tu być. Musi. Na dole wszedł do lodowato zimnego, niskiego pomieszczenia, które dawniej pełniło chyba funkcję pokoju zabaw dla dzieci. Z sufitu zwisały zakurzone nagie żarówki. Tylko trzy działały, dając słabe światło. Na podłodze leżał cienki ciemnozielony dywan, tapeta obłaziła ze ścian. Woń stęchlizny wskazywała, że nikt tu nigdy nie zaglądał. Mocny kontrast w porównaniu z wnętrzem na górze, pomyślał Grace.

Pod ścianą w głębi stał batut, a przed nim stół do ping-ponga i koń na biegunach. Wzrok Grace’a padł na duży wiktoriański obraz olejny w szkaradnej ozdobnej ramie, oparty o sfatygowaną sofę, przedstawiający wazon z nagietkami.

Po drugiej stronie pomieszczenia, obok kilku bezkształtnych brył okrytych zakurzonymi płachtami, widniały otwarte drzwi, przez które sączyło się słabe światło. Grace podszedł i uniósł jedną płachtę. Zobaczył dwa wiekowe fotele: na jednym stały

abazur z frędzlami oraz stary fliper z rozbitym szkłem. Przekroczył próg i ujrzał przed sobą wąski korytarz z ceglanymi ścianami i betonową posadzką, oświetlony kolejną słabą żarówką. Na ścianie, nieco powyżej wzrostu przeciętnego człowieka, biegły sklezione taśmą przewody elektryczne, najwyraźniej bardzo stare.

Ponownie włączył latarkę i skierował jej promień na podłogę. Szukał śladów czyjejs niedawnej obecności, ale chyba niczego nie ruszano tu od lat. Przez chwilę nasłuchiwał. W oddali pomrukiwał bojler. Grace wyczuł słaby, lecz wyraźny zapach skwaśniałego wina. Ostrożnie szedł przed siebie, zagłębiając się w mrok, a ta woń coraz bardziej się nasilała. Gdy jakieś trzy metry dalej dotarł do końca korytarza, przystanął, zdumiony tym, co zobaczył w świetle latarki.

Znajdował się w ceglanej piwnicy na wino. Jeszcze nigdy nie widział nic podobnego w prywatnym domu. Po obu stronach ciągnęły się w głąb na co najmniej dziesięć metrów, sięgając pod sam sufit, drewniane stojaki na wino, pełne zakurzonych butelek. Musiały ich być tysiące. Dłonią w rękawiczce ostrożnie chwycił pierwszą z brzegu butelkę. Z trudem przeczytał nalepkę pokrytą kilkudziesięcioletnim kurzem.

Czerwone litery składały się w słowo PETRUS. Słabiej widoczna była data: 1961. U góry widniał czarno-biały rysunek brodacza, kojarzącego się Grace'owi ze świętym Piotrem.

Nie był koneserem win, ale rozpoznał kilka słynnych marek, bo w tym czy innym momencie mówiono o nich w mediach; należał do nich Petrus. Miał poczucie, że butelka, którą trzyma, jest sporo warta, więc ostrożnie ją odłożył. Znów zaczął nasłuchiwać, po czym ruszył między stojakami, przyświecając sobie latarką i uważnie patrząc pod nogi.

Nagle zatrzymał się i zmarszczył brwi.

Butelki na stojakach po prawej stronie wyglądały na czystsze niż inne, w każdym razie szyjki. Czy zostały niedawno kupione?

Sięgnął po butelkę, która okazała się znacznie lżejsza, niż oczekiwał. GEVREY CHAMBERTIN 2002, przeczytał. Butelka była

za lekka. Oświetlił ją latarką. Pusta. Zaintrygowany, wyjął butelkę leżącą pod spodem. Również pusta. Sprawdził całą zawartość stojaka; wszystkie butelki były puste. W każdej tkwił korek, banderola pozostała nietknięta. Na stojaku mogło leżeć sześć butelek w rzędzie. W sumie, na całym stojaku, leżało czterdzieści osiem butelek.

Czy to były próbki wystawowe? Jak w niektórych restauracjach, gdzie butelki stoją jako element wystroju wnętrza?

Po co ktoś miałby trzymać cały stojak atrap wina? Żeby się pochwalić? Czy pozostałą część piwnicy również wypełniały atrapy?

Zabrzęczała jego komórka. Dzwonił Pete Darby. Tu, na dole, zasięg był kiepski i głos funkcjonariusza z grupy obserwatorów stale się łamał.

– Sprawdziłem u ludzi z poprzedniej zmiany. Potwierdzają, że nikt nie wchodził ani nie wychodził.

– Na pewno?

– Tak... obserwowaliśmy ulicę, ale zgodnie z poleceniem koncentrowaliśmy się na domu podejrzanego. – Głos uległ zniekształceniu i Grace nie potrafił już nic zrozumieć. Słyszał pojedyncze słowa: – Uczciwie... ruch uliczny... przez...

A potem w telefonie zapadła cisza i na ekranie pokazał się komunikat: „Brak zasięgu”.

Grace schował komórkę do kieszeni i znowu popatrzył na stojak z winem. Coś mu nie pasowało. Uważnie oglądał kolejne półki, oświetlając je latarką. Nagle dostrzegł słaby błysk. Gdy przesunął latarkę, znów coś błysnęło. Pospiesznie zdjął ze stojaka kilka butelek i przyjrzał się dokładnie. Zawiasy.

Podniecony, mocno chwycił oburącz stojak na wino, lekko go pociągnął i nagle runął do tyłu, bo cały fragment stojaka przesunął się na dobrze naoliwionych zawiasach. W głębi znajdowała się jednak tylko ceglana ściana.

Poświecił na nią i zauważył, że cegły tuż za stojakiem wydają się nowsze od pozostałych. Marszcząc brwi, przesunął snop

światła wzdłuż spojenia po prawej stronie i dostrzegł wąziutką pionową szczelinę. I jeszcze jedną, poziomą, na wysokości około półtora metra. Od niej biegła aż do ziemi kolejna, prostopadła. Trzymając latarkę w ustach, mocno popchnął, najpierw z jednej, potem z drugiej strony, i nagle cała ta część ściany ustąpiła. Poczł dreszcz, gdy uświłdł sobie, że miał rację. Jego oczom ukazały się ukryte drewniane drzwi, zasłłnięte ceglami.

Crisp zadał sobie niemałł trudu, żeby cłł ukryć, pomyślał Grace, kucając i oświłtlając otwór. W głębi był krłłtki, topornie wyźłobiony tunel, ktłłrego ściany i sklepienie podtrzymywały drewniane stropy i legary rozmieszczone co parę krokłłw. Na podłłdze leżała jutowa plecionka. Przywodziłł to na myśłł film o drugiej wojnie światowej, opowiadający o ucieczce z niemieckiego obozu jenieckiego.

Grace przypomniałł sobie ksiąźki w bibliotece Crispa. Czy właśnie z nich Crisp zaczerpnałł ten pomysł? Albo technikę wykonania?

Wyjął komłłrkę i próbował zadzwonić po pomoc. Zero zasięgu. Wiedział, że powinien wezwać wsparcie, ale adrenalina popychała go naprzłłd. Wepchnął komłłrkę z powrotem do kieszeni, ostroźnie poświłcił do tyłu, patrząc na taniec cieni. Nerwy miał napięte jak postronki. Co, do diabła, kryłł się na końcu tunelu?

Ponownie skierował promień latarki przed siebie i jakieś trzy metry dalej ujrzał błysk rubinowych oczek. Grace zawsze cierpiał na klaustrofobię. W dzieciństwie nie przepadał za zabawą w chowanego, kiedy kryłł się w szafie, a raz w starym kufrze na strychu domu rodziców. Doskonale pamiętałł jedną ze spraw, gdy musiałł się czołgać przez kanał burzowy, żeby obejrzeć znalezione tam ciało. Z trudem zdobyłł się na odwagę.

Teraz odrzuciłł swoje lęki i wszedł do tunelu, trzymając latarkę w zębach i starając się jak najniżej pochylać głowę. Światłł latarki przebiłł mrok, znowu rozbłysły rubinowe oczka, a po chwili szczur czmychnął.

Grace dobrze wiedział, że powinien wrócić i ściągnąć do piwnicy ludzi Martina, ale ciekawość i determinacja gnały go dalej. Coś musnęło mu włosy, jakby pajęczyna. Zadrżał, odgarnął ją prawą ręką i znów ruszył przed siebie. Przez głowę przemykały mu chaotyczne myśli. Wczoraj się przeprowadzili... do nowego domu. Teraz szedł tym pieprzonym tunelem. Co było na jego końcu?

W zimnym powietrzu wyczuwał co pewien czas dziwne powiewy ciepła. Pod jutową wykładziną znajdowało się nierówne, kamieniste podłoże. Ilekroć próbował unieść głowę, uderzał o sklepienie tunelu. Jedna jego część mówiła mu, by zawrócić i przysłał tu zespół do przeszukiwań. Ale ta druga część, głos determinacji i nieustępliwości, który zawsze go prowadził, nakazywała iść dalej.

Dalej.

Tam na końcu mogła być Logan Somerville. Czy to możliwe, że nadal żyła?

Nagle tunel przeszedł w rozległą ciemną przestrzeń. Grace skierował latarkę w górę i zobaczył wysokie łukowate sklepienie z cegieł. Wyprostował się, ujął latarkę i poświecił dokoła, wydobywając z mroku ceglane ściany.

W jaskiniowej ciemności rozległ się głos. Czysty i wyraźny, z akcentem szkoły prywatnej, nieco protekcyjny. Towarzyszyło mu słabe echo.

– Nadinspektor Grace, jak sądzę? Jakże miło pana widzieć. Czekaliśmy pana.

96

20 grudnia, sobota

Przez chwilę Roy Grace miał wrażenie, jakby z jego ciała ulotniło się całe ciepło. Zszokowany, upuścił latarkę. Potoczyła się po betonowym podłożu, światło skakało na wszystkie strony. Schylił się, podniósł latarkę i powiódł nią dokoła. Oślepił go jej promień, który odbijał się od jakichś połyskujących kształtów. Poczul stęchłą woń.

Wtedy ujrzał wpatrujące się w niego trzy pary oczu.

Na moment zamarł.

Całą piwnicę zalało słabe zielonkawe światło i wtedy Grace zobaczył, co tak błysnęło w świetle latarki. Z sufitu zwieszały się na metalowych łańcuchach trzy cylindryczne szklane pojemniki. Każdy, zaczopowany u góry, wypełniała nieco mętna ciecz, która w zielonkawym świetle przypominała wodę w stawie.

W każdym pojemniku tkwiło jasnoróżowe stworzenie, zawieszona na drucie, oplatającym mu szyję. W pierwszej chwili Grace pomyślał, że patrzy na zwierzęta. Świnia?

Jezu, czyżby Crisp prowadził tu eksperymenty na zwierzętach?

Jednak wodząc wzrokiem po pojemnikach, zrozumiał, z dreszczem zgrozy, że to nie były zwierzęta. To byli ludzie. Ich oczy patrzyły prosto na niego.

Nadzy mężczyźni, w wieku około trzydziestu lat, patrzyli niewidzącym wzrokiem. Nie mieli rąk ani nóg. Jeden był niemal całkiem łysy, dwaj mieli zmierzwione włosy, wszyscy z kilkuniedniowym zarostem.

Grace poczuł gęsią skórę. Jakby znalazł się na planie filmowym współczesnej wersji *Alicji w Krainie Czarów*. Czy to może hologramy? Efekt specjalny? Co to, na miłość boską, było?

Nagle, niedaleko niego, po lewej stronie, rozbłysnął wielki ekran. Pojawił się na nim Edward Crisp, siedzący na skórzanym fotelu przy biurku, w gabinecie, który Grace widział na piętrze tego domu. Lekarz miał na sobie garnitur i krawat, usta ułożył w pełny zadowolenia uśmiech. Pochylił się do przodu i z ożywieniem uniósł ręce. Wokół Grace'a ponownie rozległ się głos z afektowanym akcentem szkoły prywatnej.

– Doprawdy, nadinspektorze, to wielki zaszczyt gościć pana w mojej małej kryjówce! Pragnę przedstawić panu kolegów, którzy niezmiernie pomagali mi w planowaniu moich projektów. Oto moi zmarli przyjaciele! Chyba nie miał pan jeszcze okazji spotkać Marcusa, Harrisona i Felixa? Z czasem zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi, choć nie zawsze tak było.

Grace spojrział z odrazą na pozbawione kończyn ciała, potem znów na ekran. Oczy Crispa za okularami połyskiwały czystą radością.

– Marcus Gossage, Felix Gore-Parker i Harrison Chaffinch, chociaż może pan go znać pod znacznie wytworniejszym nazwiskiem Harrison Hunter. Marcus to ten bez włosów!

Grace popatrzył na człowieka w pojemniku po lewej stronie. Przedwcześnie wyłysiały, miał kosmyki włosów po bokach głowy, świńskie oczka i wydęte usta niczym pstrąg wyrzucony na brzeg.

– Obok niego jest Felix Gore-Parker. Chyba zgodzi się pan, że wygląda dość nikczemnie, prawda?

Człowiek w środkowym pojemniku miał pociągłą, końską twarz, proste włosy i zgorzkniały wyraz twarzy. Wcześniej Roy Grace nie zauważył, że na jego nosie tkwią okrągłe okulary w drucianych oprawkach.

– I wreszcie Harrison. Cierpiał z powodu nadwagi, nie sądzę, że dożyłby podeszłego wieku. Ale przecież teraz nie musi się tym martwić, prawda?

Grace poczuł, jak włosy jeżą się mu na karku.

– Ci trzej prześladowali mnie w szkole i zamienili moje życie w piekło, nadinspektorze. Nazywali mnie Kretem, bo nie podobało im się moje zainteresowanie tunelami i penetrowaniem jaskiń. Prawdę mówiąc, nic we mnie im się nie podobało. Na koniec jednak mnie pokochali. Każdego zmusiłem, by wypowiedział te słowa, zanim odebrałem im życie. Chociaż pierwotnie zabijanie ich wcale nie było moją intencją. Zamierzałem utrzymywać ich przy życiu tak długo, aż dostaną ode mnie niezapomnianą lekcję. I z pewnością odniosłem sukces!

Grace rozejrzył się ostrożnie. Gdzie był szalony doktor Crisp? Czaił się w ciemności, kiedy on skupiał uwagę na nagraniu?

Oświetlił mrok za swymi plecami, potem całe pomieszczenie. Czy gdzieś tam lekarz szykował się do skoku? Grace żałował, że nie zadbał o mocniejszą latarkę. I wsparcie. Spojrzył na komórkę, ale wciąż nie było zasięgu.

– Mówią, że zemsta najlepiej smakuje na zimno. Na pewno zna pan to porzekadło, nadinspektorze? Po odejściu ze szkoły Cloisters odczekałem sporo czasu, zanim zgarnąłem mój pierwszy projekt, Marcusa Gossage’a, tego po lewej. Posłałem mu zaproszenie na ślub. Napisałem, że ponieważ jest moim wyjątkowym przyjacielem z czasów szkolnych, przyślę po niego samochód z szoferem. O tak, po Marcusa zajechał śliczny mercedes. Sam byłem kierowcą. Oszło mi go gazem i przywiozłem tutaj. Potem, z ogromną radością, odciąłem mu ręce i nogi, ale utrzymywałem go przy życiu. Założyłem mu pieluchę, podłączyłem kroplówkę i powiesiłem w worku z gazy. Nie wyobraża pan sobie, co to była za frajda!

Roy Grace ponownie odwrócił się do trzech ciał w szklanych pojemnikach. Przeszedł go dreszcz, poczuł mdłości. Czyżby umysł płatał mu figle? Czy to mogło się dziać naprawdę? Czy możliwe, by człowiek zrobił coś takiego drugiemu człowiekowi?

– Co się tyczy Felixa Gore-Parkera, to zaprosiłem go na spotkanie dawnych kolegów szkolnych. Zaproponowałem, że go zawiozę, bo i tak nie piję alkoholu. Z Harrisonem poszło łatwo.

Powiedziałem mu, że wpadnę, by porozmawiać o tym, jak możemy uratować szkołę! Oczywiście policja wszczęła śledztwo. Ale nie jestem głupi, nadinspektorze. Zadbalem o spore odstępy czasu między moimi projektami. W owym czasie Felix mieszkał w Edynburgu, Marcus w Manchesterze, a Harrison w Bath. Policja nie miała powodu, by łączyć te zaginięcia.

Grace z niedowierzaniem wpatrywał się w okaleczone ciała. Czy to możliwe? Czy Crisp naprawdę to zrobił i tyle lat trzymał tutaj ciała?

– Wiem, o czym pan myśli, nadinspektorze. Zastanawia się pan, gdzie jest Logan Somerville. Oraz, rzecz jasna, mój najświeższy projekt, policjantka. Proszę o niej nie zapominać. Jestem szczególnie dumny z faktu, że udało mi się ją zgarnąć w ostatniej chwili, po tym, jak poprzedni projekt spalił na panewce, kiedy ugryzł mnie ten przekłety pies, i przyznam, że to było spore wyzwanie! Ale musiałem odwrócić pańską uwagę i zachować kontrolę. Jak miło wreszcie pana poznać, szkoda tylko, że nie osobiście. Stwierdziłem jednak, że nasze spotkanie nie zakończyłoby się dobrze. A ja jestem po trosze sentymentalnym głupcem, lubię szczęśliwe zakończenia! Czy wszyscy ich nie lubimy? Oto więc dobra wiadomość: moi trzej chłopcy są wreszcie wolni! Harrisonie, Marcusie i Feliksie, bawcie się dobrze. Mam nadzieję, że było wam ze mną miło tu, na dole. Szkoda, że nie mogłem utrzymać was przy życiu w workach, które przygotowałem dla was na samym początku. To byłoby odpowiednie miejsce dla was, bo każdy z was był kupą gówna! Wasze dawne prześladowania zamieniły moje życie w dożywotni wyrok, ale nie jestem potworem. Odsiedzieliście swoje. Radujcie się wolnością! – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Grace, zamarły ze zgrozy, obserwował jego mowę ciała. Crisp miał rozbiegane oczy. Przez twarz przebiegały mu skurcze. Zakładał nogę na nogę i zaraz ją zdejmował. Wyglądał jak człowiek, który całkowicie zgubił wątek.

– Nie spodziewał się pan ich tu znaleźć, prawda, nadinspektorze Grace? To moja mała premia dla pana. Wiem, że

chodzi panu o dziewczęta. Musi pan jednak wiedzieć, że pierwotnie miałem zamiar zachować tych trzech przy życiu aż do ich naturalnego końca, wiszących w workach z gazy. Tak jak Katarzyna Wielka, o której wkrótce panu opowiem. Jednak byłem również zajęty swoją rodziną, praktyką lekarską, hobby speleologicznym, więc zaczęli mi nieco ciążyć. Ich utrzymanie wymagało sporego wysiłku, a ja lubię prostotę. I znalazłem rozwiązanie. Formaldehyd, zwany też formaliną. Chciałem mieć ich blisko, żeby przypominali mi, jak słodko może smakować zemsta. Tak też się działo, każdego dnia, kiedy do nich przychodziłem. Wydatnie pomagali mi we wszystkich eskapadach, nigdy nie zgłaszali protestów przeciw moim planom. Ale dość o nich, są już historią. Musi pan odszukać małą Logan Somerville i małą Louise Masters. Proszę spytać chłopców, oni wszystko wiedzą. To moi współnicy, bez nich niczego bym nie dokonał! – Crisp podniósł rękę i pomachał nienagannie wypielegnowanymi palcami. – Na razie, chłopcy!

Skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na oparcie fotela. Potem wyrzucił ręce na boki.

– Mój Boże, zapomniałem, że zdolności konwersacyjne Felixa, Marcusa i Harrisona są ostatnio mocno ograniczone. Damy, których pan szuka, znajdują się w sąsiednim pomieszczeniu, za tym ekranem. Do zobaczenia!

Ekran zgasł.

20 grudnia, sobota

Wiedziony światłem latarki i posępną determinacją, Grace podszedł do opuszczanego ekranu z materiału i go podniósł. Ujrzał przed sobą masywne drewniane drzwi. Otworzył je i zagłębił się w mrok, ostrożnie świecąc latarką. Powitała go woń wilgoci i odgłos kapiącej wody.

– Logan! – zawołał. – Logan Somerville?! Louise Masters?! Policja! Jesteście bezpieczne, tu policja! – Echo powtórzyło jego słowa.

– Dzięki Bogu! Tutaj! – wykrzyknął kobiecy głos i też odbił się echem. – Jestem Louise Masters, dzięki Bogu, że przyszedłeś!

Grace zrobił kilka kroków w przód i światło latarki padło na dwa rzędy drewnianych prostokątnych skrzyń – w każdym rzędzie po cztery – długości trumien, ale o kilkadziesiąt centymetrów wyższych. Na wszystkich, prócz jednej, leżały nieprzezroczyste pokrywy.

Podszedł do otwartej skrzyni i oświetlił wnętrze, przypominające akwarium. W środku leżała przerażona dwudziestokilkuletnia kobieta, w policyjnych spodniach i koszuli. Jej szyja, uda, przeguby i kostki były unieruchomione stalowymi drutami. Więzy wokół przegubów, gdzie Grace dostrzegł zakrzepłą krew, wrzynały się w ciało.

– Louise? – spytał.

Skinęła głową, na ile pozwalał jej drut opleciony wokół szyi.

– Jestem Roy Grace, z policji, już w porządku. Czy wiesz, gdzie jest Logan Somerville? Jest tu ktoś jeszcze?

– Nie, nie wiem. Wsiadłam do samochodu pod domem... po zakupach wróciłam, żeby się przebrać przed zmianą... ocknęłam się tutaj. – Uśmiechnęła się do niego słabo. – Dziękuję. Dziękuję, że się zjawileś.

Spróbował rozwiązać jeden z jej przegubów, ale Louise skrzywiła się z bólu i krzyknęła.

– Ktoś przyjdzie i cię uwolni. Na chwilę zostaniesz sama, ale nie martw się, otoczyliśmy to miejsce, jesteś bezpieczna. – Grace podszedł do stojącej obok skrzyni i odsunął pokrywę. W środku znajdował się kolejny szklany pojemnik z wodą wysoką na metr, ale nic poza tym. Przeszedł do następnej skrzyni.

Zamarł.

Patrzył na coś, co przypominało zwłoki. Natychmiast rozpoznał młodą kobietę ze zdjęć. Logan Somerville. W odróżnieniu od Louise Masters była naga. Jej twarz miała alabastrową barwę, jaką widywał u wielu zwłok. Długie brązowe włosy leżały wokół głowy jak całun. Ze grozą spojrzął na słowa wypalone na prawym udzie.

I NIE ŻYJESZ.

Cholera. Czyżbym się spóźnił? Szlag by to, jest za późno?

– Logan? – powiedział cicho. – Logan?

Żadnej reakcji.

Gdy tak na nią patrzył, ogarnęło go całkowite przygnębienie człowieka przegranego. Myślał o jej chłopaku, Jamiem Ballu. O zdjęciach w mieszkaniu Logan, na których była taka szczęśliwa. O jej rodzicach, niecierpliwie czekających na nowiny, ciągle żywiących nadzieję.

Umarła.

Umarła tylko z powodu fryzury?

Dlatego że namierzył ją skończony szaleniec?

Policzek Logan drgnął, a może tylko mu się zdawało?

– Logan? – powiedział, klękając, i przyjrzał się uważniej. – Logan? Logan?

Dziewczyna leżała nieruchomo.

W ciszy słyszał miarowe kapanie wody.

Gdzie, do diabła, był Crisp? Jakim cudem się wymknął? Ile jeszcze śmierci miał na swoich rękach? Ile kobiet straciło życie, jak Logan, ponieważ Grace okazał się za mało bystry, żeby w porę dopaść Crispa?

Wtedy dziewczyna otworzyła oczy i wyszeptała słabym głosem:

– Pomóż mi.

98

20 grudnia, sobota

Grace pobiegł z powrotem przez pomieszczenie z trzema okaleczonymi ciałami, starając się nie patrzeć na nie. Pokonał tunel i dotarł do piwnicy z winem. Pędem minął stojaki i wbiegł po schodach do kuchni, wpatrując się w komórkę i modląc się o zasięg. W progu o mały włos nie zderzył się z Glennem Bransonem.

– Ponownie przeszukałem piętro i parter. Kilku ludzi jest na strychu – wydyszał Branson. – Tu nie ma nikogo. Nic. A jak u ciebie?

21 grudnia, niedziela

Tuż po drugiej nad ranem Grace poszedł do maleńkiej kuchenki na tyłach opustoszałej sali detektywów w Sussex House, żeby zrobić sobie kawę. W całym kraju trwała obława na doktora Edwarda Crispa; wszelkie możliwe władze dostały jego zdjęcie i polecenie natychmiastowego zatrzymania.

O dziesiątej, za niespełna osiem godzin, Grace'a czekała konferencja prasowa, u boku Cassiana Pewe'a. Nie było szans, by do tego czasu trochę się przespał, zresztą wcale nie chciało mu się spać. Przepęniało go tylko jedno pragnienie: odnaleźć Crispa.

Lekarz gdzieś tam musiał być. Policja przeszukała opuszczony dom i ogród, sąsiadujące z posiadłością Crispa. Na wszystkich drogach wyjazdowych z miasta ustawiono blokady. Na wszystkich lotniskach sprawdzano listy pasażerów wszystkich samolotów wylatujących z Wielkiej Brytanii; obserwowano zapisy z kamer na wszystkich lotniskach w południowej Anglii; sprawdzano ludzi podróżujących promami – pieszych i zmotoryzowanych; nie pominięto też tunelu pod kanałem. Bez rezultatu.

Niosąc parującą kawę do gabinetu, Grace czuł silne przygnębienie, mimo faktu, że Logan Somerville i Louise Masters były bezpieczne i właśnie badano je w Szpitalu Królewskim Hrabstwa Sussex. Usiadł za biurkiem i raz jeszcze przebiegł myślą dzisiejsze poczynania Crispa.

Louise Masters wprowadził kilka minut po piętnastej, spod jej domu. To by znaczyło, że wrócił do siebie około wpół do czwartej, po czym zajął się pętnieniem i umieszczaniem policjantki

w skrzyni. Grace szacował, że trwało to godzinę. A zatem do chwili pojawienia się policji Crisp miał mniej więcej sześć godzin.

Mógł się znajdować dosłownie wszędzie w Wielkiej Brytanii lub w Europie. Sądząc po tym nagraniu wideo, najwyraźniej drobiazgowo zaplanował swoją ucieczkę. Obserwatorzy zaklinali się, że przez cały dzień żaden człowiek ani pojazd nie przekraczał w żadną stronę granic posiadłości doktora Crispa ani bramy do opuszczonej willi obok, gdzie nie było innego wejścia. Czyżby policjanci przegapili moment, kiedy Crisp wyjeżdżał i wracał? Niewykluczone.

Jeszcze większą zagadką było to, dlaczego Crisp uprowadził swoją ostatnią ofiarę, policjantkę Louise Masters, a potem po prostu ją porzucił. Powiedział, że w ten sposób chciał odwrócić uwagę policji, ale czy na pewno? Na ścianie ze zdjęciami w przyczepie na parkingu Roundstone funkcjonariuszka Louise Masters figurowała jako ostatnia planowana ofiara doktora Crispa. A więc porwał ją i uwięził, ale zaraz potem uciekł. Dlaczego?

Grace ziewnął, uświadamiając sobie, że jest bardziej zmęczony, niż przypuszczał albo chciał się sam przed sobą przyznać. Mąciło mu się w głowie. Przecież Crisp uprowadził Louise Masters z zamiarem pozbawienia jej życia, podobnie jak chciał zabić Logan Somerville. Mimo to nagle uciekł. Co go zaniepokoiło?

Parking Roundstone? Czy jakaś ukryta kamera powiedziała Crispowi o nalocie? Po tym, jak pogryzł go pies, musiał brać pod uwagę, że policja zdobyła jego DNA, więc miał się na baczności.

Myśli Grace'a przerwał nagle komunikat na ekranie komputera, oznajmiający przyjście maila. Adres nadawcy, na Hotmailu, nic mu nie mówił. Grace otworzył plik i ujrzał krótką, niepodpisaną wiadomość.

Roy, sprawdź ten link do Dropboxa!

Grace kliknął na link i zobaczył, jak łąduje się plik z Dropboxa. Przeszedł do pobranych dokumentów, kliknął na najnowszy i po chwili ujrzał nagranie wideo.

Znowu doktor Crisp. W tym samym wytwornym garniturze, siedział w tym samym fotelu. Znow radośnie uśmiechnięty.

– Witaj, Roy! Oczywiście nie mogłem tego powiedzieć w ich obecności, ale jestem zachwycony, że poznałeś uroczych Marcusa, Felixa i Harrisona. Należą do moich bardziej udanych projektów. Pod moim kierunkiem złagodnieli przez te lata. Dzięki mnie stali się o wiele lepszymi ludźmi niż ci, na jakich by wyrosli, gdyby pozostawiono ich sobie samym. Dawniej byli wstrętnymi dzieciakami. W szkole terroryzowali mnie i innych chłopców. Bycie ofiarą prześladowań naprawdę nie jest niczym miłym. Może cię zniszczyć. Historia mojego życia to historia człowieka nierozumianego przez innych. Wiem. *Primum non nocere*. Tyle dobrego można rzec o angielskich szkołach prywatnych: uczą cię klasyków. Stary dobry Hipokrates. Mój łacinnik sam lubił się trochę powyżywać na mnie, ale czegoś mnie nauczył. *Primum non nocere*: po pierwsze, nie szkodzić. Podstawowa zasada medycyny. Nie wiem, Roy, co skłoniło cię, by zostać policjantem, może naiwne przekonanie, że będziesz pomagał ludziom. Nie taki cel mi przyświecał, gdy wybierałem medycynę. Zostałem lekarzem nie po to, żeby pomagać ludziom, o nie. Zostałem lekarzem, żeby się mścić!

Grace słuchał słów lekarza, ale jednocześnie uważnie obserwował jego mowę ciała.

Crisp przerwał, potem znowu wyrzucił ręce w górę i uśmiechnął się promiennie.

– Zawsze interesowałem się historią, zwłaszcza historią Rosji. Kanadyjski powieściopisarz Steven Erickson napisał: „Historia uczy tego, że nikt nie wyciąga wniosków z lekcji historii”. Szczera prawda. Tego postanowiłem się trzymać. Przeczytałem, że Katarzyna Wielka obcinała kończyny swoim wrogom, po czym wieszala ich w workach w lochach Pałacu Zimowego. Raz do roku kazała ich przynosić i układać przed sobą w półkole.

„Witajcie, chłopcy – mówiła. – Cudownie znów was widzieć. Wszyscy mieli dobry rok?” Potem odsyłała ich z powrotem do ciemnego lochu. Lata przechodziły w dziesięciolecia. Piekło za życia.

Najbardziej wytrącał Roya z równowagi uśmiech na twarzy lekarza: wyraz czystej, nieskrywanej rozkoszy.

– Ci trzej, moje pierwsze projekty, Bóg jeden wie, jakie zniszczenie by siali, gdybym puścił ich wolno. Wszyscy mieliśmy się lepiej dzięki temu, że zostali zamknięci. Podobnie jak zamknąłem dawno temu tę okropną Mandy White. Odtrąciła mnie, ponieważ nie była wystarczająco bystra, żeby dostrzec, ile naprawdę jestem wart. Katy Westerham i Denise Patterson były kobietami, z którymi się spotykałem i które mnie porzuciły. Wszystkie one miały jedną rzecz wspólną: długie brązowe włosy. To najwyraźniej oznaka czegoś złego. Zła wymagającego naprawy. Długie brązowe włosy uczyniły je idealnymi projektami.

Przez chwilę Crisp niemal zezował. Twarz mu drgała, zacierał dłonie, jakby je mydlił. Odchylił się na oparcie fotela i siedział tak, z zamkniętymi oczami i uśmiechem zadowolenia na twarzy. W końcu otworzył oczy.

– Na pewno się zastanawiasz, dlaczego nastąpił tak długi odstęp czasowy między dwiema pierwszymi dziewczętami a Emmą i Ashleigh, prawda? Widzisz, nadinspektorze, przez pewien czas wydawało mi się, że znalazłem odkupienie w żonie i dzieciach. Kilka miesięcy temu odkryłem, że ta suka ma romans. Wodziła mnie za nos. Te kobiety są szkodnikami. Chodzącą trucizną. Na szczęście nie zaprzestałem polowania i miałem obfity zasób świeżych projektów. Owszem, zacząłem się zastanawiać, czy problem nie leży po mojej stronie, i niedawno próbowałem uzyskać pomoc, ale ten psychiatra nie chciał mnie zrozumieć. Nikt mnie nie rozumie. Wiedziałem, że zabawa się skończyła, kiedy pogryzł mnie ten cholerny pies. Dobry z ciebie gliniarz, nadinspektorze, ale też sporo ci pomagano. Mnie nigdy nikt nie pomagał. Mimo to podchodzę do sprawy filozoficznie.

Nadchodzi czas, kiedy myśliwy musi ruszyć dalej. Zwierzyna będzie ta sama, ale na innych łowiskach.

Grace obserwował go z uwagą. Im dłużej patrzył na Crispa, tym bardziej szalony mu się wydawał. W jednej chwili zadowolony z siebie, pewny swego, ale zaraz potem rozdygotany, zagubiony, prawie nieobecny.

– Rodzinom Harrisona, Marcusa i Felixa przekaz, że chciałbym móc powiedzieć, że znajomość z nimi była przyjemnością, ale nie cierpię kłamać. Zapewniam cię, że to, co z nimi robiłem, dopóki utrzymywałem ich przy życiu, zmieniło ich na lepsze. Mimo to bez nich świat jest lepszym miejscem.

Crisp z uśmiechem pochylił się do przodu.

– Och, jeszcze jedno, a właściwie dwie rzeczy. Po pierwsze, na konferencji prasowej przekaz specjalną wiadomość od Wypalacza z Brighton. Powiedz dziennikarzom, że gruba kobieta jeszcze nie zaśpiewała. Po drugie, by zacytować amerykańskiego zabójcę, którego kilka lat temu sędzia skazał na śmierć: „Życzę ci wszystkiego najlepszego na ziemi, słodziutki”. Aha, i po trzecie, na pewno chcesz wiedzieć, jak umierały moje projekty? Kochałem się z nimi, oczywiście z zabezpieczeniem, nigdy nie pozwoliłbym sobie na lekkomyślność, potem całowałem je na pożegnanie, przykładalem usta do ich ust, wysysałem z ich płuc ostatni oddech i je topiłem. W ten sposób na zawsze brałem je w posiadanie. Już nigdy nie mogły mnie porzucić. To było niewiarygodnie cudowne uczucie... nigdy go nie zaznasz. Ale wierz mi, jest cudowne! I znowu go doświadczę. Wiele razy! Słowo przestrogi dla ciebie i twojego zmyślnego zespołu: nie próbujcie mnie znaleźć. Chyba że chcecie, żebym was wszystkich też posiadał na zawsze! Nie mam nic do stracenia, nigdy nie miałem. Ty masz wszystko: ślicznego synka, piękną żonę, zachwycający nowy dom. Bardzo bym nie chciał, żebyś musiał się z tym pożegnać. Naprawdę bym nie chciał. Wierz mi!

Z wdziękiem pomachał ręką.

– Na razie!

Ekran zgasł.

100

21 grudnia, niedziela

Podczas odprawy, drugiej tego dnia, w sali konferencyjnej Sussex House panowało powszechne uczucie ulgi, że policjantka Louise Masters oraz Logan Somerville są już bezpieczne. Jednocześnie świadomość potwornych cierpień, jakie doktor Crisp zadawał swoim byłym kolegom szkolnym, zanim ich zamordował, a także fakt, że nadal znajdował się na wolności, sprawiały, że atmosfera była przygaszona, ludzie skupieni.

Wcześniej tego popołudnia zarówno Logan Somerville z rodziną, jak i Louise Masters odwiedziły Sussex House, by osobiście podziękować zespołowi pracującemu nad tą sprawą. Grace z zadowoleniem stwierdził, że Logan dobrze sobie radzi z traumą po tym, co przeszła.

Za plecami Roya Grace'a pojawiła się nowa tablica, na której umieszczono dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało Logan Somerville uwięzioną w skrzyni w piwnicy Crispa, drugie było zbliżeniem słów wypalonych na jej udzie, szerokich na pięć centymetrów, wysokich na centymetr.

I NIE ŻYJESZ.

W wypełnionej sali konferencyjnej pojawiło się kilka nowych twarzy, w tym starszy oficer od obserwacji, Pete Darby, oraz drobna, lecz nadzwyczaj twarda sierżant Lorna Dennison-Wilkins, odpowiedzialna za przeszukanie domu i przyczepy turystycznej Crispa.

– Zniknął gdzieś w tunelach? – odezwał się Norman Potting. – Jak go dopadnę, wypalę mu te słowa w jego własnym ciemnym tunelu.

Ludzie zachichotali i nawet Grace się uśmiechnął, widząc, że Potting odzyskał nieco dawnego humoru, choć był to humor upiorny. Zegarek nadinspektora pokazywał 18.30, ale z nawyku Grace porównał to z zegarem ściennym i komórką. Stłumił ziewnięcie. Wcześniej, po porannej konferencji prasowej, udał się do przestronnego pustego gabinetu naczelnika i zadzwonił do Cleo, by przekazać jej najnowsze wieści, a potem zrzucił buty, rozpiął koszulę, poluzował krawat i uciął sobie dwugodzinną drzemkę na sofie szefa.

Chociaż wziął prysznic i odświeżył się w toalecie przy sali konferencyjnej, po czym włożył czyste ubranie, które trzymał w schowku, nadal miał wrażenie, że jest brudny, a oczy go piekły, jakby przetarto je papierem ściernym. Ale się tym nie przejmował. Adrenalina znowu buzowała. Czuł zapach pościgu – a także coraz czarniejszą rozpacz.

Obserwatorzy nie widzieli, by ktokolwiek opuszczał dom Crispa lub sąsiednią willę. A jednak Crisp pojechał do Brighton, wprowadził Louise Masters i przywiózł ją do siebie. Jak tego dokonał?

I gdzie, do diabła, teraz był? Nikt go nigdzie nie widział. Z hrabstw Surrey i Sussex ściągnięto wszystkich dostępnych policjantów od przeszukiwań, którzy przetrząsnęli każdy centymetr obu posiadłości. Gdyby Crisp tam się krył, z pewnością by go znaleźli.

Grace spojrzął w swoje notatki.

– Jak słyszeliście na porannej odprawie, po uratowaniu Louise Masters i Logan Somerville dokonaliśmy szeregu istotnych odkryć w Tongdean Villas, rezydencji doktora Edwarda Crispa, oraz w opuszczonym domu obok – powiedział. – Rozpracowujemy finanse Crispa, ale idzie to dość wolno z powodu weekendu. Dokumenty znalezione u Crispa wskazują, że nabył on sąsiednią nieruchomość za pośrednictwem firmy zarejestrowanej w Liechtensteinie. Na tym etapie nie wiemy, czy z przyczyn podatkowych, czy też dlatego, by mieć pewność, że nikt nie powiąże go z tamtym domem. Uważamy, że wczoraj

wieczorem, dwudziestego grudnia, Crisp uciekł, przypuszczalnie wyjeżdżając z kraju, jednak nie wiemy nic o jego innych powiązaniach zagranicznych. Poprosiliśmy całą policję brytyjską, by szukano wszelkich zabójstw odpowiadających profilowi Crispa. Oczywiście zwróciliśmy się do Europolu, żeby wziął pod lupę Liechtenstein.

Wypił łyk kawy i kontynuował:

– Tanja Cale i Guy Batchelor złożyli dziś wizytę żonie Crispa, która jutro zostanie oficjalnie przesłuchana. Ze wstępnego raportu wynika, że Crisp przez całe lata maltretował żonę, aż nie mogła tego dłużej znieść i odeszła. – Zwrócił się do sierżant Cale:

– Czy na tym etapie chciałabyś coś dodać, Tanju?

– Nie, panie nadinspektorze. Co o nim wiemy?

– Zebrałem wszystkie informacje – oświadczył z dumą detektyw Kevin Taylor. – Mogą być interesujące, szefie.

Grace dał mu znak ręką, by mówił dalej.

– Wiemy, że jako nastolatek Crisp był świadkiem śmierci dziewczyny, podobnej do wszystkich jego późniejszych ofiar, mimo różnicy wieku, a także do jego żony. Detektyw prowadzący tamtą sprawę był przekonany, że Crisp zabił swoją koleżankę. Ale nie potrafił tego dowieść. Denise Patterson, przypuszczalnie następna ofiara Crispa, wieczorami pracowała za barem w pubie, do którego chodził podczas studiów na Uniwersytecie Sussex. Katy Westerham studiowała na tej samej uczelni. Wszystkie miały takie same włosy. Potem Crisp ożenił się z kobietą o podobnym wyglądzie i uczesaniu, a zabójstwa najwyraźniej ustały.

– Dobra robota, Kevin – pochwalił go Grace. – Czy z twoich informacji wynika, gdzie obecnie może przebywać Crisp?

– Niestety nie, panie nadinspektorze. Ale pracuję dalej, analizując jego płatności kartą kredytową. Chociaż to mi nie powie, gdzie on jest teraz.

– Dobrze. – Grace skinął głową. – W domu Crispa znaleziono trzy fałszywe paszporty oraz duże ilości gotówki w pięciu obcych walutach.

– Czyli może być praktycznie w dowolnym miejscu na świecie? – odezwał się Jon Exton.

– Owszem – potwierdził Grace z przygnębieniem.

– W dowolnym miejscu, pod dowolnym nazwiskiem – ciągnął Exton.

– Ale dlaczego miałyby zostawiać tyle pieniędzy i paszporty? – spytał Grace.

Nagle coś go tknęło. Niewybredny dowcip Normana Pottinga poruszył coś w jego zmęczonym umyśle. Wtedy wydało mu się to tak surrealistyczne, że nie od razu do niego dotarło. Teraz przypomniał sobie słowa Crispa.

„Nazywali mnie Kretem, bo nie podobało im się moje zainteresowanie tunelami i penetrowaniem jaskiń”.

Grace zwrócił się do sierżant Dennison-Wilkins:

– Lorno, czy twoi ludzie sprawdzili wszystkie kanały odpływowe i studzienki na terenie obu posiadłości?

– Tak, szefie. Ściągnęliśmy pompę do ścieków. Opróżniono wszystkie kanały, a ich zawartość oddano do analizy. Wprowadziliśmy kamery do wszystkich otworów kanałowych, zajrzeliśmy pod plandekę basenową. Wykorzystaliśmy też georadar, by przeszukać oba ogrody i piwnice obu domów.

Grace podziękował jej, wstał i wskazał na tablicę ze zdjęciem wykonanym wcześniej z helikoptera. Granice obu posiadłości były zaznaczone czerwonym flamastrem.

– Crisp jakimś cudem wyszedł z jednego z tych domów, uprowadził Masters, przywiózł ją nieprzytomną do domu, uwięził i ponownie wyszedł, przez nikogo niezauważony. Może powinniśmy go nazywać Harry Houdini. – Spojrzał ponuro na zebranych. – Mogę zrozumieć, że obserwatorzy przegapili go raz, gdy wchodził lub wychodził, ale nie trzy razy.

– Nie przegapiliśmy go ani razu, szefie – zapewnił Pete Darby.

Grace znów odwrócił się do tablicy.

– Do obu tych posiadłości można się dostać z Tongdean Villas. Od strony wschodniej jest dwadzieścia działek, bezpośredni sąsiad ma cztery groźne psy, więc mało prawdopodobne, by

Crisp uciekł tędy. Od zachodu są dwie posiadłości, dalej biegnie Tongdean Road. Na północ od obu domów, tuż za murem, również znajdują się działki sporej wielkości, wyposażone w kamery, które, jak rozumiem, niczego nie wychwyciły. Crisp musiał wejść i wyjść przez Tongdean Villas. Nie ma innej...

Grace się zawahał, bo nagle coś zauważył. Dziwił się, że dopiero teraz. Po przekątnej od domu Crispa w kierunku północno-zachodnim znajdował się wolno stojący budynek, duża szopa lub podwójny garaż. Można tam się było dostać z biegnącej stromo Tongdean Road. Prowadził do niego podjazd, odgradzony z obu stron ceglanym murem.

Garaż był w odległości około stu metrów od opuszczonego domu.

Czy to możliwe? – pomyślał Grace.

W przypadku Crispa wszystko było możliwe. Nadinspektor zwrócił się do swego zespołu:

– Ogłaszam koniec odprawy. – Potem skinął na Glenna Bransona, Guya Batchelora, Lornę Dennison-Wilkins i czwórkę innych. – Zapraszam do sali MIR-jeden, natychmiast.

101

21 grudnia, niedziela

Półtorej godziny później, z podpisanym nakazem rewizji, Grace, Branson i Guy Batchelor, w lekkiej mżawce, przeszli przez wysoką drewnianą bramę, szybko przecięli zapuszczony podjazd otoczony ceglanym murem i ruszyli za przewodnikiem psa, inspektorem Anthonym Martinem oraz siedmioma członkami grupy wsparcia w kamizelkach kuloodpornych i hełmach bojowych. Niedaleko przed sobą zobaczyli, w świetle swoich latarek, pokryty porostami garaż z pustaków z dwojgiem podnoszonych drzwi, które wyglądały na nowsze niż reszta sfatygowanego budynku.

Jeden człowiek z grupy wsparcia trzymał łom, inny młot hydrauliczny. Grace dał znak wszystkim, żeby czekali, po czym kazał Bransonowi trzymać się prawej strony, a sam pobiegł w lewo, szukając okna lub jakiejś innej drogi wejścia – czy wyjścia. Spotkali się na tyłach, gdzie stał zardzewiały rower, najwyraźniej od lat nieużywany, niemal całkowicie zasypany suchymi liśćmi. Drzwi nie znaleźli.

Grace szybko wrócił pod frontową ścianę i skinął głową Martinowi. Inspektor wydał rozkaz. Jeden z ludzi ze wsparcia wystąpił do przodu i nacisnął klamkę drzwi po prawej stronie, ale nawet nie drgnęły. Odsunął się, jego kolega zamachnął się młotem. Rozległ się metaliczny brzęk, drzwi zadrżały, lecz nie ustąpiły. Następny policjant spróbował wcisnąć łom między drzwi a ścianę, jednak bez powodzenia.

– Szlag by to – wydyszał. – Te rzeczy są zazwyczaj kruche jak skorupka.

Dwaj inni chwycili za łom i cała trójka napała, postępując z wysiłku. Stopniowo poszerzali szparę, choć drzwi protestowały. Nagle coś ustąpiło, rozległ się trzask podobny do wystrzału, drzwi częściowo oderwały się od framugi i w końcu runęły.

Ludzie wbiegli, Roy Grace tuż za nimi, po czym wszyscy stanęli. Ktoś zapalił światło. Na betonowej podłodze stały dwa samochody. Stare volvo oraz skoda kombi, biało-turkusowa, jak taksówki Brighton Streamline. Za samochodami stał skuter Lambretta, z kaskiem na tylnym siedzeniu.

Grace już wiedział, że trafił we właściwe miejsce. Stare volvo było widziane tej nocy, gdy wprowadzono Logan Somerville. Kamera wychwyciła taksówkę marki Škoda, śledzącą Ashleigh Stanford, która jechała na rowerze.

Ludzie ze wsparcia stłoczyli się wokół samochodów, otwierali drzwi i maski, sprawdzali podwozie, a Grace dotknął masek obu pojazdów. Zimne jak kamień. Rozejrzał się po garażu, patrzył na nagie ściany, szukał wskazówek. Na metalowej półce leżała pompka samochodowa z manometrem, kable wspomagające i ładowarka do akumulatora. W głębi garażu stała wiekowa zamrażarka, zakurzona i niepodłączona do prądu.

Grace uklęknął, zajrzał najpierw pod volvo, potem pod skodę. Nic. Nagle ktoś zawołał:

– Panie nadinspektorze! Proszę tu spojrzeć!

Jedna z kobiet ze wsparcia stała nad otwartą zamrażarką. Grace szybko podszedł i zajrzał do środka.

Poczuł przypływ adrenaliny.

102

21 grudnia, niedziela

Obudowa zamrażarki okazała się jedynie atrapą. Wnętrze zostało wyjęte, na dnie leżał arkusz zardzewiałej blachy. Roy Grace pochylił się, wsunął palce pod blachę, podważył ją i natychmiast wionęło na niego wilgotne, zimne powietrze.

Pochodziło z głębokiego szybu ukrytego pod zamrażarką.

Zapalił latarkę, poświecił w dół, ale zobaczył tylko wydrążony w ziemi szyb i metalową drabinę niknącą w mroku. Nie widział dna, nie miał pojęcia, jak może być tam głęboko.

Cofnął się, tak by Glenn Branson i Guy Batchelor mogli zajrzeć do środka, ale nakazał im zachować ostrożność. Obaj podeszli do wylotu szybu.

– Cholera jasna! – zaklął Batchelor. – Cholera! Ten facet to kompletny świr.

– Niestety, bardzo inteligentny – odparł Grace.

– Co to jest? – spytał Branson.

– Droga ucieczki Crispa. Nic dziwnego, że obserwatorzy go nie zauważyli.

– Zejdziemy sprawdzić, panie nadinspektorze – zaproponował szef grupy wsparcia.

Grace pokręcił głową. Tłumiąc klaustrofobiczny lęk, oświadczył:

– Schodzę pierwszy. To sprawa osobista. – Z latarką w zębach, wszedł do zamrażarki i postawił prawą stopę na pierwszym szczeblu.

– Proszę zawsze trzema kończynami trzymać się szczebli – ostrzegł go inspektor. – Pójdziemy za panem.

Grace zaczął schodzić, za nim człowiek ze wsparcia, Gregory Martis, potem Glenn Branson. Reszta została na górze, czekając na instrukcje. Grace schodził najszybciej, jak miał odwagę, trzymając się zalecenia inspektora, które było zgodne z tym, czego przed laty uczył się na szkoleniu z działań na wysokościach. Miał wrażenie, że schodzi całą wieczność, ręce coraz bardziej mu słabły.

– Widać dno, szefie?! – zawołał Guy Batchelor.

– Jeszcze nie.

– Widziałeś ten film *Podróż do wnętrza Ziemi*?! – krzyknął Glenn Branson.

– Chyba wyjdziemy w pieprzonej Australii! – odkrzyknął Grace, i właśnie wtedy dotknął prawą stopą czegoś twardego.

Dno szybu. Dostawił lewą nogę, ostrożnie świecąc latarką. Stał na betonowym podłożu, w zamkniętej przestrzeni. Świecąc dokoła, odwrócił się i zobaczył za sobą tunel z prymitywnymi drewnianymi legarami wielkości podkładów kolejowych, niższy niż ten biegnący od piwnicy z winem pod domem Crispa do pomieszczenia z trzema ciałami bez kończyn. Tu jednak, zamiast jutowej wykładziny, miał pod stopami beton.

Grace zawołał do ludzi na górze:

– Jesteśmy na dnie i wchodzimy do małego tunelu.

Na czworakach zaczął czołgać się do przodu, tamci dwaj za nim. Po pewnym czasie ujrzał przed sobą słabe błyski światła. Im dalej się posuwał, tym stawały się jaśniejsze. Spojrzał z powątpiewaniem na legary. Ten po lewej stronie był rozszczepiony, a ten po prawej był dobre kilkanaście centymetrów krótszy. Niektóre belki stropowe wyglądały jak zbite gwoździami deski. Tylko one, znajdujące się co kilka metrów, podtrzymywały strop. Cały ten cholerny tunel, podobnie jak poprzedni, nie wydawał się robotą zawodowca i na pewno nie budził zaufania.

To było szaleństwo, Grace wiedział, że nie powinien tu być. Nie powinien był pozwolić, by inni poszli za nim. Ale jeśli istniał choć cień szansy, by schwytać tu Crispa, nic innego się nie liczyło.

Czołgał się dalej i wkrótce natrafił na właz, wokół którego sączyło się światło. Zlany potem, odwrócił się i nakazał dwóm ludziom z tyłu zachować ciszę. Potem, powoli, zaczął podnosić drewnianą klapę.

Adrenalina buzowała mu w żyłach.

Tuż pod nim, u stóp metalowej drabiny, znajdowała się niewielka, jasno oświetlona komora. W wyłożonym poduszkami wnętrzu były lodówka, telewizor, kuchenka mikrofalowa i zlew. Rozparty na poduszkach, ze szklanką w dłoni, ubrany w koszulę, zapinany sweter, dżinsy i mokasyny, ze słuchawkami na uszach, siedział doktor Edward Crisp. Pogodnie kiwał głową, machając wolną dłonią, jakby dyrygował orkiestrą. Najwyraźniej nie spodziewał się gości.

Grace miał nerwy napięte do granic wytrzymałości. Nie wierzył własnym oczom, nie wierzył w swoje szczęście. „Mam cię, draniu, ty pieprzony morderco”. Drżącymi rękami cicho opuścił klapę. Czy na tym polegał przebiegły plan Crispa: udać, że uciekł, przyczać się, odczekać, aż nagonka ustanie, po czym cichutko się wymknąć?

Przed laty, zanim dołączył do wydziału kryminalnego, Grace, jako zwyczajny mundurowy funkcjonariusz, często miał do czynienia z włamaniami. Poznał wtedy dość powszechny wybieg włamywaczy: wymykali się z miejsca, w którym dopiero co byli, i nonszalancko szli w stronę policjantów, przekonani, że tamci będą raczej szukać ludzi uciekających w przeciwnym kierunku. Czy dlatego Crisp nadal tu siedział, uważając, że policji, po gruntownym przeszukaniu, na myśl nie przyjdzie, że on jest tuż pod ich nosem?

Czy w chwili, gdy zejda po drabinie, Crisp umknie innym tunelem? Niech tylko spróbuje, pomyślał Grace. Nie będzie miał cienia szansy w starciu z jego wyszkolonym zespołem.

Maksymalnie ścisząc głos, powiedział Glennowi Bransonowi i Gregory'emu Martisowi, co zobaczył.

– Zejdę pierwszy – zaproponował Martis.

Grace pokręcił głową.

– Nie, nikt nie odbierze mi tej przyjemności.
– Mam kamizelkę, a on może być uzbrojony.
– Nie wyglądało na to – odparł Grace. – Pójdę pierwszy, wy tu poczekajcie.

Martis niechętnie się zgodził.

– Czy ma pan rękawiczki? – spytał.

– Tylko ochronne.

Martis podał mu własne skórzane rękawiczki.

– Proszę je założyć, żeby nie poparzył pan sobie dłoni, ześlizgując się po drabinie.

– A tobie nie będą potrzebne?

– Mam grubą skórę na dłoniach.

Grace założył rękawiczki, po czym wziął kilka głębokich oddechów i popatrzył na nich obu.

– Rock and roll?

Skinęli głowami.

Po sekundzie wahania Grace zaczerpnął tchu i odrzucił klapę.

Gdy jego stopy dotknęły pierwszego stopnia drabiny, rozległ się głos Crispa:

– Nadinspektor Grace, cóż za przemiła niespodzianka. Przemiała dla mnie, w rzeczy samej!

Roy Grace spojrział w dół i zobaczył wycelowane w niego dwie lufy strzelby, jedna nad drugą. Przeszedł go dreszcz. Cholera, cholera, cholera, skąd, do diabła...?

Nagle poczuł, że ktoś łapie go pod pachami i gwałtownie ciągnie w górę. Usłyszał dwa ogłuszające wystrzały, jeden po drugim, prawą nogę rozdarł mu ból.

Grace runął twarzą na podłoże, posypała się na niego ziemia.

– Pieprzony kutas! – krzyknął Martis.

– Roy, stary, nic ci nie jest? – Glenn Branson już klęczał obok niego.

Grace pokręcił głową, choć noga bolała go jak diabli. Usłyszał trzask rozszczepianego drewna. Zobaczył, jak Martis ciągnie belkę stropową do klapy. Zrozumiał, co zamierza: chciał uniemożliwić Crispowi wyjście stamtąd ze strzelbą.

Niemal w zwolnionym tempie poluzowana belka spadła w głąb szybu, w ślad za nią posypała się ziemia, a potem runął masywny podkład kolejowy.

Rozległ się krzyk niedowierzania, potem wrzask bólu.

Na twarz Grace'a sypała się ziemia, musiał zamknąć oczy. Crisp zawołał ponownie – zabrzmiało to jak ryk grozy.

– Zabierzcie mnie stąd! Proszę! Uwolnijcie mnie. Na pomoc! Nie mogę się ruszać!

Grace podpełzł do wjazdu i ostrożnie zajrzał do środka. Czuł, jak ziemia z łoskotem sypie mu się na kark. Miał wrażenie, jakby prawą nogę użądliło tysiąc os, ale nie zważał na to. W dole zobaczył Crispa leżącego na wznak, przygwożdżonego do poduszek walącym się gruzem.

– Pomóż mi! Nie mogę się ruszyć! Na pomoc.

Spora gruda ziemi boleśnie uderzyła Grace'a w kark.

– Panie nadinspektorze! – wykrzyknął zaniepokojony Martis.
– Słyszysz pan ten rumor? Musimy się stąd wynosić.

– Pomóż mi! – darł się Crisp z wyrazem żalostnego przerażenia na twarzy; ziemia nie przestawała się na niego sypać.

Ktoś szarpał Grace'a za ramię.

– Panie nadinspektorze – powiedział Martis. – Zabierajmy się stąd.

– Nie możemy go zostawić – odparł Grace.

– Nie mamy wyboru. Musimy wyjść. NATYCHMIAST!

W świetle latarki Grace zobaczył, że cały strop się rusza, a pozostałe legary niebezpiecznie drgają. Ziemia wciąż się osypywała.

– Wszyscy mają opuścić tunel! – rozkazał.

– Proszę iść przodem, panie nadinspektorze – powiedział Martis.

– Pójdę na końcu. Dalej!

– Proszę, pomóżcie mi, nie mogę się ruszyć! – zawodził Crisp. – Nie zostawiajcie mnie, błagam, pomocy. NA POMOC, NA POMOC!

Grace po raz ostatni zajrzał do komory. Obok niego spadł kolejny podkład kolejowy, śmignął kilka centymetrów od głowy

Crispa i z łoskotem runął na ziemię.

Nagle Grace poczuł szarpnięcie w górę. Odwrócił się i zobaczył, że to Glenn Branson ciągnie go za zdrową nogę.

– Hej! – krzyknął.

Ziemia nie przestawała się na niego sypać.

– On nie jest tego wart, stary. Zostaw go albo wszyscy zginiemy!

Branson odciągał Grace'a od włazu.

Nad ich głowami rozległ się gromki trzask, obficie posypała się ziemia.

– Szybciej! – zawołał Grace do Bransona. – Szybciej! Szybciej! Szybciej!

Usłyszał kolejne wołanie Crispa o pomoc.

Czy powinien po niego wrócić?

Ziemia się sypała. Grace wciągnął do płuc trochę pyłu i gwałtownie się rozkaszał. Pomyślał o Cleo i Noahu. O tym, że już nigdy by ich nie zobaczył. Próbować ocalić potwora! Podjął decyzję i na czworakach ruszył za kolegami; ból zranionej nogi nasilał się z każdym ruchem; dalej, dalej, przed siebie. Nagle uderzył twarzą prosto w podeszwy butów Glenna Bransona.

– Posuwaj się, Glenn, na miłość boską, szybciej! – krzyknął.

Poświecił latarką za siebie i ujrzał kłęb pyłu zbliżający się ku niemu z głębi tunelu. Zdjęty panicznym lękiem, zawołał:

– Idź! Idź! Idź!

Za plecami usłyszał głuchy pomruk.

Do Glenna chyba dotarły te słowa, bo oddalał się teraz od Grace'a, który czołgał się za nim, najszybciej jak mógł, ale prawa noga stawała się całkiem bezużyteczna. Wokół niego wirował cuchnący pył, dusił go, wypełniał mu płuca. Po chwili widział już tylko brunatną mgłę.

Panika chwyciła go za gardło. Umrze tutaj. Już nigdy nie zobaczy Cleo ani Noaha. Nigdy nie zamieszka z nimi w nowym domu. Nigdy...

Musisz myśleć klarownie, nakazał sobie. Ludzie ginęli z powodu paniki. Ratowali się z katastrof ci, którzy potrafili

zachować spokój i opanowanie. Szyb był tuż przed nim. Jeśli zdoła tam dotrzeć, ocaleje.

Brnął dalej. Upuścił latarkę, ale nie zatrzymał się, żeby ją podnieść. Czołgał się dalej.

Uderzył twarzą o twardy metal.

Dolny szczebel drabiny wiodącej do szybu.

Poczuł przypływ ulgi.

Oślepiło go światło latarki. Zamrugał i usłyszał głos Glenna Bransona:

– Jestem tutaj, stary. Nie wyjdę bez ciebie, więc, kurwa, bierz dupę w troki! Wchodź za mną.

Grace podniósł ręce, namacał szczebel i się podciągnął. Pluć, miał sucho w ustach. Nad jego głową ktoś kaszłał, potem on sam zakaszłał i poczuł w płucach tak palący ból, że o mały włos nie puścił metalowego szczebla.

„Trzy kończyny”, przypomniał sobie.

Prawie nie mógł ruszać prawą nogą.

Szczebel, którego się trzymał, drżał, jakby miał odpaść. Grace pospiesznie przełożył prawą dłoń na następny.

Pomruk w dole nasilił się, przypominał wulkan. Wszystko pod nim się sypało. Musiał wspinać się dalej. Musiał. Musiał.

„Zawsze trzy kończyny”.

Szczebel, na którym stał obiema stopami, nagle się oderwał i Grace zawisł na jednej ręce, czując, że palce mu się ześlizgują.

Noah. Cleo. Boże, tak bardzo was kocham.

W duszącej ciemności jakimś cudem zdołał chwycić metalowy pręt drugą dłonią, ale poczuł, że i on się odrywa. Dźwignął się do góry w chwili, gdy szczebel pod nim oderwał się od ściany szybu i spadł w głąb brunatnego piekła. Grace chwycił następny, kurczowo ściskając go oburącz, ale brakowało mu sił.

Rumor narastał, ogłuszał jak trzęsienie ziemi. Ktoś złapał go za przeguby i zacisnął na nich dłonie jak imadło. Czując, jakby wrywano mu ręce ze stawów, Grace powędrował powoli w górę. Podniósł wzrok i zobaczył twarze Bransona i Martisa.

– W porządku, stary, mamy cię, tłusty draniu!

Po chwili Grace wypadł z zamrażarki i dysząc z wyczerpania, runął twarzą na betonową podłogę garażu.

– Wszystko dobrze, Roy? Przepraszam, że cię uszkodziłem.

– Przeżyję – wykrztusił, patrząc na Bransona. – Dzięki, bracie.

– Facetowi w twoim wieku przydałyby się schody dla niepełnosprawnych.

– Wal się!

W oddali usłyszał sygnał karetki pogotowia. Ból w prawej nodze się nasilił.

– Szlag by to! – krzyknął.

– Nie nadążasz? – parsknął Glenn Branson.

– Nie, to nie to. Chodzi o twoje poczucie humoru. Nie bierz tego do siebie, ale ilekroć słyszę jeden z twoich sucharów, tracę ochotę do życia. – Grace uśmiechnął się szeroko, odwrócił się do przyjaciela i go uściskał. – Nie wiem czemu, ale cię, kurwa, kocham.

– Nie jesteś wcale taki zły – zrewanżował się Branson. – Jak na starego dziada. – Potem uklęknął, spojrzał na nogę Grace'a i zobaczył, że przyjaciel blednie. – Cholera, Roy, to wygląda poważnie. – Zwrócił się do Martisa: – Natychmiast potrzebujemy karetki.

103

23 grudnia, wtorek

– Cóż, niezupełnie jak w domu, prawda, kochanie?

Roy Grace otworzył oczy, całkowicie zdezorientowany. Światło było zbyt jasne, łóżko obce, sufit nieznany. Lęk chwycił go za gardło. Gdzie on był?

Co się wydarzyło?

Potem zobaczył nad sobą twarz Cleo, przyglądającej mu się z dziwnym uśmiechem.

Co się działo? Gdzie...?

Pochyliła się nad nim i z czułością pocałowała w czoło.

Gdzie... gdzie się znajdował?

– Jesteś szalony, kochanie – powiedziała.

– Szalony?

Prawa noga boleśnie pulsowała. Grace ujrzał stojącą obok Cleo kobietę w jasnoniebieskiej koszulowej bluzce, do której miała przypiętą plakietkę z imieniem, ale nie mógł go odczytać. Wyglądała na pielęgniarkę. Obok stał pięćdziesięcioletni mężczyzna w ciemnoniebieskim fartuchu chirurga, z białoniebieską maską chirurgiczną na twarzy.

– Witamy z powrotem, nadinspektorze Grace – powiedziała pielęgniarka.

– Z powrotem? – powtórzył Grace, usiłując uporządkować myśli.

Tunel. Doktor Crisp. Strzelba.

Mężczyzna w fartuchu wystąpił do przodu.

– Jak się czujemy, stary?

– Prawa noga boli mnie jak cholera!

– Nic dziwnego. Wyjąłem z niej jedenaście ziaren śrutu. Ma pan szczęście, kilka centymetrów dalej i straciłby pan nogę. Utrzymamy ból pod kontrolą i za parę tygodni będzie pan zdrow jak rydz. Chociaż noga może jeszcze przez kilka tygodni poboлеваć. – Uśmiechnął się krzywo. – Przepraszam, powinienem się przedstawić. Nazywam się Rupert Verrell, jestem chirurgiem.

Pamięć wracała.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to tak poważne. Dziękuję.

– Strzały z dubeltówki z bliskiej odległości to nigdy nic dobrego. Sądziłem, że jako policjant wie pan o tym najlepiej.

– No tak, teraz już wiem – odrzekł Grace.

– Naprawdę miał pan szczęście... on najwyraźniej marnie strzelał.

– Glenn opowiedział mi, co zrobiłeś, kochanie – odezwała się Cleo. – Masz zupełnego świra! Kilka centymetrów w inną stronę i zostałabym płaczącą wdową.

– Jak długo tu leżę? – zapytał Grace w nagłym przypływie paniki.

– Od dwóch dni, kochanie – odparła Cleo.

– Jaki jest dziś dzień?

– Dwudziesty trzeci grudnia – oświadczyła z wymówką w głosie.

– Która godzina?

Cleo zerknęła na zegarek.

– Pięć po dziesiątej.

– Rano?

– Tak, rano.

– Szlag by to! – Grace spróbował wstać, ale poczuł, jakby prawą nogę przyciskano mu rozżarzoną do czerwoności pogrzebaczem. – Auuu! – Zamknął oczy, krzywiąc się z bólu. – Muszę pochodzić po sklepach! Muszę kupić mnóstwo prezentów! – Nagle przypomniał sobie, że nie ma też prezentu dla swojego chrześniaka, Jaye'a.

– Dzisiaj nie ma mowy o zakupach, bracie – oświadczył chirurg. – Chyba że przez internet.

– Przecież nie zatrzymacie mnie tu na Boże Narodzenie? Właśnie przeprowadziliśmy się do nowego domu... ja... muszę być w domu, z rodziną. Muszę iść po prezenty!

– Ja już dostałam swój prezent – oznajmiła Cleo. – Ty nim jesteś. Na tę Gwiazdkę wystarczy mi to, że żyjesz.

Grace z przygnębieniem spojrział na żonę.

– Kochanie, tak mi przykro.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś, kiedy byłam w ciąży z Noahem?

– Nie. Co takiego? – Grace pokręcił głową i znowu skrzywił się z bólu.

– Powiedziałeś, że twoja praca polega na łapaniu i zamykaniu złych ludzi, żeby świat stał się bezpieczniejszym miejscem dla mnie i naszego nienarodzonego dziecka. Cóż, właśnie coś takiego zrobiłeś. Może i jestem na ciebie wściekła, że ryzykowałeś życie, ale jestem z ciebie dumna. Nie znam wielu ludzi, którzy poślubili prawdziwych bohaterów. Noah i ja będziemy obchodzić święta razem z tobą, tutaj w szpitalu. Będzie inaczej, niż planowaliśmy, ale damy czadu, prawda? – Uścisnęła jego dłoń.

Uśmiechnął się do Cleo, zamrugał, by odpędzić łzy, i też uścisnął jej dłoń. A potem usłyszał nieznoszący sprzeciwu głos pielęgniarki:

– Pani mąż potrzebuje snu.

– Kochanie, zanim odejdziesz, co się stało z Crispem? – zapytał.

– Wiem tylko, że ciągle kopią.

104

24 grudnia, środa

Goście przychodzili do Grace'a przez cały dzień, w tym jego siostra. Przysnął, oglądając telewizję. Miał wrażenie, że minęła ledwie chwila, gdy obudził go mrukliwy głos Glenna Bransona.

– Wesołych świąt, stary!

Grace otworzył oczy i ujrzał zwalistego detektywa w eleganckim garniturze i jeszcze bardziej niż zwykle jaskrawym krawacie. Branson zalatywał alkoholem i lekko chwiał się na nogach. W jednej dłoni trzymał kartkę świąteczną, w drugiej wielką butelkę szampana z niebieską wstążką na szyjce. Obok niego stała atrakcyjna blondynka w krótkiej czarnej sukience i legginsach, na szpilkach. Ona z kolei trzymała owinięty folią kosz owoców, z gałązką ostrokrzewu na wierzchu.

Grace uzmysłowił sobie, że to reporterka „Argusa”, Siobhan Sheldrake. Patrzył na nich, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Która godzina? – zapytał, jeszcze nie w pełni przytomny.

– Za minutę północ, Wigilia – powiedział Branson. – Możesz mi mówić: Święty Mikołaju! Masz pojęcie, jakich wpływów musiałem użyć, żeby tu wejść?

– Jak pan się czuje? – spytała reporterka z „Argusa”.

– Bez komentarza – odparł.

Czy Glenn postradał zmysły? Co on tu robił z tą dziennikarką?

– Siobhan jest w porządku – oznajmił Branson, właściwie odczytując wyraz twarzy przyjaciela. – To odwiedziny towarzyskie, ona nie pisze żadnego artykułu. Już napisała o tobie! – Glenn pokazał mu pierwszą stronę dzisiejszego „Argusa”.

Grace przeczytał nagłówek:

BOHATERSKI POLICJANT RYZYKUJE ŻYCIE, ŻEBY
SCHWYTAĆ ZABÓJCĘ

Branson lekko zatoczył się na bok, ale zaraz odzyskał równowagę i postawił szampana na stole. Potem dotknął twarzy Roya Grace'a.

– Wszystko gra?

– Nie miałem nawet okazji ci podziękować za wyciągnięcie mnie stamtąd – powiedział Grace.

– Właśnie, w dodatku dostałeś nagłówek! – odpalił Branson, siadając na łóżku. – Cholerny bohaterski gliniarz! Ha!

– Wyrwałeś mi ręce ze stawów!

– Tak wyszło. – Wysoki detektyw uśmiechnął się szeroko.

Grace popatrzył na niego, przeniósł wzrok na reporterkę, potem znów spojrzał na Bransona.

– Zechcecie powiedzieć mi, co jest grane?

– Tak. Siobhan i ja... wiem, że jesteśmy trochę wstawieni. Ale uznaliśmy, że powinieneś się dowiedzieć jako pierwszy. Właśnie się zaręczyliśmy!

105

25 grudnia, czwartek

Przez wiele lat po zaginięciu Sandy święta Bożego Narodzenia były dla Roya Grace'a okresem zupełnie bez znaczenia; wolał pracować niż silić się na radosny rodzinny nastrój.

W zeszłym roku, z Cleo, po raz pierwszy naprawdę cieszył się ze świąt. W tym roku tak bardzo ich wyczekiwał, w nowym domu na wsi. Wyobrażał sobie ogień buzujący w kominku, spacer z Noahem w nosidełku. Zamiast tego leżał tutaj, w tym małym pokoju Szpitala Królewskiego Hrabstwa Sussex.

Wszystkie półki oraz stolik przy łóżku były zastawione kartkami świątecznymi – przede wszystkim od kolegów z pracy – kwiatami i koszami owoców.

Cleo niechętnie wyszła, żeby zawieźć Noaha do domu i położyć go spać. W telewizji pokazywano specjalny świąteczny odcinek *Downton Abbey*. Grace patrzył, jak Hugh Bonneville wznosi toast. Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wparował Cassian Pewe, ze świąteczną torbą podarunkową na butelkę i kartką z życzeniami. Znow miał na sobie krzykliwą kraciastą marynarkę, golf, spodnie z diagonalu i wybitnie niegustowne dwukolorowe buty.

– Roy! Wesołych świąt! – zarżał nosowo. – Zamierzałem przyjść wcześniej, ale wiesz, jak to jest w święta!

– Bardzo miło pana widzieć. – Grace zmusił się do uśmiechu; widok szefa naprawdę przyjemnie go zaskoczył.

– Przyniosłem ci drobiazg na poprawę nastroju. – Pewe wręczył mu ciężką torbę i kartkę świąteczną.

– Dziękuję!

Pewo usiadł na krześle obok łóżka, a Grace poczuł woń nieźnośnie słodkiej wody kolońskiej, przypuszczalnie prezentu gwiazdkowego.

– Dobra robota, Roy.

– Dziękuję.

– Nie, to ja ci dziękuję. To co zrobiłeś, przekracza wszelkie oczekiwania. Pokazałeś miastu Brighton and Hove, hrabstwu Sussex i całemu cholernemu krajowi, na czym polega dobra robota policyjna. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni i mamy wobec ciebie dług. Jesteś bohaterem!

Grace czekał na łyżkę dziegciu, ale jej nie było.

– Roy, w zeszłym roku uratowałeś mi życie. Wiem, że nie zawsze się zgadzaliśmy, ale życie zabawnie się plecie. Nie chcę wkraczać w nowy rok z poczuciem, że jest między nami jakiegokolwiek napięcie, dlatego tu dziś przyszedłem. Cholernie dobry z ciebie policjant. Najlepszy. Jestem dumny, że z tobą pracuję, i przepraszam, że dawniej w ciebie wątpiłem. Zgoda? – Cassian Pewe wyciągnął rękę.

Grace uściśnął sflaczałą i wilgotną dłoń szefa.

– Zgoda!

– Na pewno chcesz znać najświeższe nowiny dotyczące wydobycia ciała Crispa. Napotkaliśmy problemy. Woda i ścieki z przebitych rur zalały tunel, pompujemy, ale potrwa to parę dni. Aha, słyszałem, że niedawno się przeprowadziłeś, i rozumiem, że z powodu operacji Haywain nie mogłeś przy tym pomagać, tak?

– Cóż, no tak. Na szczęście mam wyrozumiałą żonę.

– I wyrozumiałego szefa. – Pewe poklepał go w pierś. – Dowiedziałem się, że przed Nowym Rokiem wypuszczą cię do domu. Dostaniesz miesięczne zwolnienie lekarskie, Roy. Spędź trochę czasu w domu, ze swoją uroczą żoną i małym synkiem. Zapomnij o wydziale kryminalnym. Wróć pierwszego lutego z naładowanymi akumulatorami, bo w nadchodzącym roku będziesz nam potrzebny. Zgoda?

– Miesiąc? – Roy bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał tyle wolnego czasu. Momentalnie nabrał

podejrzeń. – Na pewno nie potrzebuję aż tyle.

– To nie jest propozycja, Roy, to rozkaz. Widziałem w policji zbyt wiele małżeństw, które rozpadły się z powodu nawału pracy. – Rozchylił w uśmiechu błyszczące różane usta, odsłaniając nieskazitelne zęby.

Pięć minut później, co Roy Grace przyjął z ulgą, Pewe wyszedł.

106

27 grudnia, sobota

– Nie mogę uwierzyć, że mam cię w domu na cały miesiąc! – powiedziała Cleo. Przytrzymała drzwi samochodu, po czym wzięła męża pod ramię, by pomóc mu wysiąść. – Witaj w domu! – Podała mu laskę i przeszła na tył auta, żeby wyjąć niewielką walizkę męża.

Roy Grace z uśmiechem zacisnął dłoń na lasce i opierając ciężar ciała na zdrowej nodze, stanął w słońcu, nietypowo ciepłym jak na tę porę roku. Z radością objął wzrokiem dom, głęboko wdychając czyste wiejskie powietrze. Wprost nie mógł uwierzyć, że naprawdę wrócił. Całymi latami marzył o tym, by przenieść się na wieś, i chociaż byli zaledwie trzynaście kilometrów od jego ukochanego Brighton, miał cudowne poczucie, że jest na wsi.

Mały dom miał pobielane ściany, białe drzwi wejściowe i stromy dach kryty dachówką, a wyboisty podjazd był w zasadzie tylko polną drogą. Każde z maleńkich okienek miało inny kształt; jedną ścianę domu porastał niesforny bluszcz. Zarośnięty ogród był królestwem chaszczy, krzewów i wysokiej trawy. Dzięki temu, że leżał na nieznacznym wzniesieniu, rozciągał się stamtąd widok na bezkresne pola. Dom kupili za atrakcyjną cenę, ponieważ wymagał remontu, ale Grace kochał go za to jeszcze bardziej. Cleo, obdarzona świetnym gustem, już zabrała się do przeróbek.

Kiedy podchodził do drzwi, z wewnątrz dobiegło radosne szczekanie Humphreya. Po chwili otworzyła im młodsza siostra Cleo, Charlie, w poplamionych farbą ogrodniczkach.

Humphrey wypadł z domu, skoczył na swojego pana i prawie go przewrócił.

Wspierając się na lasce, Grace uściskała psa.

– Grzeczny chłopiec, grzeczny. Podoba ci się nowe lokum? – Humphrey dostrzegł coś w pozyciu i z wściekłym ujadaniem popędził w tamtą stronę.

Grace wszedł do holu, stąpając ostrożnie po folii malarskiej i wdychając mocny zapach świeżej farby zmieszany ze słodką wonią ognia w kominku. Gdy ucałował Charlie i życzył jej wesołych świąt, usłyszał gaworzenie Noaha.

– Przez całe rano był jak aniołek! – oznajmiła Charlie. – Musi być przejęty powrotem taty!

– Przyniosę go! – powiedziała Cleo. – A ty wejdz do salonu. W lodówce chłodzi się szampan. Mamy zaległości w świętowaniu!

Dziesięć minut później, gdy siedział na sofie przed trzaskającym ogniem, z kieliszkiem w dłoni, patrząc na Noaha leżącego na swojej macie do zabawy, Roy Grace poczuł bezbrzeżne szczęście. Oto, w końcu, zaczynało się jego nowe życie.

Charlie, której życie sercowe stanowiło katastrofalne pasmo błędnych wyborów, choć ostatnio spotykała się z reżyserem reklam telewizyjnych, którego cała rodzina – prócz niego – poznała i polubiła, sprawiała wrażenie szczęśliwszej niż kiedykolwiek. Humphrey toczył bój na śmierć i życie z gumową zabawką.

– A zatem nadinspektor Grace został posiadaczem ziemskim – powiedziała Charlie. – Jakie to uczucie?

Grace uśmiechnął się, opróżnił kieliszek i spojrzał na Cleo.

– Cholernie przyjemne!

Charlie ponownie napełniła kieliszki i poszła do kuchni szykować lunch.

– Mamy cały miesiąc dla siebie, kochanie – zwrócił się Roy do Cleo. – Jak wykorzystamy ten czas? Może na początek parapetówka?

– Tak – zgodziła się. – Wydajmy też parę przyjęć. Kiedy zaczną się wyprzedaże, powinniśmy pojechać do Londynu na zakupy. To najlepszy okres na kupowanie rzeczy do domu. Za trzy tygodnie w Dome jest koncert Bryana Ferry’ego. Może spróbujemy dostać bilety?

Później, kiedy szampan już się kończył, Cleo wzięła Noaha na rękę, żeby zanieść go na górę i nakarmić.

Charlie przeprosiła i poszła podać lunch. Grace dopijał szampana, gdy zadzwonił telefon.

Był to jego niemiecki przyjaciel z Landeskriminalamt, Marcel Kullen.

Nastrój Grace’a momentalnie uległ zmianie, jak gdyby niebo zaciągnęło się chmurami.

– Hej, Roy, szczęśliwego nowego roku. Jak się masz?

– Szczęśliwego nowego roku, Marcel. Wszystko w porządku, jeśli pominąć fakt, że tuż przed Bożym Narodzeniem postrzelono mnie w nogę.

– Postrzelono? Strzelali do ciebie?

– Wyjęli mi z nogi jedenaście ziaren śrutu.

– Mówisz poważnie?

– Tak. To był wczesny prezent gwiazdkowy od kogoś, kto nie darzył mnie szczególną sympatią.

– Mój Boże, ale już jest w porządku?

– Tak, dzięki. Trochę boli, jak chodzę, ale za jakiś tydzień wrócę do zdrowia. Alkohol pomaga. Co u ciebie?

Po chwili milczenia Kullen powiedział:

– Ta kobieta w szpitalu, o której ci wspominałem, pamiętasz?

– Mhm – mruknął Roy z rezerwą.

– Mam nowe informacje o tej pani. Powiedz, czy twoja Sandy kiedykolwiek brała narkotyki?

– Narkotyki? Co masz na myśli, Marcel? Jakie narkotyki?

– Heroinę?

– Wykluczone! Nie.

- Jesteś pewien?
- Chybabym wiedział!
- Ludzie nie zawsze wiedzą, Roy.
- Co sugerujesz?

– Inne pytanie. Ta kobieta, nazywają ją Frau Lohmann, ma syna, który ma dziesięć lat i sześć miesięcy. Czy według ciebie istnieje możliwość, że to jest twój syn?

Grace patrzył na płomienie tańczące w kominku.

- Syn? Mój?
- Czy Sandy mogła być w ciąży, kiedy od ciebie odeszła?
- W ciąży? Nie... nie.
- Jesteś pewien?
- Tak – potwierdził z wahaniem Grace, obliczając w myślach.

Właściwie to było możliwe. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

– Ten syn powiedział swoim przyjaciołom, u których mieszka, że matka dwa razy zabrała go do Brighton. Za drugim razem pojechali w listopadzie, na jakiś ślub, i matka była bardzo zdenerwowana. Wyszli w trakcie ślubu.

Grace słuchał odrętwiały.

– Dlaczego pytałeś o narkotyki, Marcel?

– Trzy nazwiska używane przez tę kobietę i jej zdjęcia rozesłaliśmy do policji i agencji w całych Niemczech. Zareagował Frankfurt. Mają tam, jak to się mówi, pomieszczenie do zażywania narkotyków. Narkomani mogą tam przychodzić i brać narkotyki pod nadzorem przeszkolonego personelu. Podobno ta kobieta przychodziła tam regularnie przez dwa lata. Myślę, że powinienes tu przyjechać, Roy, i upewnić się, że to nie jest Sandy. Pomogłoby nam, gdybyś mógł ją wykluczyć.

– Masz jakieś inne szczegóły?

– Cóż, Roy, obecnie występuje chyba jako Alessandra Lohmann, tak nam powiedział jej syn. Ale ciebie może zainteresować wersja tego imienia, którą podała w klinice dla narkomanów.

– Mianowicie?

– Sandy.

107

2 stycznia, piątek

Roy Grace patrzył przez okno samolotu na rozległą równinę w dole, gdy zaczęli schodzić do lądowania we Frankfurcie. Czy ścigał ducha?

Boże, taką miał nadzieję.

Mimo to nie mógł zapomnieć o zdjęciu w telefonie, które przesłał mu Marcel. To mogła być Sandy.

Trzy fałszywe tożsamości?

Była multimilionerką?

Miała syna.

Jego wiek by wskazywał, że Sandy była na samym początku ciąży, kiedy zniknęła. Mogła nawet nie wiedzieć, że jest w ciąży.

Syn, który w zeszłym roku dwukrotnie odwiedził z matką Brighton. Byli na jakimś ślubie w dniu, kiedy Grace żenił się z Cleo?

Syn, który powiedział, że ślub zdenerwował jego matkę.

Roy ponownie przypomniał sobie koszmar, jaki przyśnił mu się przed ślubem: że widzi w kościele Sandy. Potem, już w trakcie samego ślubu, odwrócił się, by spojrzeć na Cleo idącą główną nawą, i w głębi kościoła zobaczył nieznaną kobietę w czerni, z małym chłopcem.

Czy to możliwe? Czyżby Marcel miał rację?

Czy Sandy nadal żyła i po tylu latach wróciła do Brighton? Jeśli tak, to dlaczego? Z ciekawości?

Jeżeli to faktycznie była ona, jak, do diabła, miał – czy w ogóle mógł – się z tym uporać?

Noga wydobrzała na tyle, że czuł, iż znów może swobodnie chodzić, chociaż fizjoterapeuta przestrzegał go, by nie próbował biegać wcześniej niż za kilka tygodni. Zostało mu prawie cztery tygodnie urlopu. Mimo że do pewnego stopnia będzie mu brakowało pracy, cieszył się, że spędzi ten czas z Cleo i Noahem; cieszyła go perspektywa zdrapywania starej farby i tapety, odnawiania domu.

Samolot wylądował, Grace włączył komórkę i poczekał na sygnał. Gdy tylko uzyskał zasięg, napisał do Cleo, że już doleciał. Czuł się winny, bo pierwszy raz ją okłamał, mówiąc, że musi odbyć krótką podróż z powodu ważnego zeznania świadka w zamkniętej sprawie, nad którą kiedyś pracował.

Zamyślony siedział w taksówce, prawie nie zwracając uwagi na miasto, przez które jechał. Taksówkarz, słabo mówiący po angielsku, obrzucił Grace'a podejrzliwym spojrzeniem, gdy ten pokazał mu adres. Po czterdziestu minutach, w południe czasu niemieckiego, taksówka skręciła w brudną frankfurcką uliczkę, ze ścianami domów pokrytymi graffiti, i Grace zrozumiał wyraz twarzy taksówkarza.

Dostrzegł nazwę ulicy: Elbestrasse. Mijali kluby ze striptizem, sex shopy, tu i ówdzie jakieś place budowy. Po lewej stronie zobaczył na chodniku rząd pustaków za metalową siatką; niebieska rura biegła od szczytu budynku, po rusztowaniu, do kontenera na gruz. Dalej widniał jaskrawo pomalowany budynek, z billboardem CABARET. PIK-DAME. Po prawej minęli podniszczony hotel Elbe, potem bistro U Ewy i hotel Garni. W końcu taksówka zatrzymała się obok kilku małych zdezelowanych samochodów, stojących częściowo na chodniku. Taksówkarz wskazał ponury czteropiętrowy budynek, przed którym stała grupka bezdomnych, i powiedział do Grace'a coś po niemiecku, czego ten nie zrozumiał, ale uchwycił sens.

Byli na miejscu.

Zapłacił taksówkarzowi, wziął swoją torbę podróżną, pokonał kilka schodków i zadzwonił. Po chwili rozległo się ostre brzęczenie, Grace pchnął ciężkie przeszkłone drzwi i wszedł do niewielkiej recepcji wykładanej kafelkami. Za wysokim kontuarem siedziała młoda kobieta, która powitała go miłym uśmiechem.

– Mówi pani po angielsku? – spytał.

– *Ja*, trochę.

– Nazywam się Roy Grace. Przyjechałem, żeby spotkać się z Wolfgangiem Barthem, oczekuje mnie.

Recepcjonistka pokazała mu schody za sobą i krótki korytarz prowadzący do jakichś drzwi.

– Znajdzie go pan na drugim piętrze.

Przez okno po lewej stronie Grace zobaczył pomieszczenie do zażywania narkotyków. Wzdłuż trzech ścian biegł wąski metalowy stół, przy którym stały funkcjonalne plastikowe krzesła. Trzy były zajęte: dwa przez młodych ludzi, z których jeden miał na głowie baseballówkę; na trzecim siedział pomarszczony brodacze o skołtunionych włosach, pewnie dobiegający sześćdziesiątki, jak ocenił Grace. Cała trójka garbiła się nad stołem, pieczołowicie przygotowując działki narkotyków. Nad tym wszystkim czuwała młoda kobieta, przed którą na papierowych ręcznikach leżały metalowe łyżki i strzykawki.

Grace przez chwilę stał i patrzył z zaciekawieniem, aż w końcu ruszył dalej. Czy tutaj przychodziła Sandy? Żeby brać narkotyki?

Wszedł po schodach, a gdy dotarł na drugie piętro, otworzyły się drzwi i stanął w nich przyjaźnie wyglądający mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat. Miał na sobie niebieską kraciastą koszulę i džinsy, a brązowe włosy do ramion i wyrazista twarz upodobały go do muzyka rockowego.

– Nadinspektor Roy Grace? – zapytał nienaganną angielszczyzną, z niemieckim akcentem człowieka wykształconego. – Jestem Wolfgang Barth.

Uścisnęli sobie ręce i Grace wszedł za Barthem do jasnego, przestronnego gabinetu, pomalowanego na kremowo. Dwa biurka, mapa miasta z lotu ptaka i plakaty na ścianach, w tym jeden z rzucającym się w oczy napisem CANNABIS.

Usiedli naprzeciw siebie przy niewielkim stole konferencyjnym, Barth podał gościowi kawę i podsunął w jego stronę talerz z czekoladowymi ciasteczkami.

– Proszę się częstować.

– Nie, dziękuję.

– Zatem jest pan detektywem w policji Sussex. Zna pan Grahama Barringtona?

– Tak, całkiem dobrze. Był naczelnikiem, niedawno przeszedł na emeryturę.

– Emerytura? – Barth zmarszczył czoło. – W tak młodym wieku?

– Taki mamy system – wyjaśnił z uśmiechem Grace. – Większość oficerów przechodzi na emeryturę po trzydziestu latach służby.

– Barrington był tu dwa lata temu, przyglądał się naszej pracy. Zależało mu na tym, by wprowadzić te same rozwiązania w waszym rodzinnym Brighton.

– Myślał bardzo przyszłościowo. Niestety, politycy w moim kraju nie są chyba tak światli, jeśli chodzi o problem narkotyków, jak wasi.

Barth wzruszył ramionami.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku mieliśmy czterdzieści siedem zgonów z powodu narkotyków – powiedział. – Teraz, po wprowadzeniu takich pomieszczeń, jak widział pan na dole, mamy trzydzieści zgonów i ta liczba ciągle spada. – Znow wzruszył ramionami. – Jak więc mogę panu pomóc?

Roy Grace rozpiął torbę, wydobyl sztywną brązową kopertę, wyjął z niej zdjęcie Sandy, zrobione tuż przed zaginięciem, i podał je Niemcowi.

– Poznaje pan tę kobietę?

Barth uważnie przyjrzał się fotografii.

– Mniej więcej miesiąc temu – zaczął wyjaśniać Grace – monachijska policja rozesłała zdjęcie rannej w wypadku kobiety o nieznaney tożsamości. Odkryto, że posługiwała się trzema różnymi nazwiskami. Między innymi: Alessandra Lohmann. Wtedy stwierdził pan, że ją poznaje, że przed paru laty przychodziła tu regularnie, używając imienia Sandy.

Wolfgang Barth położył zdjęcie na stole i w zamyśleniu pokiwał głową. Potem podszedł do wysokiej metalowej szafki z aktami, przebiegł wzrokiem grzbiety i wyciągnął jedną teczkę.

– Tak – powiedział. – Sandy Lohmann. Wychodziła z nałogu i chciała pomagać, doradzając innym. Pracowała tu nieodpłatnie od marca dwa tysiące dziewiątego do grudnia dwa tysiące jedenastego roku. Potem przestała się pojawiać.

Odłożył teczkę na miejsce i wrócił do stołu. Grace pochylił się i wskazał zdjęcie.

– Czy to ona? Poznaje ją pan?

Barth przez kilka chwil przypatrywał się fotografii, po czym spojrzał na Grace'a i wzruszył ramionami.

– To bardzo trudne. Przewija się tyle twarzy. Trochę pamiętam Sandy, ale miała rude włosy i mocny makijaż. Niewykluczone. Była bardzo szczupła. – Zademonstrował, przesuwając palcami po twarzy. – Wychudzona, rozumie pan?

Grace siedział w milczeniu. W końcu wyjął zdjęcie pacjentki z oddziału intensywnej terapii, które przysłał mu Marcel Kullen.

– A to?

Barth przyjrzał się uważnie.

– To ta sama kobieta?

– Być może. To zdjęcie zrobiono miesiąc temu.

Barth przyglądał się długo, zanim w końcu podniósł wzrok.

– Wie pan, to możliwe. Ale nie mam pewności. Czy interesuje pana ta osoba?

– Tak – potwierdził Grace. – Ta osoba mnie interesuje.

108

3 stycznia, sobota

O siedemnastej Roy Grace, siedząc na miejscu pasażera w nieskazitelnym piętnastoletnim bmw Marcela Kullena, jechał z lotniska w Monachium do miasta. W zapadającym zmroku migały przed nimi niebieskie znaki z białymi napisami. SALZBURG. MÜNCHEN. NÜRNBERG. ECHING.

Jego stary przyjaciel nie chciał słyszeć o tym, by Grace nocował w hotelu. Marcel uparł się, że Grace ma pojechać do niego, co da im znakomitą sposobność, żeby przetestować świetne miejscowe piwa, jeszcze świetniejsze wina oraz najświetniejsze niemieckie sznapsy.

Nazajutrz o dziewiątej, czując jeden z najcięższych kaców w długiej historii ciężkich kaców, spotęgowany poczuciem winy z powodu okłamania Cleo, Grace jechał, wieziony przez Kullena, szeroką cichą ulicą w eleganckiej monachijskiej dzielnicy Schwabing. Padał deszcz ze śniegiem. Na chodniku leżały gdzieśgdzie placki brudnego śniegu. Skręcili w łukowaty podjazd, minęli kilka rowerów i zatrzymali się przed wielkim, okazałym beżowym budynkiem z oknami w dachu. Nad frontową werandą widniał napis KLINIKUM SCHWABING. Grace pomyślał, że dawniej mógł się tu mieścić klasztor.

– Chcesz, żebym z tobą wszedł czy zaczekał tutaj? – spytał Kullen.

Grace miał sucho w ustach. Głowę rozsadzał mu ból, a dwa ostatnie paracetamole, które połknął przed godziną, nie zadziałały. Marzył o dużej szklance wody i espresso. Czemu, do diabła, tyle wczoraj wypił?

Znał odpowiedź.

Widok fasady tego szpitala budził w nim potworny lęk.

Co?

Co jeśli?

Co jeśli ona naprawdę tam jest? Co on wtedy poczuje? Jak zareaguje? Co, na Boga, powie?

Miał ochotę poprosić Marcela Kullena, żeby odwiózł go na lotnisko, i zapomnieć o całej sprawie. Wiedział jednak, że zabrnął za daleko. Teraz nie było już odwrotu.

– Jak wolisz, Marcel.

– Poczekam. Myślę, że to jest podróż, którą musisz odbyć samotnie.

Pokonując opór i czując, jakby ktoś wbijał mu w głowę sztylet, Grace otworzył drzwi i wysiadł na mróz. W górze rozległ się łoskot wirnika helikoptera, więc podniósł głowę. Maszyna zmierzała w dół, prosto na szpital. Po chwili helikopter znikł za dachem i Grace usłyszał, jak ląduje.

Wszedł do dużego holu, zobaczył napis INFORMACJA nad dwiema starannie ubranymi kobietami, siedzącymi w nowoczesnej, podświetlonej na pomarańczowo recepcji. Podał swoje nazwisko i ruszył w stronę rzędu krzeseł, na próżno rozglądając się za pojemnikiem z wodą lub automatem z gorącymi napojami. W końcu usiadł, coraz bardziej zdenerwowany.

Kilka minut później powitała go, oficjalnym tonem, korpulentna kobieta w średnim wieku, z jasnymi włosami do ramion, w okularach, ubrana w czarny kostium ze spodniami i tenisówki. Przedstawiła się, ale Grace nie zarejestrował nazwiska.

– Proszę iść ze mną.

Podążył za nią długim korytarzem, przechodząc pod świetlnymi znakami i strzałkami. Minęli przeszkloną kafeterię i stanęli przed windą.

– Rozumiem, że ta kobieta może być pana żoną, tak?

Grace czuł taki ucisk w żołądku, że z trudem mówił.

– Może. Możliwe. Nie odezwała się?

– Czasem mamrocze, ale to wszystko. Zazwyczaj milczy. Jest w swoim własnym świecie. Jakby była tam zamknięta.

W milczeniu przejechali kilka pięter i wysiedli z windy prosto na przeszklone drzwi z napisem ANÄSTHESIOLOGISCHE INTENSIVSTATION 16G.

Weszli do korytarza o pomarańczowych ścianach, na których wisiały zdjęcia personelu. Stał tam automat z przekąskami, a po obu stronach rzędy twardych krzesel.

Pospiesznie minął ich mężczyzna w niebieskim fartuchu i żółtych crocsach, znikając w niszy, gdzie Grace dostrzegł automat z napojami.

Kobieta poprosiła, by poczekał, a ona sprawdzi, czy będzie mógł teraz wejść. Gdy znikła za dwuskrzydłowymi drzwiami, Grace podszedł do automatu, nalał sobie wody do kubka i kupił czarną kawę. Potem usiadł, zastanawiając się, czy poprosić Marcela, żeby zawiózł go do syna kobiety, uznał jednak, że na razie się wstrzyma.

Zbyt zdenerwowany, by usiedzieć na miejscu, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Myśli wirowały mu jak szalone. Cały się trząsł. Czy przyjazd tutaj był okropną pomyłką? Czy całe jego życie właśnie miało się rozsypać w drobny mak?

Pięć minut później korpulentna kobieta wróciła i powiedziała:

– Wszystko w porządku, może pan do niej wejść. Pacjentów w śpiączce można dotykać. Dobrze jest do nich mówić. Potrafią rozpoznawać zapachy. Jeśli to pańska żona, może pozna pański zapach. Jeśli ma pan w telefonie jej ulubioną muzykę, warto ją puścić.

Grace wszedł za kobietą na oddział intensywnej terapii. Minęli rząd łóżek, gdzie leżeli pacjenci pod kroplówkami,

podłączeni do całej baterii monitorów; każde łóżko odgradzała jasnozielona zasłonka. Nad każdym wezłowiem widniał na ścianie numer. Skręcili za róg i kobieta poprowadziła Grace'a do otwartych drzwi małego pokoju z numerem siedem.

W łóżku z prętami po bokach, jak w klatce, w gąszczu przewodów kroplówek, leżała kobieta z krótkimi brązowymi włosami, w koszuli nocnej w białe i niebieskie grochy. Przy łóżku stało kilka monitorów.

Korpulentna kobieta dyskretnie się oddaliła i Grace został sam.

Powoli podszedł do łóżka, nie odrywając wzroku od twarzy kobiety, wciąż opuchniętej, pokrytej strupami i bliznami, częściowo zasłoniętej przez bandaż. Jedną z kroplówek podłączono do wenflonu na prawym przegubie, drugą przyklejono plastrem do gardła. Kobieta miała zamknięte oczy i oddychała rytmicznie.

Grace poczuł ucisk w krtani.

Czy to mogła być ona?

Boże.

Czy to była kobieta, którą kiedyś tak bardzo kochał?

Nie wiedział. Naprawdę. Plaster zasłaniał jej niemal cały nos. Ale to były usta Sandy.

– Sandy? – szepnął ostrożnie. – Sandy? To ja, Roy.

Żadnej reakcji.

Grace ujął jej opuchniętą zabandażowaną dłoń i leciutko ścisnął.

– Sandy? Kochana? Czy to ty?

Z tego, co pamiętał, ta dłoń była dłonią Sandy, drobną, idealnie pasującą do jego dłoni. Serce waliło mu jak młotem. W jednej chwili był pewien, że to ona, w następnej miał przeświadczenie, że patrzy na obcą osobę.

– Sandy?

Kobieta wciąż oddychała miarowo.

Co on, do diabła, zrobi, jeśli ona otworzy oczy, popatrzy na niego i go pozna? Jak sobie z tym poradzi? Przyjazd tutaj był

potworną nieuczciwością wobec Cleo. Jak niby jej to wyjaśni?

Ponownie spojrzął na kobietę. Czy to była ta, którą kiedyś kochał? Jeśli tak, to czy mógłby pokochać ją znowu? Nic nie czuł. Pustka emocjonalna.

Ta kobieta ma syna. Czy to może być jego syn? Jak zdołałby sobie z tym poradzić? To już nie jest jego życie. Choćby nawet to była ona – miał przed sobą kogoś całkiem obcego.

Czuł się odrętwiały.

Nagle, w jednej chwili, podjął decyzję. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Korpulentna kobieta stała tuż obok drzwi, rozmawiając z pielęgniarką w niebieskim fartuchu i crocsach. Podeszła do niego z pytającym wyrazem twarzy.

– Czy to jest pana żona?

Grace pokręcił głową.

– Nie – powiedział.

4 stycznia, niedziela

Trzy godziny później Roy Grace zajął swoje miejsce w samolocie linii British Airways, mającym zabrać go z powrotem do Londynu. Jego umysł pracował pełną parą. Po co, do diabła, tu przyjeżdżał, co właściwie miał nadzieję osiągnąć? Dlaczego nie ośmielił się powiedzieć o wszystkim Cleo?

Jeżeli celem tej podróży było złożenie ducha na spoczynek, stało się coś dokładnie przeciwnego. Grace zbudził upiora przeszłości.

Jeśli nie liczyć rany, która zresztą dobrze się goiła, rok zakończył się samymi sukcesami. Przełożeni chwalili go za uratowanie Logan Somerville. Operacja Haywain, pomimo ofiar, zdołała zapobiec rządowi terroru Wypalacza z Brighton. W minionym roku Grace odniósł też kilka innych sukcesów i nawet przybycie Cassiana Pewe'a nie osłabiło jego optymizmu. Miał poczucie, że w tym roku dowiódł, bardziej niż kiedykolwiek, ile jest wart jako detektyw do spraw zabójstw.

Przeprowadzili się do nowego domu, a Cleo, pomimo zmęczenia Noahem i przeprowadzką, patrzyła w przyszłość z radością i nadzieją. Wkrótce miała wrócić do pracy i czekała ich decyzja w kwestii opiekunki.

Dotychczas zawsze byli wobec siebie otwarci i szczerzy. Czy kiedy wróci do domu, powinien wyznać Cleo prawdę i raz na zawsze ją uspokoić? Choćby oznaczało to przyznanie się, że okłamał ją w sprawie tej podróży?

Przeszłość zbyt długo była mrocznym miejscem. Grace musiał odłożyć ją na powrót do pudełka. Potrzebował dziesięciu długich

lat, aby ruszyć dalej i znowu znaleźć szczęście. Nie mógł pozwolić, by przeszłość go zniszczyła – by zniszczyła ich oboje.

A jednak.

Nie potrafił odpędzić od siebie obrazu tamtej kobiety.

W pokoju numer siedem pogrążona w śpiączce kobieta nagle otworzyła oczy. Została na krótką chwilę sama, bo pielęgniarka właśnie wyszła na przerwę.

– Roy tu był – powiedziała.

A potem znowu zamknęła oczy.

110

4 stycznia, niedziela

Gdy tylko samolot wylądował na płycie lotniska Heathrow, Roy Grace włączył komórkę. Po chwili uzyskał zasięg i napisał do Cleo, że wrócił bezpiecznie.

Komórka zabręczała, informując go o wiadomościach w poczcie głosowej.

Odsłuchał dwie wiadomości od Cassiana Pewe'a, przy czym w drugiej szef wydawał się znacznie bardziej zniecierpliwiony. „Roy, zadzwoń do mnie, proszę. To pilne”.

Rozległ się donośny sygnał, pasażerowie zaczęli wstawać z foteli i wyjmować ze schowków swoje bagaże. Grace ruszył do wyjścia za innymi. Uznał, że Pewe może trochę poczekać – zresztą on przecież nadal był na zwolnieniu.

Niebawem wszedł na parking krótkoterminowy. W chwili gdy zbliżał się do należącego do Cleo audi, zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na ekran, ale numer był zastrzeżony.

- Słucham, Roy Grace.
- Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? – zarzął Cassian Pewe.
- W Niemczech, panie naczelniku.
- W Niemczech?
- Właśnie wróciłem do Londynu.
- Pilnie usiłowałem się z tobą skontaktować. Co robiłeś w Niemczech?
- Sprawa rodzinna – odparł, ledwo kryjąc rozdrażnienie z powodu tonu szefa.
- Dlaczego nie powiadomiłeś mnie, że wyjeżdżasz?
- Jestem na zwolnieniu lekarskim, panie naczelniku.

– Musisz natychmiast podjąć na nowo operację Haywain. Mamy kolosalny problem.

– Co się stało? – spytał Grace z zamierającym sercem.

– Powiem ci, co się stało. Stał się doktor Edward Crisp. Zakończono przekopywanie tunelu, gdzie po raz ostatni widziałeś Crispa. Nie ma go tam.

– To niemożliwe. Został tam zasypany.

– Czy widziałeś, jak zostaje zasypany?

Po chwili wahania Grace odparł:

– No, nie tak do końca.

– W jego przytulnej kryjówce był włącz prowadzący do głównego kanału ściekowego. Musiał uciec tamtędy. Rozmawiałem z ludźmi z Southern Water, odpowiedzialnymi za całą sieć kanałów ściekowych w rejonie Brighton and Hove. Według nich istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, by Crisp przeżył. Po tym, jak przez ostatnie dwa miesiące ciągle padało, kanały są przepełnione. Woda mogła przenieść Crispa kilka kilometrów tunelem, ale musiał trafić na filtry, które mają zatrzymywać i rozbijać duże obiekty, zanim ścieki trafią do oczyszczalni w Peacehaven i stamtąd do morza.

Zdumiony i przybity, Grace zapytał:

– Twierdzi pan, że Crisp uciekł kanałami ściekowymi, ale musiał utonąć lub zostać rozerwany na kawałki?

– Twierdzą, Roy – niemal warknął Pewe – że potrzebujemy ciała, a przynajmniej jego fragmentów. Nasi specjaliści potrafią przeszukiwać ścieki. Muszą coś znaleźć, i to szybko. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie naczelniku. Szczęśliwego nowego roku.

– Hm.

111

4 stycznia, niedziela

Zamiast pojechać z lotniska do domu, jak zamierzał, Roy Grace ruszył autostradą A23, minął zjazd do Henfield, aż dotarł do szosy A27 prowadzącej do Hollingbury.

Kilka minut później skręcił z autostrady, zjechał stromym zboczem, mijając po prawej stronie supermarket Asda, i wjechał na parking głównej siedziby wydziału kryminalnego Sussex House. Była szesnasta piętnaście.

Dekoracje świąteczne nadal wisiały, ale w budynku panowała atmosfera przygnębienia. Od chwili połączenia wydziałów kryminalnych policji Sussex i Surrey nad główną siedzibą wisiała ciężka chmura.

Grace, w cywilnym ubraniu, ruszył przez korytarze do sali konferencyjnej, wszedł i przywitał się z kilkoma członkami swojej grupy, którzy pozostali, by zamknąć poszczególne wątki operacji Haywain.

Norman Potting wstał od biurka.

– Jak się masz, szefie? Utykasz.

– Noga coraz lepiej, dzięki, Norman. Wszystko w porządku, w każdym razie tak było do tej pory. Szczęśliwego nowego roku! Jak się miewasz?

– I tobie wszystkiego najlepszego, szefie. Chyba powinieneś rzucić na to okiem, właśnie przyszło. – Potting wskazał ekran komputera.

Grace minął ludzi siedzących za Pottingiem, nachylił się nad nim i spojrzał na ekran.

Mail wysłano z konta na Hotmailu. W miejscu nadawcy figurowała pozbawiona sensu sekwencja liter i cyfr.

– Przeczytaj mail – powiedział Potting.
Grace przeczytał.

Drogi sierżancie Potting, postąpiłem bardzo nieładnie, nie kontaktując się z panem w sprawie pańskich problemów z prostatą, o których wspomniał pan podczas ostatniej wizyty u mnie, ale pochłaniał mnie ekscytujący nowy projekt. Istnieje znakomita organizacja, która ma wszystkie najświeższe informacje na temat tej wstrętnej choroby. Może pan więcej się dowiedzieć na stronie www.prostatehelp.me.uk.

Powodzenia, miło było pana poznać.
Na razie!
Dr Edward Crisp

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle w przypadku powieści, której bohaterem jest Roy Grace, mnóstwo zawdzięczam specjalistom z różnych dziedzin. Ludzie ci udzielali mi rad i poświęcali czas.

Zacznę od funkcjonariuszy, byłych funkcjonariuszy i członków grup wsparcia z policji Sussex i Surrey oraz z innych agencji egzekwowania prawa, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i za granicą: naczelnik Giles York; komisarz Katy Bourne; nadinspektor Nev Kemp; były nadinspektor Graham Bartlett; nadinspektor Paula Light; starszy detektyw Paul Furnell; nadinspektor Nick May; starszy inspektor Jason Tingley; inspektor Bill Warner; były starszy inspektor Trevor Bowles; inspektor Andy Kille; sierżant Phil Taylor; sierżant Lorna Dennison-Wilkins; Martin Light; Paul Quinn, Scott Kendal wraz z całym zespołem specjalistów od przeszukiwań; Suzanne Heard; Katie Perkin; Jill Pederson; Ray Packham, dawniej w zespole przestępstw informatycznych; śledczy James Gartrell i Chris Gee; starszy oficer wsparcia Tony Case; sędzia pokoju, szeryf wschodniego Sussex Juliet Smith. Na koniec ten, który zajmuje pierwsze miejsce: mój bliski przyjaciel, alter ego i pierwowzór Roya Grace'a, były nadinspektor David Gaylor.

Dziękuję wszystkim, którzy udzielili mi nieocenionych porad medycznych, naukowych lub technicznych: dr Wilfrid Assin; dr Neil Houghton; Iain Maclean; dr Haydn Kelly; dr David Veale; Michael Beard; Andrew Davey; Janet Blainey; Martin Pile; Nigel Ostime; Brian Price; Derek Middlehurst; dr Mark Howard; dr Nigel Kirkham; ojciec Martin; Hans Jürgen Stockerl; Wolfgang Barth z Drogennotdienst we Frankfurcie; Anette Lippert;

wreszcie szczególne podziękowania dla Sigrid Daus i Klinikum Munich, Krankenhaus Schwabing za wielką pomoc podczas pracy nad tą książką.

Chociaż pisarstwo jest samotnym zajęciem, wiele osób pracuje w cieniu nad redakcją, sprzedażą, marketingiem. Bez nich po prostu nie byłoby książki. Podziękowania zacznę od mojego guru komputerowego, Chrisa Webba z MacService, oraz mojej agentki, Carole Blake z zespołem. Pragnę też wymienić następujące osoby: mój redaktor, Wayne Brookes; Geoff Duffield, Anna Bond. Sara Lloyd oraz wszyscy z Pan Macmillan. Mój zespół w Stanach Zjednoczonych – Andy Martin; Marc Resnick; Hector DeJean; Paul Hochman; Elena Stokes; Tanya Farrell i wszyscy z Team James USA. Moja korektorka Susan Opie; Sophie Ransom, Becky Short i Tony Mulliken.

Mój wspaniały zespół współpracowników pomaga w obróbce tekstu, zanim trafi on do agenta i wydawcy, a także w kontaktach z Team James UK. Moja ciężko pracująca i błyskotliwa asystentka Linda Buckley to prawdziwy skarb, w dodatku ma oko na szczegóły (!); moja archiwistka Sarah Middle; Helen Shenston; Anna Hancock; Martin i Jane Diplockowie; Susan Ansell.

Oddzielne podziękowania należą się mojej ukochanej Larze, która włożyła mnóstwo pracy i energii w wiele aspektów pisania i redagowania tej książki.

Żadne podziękowania nie byłyby kompletne bez wzmianki o naszych psach, które jako pierwsze dają mi znać, gdy uważają, że spędzam zbyt wiele czasu z nosem w ekranie i przydałby mi się spacer – to Oscar i Spook, nasz nowy nabytek, słodki szczeniak labradoodle.

Na koniec garść smutnych pożegnań tegorocznych. Spoczywaj w pokoju, Elsie Sweetman. Była szefową kostnicy Brighton and Hove i stała się pierwowzorem Cleo Morey. Fantastyczna, cudowna osoba. Doktor Dennis Friedmann, wybitny psychiatra, który tak bardzo pomagał mi w tworzeniu postaci – zwłaszcza

czarnych charakterów – w wielu książkach. Phoebe, nasz ukochany owczarek niemiecki, odeszła w wieku trzynastu lat, ale na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Przede wszystkim dziękuję wam, czytelnicy! Wasze maile, tweety, wpisy na Facebooku i blogu są dla mnie niewyczerpanym źródłem otuchy. Piszcie! Uwielbiam, kiedy się odzywacie!

Na razie!

Peter James

Sussex, England

scary@pavilion.co.uk

www.peterjames.com

www.facebook.com/peterjames.roygrace

www.twitter.com/peterjamesuk

PRZYPISY

- ¹ *Haywain* (ang.) – wóz na siano. *Hay Wain* jest tytułem wspomnianego dalej obrazu Johna Constable'a.
- ² T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, przełożył S. Barańczak.